

W blasku księżycy

Hearn Lian

Książka III z Opowieści rodu Otori



calibre 0.9.43



LIAN H E A R N

W BŁASKU KSIEŻYCA

(TYTUŁ ORYGINAŁU: BRILLIANCE OF THE MOON)

CYKL: OPOWIEŚCI RODU OTORI TOM 3

PRZEŁOŻYŁA: BARBARA KOPEĆ-UMIĄSTOWSKA

DLA B

TRZY KRAINY



pole bitwy



warownia



święte miejsce



świątynia



granica lenna



*granica lenna
przed Yaegaharą*



gościniec

Opisane poniżej wydarzenia rozegrały się w ciągu kilku miesięcy po zaślubinach Otori Takeo i Shirakawa Kaede w świątyni klasztoru w Terayamie. Małżeństwo umocniło Kaede w postanowieniu, by odzyskać ziemie Maruyama, a Takeo dostarczyło środków, by pomścić śmierć przybranego ojca Shigeru i zająć należne mu miejsce przywódcy klanu Otori. Jednakże związek ten wzbudził gniew Araiego Daiichi, władającego większą częścią Trzech Krain, a także głęboko uraził pana Fujiwarę, arystokratę, który uważał, iż Kaede została mu przeznaczona.

Takeo, na którego Plemię wydało wyrok śmierci, schronił się na zimę w Terayamie, gdzie zwrócono mu szczegółowe zapiski Shigeru na temat Plemienia oraz jego miecz Jato. W drodze do świątyni Takeo napotkał Jo-Ana, niedotykalnego i członka zakazanej sekty Ukrytych; ten ocalił mu życie, a potem zaprowadził do górskiej pustelni. Tam Takeo z ust świętej kobiety usłyszał przepowiednię: *Krew trzech ludów miesza się w twych żyłach. Choć urodziłeś się wśród Ukrytych, wyszedłeś na światło dzienne i twoje życie nie należy już do ciebie. Ziemia spełni pragnienie Niebios.*

Będziesz władał ziemią od morza do morza, lecz ceną pokoju jest rozlew krwi. Pięć bitew kupi ci pokój, cztery wygrane i jedna

przegrana...

ニテ 青の風の、稀なる中の秋風に。
地 夏又も知らずも夕べかな。
ニテ 遠くへ、眺むらん。
地 誰か行く月日は、訪げ。
ニテ 面白の折から、秋の夕方。
地 牧鹿の群、心ゆく見ぬ山風を
美しり来て、梢は、ひと葉
散る、空す、月影入。
軒の用心に、嘆らひて。
ニテ 露の玉垂れ、身もの。
地 思ひと述ぶる夜す、かな。
地 宮漏言高く、月北に巡り。
ニテ 隣、砦緩く急いで、月西に流る。

世阿弥作 砦

*Z szelestem jesiennego wiatru gorycz przemijania niesie zmierzch; ktoś się zapatrzy nocą,
- świat o niego nie pyta, ni księżyc*

W takiej chwili serce przesyje

głos sarny,

niewidoczne góry wyślą wiatr;

powiew nadleci w pustym czasie,

strąci liść, zniknie czysty sierp księżyca.

Zeami, Kijanka (Kinuta), przełożyła Jadwiga M. Rodowicz



RŌD
OTORI



RŌD
MARUYAMA



RŌD
SEISHUU



RŌD
SHIRAKAWA



RŌD
TOHAN



RŌD
ARAI

KLANY

OTORI

(Środkowa Kraina; warownia: Hagi)

Otori Shigeru - prawowity dziedzic klanu (1)

Otori Takeshi - jego młodszy brat, zgładzony przez klan Tohan (zm.)

Otori Takeo - (d. Tomasu) jego przybrany syn (1)

Otori Shigemori - ojciec Shigeru, zginął w bitwie pod Yaegaharą (zm.)

Otori Ichiro - daleki krewny, nauczyciel Shigeru i Takeo (1) Chiyo, Haruka - pokojówki w domu Otori (1)

Shiro - cieśla (1)

Otori Shoichi - stryj Shigeru, obecnie władca klanu (1) Otori Masahiro - jego młodszy brat (1)

Otori Yoshitomi - syn Masahiro (1)

Miyoshi Kahei, Miyoshi Gemba - bracia, przyjaciele Takeo (1) Miyoshi Satoru - ich ojciec, dowódca straży w zamku Hagi (3) Endo Chikara - starszy sługa (3)

Terada Fumifusa - pirat (3)

Terada Fumio - jego syn, przyjaciel Takeo (1)

Ryoma - rybak, nieślubny syn Masahiro (3)

TOHAN

(Wschód; warownia: Inuyama)

Iida Sadamu - głowa klanu (1)

Iida Nariaki - jego kuzyn (3)

Ando, Abe - ludzie Iidy

Pan Noguchi - sojusznik (1)

Pani Noguchi - jego żona (1)

Junko - służąca w zamku Noguchi (1)

SEISHUU

(Alians kilku starożytnych rodów z Zachodu; główne warownie: Kumamoto i Maruyama)

Arai Daiichi - wojownik (1)

Niwa Satoru - najemnik (2)

Akita Tsutomu - najemnik (2)

Sonoda Mitsuru - siostrzeniec Akity (2)

Maruyama Naomi - pani na dobrach Maruyama, kochanka

Shigeru (1) Mariko - jej córka (1)

Sachie - jej pokojówka (1)

Sugita Haruki - najemnik (1)

Sugita Hiroshi - jego bratanek (3)

Sakai Masaki - kuzyn Hiroshiego (3)

Pan Shirakawa (1)

Kaede - jego najstarsza córka, krewna pani Maruyama (1) Ai, Hana - jego pozostałe córki (2)

Ayame, Manami, Ayako - pokojówki w jego domu (2)

Amano Tenzo - najemnik rodu Shirakawa (1)

Shoji Kiyoshi - stary sługa pana Shirakawy (1)

PLEMIĘ

RODZINA MUTO

Muto Kenji - nauczyciel Takeo, mistrz (1)

Muto Shizuka - siostrzenica Muto, kochanka Araiego,

towarzyszka Kaede (1) Zenko, Taku - jej synowie (3)

Muto Seiko - żona Kenjiego (2)

Muto Yuki - ich córka (1)

Muto Yuzuru - kuzyn (2)

Kana, Miyabi - pokojówki (3)

RODZINA KIKUTA

Kikuta Isamu - prawdziwy ojciec Takeo (zm.)

Kikuta Kotaro - jego krewny, mistrz (1)

Kikuta Gosaburo - młodszy brat Kotaro (2)

Kikuta Akio - ich bratanek (1)

Kikuta Hajime - zapaśnik (2)

Sadako - pokojówka (2)

RODZINA KURODA

Kuroda Shintaro - słynny skrytobójca (1)

Kondo Kiichi (2) Imai Kazuo (2)

Kudo Keiko (2)

INNI

Pan Fujiwara - możnowładca wygnany ze stolicy (2)

Mamoru - jego protegowany i towarzysz (2)

Ono Rieko - jego krewna (3)

Murita - służący (3)

Doktor Ishida - jego lekarz

Matsuda Shingen - przeor klasztoru w Terayamie (2)

Kubo Makoto - mnich, najbliższy przyjaciel Takeo (1)

Jin-emon - rozbójnik (3)

Jiro - syn chłopca (3)

Jo-An - niedotykalny (1)

KONIE

Raku - myszaty, pierwszy koń Takeo, подарowany Kaede

Kyu - kary, koń Shigeru, przepadł w Inuyamie

Aoi - kary (brat przyrodni Kyu)

Ki - kasztan Amano

Shun - gniadosz Takeo, bardzo mądry

druk tłusty - główne postaci

(1,2, 3) - postać pojawia się po raz pierwszy w Księdze 1,2 lub 3

(zm.) - postać zmarła przed rozpoczęciem opowieści



Rozdział pierwszy

Na mojej dłoni leżało piórko. Trzymałem je ostrożnie, świadom, jakie jest stare i kruche. A jednak jego biel była czysta, a czubek nadal lśnił cynobrem.

- Porzucił je święty ptak houou - powiedział Matsuda Shingen, przeor świątyni w Terayamie - który ukazał się twojemu przybranemu ojcu Shigeru, gdy ten miał zaledwie piętnaście lat, mniej niż ty teraz. Czy kiedykolwiek opowiadał ci o tym, Takeo?

Pokręciłem głową. Rozmawialiśmy w pokoju Matsudy, położonym w narożniku krużganka, który otaczał główny dziedziniec świątyni. Z zewnątrz, tłumiąc codzienne świątynne odgłosy, modlitwy i bicie dzwonu, dobiegał zgiełk pośpiesznych przygotowań, krzątania wielu ludzi; za bramą słyszałem głos mojej żony Kaede, omawiającej z Amano Tenzo zaopatrzenie wojska przed wymarszem do Maruyamy, wielkich dóbr na Zachodzie. Chcieliśmy upomnieć się o nie w imieniu Kaede, ich prawowitej dziedziczki, a w razie potrzeby nawet stoczyć o nie walkę.

Od spłynięcia śniegów ze wszystkich stron przybywali do Terayamy wojownicy, pragnący się do nas przyłączyć - w tej chwili miałem pod swymi rozkazami około tysiąca zbrojnych, zakwaterowanych w samej świątyni i w pobliskich wioskach, nie licząc okolicznego chłopstwa, które także popierało moją sprawę. Amano pochodził z Shirakawy, rodzinnych włości mojej żony; należał do jej zaufanych sług, był świetnym jeźdźcem i znakomicie radził sobie ze zwierzętami. W okresie po naszym ślubie Kaede i jej służąca Manami wykazały się niemałą zdolnością rozdzielania prowiantu i sprzętu, a swoje decyzje uzgadniały z Amano, który następnie przekazywał je żołnierzom.

Tego ranka pochłaniało go liczenie zaprzężonych w woły wozów transportowych oraz koni jucznych, jakimi mogliśmy dysponować. Próbowałem nie słuchać, co mówi, i skupić się na słowach Matsudy, ale targał mną niepokój, chciałem jak najrychlejsz ruszyć w drogę.

- Cierpliwości - powiedział łagodnie Matsuda. - To zajmie tylko chwilę. Co wiesz o *houou* ?

Zmusiłem się, by znów spojrzeć na piórko i przypomnieć sobie, co mój były nauczyciel, Ichiro, mówił na ten temat, gdy mieszkałem w domu Shigeru w Hagi.

- To legendarny święty ptak, który pojawia się w czasach pokoju i sprawiedliwości. Jego nazwę zapisuje się za pomocą tego samego znaku, co nazwę mego klanu, Otori.

- Właśnie - rzekł Matsuda z uśmiechem. - *Houou* nie pojawia się często, gdyż pokój i sprawiedliwość to raczej rzadkość w naszej epoce. Ale Shigeru go widział i jestem przekonany, że ta wizja była mu natchnieniem w dążeniu do owych cnót.

Powiedziałem mu wówczas, że pióra ptaka splamione są krwią; rzeczywiście, krew i śmierć wciąż powodują tobą i mną.

Uważnie obejrzałem piórko. Przykrywało bliznę na mojej prawej dłoni, gdzie się oparzyłem dawno temu, w Mino, miejscu moich narodzin, owego dnia, gdy Shigeru ocalił mi życie. Moją dłoń przecinały również proste linie rodziny Kikuta z Plemienia, do której należałem i od której uciekłem

ubiegłej zimy. Moje dziedzictwo, moja przyszłość i przeszłość leżały przede mną, trzymałem je w dłoni.

- Dlaczego pokazujesz mi je teraz?

- Niedługo stąd odejdziesz. Spędziłeś u nas całą zimę, uczyłeś się i ćwiczyłeś, by należycie spełnić ostatnie rozkazy Shigeru. Chciałem, byś podzielał jego marzenie, byś pamiętał, że jego celem była sprawiedliwość, i że ty także musisz do niej dążyć.

- Nigdy o tym nie zapomnę - obiecałem. Ze czcią skłoniłem się przed piórkiem, trzymając je delikatnie w dłoniach, po czym oddałem je przeorowi. Wziął je, również się uklonił, a następnie schował do szkatułki z laki. Milczałem, wspominając, co Shigeru dla mnie zrobił i ile jeszcze muszę dokonać w jego imieniu.

- Ichiro opowiedział mi o *houou*, kiedy uczyłem się pisać swoje imię - rzekłem w końcu. - Gdy rok temu widziałem się z nim w Hagi, prosił, bym zaczekał tutaj na niego, ale nie mogę dłużej zwlekać; w tym tygodniu musimy ruszać do Maruyamy.

Odkąd stopniały śniegi, coraz bardziej martwiłem się o starego nauczyciela; słyszałem, że stryjowie Shigeru zamierzają przejąć mój dom i ziemię w Hagi, a Ichiro stanowczo się temu sprzeciwia.

Nie wiedziałem o tym wówczas, ale Ichiro już nie żył. Wiadomość tę przyniesiono nazajutrz. Rozmawiałem właśnie z Amano na dziedzińcu, gdy daleko w dole usłyszałem odgłosy zamieszania, gniewne okrzyki, tętent koni, tupot nóg. Stukot końskich kopyt na zboczu zaskoczył mnie i zgorszył - na ogół nikt nie przyjeżdżał

konno do Terayamy. Wszyscy pokonywali stromą ścieżkę na piechotę, a osoby chore i stare przybywały na ramionach krzepkich tragarzy.

Po chwili dźwięki dotarły również do uszu Amano, lecz ja już biegłem ku bramie, po drodze wzywając strażę.

Natychmiast zamknięto i zaryglowano bramę. Matsuda pośpiesznie szedł przez dziedziniec, bez zbroi, lecz z przypasanym mieczem. Jednak zanim zdążył przemówić, z wartowni rozległo się wezwanie:

- Kto ośmiela się zbliżać konno do bram świątyni? Zsiadajcie! Okażcie szacunek ziemi, na której panuje pokój!

Poznałem głos Kubo Makoto, młodego mnicha wojownika z Terayamy, który w ciągu ostatnich miesięcy stał się moim najbliższym przyjacielem. Podbiegłem do palisady i po drabinie wspiałem się do wartowni. Makoto gestem wskazał mi otwór judasza. Pod bramą stali czterej jeźdźcy; galopem pokonali drogę na górę, a teraz z trudem powściągali parszające wierzchowce. Byli w pełnej zbroi, wyraźnie widziałem godło Otori na ich hełmach. Przez chwilę myślałem, że przynoszą mi wieści od Ichiro, lecz wówczas mój wzrok padł na kosz, przytroczony do jednego z siodeł. Serce obróciło mi się w kamień - niestety, natychmiast odgadłem, co zawiera ten pojemnik.

Konie tańczyły i stawały dęba, nie tylko ze zmęczenia, lecz także ze strachu, gdyż dwa już krwawiły z

ran na zadach. Z wąskiej ścieżki za nimi wylewał się tłum rozzłoszczonych chłopów, zbrojnych w sierpy i sztachety. Rozpoznałem niektórych -

byli to rolnicy z pobliskiej wioski. Wojownik jadący na końcu próbował ich odpędzić, wymachując mieczem, nie spłoszyli się jednak, tylko odsunęli, otaczając intruzów zwartym, groźnym półkolem.

Przywódca jeźdźców obrzucił ich wzgardliwym spojrzeniem, po czym głośno zawołał ku bramie:

- Jestem Fuwa Dosan z klanu Otori w Hagi! Przywożę wiadomość od moich panów Shoichi i Masahiru dla krętacza, który zwie siebie Otori Takeo!

Makoto odpowiedział:

- Jeżeli przybywacie w pokoju, zejście z koni i odrzućcie miecze. Brama zostanie otwarta.

Wiedziałem już, co to za wiadomość. Za oczami poczułem ucisk - wzbierała we mnie wściekła furia.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł Fuwa szyderczo. - Wiadomość jest krótka.

Powtórzcie tak zwanemu Takeo, że klan Otori nie uznaje jego roszczeń. Oto, jak zamierza potraktować jego i jego zwolenników.

Mężczyzna obok niego puścił wodze i otworzył kosz, po czym wyjął zeń to, co tak bardzo obawiałem się ujrzeć. Chwycił głowę Ichiro za związane w węzeł włosy i jednym ruchem przerzucił ją przez ogrodzenie.

Upadła z lekkim stukiem na usianą płatkami trawę w ogrodzie.

Wyciągnąłem zza pasa mój miecz Jato.

- Otwierać bramę! - krzyknąłem. - Wychodzę!

Rzuciłem się w dół po schodach, Makoto popędził za mną.

Widząc, że brama się otwiera, wojownicy Otori zawrócili konie i obnażywszy miecze próbowali przedrzeć się przez otaczający ich krąg ludzi. Zapewne sądzili, że pospólstwo nie ośmieli się ich zaatakować; nawet ja byłem zdumiony tym, co teraz nastąpiło. Zamiast się rozstąpić i pozwolić konnym przejechać, ludzie rzucili się na nich.

Dwaj chłopci zginęli natychmiast, przepołowieni ciosami mieczy, lecz rozwścieczony tłum zdążył już obalić jednego konia i zrzucić jeźdźca. Po chwili podobny los spotkał

pozostałych - mimo zbroi nie zdołali użyć broni, ludzie ściągnęli ich z siodeł i zatłukli na śmierć jak psy.

Próbowaliśmy z Makoto powstrzymać chłopów i w końcu odpędziliśmy ich od ciał ofiar, jednak dopiero gdy odcięliśmy trupom głowy i zatknęliśmy je na bramie, zapanował względny spokój.

Niesforny samozwańczy oddział jeszcze przez chwilę ciskał obelgi, po czym oddalił się na dół, odgrając się głośno, że jeśli ktoś znów przybędzie do świątyni i obrazi pana Otori Takeo, Anioła z Yamagaty, zostanie potraktowany w ten sam sposób.

Makoto dygotał z gniewu i jakiegoś innego uczucia, o którym chciał ze mną mówić, ale nie miałem teraz czasu. Wróciłem za ogrodzenie. Pod drzewami wiśni klęczała Kaede i spokojnie myła głowę Ichiro kawałkiem białego płótna zmoczonego w drewnianej misce z wodą. Skóra Ichiro była sina, oczy półprzymknięte, poszarpana szyja nosiła ślady kilku ciosów, lecz Kaede obchodziła się z nim delikatnie, jakby miała w rękach przedmiot cenny i piękny.

Klęknąłem obok niej i pogładziłem włosy zmarłego. Mocno posiwiał, lecz martwa twarz wyglądała młodziej niż wówczas, kiedy ostatni raz widziałem go żywego w Hagi, smutnego i nawiedzanego przez duchy, a jednak gotowego okazać mi serdeczność i wsparcie.

- Kto to jest? - zapytała cicho Kaede.

- Ichiro, mój nauczyciel z Hagi. I nauczyciel Shigeru. - Byłem zbyt poruszony, by mówić dalej. Zamrugałem, łzy napłynęły mi do oczu. Ze ściśniętym sercem wspominałem ostatnie spotkanie z Ichiro. Żałowałem, że nie powiedziałem mu więcej, nie okazałem należytej wdzięczności i szacunku. Zastanawiałem się, jak zginął, czy jego śmierć była okrutna i poniżająca. Pragnąłem, by martwe oczy otworzyły się, bezkrwawe usta przemówiły. Jakże niedostępni są zmarli, jak całkowicie od nas odchodzą! Nawet gdy wracają do nas ich duchy, nigdy nie mówią o swoim umieraniu.

Urodziłem się i zostałem wychowany wśród Ukrytych, którzy wierzą, że tylko ludzie stosujący się do przykazań Ukrytego Boga spotkają się w przyszłym życiu, wszystkich innych pochłoną ognie piekielne. Nie wiedziałem, czy mój przybrany ojciec Shigeru należał do wierzących, ale znał nauki Ukrytych i w chwili śmierci wyszeptał ich modlitwę wraz z imieniem Oświeconego. Ichiro, jego doradca i ochmistrz, nigdy nie zdradzał podobnych przekonań - wręcz przeciwnie, wiedząc, że Shigeru uratował mnie od prześladowań lidy Sadamu, wodza klanu Tohan, od początku podejrzewał, że jestem jednym z Ukrytych, i niczym sęp obserwował, czy się z czymś nie zdradzę.

Ale ja już od dawna nie stosowałem się do nauk dzieciństwa, toteż nie mogłem uwierzyć, że człowiek tak uczciwy i lojalny jak Ichiro trafi do piekła. Przepęłniał mnie przede wszystkim ogromny gniew na taką niegodziwość oraz dojmująca świadomość, że będę musiał pomścić jeszcze jedną śmierć.

- Zapłacili za to życiem - powiedziała Kaede. - Po co im było zabijać starego człowieka i zadawać sobie tyle trudu, żeby przywieźć ci jego głowę?

- Sądzę, że panowie Otori chcą mnie stąd wywabić - rzekłem powoli. - Wolą uniknąć ataku na Terayamę; po drodze natknęliby się na wojska Araiego. Liczą na to, że wyciągną mnie aż do granicy i tam się ze mną rozprawią.

Marzyłem o takiej konfrontacji, o tym, by ich ukarać. Śmierć zbrojnych posłańców chwilowo uśmierzyła moją wściekłość, lecz czułem, że w moim sercu nadal tli się gniew. Musiałem jednak być cierpliwy; miałem przecież wycofać się do Maruyamy i tam zgromadzić wszystkie siły. Nie mogłem

dać się odwieść od tego zamiaru.

Dotknąłem czołem trawy, żegnając się z nauczycielem. Z pokojów gościnnych wyszła Manami i uklękła za naszymi plecami.

- Przyniosłam koszyk, pani - szepnęła.

Był to mały pojemnik upleciony z witek wierzbowych i pasków barwionej na czerwono skóry, z którego po otwarciu uniósł się zapach aloesu. Kaede umieściła w nim białe zawiniątko i ułożyła wokół gałązki ziela. Następnie postawiła go na trawie przed sobą i wszyscy troje jeszcze raz złożyliśmy mu pokłon.

Rozległo się wiosenne wołanie gajówki; z głębi lasu odpowiedziała jej kukulka, pierwsza, jaką słyszałem w tym roku.

Nazajutrz, po ceremonii żałobnej, pochowaliśmy głowę Ichiro obok grobu Shigeru, umówiłem się także z mnichami, że wystawią mu płytę nagrobną. Dałbym wiele, by się dowiedzieć, co się stało ze starą Chiyo i resztą domowników z Hagi.

Dręczyła mnie myśl, że dom już nie istnieje, że został spalony - że zniszczono pawilon herbaciany, słowicza podłogę, pokój na piętrze, gdzie siadywaliśmy tak często, patrząc na ogród - że pieśń ucichła na zawsze. Pragnąłem czym prędzej znaleźć się w Hagi i upomnieć o swoje dziedzictwo, zanim zostanie mi odebrane. Ale wiedziałem też, że Otori mają nadzieję, iż właśnie tak postąpię.

W starciu zginęło pięciu chłopów, dwóch zmarło nieco później wskutek odniesionych ran. Pochowaliśmy ich na przyświętym cmentarzu. Dwa konie były poważnie pokaleczone i Amano miłosiernie je dobił, lecz dwa pozostałe nie doznały szwanku. Jeden z nich, piękny czarny ogier, szczególnie mi się spodobał; był podobny do konia Shigeru, Kyu, i mógł być jego przyrodnim bratem. Za namową Makoto również wojowników Otori pochowaliśmy z pełnymi honorami, modląc się, by ich duchy, oburzone tak nikczemną śmiercią, nie wracały nas nawiedzać.

Tego wieczora przeor przyszedł do pokojów gościnnych i długo ze mną rozmawiał. W naradzie wzięli również udział Makoto oraz Miyoshi Kahei, mój przyjaciel i sojusznik z Hagi. Już wcześniej wysłałem przodem jego młodszego brata, Gembę, by powiadomił zarządcę dóbr Maruyama, Sugitę Harukiego, o naszym rychłym przybyciu; poprzedniej zimy Sugita upewnił Kaede o swoim poparciu dla jej roszczeń.

Kaede nie było z nami - z wielu powodów nie czuła się najlepiej w towarzystwie Makoto - lecz poprosiłem ją, by usiadła za parawanem i słuchała, o czym mówimy.

Chciałem poznać jej zdanie; w krótkim czasie, jaki upłynął od naszych zaślubin, nauczyłem się rozmawiać z nią szczerze jak z nikim dotąd. Tak długo musiałem zachowywać milczenie, że teraz nigdy nie było mi dość dzielenia się myślami, miałem też zaufanie do jej osądów i rozwagi.

- A zatem przystąpiłeś do wojny - rzekł przeor - i twoje wojsko stoczyło pierwszą potyczkę.

- No, chyba nie wojsko - zaprzeczył Makoto. - Chłopska hałastrą! Jak zamierzasz z nimi postąpić?

- O czym ty mówisz?

- Chłopom nie wolno zabijać wojowników. Każdy na twoim miejscu okrutnie by ich ukarał. Zostaliby ukrzyżowani, usmażeni w oleju, żywcem obdarci ze skóry.

- Tak się stanie, jeśli Otori ich dopadną - mruknął Kahei.

- Walczyli w moim imieniu - powiedziałem. W cichości ducha uważałem, że wojownicy zasłużyli na swój haniebny koniec, żałowałem tylko, że sam wszystkich nie pozabijałem. - Nie zamierzam nikogo karać, bardziej mnie obchodzi, jak ich ochronić.

- Uważaj, uwolniłeś potwora - rzekł Makoto. - Miejmy nadzieję, że zdołasz nad nim zapanować.

Przeor uśmiechnął się do czarki z winem. Wcześniej wiele rozmawiał ze mną o sprawiedliwości, ponadto przez całą zimę uczył mnie zasad strategii i tylekroć słuchał

moich koncepcji zdobycia Yamagaty, że doskonale wiedział, jaki jest mój stosunek do chłopów.

- Otori chcą mnie sprowokować - powiedziałem do niego, jak przedtem do Kaede.

- Tak, ale musisz oprzeć się pokusie - odparł. - To naturalne, że przede wszystkim pragniesz się zemścić, ale nawet gdybyś ich zwyciężył w pierwszym starciu, po prostu wycofaliby się do Hagi. Długotrwałe oblężenie byłoby katastrofą. Miasto jest praktycznie nie do zdobycia, a w dodatku prędzej czy później miałbyś do czynienia z siłami Araiego na tyłach.

Arai Daiichi z Kumamoto był dowódcą, który wykorzystał upadek klanu Tohan, by przejąć panowanie nad Trzema Krainami. Już w zeszłym roku wzbudziłem jego gniew, kiedy

25

odszedłem do Plemienia, a moje niedawne małżeństwo z Kaede z pewnością jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Dowodził ogromną armią, nie chciałem więc z nim się mierzyć, dopóki nie zgromadzę własnych wojsk.

- A zatem, zgodnie z planem, musimy najpierw udać się do Maruyamy. Ale jeśli zostawię świątynię bez obrony, Otori ukarzą i was, i okoliczną ludność.

- Możemy dać wielu ludziom schronienie w obrębie murów - odrzekł przeor. -

Mamy dość zapasów i broni, by powstrzymać atak Otorich. Ale osobiście nie przypuszczam, by do tego doszło. Arai i jego sojusznicy nie oddadzą Yamagaty bez walki, ponadto wielu członków klanu Otori nie zechce narazić na zniszczenie świątyni, która jest dla nich miejscem kultu. A poza tym myślę, że będą zbyt zajęci pościgiem za tobą. - Urwał na chwilę, po czym podjął: - Nie można toczyć wojny, nie będąc gotowym do poświęcenia. W bitwach, które stoczysz, zginie wielu ludzi, a jeśli przegrasz, wielu z nich, z tobą włącznie, zostanie skazanych na śmierć, często niezwykle bolesną. Otori nie uznają twojej adopcji i nie mają pojęcia o twoim pochodzeniu; z ich punktu widzenia jesteś

przybędą, kimś z niższej klasy. Nie wolno powstrzymywać się od działania tylko dlatego, że ktoś umrze - nawet twoi rolnicy o tym wiedzą. Dzisiaj zginęło siedmiu z nich, ale pozostali nie rozpaczają, przeciwnie, świętują swe zwycięstwo nad ludźmi, którzy cię obrazili.

- Wiem o tym - powiedziałem, zerkając na Makoto. Miał zaciśnięte wargi i nic po sobie nie okazywał, lecz wyraźnie czułem jego dezaprobatę. Po raz kolejny zdałem sobie sprawę ze swych słabości jako dowódcy. Obawiałem się, że Makoto i Kahei, obaj wychowani na wojowników, zaczną mną gardzić.

- Popieramy cię z własnej woli - ciągnął Matsuda - ze względu na twoją lojalność wobec Shigeru oraz dlatego, że naszym zdaniem walczysz w słusznej sprawie.

Pokornie schyliwszy głowę, przyjąłem reprimendę i przysiągłem sobie, że nigdy więcej nie dam przeorowi powodu, by przemawiał do mnie w tym duchu.

- Pojutrze wyruszamy do Maruyamy.

- Pójdzie z tobą Makoto - zarządził przeor. - Jak wiesz, uznaje twoją sprawę za swoją.

Makoto przytaknął skinieniem głowy, a jego wargi wygięły się nieznacznie.

Później tego wieczora, w połowie godziny Szczura, kiedy właśnie kładłem się obok Kaede, usłyszałem na zewnątrz głosy. Po chwili Manami zawołała cicho, że jakiś mnich przyniósł wiadomość z wartowni.

- Wzięliśmy jeńca - oznajmił posłaniec, gdy wyszedłem z nim pomówić. - Został

zauważony, kiedy czaił się w krzakach za bramą. Straże go pochwyciły i z miejsca by go zabiły, gdyby nie to, że wykrzyczał twoje imię. Mówi, że jest twoim człowiekiem.

- Porozmawiam z nim - postanowiłem, biorąc Jato. Podejrzewałem, że to niedotykalny Jo-An, ten sam, który zobaczył mnie w Yamagacie, gdy wyzwoliłem jego brata i innych Ukrytych, pozwalając im odejść w śmierć. To on nadał mi imię Anioł z Yamagaty, a kilka miesięcy później ocalił mi życie podczas desperackiej zimowej ucieczki do Terayamy. Powiedziałem mu wówczas, że wiosną po niego poślę, i kazałem czekać na moje wezwanie, jednakże często zachowywał się nieobliczalnie, zazwyczaj w odpowiedzi na głos tego, którego nazywał Tajemnym Bogiem.

Noc była ciepła i łagodna, zapowiedź wilgotnych dni lata wisiała już w powietrzu. Wśród cedrów pohukiwała sowa. Jo-An leżał przy bramie niedbale związany, z podkurczonymi nogami i rękami skrępowanymi na plecach. Twarz miał

umazaną błotem i krwią, włosy zmierzwione. Jego usta poruszały się nieznacznie, jakby bezgłośnie się modlił. Nieopodal dwóch mnichów przyglądało mu się z grymasem niesmaku na twarzach.

Kiedy zawołałem go po imieniu, otworzył oczy. Zaśniła w nich ulga. Próbował

się podnieść do klęczącej pozycji, lecz nie mogąc się podeprzeć, padł twarzą na ziemię.

- Rozwiążcie go - powiedziałem.

- To wyrzutek - odrzekł jeden z mnichów. - Nie powinniśmy go dotykać.

- A kto go związał?

- Nie zdawaliśmy sobie sprawy - rzekł drugi.

- Później się oczyścicie. Ten człowiek ocalił mi życie. Rozwiążcie go.

Niechętnie podeszli do Jo-Ana i rozluźnili krępujące go więzy. Podczołgał się do mych stóp, po czym przywarł do ziemi.

- Usiądź, Jo-An - powiedziałem. - Co tu robisz? Mówiłem, żebyś przyszedł, dopiero gdy po ciebie poślę. Masz szczęście, że żyjesz; zjawileś się bez uprzedzenia i bez pozwolenia.

Kiedy widzieliśmy się ostatnio, byłem uciekinierem równie obszarpanym jak on, głodnym i umierającym ze zmęczenia. Teraz uświadomiłem sobie, że mam na sobie wspaniałą szatę, włosy upięte jak wojownik i miecz za pasem; a moje obcowanie z niedotykalnym musiało napawać mnichów głębokim zgorszeniem. Kusiło mnie, by kazać go wyrzucić, zaprzeczyć, że cokolwiek nas łączy i tym samym pozbyć się go ze swego życia. Gdybym zechciał, strażnicy zabiliby go natychmiast bez mrugnięcia okiem. Ale nie mogłem tak postąpić. Ocalił mi życie; w imię łączącej nas więzi - obaj urodziliśmy się wśród Ukrytych - musiałem traktować go nie jak wyrzutka, lecz jak człowieka.

- Nikt mnie nie zabije, póki Tajemny nie wezwie mnie do siebie - wymamrotał, unosząc ku mnie wzrok. - Do tego czasu moje życie należy do ciebie.

Panował mrok, paliła się jedynie stojąca na ziemi lampa, którą mnisi przynieśli z wartowni, lecz wyraźnie dostrzegłem płomień w oczach Jo-Ana. Po raz kolejny, jak wielokrotnie przedtem, zadałem sobie pytanie, czy naprawdę mam przed sobą żywą istotę czy też zjawę z innego świata.

- Czego chcesz?

- Mam ci coś do powiedzenia. To bardzo ważne. Będziesz zadowolony, że przyszedłem.

Mnisi cofnęli się, by się nie zanieczyścić, ale wciąż przebywali w zasięgu głosu.

- Muszę porozmawiać z tym człowiekiem - zwróciłem się do nich. - Dokąd możemy pójść?

Spojrzeli po sobie zmieszani, po czym starszy zaproponował:

- Może pawilon w ogrodzie?

- Nie musicie mi towarzyszyć.

- Powinniśmy strzec pana Otori.

- Ten człowiek w niczym mi nie zagraża. Zostawcie nas samych. Niech Manami przyniesie wodę, trochę jedzenia i herbatę.

Uklonili się i odeszli, lecz idąc przez dziedziniec, zaczęli szeptać między sobą.

Słyszałem każde ich słowo. Westchnąłem.

- Chodź - zwróciłem się do Jo-Ana. Pokuśtykał za mną do pawilonu, stojącego w ogrodzie nad stawem. Tafla wody mieniła się w świetle gwiazd, od czasu do czasu z głębin z głośnym pluskiem wyskakiwała ryba. Po drugiej stronie stawu majaczyły w ciemności białawe kamienie nagrobków. Znow, już bliżej, odezwała się sowa.

- Bóg kazał mi przyjść do ciebie - powiedział Jo-An, gdy usiedliśmy na drewnianej podłodze pawilonu.

- Nie powinieneś mówić o Bogu tak otwarcie - skarciłem go. - Jesteś w świątyni, a mnisi darzą Ukrytych taką samą „sympatią” jak wojownicy.

- Ty tu jesteś - szepnął. - Tyś naszą nadzieją i ochroną.

- Jestem sam jeden. Nie ochronię was przed tym, co czuje cały kraj.

Milczał przez chwilę, po czym rzekł cicho:

- Tajemny przez cały czas myśli o tobie, nawet jeśli ty o nim zapomniałeś.

Nie chciałem słuchać takich przesłań.

- Co masz mi do powiedzenia? - zapytałem niecierpliwie.

- Spotkałem na ścieżce węglarzy, ludzi, których poznałeś w zeszłym roku, niosących swojego boga na górę. Powiedzieli mi, że wojska Otori są w stanie gotowości i patrolują drogi wokół Terayamy i Yamagaty. Sprawdziłem to osobiście; wszędzie czatują żołnierze, wpadniesz w zasadzkę, kiedy się tylko ruszysz. Jeśli chcesz się stąd wydostać, musisz wywalczyć sobie przejście.

Nie odrywał ode mnie wzroku, uważnie obserwując moją twarz. Przeklinałem się w duchu za to, że tak długo zwlekałem z opuszczeniem świątyni; od początku miałem świadomość, że moją główną bronią są szybkość i zaskoczenie. Powinienem był

wyruszyć już dawno, ale ociągałem się, gdyż czekałem na Ichiro. Przed ślubem co noc wypuszczałem się na zewnątrz, by sprawdzić okoliczne drogi, jednak od przybycia Kaede nie potrafiłem się od niej oderwać. Wpadłem w pułapkę własnego niezdecydowania i braku czujności.

- Ilu jest tych ludzi, jak sądzisz?

- Pięć, sześć tysięcy. Miałem niecały tysiąc.

- Będziesz musiał iść przez góry, tak jak zimą. Jest ścieżka, która prowadzi na zachód. Nikt jej nie pilnuje, bo na przełęczy wciąż zalega śnieg.

Myśli kłębiły mi się w głowie. Znałem tę ścieżkę; prowadziła obok kapliczki, gdzie Makoto zamierzał spędzić zimę, nim natknąłem się na niego, brnąc przez śnieg podczas ucieczki do Terayamy. Kilka tygodni temu sam nią szedłem, lecz musiałem zawrócić z powodu głębokiego śniegu. Pomyślałem o moim wojsku, ludziach, koniach, wołach - te ostatnie z pewnością nie przejdą, ale ludzie i konie, kto wie... Powinienem wysłać ich nocą, by Otori sądzili, że wciąż jesteśmy w świątyni; musiałem wyruszyć natychmiast, a przedtem jeszcze naradzić się z przeorem.

Rozważania te przerwało mi wejście Manami, która przyniosła miseczkę ryżu z jarzynami oraz dwie czarki naparu z gałązek. Idący za nią służący dźwigał miskę z wodą. Manami postawiła tacę na macie i cofnęła się, patrząc na Jo-Ana ze wstrętem, jakby ujrzała żmiję; mężczyzna był równie przerażony. Przemknęło mi przez głowę, że zadawanie się z niedotykalnymi może mi zaszkodzić; kazałem służącym się oddalić, co pośpiesznie uczynili, choć niechętnie mamrotanie Manami dawało się słyszeć aż do pokoi gościnnych.

Jo-An obmył twarz i ręce, po czym złożył dłonie, by zmówić pierwszą modlitwę Ukrytych. Odruchowo podjąłem znajome słowa, lecz równocześnie poczułem zalewającą mnie falę irytacji. Znow naraził dla mnie życie, żeby przynieść mi niezwykle ważne wieści, żałowałem jednak, że nie okazał przy tym więcej dyskrecji. Na myśl, jakim może stać się ciężarem, ogarnęło mnie przygnębienie.

Gdy skończyliśmy jeść, powiedziałem:

- Powinieneś już wracać. Przed tobą długa droga do domu.

Nie odpowiedział, tylko zamarł z lekko przechyloną głową, w pozycji, którą zdążyłem już poznać.

- Nie - odparł wreszcie. - Muszę iść z tobą.

- To niemożliwe. Nie chcę cię przy sobie.

- Bóg tak chce.

W żaden sposób nie dał się odwieść od tego zamiaru; musiałbym go zabić albo uwięzić, a to byłaby nikczemna odpłata za pomoc, jakiej mi udzielił.

- No dobrze - westchnąłem. - Ale nie możesz zostać w świątyni.

- Nie - zgodził się potulnie. - Muszę przyprowadzić resztę.

- Jaką resztę?

- Pozostałych. Tych, którzy ze mną przyszli. Niektórych już widziałeś.

Przypomniałem sobie ludzi z garbarni nad rzeką, gdzie pracował Jo-An; nigdy nie zapomnę ich

płomiennego wzroku, kiedy za mną patrzyli. Wiedziałem, że spodziewają się po mnie sprawiedliwości i ochrony. Pomyślałem o piórku ptaka, o tym, że Shigeru też pragnął sprawiedliwości. Musiałem do niej dążyć ze względu na pamięć o nim i ze względu na życie tych ludzi.

Jo-An znowu złożył ręce w podzięce za posiłek.

W ciszy plusnęła ryba.

- Ilu ich jest? - zapytałem.

- Około trzydziestu. Ukrywają się w górach. Od kilku tygodni pojedynczo i parami przekraczają granicę.

- Nie jest strzeżona?

- Było kilka starć między Otori i ludźmi Araiego. W tej chwili panuje spokój, ale wszystkie przejścia są otwarte. Otori jasno dali do zrozumienia, że nie zamierzają kwestionować władzy Araiego ani odbierać mu Yamagaty. Chcą tylko pozbyć się ciebie.

Najwyraźniej wszyscy postawili sobie taki cel.

- I lud ich popiera?

- Oczywiście że nie! - zachnął się. - Wiesz, kogo popierają: Anioła z Yamagaty. Jak my wszyscy. Inaczej po co byśmy tu przyszli?

Nie byłem pewien, czy chcę ich pomocy, ale nie potrafiłem ukryć podziwu dla ich odwagi.

- Dziękuję - rzekłem.

Uśmiechnął się wówczas, ukazując wyszczerbione zęby, przypominając mi tortury, jakich doświadczył z mojego powodu.

- Spotkamy się po drugiej stronie gór - powiedział. - Jeszcze ci się przydamy, zobaczysz.

Kazałem strażom otworzyć bramę, pożegnałem się z Jo--Anem i patrzyłem za nim, aż jego drobna, koślawa sylwetka zniknęła w poszyciu. W lesie, niczym udręczony duch, krzyknęła lisica. Zadrżałem; Jo-An sprawiał wrażenie, jakby prowadziła go i podtrzymywała jakaś nadprzyrodzona siła, i choć już w nią nie wierzyłem, obawiałem się jej mocy niczym zabobonne dziecko.

Wróciłem do pokojów gościnnych, czując, że ciarki chodzą mi po plecach.

Zdjąłem ubranie i mimo późnej godziny kazałem Manami wyprać je i oczyścić, a potem przyjść do łaźni, gdzie wyszorowała mnie gruntownie. Przez kwadrans moczyłem się w gorącej wodzie, po czym włożyłem świeży strój i wysłałem służącego, aby w imieniu Kaheiego i moim poprosił przeora o chwilę rozmowy. Była pierwsza połowa godziny Wołu.

Razem z Kaheim, którego spotkałem w korytarzu, podążyliśmy do celi przeora.

Posłałem także po Makoto, który odprawiał w świątyni nocne czuwanie. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy jak najszybciej wyruszyć z całą armią, na jeden dzień zostawiając w Terayamie mały oddział konny w charakterze straży tylnej.

Kahei i Makoto natychmiast udali się za bramę, aby poderwać Amano oraz resztę ludzi w pokojach gościnnych i rozpocząć pakowanie prowiantu i sprzętu. Przeor kazał

słudze powiadomić mnichów; o tak późnej porze nie chciał bić w dzwon, aby nie wzbudzać podejrzeń wrogich zwiadowców. Ja poszedłem do Kaede.

Czekała na mnie przebrana już w nocną szatę, z rozpuszczonymi włosami, które spływały po jej plecach niczym druga szata, lśniąc czernią na tle bladożółtej tkaniny i białej skóry. Jej widok, jak zwykle, zaparł mi dech w piersiach. Cokolwiek nas czeka, pomyślałem, nigdy nie zapomnę naszej wspólnej wiosny. W życiu spotkało mnie wiele cudownych niespodzianek, ale ta była najpiękniejsza.

- Manami mówi, że przyszedł niedotykalny, a ty go wpuściłeś i rozmawiałeś z nim! - W jej głosie, podobnie jak w głosie jej sługi, brzmiało zgorszenie.

- Tak, nazywa się Jo-An. Poznałem go w Yamagacie.

Rozebrałem się, narzuciłem nocną szatę i usiadłem naprzeciwko, aż nasze kolana się zetknęły. Przyjrzała mi się badawczo.

- Wyglądasz na znużonego. Chodź, połóż się.

- Tak, musimy trochę się przespać. O pierwszym brzasku wyruszamy. Otori otoczyli świątynię i musimy iść przez góry.

- Niedotykalny przyniósł tę wiadomość?

- Ryzykował życie, by to uczynić.

- Dlaczego? Jak go poznałeś?

- Pamiętasz dzień, gdy przyjechaliśmy tutaj z panem Shigeru?

Kaede się uśmiechnęła.

- Nigdy go nie zapomnę.

- Poprzedniej nocy wspiałem się na zamek i skróciłem cierpienia więźniów, wiszących na murach. Byli to Ukryci; słyszałaś o nich?

- Shizuka trochę mi opowiadała. Tak samo torturowali ich Noguchi.

-Wśród ludzi, których wówczas uśmierciłem, był brat Jo-Ana. Jo-An zobaczył, jak wychodziłem z fosy, i wziął mnie za anioła.

- Anioł z Yamagaty - wyszeptała z wolna Kaede. - Kiedy wróciliśmy tego wieczora, całe miasto o tym mówiło.

- Od tamtej pory spotkałem go kilka razy, nasze losy dziwnie się splatają. W

zeszłym roku pomógł mi tutaj dotrzeć, zamarzyłbym w śniegu, gdyby nie on. Po drodze zaprowadził mnie do świętej, która powiedziała mi coś o moim życiu.

Nikom, nawet Makoto ani Matsudzie nie powtórzyłem słów prorokini, teraz jednak pragnęłam podzielić się nimi z Kaede. Wyznałem jej, że w moich żyłach miesza się krew trzech ludów, że urodziłem się wśród Ukrytych, lecz moje życie nie należy już do mnie, że moim przeznaczeniem jest władanie w pokoju od morza do morza, gdy Ziemia dostarczy tego, czego pragną Niebiosy. Nieustannie wspominałem te słowa, ale, jak już mówiłem, czasem w nie wierzyłem, a czasem nie. Powiedziałem Kaede, że wedle wyroczni pięć bitew da nam pokój, cztery wygrane i jedna przegrana, ale przepowiednię, że zginę z ręki własnego syna, zatrzymałem dla siebie. Oszukiwałem się, że pragnę jej oszczędzić tego strasznego brzemienia, w gruncie rzeczy jednak nie chciałem zdradzić innej tajemnicy - że Yuki, córka Muto Kenjiego z Plemienia, nosi w łonie moje dziecko.

- Urodziłeś się wśród Ukrytych? - ostrożnie zapytała Kaede. - Ale przecież Plemię porwało cię ze względu na twego ojca. Shizuka próbowała mi to wyjaśnić.

- Kiedy po raz pierwszy spotkałem Muto Kenjiego w domu Shigeru, wyjawiał mi, że mój ojciec pochodził z rodziny Kikuta z Plemienia. Jednakże Kenji w przeciwieństwie do Shigeru nie wiedział, że mój ojciec był również w połowie Otori.

Już przedtem pokazałem Kaede dokumenty, które to potwierdzały, ojciec Shigeru, Otori Shigemori, był moim dziadkiem.

- A matka? - zapytała cicho. - Oczywiście, jeżeli nie chcesz mi powiedzieć...

- Matka należała do Ukrytych. Wychowałem się wśród nich. Wraz z całą rodziną zginęła z rąk ludzi lidy podczas masakry naszej wioski Mino. Gdyby nie Shigeru, ja też bym już nie żył. - Urwałem, po czym wyznałem jej to, o czym obawiałem się nawet myśleć: - Miałem dwie siostrzyczki, siedmio- i dziewięcioletnią. Sądzę, że zostały zamordowane.

- To okropne! - przeraziła się Kaede. - Ja tak się boję o siostry! Mam nadzieję, że poślemy po nie, kiedy dotrzemy do Maruyamy; mam nadzieję, że teraz są bezpieczne.

Milczałem, myśląc o Mino, gdzie kiedyś również czuliśmy się bezpieczni.

- Jakie dziwne było twoje życie! - podjęła Kaede. - Kiedy cię poznałam, odniosłam wrażenie, że wiele ukrywasz. Patrzyłam, jak się oddalasz, jakbyś odchodził w ciemne, tajemne miejsce. Pragnęłam iść za tobą, dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

- Wszystko ci opowiem, ale połóżmy się i odpocznijmy.

Kaede uniosła kołdrę i ułożyliśmy się na macie, rozluźniając szaty, by poczuć dotyk swej skóry. Manami przyszła zgasić lampy; jej kroki niebawem ucichły, lecz woń dymu i oliwy jeszcze długo unosiła się w pokoju.

Zdążyłem już poznać wszystkie nocne odgłosy świątyni: okresy całkowitej ciszy, regularnie przerywane miękkimi stąpnięciami mnichów, udających się w ciemnościach na modlitwę, stłumiony, monotony śpiew, nagły dźwięk dzwonu. Lecz dziś ten harmonijny rytm mąciła całonocna ludzka krzątanina. Byłem niespokojny, czułem, że powinienem brać udział w przygotowaniach, ale nie chciałem opuścić Kaede.

- Co to znaczy być jednym z Ukrytych? - szepnęła.

- Wychowano mnie w duchu pewnych przekonań, z których większość już odrzuciłem. - Mówiąc to, poczułem dreszcz na karku, jakby zimne tchnienie. Czy rzeczywiście odrzuciłem wiarę dzieciństwa - wiarę, dla której moja rodzina wolała zginąć, niż się jej zaprzeczyć?

- Powiadają, że Iida ukarał pana Shigeru za to, że był jednym z Ukrytych, tak jak moja krewniaczka, pani Maruyama - rzekła Kaede półgłosem.

- Shigeru nigdy o tym nie mówił. Znał ich modlitwy i szeptał je, kiedy umierał, lecz ostatnim słowem na jego ustach było imię Oświeconego.

Do dzisiaj prawie nie myślałem o tej chwili; zatarła się pod wpływem późniejszych okropności i przemożnego żalu. Teraz już dwukrotnie ją wspomniałem i nagle po raz pierwszy skojarzyłem słowa Shigeru z tym, co powiedziała prorokini:

„Wszystko jest jednym”. A więc on także w to wierzył! Znów usłyszałem jego śmiech, ujrzałem jego pogodną twarz. Miałem uczucie, że zostało mi objawione coś niezwykle istotnego, czego jednak nie zdołałem nigdy wypowiedzieć. Serce załomotało mi ze zdumienia, w znieruchomiałym umyśle pojawiło się kilka obrazów naraz: spokój Shigeru w chwili śmierci, współczucie świętej kobiety, mój własny zachwyty i nadzieja podczas pierwszych odwiedzin w Terayamie, szkarłatny koniuszek piórka *houou* na mej dłoni. Ujrzałem prawdę leżącą poza nauką i wiarą, pojąłem, że ludzkie dążenia zakłócają czysty strumień życia, z drgnieniem litości zrozumiałem, że wszyscy padamy ofiarą swoich pragnień i wszyscy tak samo podlegamy śmierci - wojownik, niedotykalny, kapłan, rolnik, nawet sam cesarz. Jaką nazwę miałem nadać tej jasności?

Niebo? Bóg? Los? A może miałem ją nazwać imionami niezliczonych starych duchów, które wedle ludzkich wierzeń zamieszkują ziemię? Wszystko to były twarze czegoś, co nie miało twarzy, próby określenia nieokreślonego, części prawdy, lecz nie cała prawda.

- A pani Maruyama? - zapytała Kaede, zdziwiona moim przedłużającym się milczeniem.

- Sądzę, że była silnej wiary, lecz nigdy z nią o tym nie rozmawiałem. Kiedy pierwszy raz ją spotkałem, nakreśliła mi znak na ręce.

- Pokaż - szepnęła Kaede, ująłem więc jej dłoń i narysowałem znak.

- Czy Ukryci są groźni? Dlaczego wszyscy tak ich nienawidzą?

- Nikomu nie zagrażają. Nie wolno im odbierać życia, więc nigdy się nie bronią.

Wierzą, że przed Bogiem wszyscy są równi i zostaną osądzeni po śmierci. Wielcy panowie, tacy jak Iida, nienawidzą ich nauk, podobnie jak większość klasy rycerskiej.

Skoro wszyscy są równi i Bóg wszystko widzi, to złe traktowanie bliźnich musi być występkiem. Gdyby ludzie myśleli jak Ukryci, byłby to całkowity przewrót naszego świata.

- A ty w to wierzysz?

- Nie wierzę, że istnieje taki Bóg, ale wierzę, że wszystkich należy traktować jednakowo. Niedotykalnych, chłopów, Ukrytych - wszystkich należy chronić przed okrucieństwem i chciwością wojowników. Zamierzam skorzystać z usług każdego, kto jest gotów mi pomóc. Rolnik czy wyrzutek, obojętnie, wszystkich przyjmę do swego wojska.

Kaede nie odpowiadała; podejrzewałem, że moje idee napawają ją odrazą. Być może nie wierzyłem już w Boga Ukrytych, nie mogłem jednak nic poradzić na to, że zostałem ukształtowany przez ich nauki. Wspomniałem atak chłopów na wojowników Otori pod bramą świątyni. Pochwalałem go, gdyż uważałem ich za równych sobie, lecz Makoto był zgorszony i wstrząśnięty. Czy miał rację? Czyżbym istotnie uwolnił

potwora, nad którym nie zdołałem zapanować?

Kaede zapytała cicho:

- Czy Ukryci wierzą, że kobiety są równe mężczyznom?

- W oczach Boga, tak. Zazwyczaj kapłanami są mężczyźni, ale jeśli nie ma mężczyzny w odpowiednim wieku, modły odprawiają starsze kobiety.

- Pozwoliłbyś mi walczyć w swojej armii?

- Umiesz tak wiele, że gdybyś była kim innym, z radością walczyłbym z tobą ramię w ramię, tak jak w Inuyamie. Ale jesteś dziedziczką Maruyamy. Jeśli zginiesz w bitwie, nasza sprawa będzie nieodwołalnie przegrana. A poza tym, chyba bym tego nie zniósł.

Przyciągnąłem Kaede ku sobie i zanurzyłem twarz w jej włosach. Było coś jeszcze, o czym musiałem z nią powiedzieć, inna nauka Ukrytych, całkowicie niezrozumiała dla klasy wojowników - że nie wolno odbierać sobie życia.

- Tu byliśmy bezpieczni, lecz kiedy wyjedziemy, wszystko się zmieni -

szepnąłem. - Mam nadzieję, że uda się nam pozostać razem, ale mogą nas rozłączyć.

Wielu ludzi pragnie mojej śmierci, lecz ja nie umrę, póki przepowiednia się niespełni, póki nie wywalczymy pokoju od morza do morza. Chcę, byś mi obiecała, że cokolwiek się stanie, cokolwiek ci powiedzą, nie uwierzysz, że nie żyję, póki nie zobaczysz tego na własne oczy. Obiecuj, że się nie zabijesz, póki nie sprawdzisz, że naprawdę umarłem.

- Obiecuję - odparła spokojnie. - I ty obiecuj to samo. Złożyłem jej przysięgę, a kiedy zasnęła, długo leżałem

w ciemnościach i rozmyślałem o tym, co mi się objawiło. W tym, co zostało mi dane, moja osoba nie miała znaczenia - chodziło o to, co mogłem stworzyć, o krainę pokoju i sprawiedliwości, w której ptak *houou* nie tylko przelotnie bywa, lecz buduje gniazda i wychowuje młode.



Rozdział drugi

Usnęliśmy. Gdy się ocknąłem, było jeszcze ciemno, a zza murów dobiegał

miarowy stukot ludzkich i końskich nóg na górskiej ścieżce. Wezwałem Manami, po czym obudziłem Kaede i poprosiłem, by się ubrała; zamierzałem wrócić po nią, gdy będziemy gotowi do drogi. Powierzyłem jej również szkatułkę z zapiskami Shigeru o Plemieniu. Czułem, że muszą być nieustannie strzeżone, gdyż stanowiły zabezpieczenie przed wyrokiem śmierci, jaki wydało na mnie Plemię, jak również rękojmię układu z Araim Daiichi, w chwili obecnej najpotężniejszym władcą Trzech Krain.

W świątyni panowała gorączkowa krzątanina: zamiast odprawiać poranne modlitwy, mnisi szykowali się do kontrataku wojsk Otori i długotrwałego oblężenia.

Migotliwe płomienie pochodni rzucały ruchome cienie na posępne twarze ludzi, gotujących się do wojny. Włożyłem skórzaną zbroję, sznurowaną czerwienią i złotem.

Po raz pierwszy przywdziałem ją w konkretnym celu; sprawiła, że poczułem się starszy, miałem też nadzieję, że doda mi pewności siebie.

Kiedy podszedłem do bramy, by odprowadzić swoich ludzi, wstawał świt.

Makoto i Kahei odjechali już ze strażą przednią. W dolinie nawoływały się bazanty i siewki, krople rosy lgnęły do bambusowych traw i do rozpiętych między nimi pajęczych sieci, które błyskawicznie znikały, zdeptane przez maszerujące wojsko.

Gdy wróciłem po Kaede i Manami, zastałem je przebrane w męskie stroje do jazdy konnej. Kaede

miała na sobie zbroję pazia, którą dla niej wybrałem, a za pasem nóż i specjalnie wykuty miecz. Szybko przełknęliśmy zimny posiłek i odszukaliśmy Amano, który czekał już na nas z końmi.

Był z nim przeor, odziany w hełm i skórzany napierśnik, z mieczem u pasa.

Klęknąłem przed nim, by podziękować za wszystko, co dla mnie zrobił, lecz podniósł mnie i uścisnął jak ojciec.

- Przyślij posłańców z Maruyamy - rzekł pogodnie. - Będiesz na miejscu przed nowim księżycu.

Jego wiara podniosła mnie na duchu i dodała sił.

Kaede jechała na Raku, siwku z czarną grzywą, którego dostała ode mnie, ja dosiadałem czarnego ogiera, zdobytego na wojownikach Otori, któremu Amano nadał

imię Aoi. Manami chwyciła mocno szkatułkę z papierami, po czym usadowiła się na jednym z jucznych koni wraz z innymi kobietami, wędrującymi za wojskiem.

Dołączyliśmy do stłoczonych na ścieżce zbrojnych i ruszyliśmy pod górę krętą, stromą górską ścieżką, tą samą, którą w zeszłym roku schodziłem z Makoto w pierwszym śniegu. Niebo płonęło, słońce rozjaśniło ośnieżone szczyty różem i złotem, powietrze było tak zimne, że nie czuliśmy dłoni i policzków.

Jeden raz obejrzałem się na świątynię, na jej rozłożyste, spadziste dachy, wznoszące się ponad morzem świeżej zieleni niczym żagle wielkich okrętów. W

porannym słońcu, otoczona obłokiem białych gołębi, wyglądała na nieskończenie spokojną. Modliłem się, by zawsze pozostała taka jak w tej chwili, by w nadchodzącej wojnie los oszczędził jej pożarów i zniszczeń.

Zapowiedź czerwonego świtu spełniła się co do joty - niebawem z zachodu nadciągnęły ciężkie, szare chmury, przynoszące najpierw mżawkę, potem ulewny deszcz. Nim dotarliśmy do przełęczy, ulewa zdążyła zamienić się w śnieg. Jeźdźcy byli w lepszej sytuacji niż tragarze, dźwigający na plecach ogromne kosze, lecz również konie z trudem brnęły przez głębokie, mokre zaspę. Wyobrażałem sobie, że walka to coś romantycznego, że ruszę w bój pośród grania rogów i furkotu proporców; nie sądziłem, że będzie to taka ponura mordęga, zmaganie się nie z człowiekiem, lecz z górą i pogodą, udręka niekończącej się wspinaczki pod górę.

Wreszcie konie odmówiły posłuszeństwa, więc zsiadliśmy z Amano, by poprowadzić je za wodze. Już przed przełęczą deszcz przemoczył nas do suchej nitki.

Na wąskim trakcie nie było miejsca, by pojechać naprzód lub się cofnąć i sprawdzić, co się dzieje z ludźmi; schodząc w dół, widziałem przed sobą długą kolumnę, ciemną na tle śniegu, wijącą się niczym ogromne, wielonogie stworzenie. Spod topniejących w deszczu zasp wynurzały się skały i piargi, poniżej majaczyły rozległe, mroczne, sosnowe lasy. Gdyby ktoś tam się zaczął, byłibyśmy całkowicie na jego łasce.

Ale las był pusty - najwyraźniej Otori czekali na nas dopiero po drugiej stronie gór. Znalazłszy się wśród drzew, dogoniliśmy Kaheiego, który zarządził odpoczynek przedniej straży. My również stanęliśmy, by ludzie wreszcie mogli się wypróżnić i coś zjeść; wkrótce w wilgotnym powietrzu rozniósł się ostry odór uryny. Maszerowaliśmy już pięć albo sześć godzin, lecz z zadowoleniem ujrzałem, że zarówno chłopci, jak i zawodowi żołnierze dobrze to znoszą.

Podczas postoju deszcz rozpadał się na dobre. Martwiłem się o Kaede, o jej zdrowie po tylu miesiącach ciężkiej choroby, ale choć wyglądała na zmarzniętą, nie skarżyła się. Trochę zjadła, choć nie mogliśmy tracić czasu na rozpalanie ognia i gotowanie herbaty. Manami, co dla niej niezwykle, całkiem zamilkła i tylko wpatrywała się w swoją panią, wzdrygając się nerwowo przy każdym dźwięku.

Znów ruszyliśmy w drogę. Według moich obliczeń minęła popołudniowa godzina Kozy, zbliżała się godzina Małpy. Zbocze stało się mniej strome, a trakt nieco szerszy, zostawiłem więc Kaede pod opieką Amano i pocwałowałem na czoło pochodu.

Tam znalazłem Makoto i Kaheiego.

Makoto, który dobrze znał okolicę, oznajmił, że niedaleko, po drugiej stronie rzeki, leży miasteczko Kibi, gdzie możemy zatrzymać się na noc.

- Ktoś go broni?

- Nie sędzę, w każdym razie garnizon jest niewielki. Nie ma tam zamku, a miasto prawie nie posiada umocnień.

- Do kogo należą te ziemie?

- Arai osadził tam jednego ze swych naczelników - rzekł Kahei. - Poprzedni władca i jego synowie podczas bitwy pod Kushimoto stanęli po stronie klanu Tohan i wszyscy zginęli. Niektórzy służący przyłączyli się do Araiego, bezpańskie niedobitki uciekły w góry i uprawiają rozbój.

- Wyślij naprzód ludzi, by uprzedzić, że potrzebujemy miejsca na nocleg. Niech oświadczą, że nie szukamy zwady, że tylko przejeżdżamy. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Kahei skinął głową i wydał rozkazy trzem podwładnym, którzy oddalili się galopem. Wrócili po niespełna godzinie; konie, ubłocone po zady, robiły bokami, nozdrza miały czerwone i rozdęte.

- Rzeka wezbrała, a most jest zerwany - zameldował dowódca. - Próbowaliśmy się przeprawić, ale prąd jest zbyt silny. Nawet gdyby nam się udało, piesi i juczne konie sobie nie poradzą.

- A drogi prowadzące wzdłuż rzeki? Gdzie jest następny most?

- Wschodnia droga zawraca dnem doliny do Yamagaty, prosto w objęcia Otori -

odparł Makoto. - Droga na południe oddala się od rzeki i prowadzi przez góry do Inuyamy, ale o tej porze roku nie da się przekroczyć przełęczy.

Musieliśmy sforsować rzekę, inaczej znaleźlibyśmy się w pułapce.

- Przejdźmy się - zwróciłem się do Mako to. - Obejrzymy to sobie.

Poleciłem Kaheiemu, by powoli prowadził za nami resztę wojska, tylko stuosobowy oddział wysłaliśmy na wschód na wypadek pogoni.

Nie przejechaliśmy nawet pół mili, gdy dobiegł mnie posępny ryk żywiołu.

Rzeka, wezbrana od topniejącego śniegu, nieubłaganie toczyła żółtozielone, wiosenne wody, rozlewając się szeroko po okolicy. Wyjeżdżając z lasu na trzcinowe pola, porośnięte bambusowym gajem, miałem wrażenie, że przybyliśmy na brzeg oceanu.

Przed nami jak okiem sięgnąć ciągnęła się nakrapianą deszczem wodna połać barwy nieba. Chyba cicho krzyknąłem, gdyż Makoto powiedział:

- Nie jest tak źle, jak wygląda. To w większości irygowane pola.

Wówczas zobaczyłem kwadratowe zarysy ścieżek i grobli. Pola ryżowe były grząskie, lecz płytkie; niestety, przez sam ich środek płynęła rzeka szeroka na mniej więcej sto stóp. Wały ochronne były pod wodą, co oznaczało, że miała więcej niż dwanaście stóp głębokości. Dostrzegłem szczątki drewnianego mostu - dwa ciemne przęsła, które ledwie wystawały nad spieniony nurt. W zacinającym deszczu robiły niewymownie żałosne wrażenie, jak wszelkie ludzkie marzenia i ambicje, unicestwione przez czas i przyrodę.

Patrzyłem na rzekę, zastanawiając się, czy zdołamy ją przepłynąć, odbudować most - cokolwiek, na bogów! - gdy wskroś huku wody dobiegły mnie jakieś niewyraźne odgłosy. Wytężyłem słuch i wydało mi się, że rozpoznaję dźwięk rozmowy, brzęk siekiery, a potem wyraźny trzask łamanego drewna.

Za zakrętem po prawej stronie, nieco w górę rzeki, gdzie las podchodził do samego brzegu, widniały pozostałości starej rampy lub pomostu, przypuszczalnie służącego do spławiania tarcicy. Obróciłem konia i ruszyłem przez pola w tamtym kierunku.

- Co się dzieje? - zawołał za mną Makoto.

- Ktoś tam jest.

Aoi pośliznął się, niemal tracąc grunt pod nogami, aż kurczowo chwyciłem go za grzywę.

- Wracaj! - krzyknął Makoto. - To niebezpieczne. Nie możesz jechać sam.

Usłyszałem, jak odpina z pleców łuk i zakłada strzałę na cięciwę. Konie potykały się na płyciźnie, brnąc przed siebie w bryzgach wody. Niejasne wspomnienie budziło się w mojej głowie - wspomnienie dalekiej rzeki, której, choć z innego powodu, także nie dało się przekroczyć. Wiedziałem już, co napotkam - albo kogo.

Przy rampie stał przemoczony do nitki Jo-An i około trzydziestu niedotykalnych.

Zdążyli już pozbierać rozrzuconą wskutek powodzi tarcicę, a teraz ścinali sitowie i następne drzewa, aby zbudować z nich jeden ze swych pływających mostów.

Na mój widok przerwali pracę i jęli klękać w błocie. Miałem wrażenie, że kilku z nich widziałem już w garbarni - byli równie chudzi i obszarpani jak wówczas, a ich oczy płonęły tym samym głodnym światłem. Próbowałem sobie wyobrazić, ile musiała ich kosztować ucieczka z Jo-Anem z wyznaczonego terytorium i złamanie zakazu ścinki drzew tylko w imię niepewnej obietnicy, że przyniosę im sprawiedliwość i pokój. Nie chciałem nawet myśleć o tym, na jakie męki będą narażeni, jeśli ich zawiodę.

- Jo-An! - zawołałem.

Podbiegł do mego wierzchowca. Koń parsknął i próbował stanąć dęba, lecz Jo-An ujął wodze i uspokoił go.

- Powiedz, żeby nie przerywali pracy - rzekłem i po chwili dodałem: - A zatem mam u ciebie coraz większy dług.

- Nic mi nie jesteś winien. Wszystko zawdzięczasz Bogu.

Po chwili nadjechał Makoto, ja zaś zdałem sobie sprawę, że nie chcę, by usłyszał

te słowa. Konie trąciły się nosami, czarny ogier zarżał i próbował ugryźć pobratymca, lecz Jo-An zdzielił go w szyję.

Makoto obrzucił wyrzutka niechętnym spojrzeniem.

- Niedotykalni? - zapytał z niedowierzaniem. - Co oni tu robią?

- Ratują nam życie. Budują pływający most.

Ściągnął wodze i cofnął się o kilka kroków. Pod hełmem ujrzałem jego usta, wygięte w pogardliwym grymasie.

- Nikt z nas na niego nie wej... - zaczął, lecz przerwałem mu.

- Owszem, wejdziecie, gdy wam rozkażę. To nasza jedyna szansa ucieczki.

- Moglibyśmy wywalczyć sobie drogę do mostu w Yamagacie.

- I stracić atut zaskoczenia? A poza tym, jest ich więcej; mają przewagę pięciu do jednego i z pewnością odcieliby nam odwrót. Nie zrobię tego. Przeprowadzimy się przez rzekę na wysokości zburzonego mostu. Wracaj i przyślij tu kilku ludzi, żeby pomogli niedotykalnym. Niech reszta przygotuje się do przeprawy.

- Nikt nie skorzysta z mostu zbudowanego przez wyrzutków - powtórzył. Coś w jego głosie, ton, jakim zazwyczaj mówi się do dziecka, sprawiło, że wezbrała we mnie wściekłość - takie samo uczucie, jakiego doświadczyłem wiele miesięcy temu, gdy strażnicy Shigeru dali się oszukać sztuczkami Kenjiego i wpuścili go do ogrodu w Hagi, nieświadomi, że mają do czynienia z mistrzem zabójcą z Plemienia. Mogłem chronić swoich ludzi tylko wtedy, kiedy mnie słuchali. Zapomniałem, że Makoto jest starszy, mądrzejszy i bardziej doświadczony ode mnie - pozwoliłem, by owładnęła mną furia.

- Natychmiast wykonaj rozkaz! Musisz ich przekonać, inaczej odpowiesz za to przede mną! Niech konni staną na straży i pilnują przeprawy jucznych koni i pieszych; łucznicy będą osłaniali most. Przejdziemy przed zapadnięciem nocy.

- Panie Otori - skłonił głowę i w bryzgach wody popędził przez pola ryżowe, kierując konia w stronę nabrzeżnej skarpy. Patrzyłem, jak znika wśród łądyg bambusa, po czym znów zwróciłem się ku niedotykalnym.

Tratwy, zbudowane z wyłowionych i świeżo ściętych pni, unosiły się na pękach sitowia, które niedotykalni połączyli powrozami, splecionymi z konopi i kory drzew.

Każda ukończona tratwa była spuszczana na wodę i przywiązywana na końcu szeregu poprzednich, ale silny prąd spychał cały łańcuch do brzegu.

- Trzeba je przymocować po drugiej stronie - zwróciłem się do Jo-Ana.

- Ktoś tam przepłynie.

Jeden z młodszych mężczyzn chwycił kłęb sznura, obwiązał się w pasie i rzucił

do rzeki, jednak prąd był dla niego o wiele za silny. Zdażyliśmy jeszcze ujrzeć jego rozpaczliwie wyciągnięte ręce, po czym zniknął w żółtej wodzie, a kiedy go wyciągnięto, był podtopiony i półżywy.

- Dajcie mi sznur - powiedziałem. Jo-An zatroskany spojrział na drugi brzeg.

- Nie, panie, poczekaj - poprosił. - Zaraz przyjdą twoi ludzie, niech jeden z nich popłynie.

- Kiedy przyjdą moi ludzie, most musi być gotowy - odparłem. - Daj mi sznur.

Jo-An odwiązał młodzieńca, który siedział na brzegu, obficie plując wodą, i wręczył mi koniec sznura. Mocno zacisnąłem go w pasie i spiąłem konia. Mokry sznur osunął się po zadzie Aoi; koń skoczył raptownie do przodu i znalazł się w głębokiej wodzie.

Krzyknąłem, by dodać mu otuchy. Zastrzygł uszami, wykonał jeszcze kilka kroków po dnie, wkrótce jednak zanurzył się po kłęb i zaczął płynąć. Próbowałem jakoś nim kierować, lecz mimo jego sił i dobrych chęci prąd okazał się silniejszy, znosząc nas w dół rzeki, ku ruinom starego mostu.

Nie spodobało mi się to, co ujrzałem. Rzeka ciskała na filary gałęzie drzew i inne odpadki; gdyby

koń się w nie zaplątał, mógłby wpaść w panikę i utopić nas obu.

Poczułem moc rzeki i przeszył mnie lęk. Aoi również się przestraszył; położył uszy po sobie, zaczął wywracać oczami, na szczęście przerażenie dodało mu sił. Olbrzymim wysiłkiem woli napiął mięśnie i rzucił się do przodu, omijając zwałony filar na odległość ręki. Prąd osłabł, przekroczyliśmy środek; po chwili koń wyczuł pod kopytami dno i kilkoma ogromnymi susami wydobył się z rzeki.

Kiedy ociekając wodą stanął na twardszym gruncie, robił bokami z wyczerpania, a jego wcześniejsza żywiołowość zniknęła. Zsiadłem i zacząłem klepać go po szyi, chwaliłem go i pocieszałem, powiedziałem nawet, że skoro pływa tak dobrze, jego ojciec zapewne był wodnym duchem; istotnie, zmęczeniu i na wskroś przemoczeni bardziej przypominaliśmy ryby czy żaby niż istoty chodzące po lądzie.

Ciężki sznur uwierał mnie w pasie. Przestraszyłem się, że wciągnie mnie z powrotem w rwący nurt, więc potykając się i pełznąc, ruszyłem do przodu, aż dotarłem do niewielkiego zagajnika na brzegu rzeki. Stała tam maleńka kapliczka -wnosząc z białych marmurowych figurek, poświęcona bogu lisów. Woda, sięgająca gałęzi drzew, z łagodnym pluskiem obmywała podstawy posązków, które zdawały się unosić na jej powierzchni. Odpasałem sznur i owinąłem nim pień najbliższego drzewka, młodego klonu, który właśnie wypuścił listki, po czym mocno pociągnąłem. Drugi koniec sznura, przywiązany do znacznie grubszego powrozu, namokniętego i ciężkiego, z wolna wynurzył się z wody. Chwyciłem powróż i ciągnąc ze wszystkich sił, przywiązałem go do większego drzewa. Zapewne popełniałem świętokradztwo, lecz w owej chwili było mi wszystko jedno, jaki bóg, duch czy demon poczuje się obrażony. Chciałem jedynie przeprowadzić moich ludzi przez rzekę.

Równocześnie nie przestawałem nasłuchiwać. Nie mogłem uwierzyć, że to miejsce, mimo powodzi, jest tak opustoszałe, na jakie wygląda; w końcu most stał na drodze, która sprawiała wrażenie uczęszczanej. Jednak wśród szumu deszczu i ryku wody słyszałem jedynie zawodzenie kań, rechot tysięcy żab, z entuzjazmem witających wielką wodę, oraz chrapliwe krakanie wron. Co się stało z ludźmi?

Powróż został umocowany i za jego pomocą przepравиło się przez rzekę kilkunastu niedotykalnych. Z wielką wprawą zacieśnili wykonane przeze mnie węzły, na gładkich gałęziach klonu zbudowali system bloczków, aż w końcu napięli żylaste ramiona i ciężko dysząc, pociągnęli łańcuch tratw ku sobie. Była to mozolna praca; nurt szarpał i porywał pływający most, jakby nie mogąc znieść owej inwazji w królestwo rzeki, lecz ludzki upór zwyciężył - pontony, stabilne na swych wiklinowych poduszkach, cal po calu, opornie niczym woły, zaczęły się do nas zbliżać.

Rzeka niemal nas pokonała, na szczęście prąd przycisnął most do starych filarów i udało się ukończyć konstrukcję. Zdziwiłem się, nie widząc na drugim brzegu Makoto i swych wojowników. Zatraciłem poczucie czasu, chmury były zbyt nisko, bym mógł

ocenić pozycję słońca, miałem jednak wrażenie, że minęła co najmniej godzina. Czyżby Makoto nie zdołał przekonać moich ludzi? Czyżby posłuchali jego sugestii i zawrócili do Yamagaty? Gdyby tak się stało, gotów byłbym go zabić gołymi rękami, nie zważając na naszą przyjaźń. Wyteżyłem słuch, lecz nie docierały do mnie żadne dźwięki - nic z wyjątkiem szumu wody, deszczu i rechotu żab.

Na tyłach kapliczki droga wynurzała się z rzeki. Za nią wznosiły się góry, z których spływały wstęgi białej mgły. Mój koń dygotał z zimna. Pomyślałem, że się przejadę, aby go rozgrzać - nie wiedziałem bowiem, kiedy będę mógł go wysuszyć -

skoczyłem więc na siodło i ruszyłem drogą przed siebie, mając również nadzieję, że z wyżej położonego miejsca zobaczę coś więcej.

Prawie natychmiast natknąłem się na drewnianą rudere, uszczelnioną gliną i krytą strzechą z trzciny. Stała na skraju drogi, przegrodzonej w tym miejscu drewnianą barierą, która wzbudziła moją ciekawość - z pewnością nie był to oficjalny posterunek na granicy lenna, nie dostrzegłem też żadnych strażników.

Podjechałem bliżej i z przerażeniem ujrzałem, że na barierze zatknięto kilka ludzkich głów - niektóre ścięto niedawno, z innych zostały tylko nagie czaszki. Zanim jednak zdążyłem dać upust odrazie, za moimi plecami rozległ się dźwięk, na który czekałem, tupot wielu końskich i ludzkich nóg na drugim brzegu rzeki. Obejrzałem się; przednie oddziały mojej armii właśnie wynurzały się z lasu i brnęły z pluskiem w kierunku mostu. Na czele, w charakterystycznym hełmie, jechał Kahei, tuż za nim podążał Makoto.

Ciężar spadł mi z serca. Zawróciłem Aoi, ten zaś, widząc dalekie sylwetki współbraci, zarżał głośno. Ku memu zdumieniu z wnętrza chatki odpowiedział mu wielki okrzyk. Ziemia zadrżała, drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich największy człowiek, jakiego widziałem w życiu, większy nawet niż olbrzym węglarzy.

Pierwszą moją myślą było, że mam do czynienia z potworem albo demonem.

Miał niemal dwa sążnie wzrostu i posturę bawołu, lecz mimo to jego głowa wyglądała na zbyt wielką, jakby czaszka nigdy nie przestała rosnąć. Włosy olbrzyma były długie i zmierzwiłe, broda gęsta, wąs sumiasty, oczy zaś nie wąskie, jak u ludzi, lecz po zwierzęcemu okrągłe. Miał tylko jedno ucho, mięsiste i obwisłe, w miejscu drugiego przez włosy prześwitywała sinawa blizna.

Jednak gdy się odezwał, jego mowa zabrzmiała całkowicie po ludzku:

- Hej tyyy! - zakrzyknął wielkim głosem. - Co robisz na mojej drodze?

-Jestem Otori Takeo - odparłem. - Chcę przeprowadzić tędy swoje wojsko. Usuń zaporę!

Roześmiał się, a dźwięk ten był niczym łoskot głazów, spadających po zboczu góry.

- Nikt tędy nie przejdzie bez zgody Jin-emon! Wracaj i powtórz to swoim żołnierzom!

Deszcz padał coraz gęściej, światło dnia szybko gasło. Byłem wyczerpany, głodny, mokry i zmarznięty.

- Pozwól nam przejść! - zawołałem niecierpliwie. - Zejdź z drogi!

Zbliżył się ku mnie bez słowa; domyślałem się, że ukrywa za plecami broń, lecz nie widziałem jej

wyraźnie. Nie dostrzegłem ruchu, usłyszałem jedynie dźwięk, jakby metaliczne szczęknięcie. Jedną ręką obróciłem konia, drugą dobyłem Jato; Aoi, który zobaczył, że olbrzym chce zadać cios, uskoczył na bok i łańcuch potwora ze świstem przeleciał mi koło ucha.

Łańcuch był obciążony; na pałce, do której został przytwierdzony, dodatkowo zamocowano sierp. Nigdy przedtem nie spotkałem się z taką bronią i nie miałem pojęcia, jak z nią walczyć. Łańcuch wzniósł się ponownie i opadł, raniąc prawą zadnią nogę konia. Aoi wrzasnął z bólu i przestachu, po czym wściekle wierzgnął. Wysunąłem nogi ze strzemion, ześliznąłem się z siodła i odwróciłem się ku potworowi.

Najwyraźniej natknąłem się na szaleńca, który zamierzał mnie zabić, chyba że ja zabiję go pierwszy.

Potwór wyszczerzył zęby w uśmiechu - zapewne wyglądałem jak Chłopiec z Kwiatu Brzoskwini lub inny karzełek z ludowej bajki. Dostrzegając, że napina mięśnie, rozdwoiłem się i rzuciłem w lewo. Łańcuch przeleciał przez mój obraz, nie czyniąc nikomu szkody; jednocześnie Jato skoczył do góry i ukąsił olbrzyma w przedramię.

Zwykłemu przeciwnikowi ostrze odjęłoby dłoń, ten jednak chyba miał kości z kamienia i wstrząs przeszył mi ramię aż do barku - przestraszyłem się nawet, że klinga uwięźnie w ręce jak topór w pniu drzewa.

Jin-emon jęknął głucho niczym góra ścięta mrozem, i przerzucił pałkę do drugiej dłoni. Z jego prawej ręki popłynęła krew ciemnoczerwonej barwy, jednak nie szeroką strugą, jak należało się spodziewać, lecz cienkim strumieniem. Ponownie świsnął

łańcuch, a ja znów stałem się niewidzialny. Chciałem wycofać się do rzeki - gdzie u licha byli moi ludzie, kiedy ich potrzebowałem? Wtem przeciwnik się odłonił, więc wbiłem Jato z całej siły w jego ciało, ale rana, choć ogromna, tak jak poprzednia prawie nie krwawiła. Ogarnęło mnie przerażenie; czyżbym walczył z czymś nieludzkim, z istotą nadprzyrodzoną? Czy w ogóle mogłem zwyciężyć?

Następnym ciosem Jin-emon wyrwał mi z dłoni miecz, który poszybował

kilkanaście kroków dalej. Olbrzym wydał okrzyk triumfu i zbliżył się do mnie, wymachując ramionami.

Nie ruszałem się z miejsca. Miałem za pasem nóż, ale nie chciałem utracić i jego -

wówczas przeciwnik mógłby położyć mnie trupem jednym ciosem łańcucha. Chciałem, żeby na mnie spojrział. Potwór podszedł, chwycił mnie za ramiona i podniósł do góry.

Nie wiem, co zamierzał - może pragnął rozerwać mi gardło swymi ogromnymi zębami i wypić krew? Nie jest moim synem, pomyślałem, nie może mnie zabić, i spojrzałem mu w oczy. Były bez wyrazu, prawie jak oczy zwierzęcia - wyczuwałem w nich tępą wrogość, naturę brutalną i bezlitosną - lecz napotykając mój wzrok, zaokrągliły się ze zdumienia. Świadomy własnej siły, pozwoliłem, by popłynęła swobodnie. Spojrzenie olbrzyma się zamgliło.

Stęknął cicho, jego uścisk osłabł, po czym zachwiał się i runął na ziemię niczym wielkie drzewo pod toporem drwala. Rzuciłem się w bok, aby mnie nie przygniótł, i poturlałem do miejsca, gdzie leżał Jato, aż Aoi, który nerwowo krążył wokół nas, znów stanął dęba z przestachu. Wstałem i z mieczem w ręce podbiegłem do Jin-emona.

Chrapał, pogrążony w głębokim śnie, jaki sprowadzają Kikuta. Próbowałem unieść i odciąć ogromną głowę, ale była za ciężka, wbiłem więc Jato w krtań olbrzyma, przecinając tchawicę i aortę. Krew pociekła ospale; Jin-emon przez sen zabębnił piętami o ziemię, jego ciało wygięło się w łuk, i w końcu przestał oddychać.

Dotychczas sądziłem, że jest sam, jednak z chałupy dobiegł jakiś dźwięk.

Odwrociłem się, zaskoczony, i zdążyłem jeszcze ujrzeć znacznie mniejszego mężczyznę, który wymknął się przez drzwi, krzyknął coś niezrozumiale, dał susa przez nasyp za domem i zniknął w lesie.

Odsunąłem zaporę, zastanawiając się, do kogo należały ścięte głowy; gdy dotknąłem drąga, dwie starsze czaszki spadły, sypiąc robakami z oczodołów. Ostrożnie ułożyłem je w trawie i wróciłem do konia, z trudem tłumiąc dreszcze i mdłości. Noga Aoi krwawiła w miejscu, gdzie dosięgnął go łańcuch, nie wyglądała jednak na złamaną.

Zaprowadziłem go z powrotem do rzeki.

Miałem wrażenie, że owa walka to zły sen, lecz im dłużej o niej myślałem, tym raźniej się czułem. Wedle wszystkich rachub Jin-emon powinien był mnie zabić - gdyby nie dziedziczne zdolności Plemienia, moja odcięta głowa sterczałaby teraz obok innych na barierze. Przepowiednia się potwierdziła; skoro nie uśmiercił mnie taki potwór, któż mógł mnie pokonać? Poczulem przyływ świeżej energii, jednak to, co ujrzałem nad rzeką, sprawiło, że zamieniła się w furję.

Most był już na miejscu, lecz tylko niedotykalni przepawili się na drugą stronę.

Reszta wojska wciąż stała za wodą, a niedotykalni posepnie zbili się w grupkę, co, jak zaczynałem już pojmywać, stanowiło ich zwykłą reakcję na irracjonalną pogardę świata.

Jo-An siedział w kucki, wpatrzony w pełną wirów wodę. Na mój widok podniósł się.

- Nie chcą przejść, panie. Musisz osobiście wydać rozkaz.

- Tak uczynię - rzekłem, czując narastającą wściekłość. - Zabierz konia, oczyść ranę i pospaceruj z nim, żeby nie zmarł.

Jo-An ujął wodze.

- Co się stało?

- Napotkałem demona - odrzekłem krótko i wszedłem na most.

Na mój widok czekający po drugiej stronie żołnierze wydali okrzyk radości, lecz ani jeden nie wstąpił na tratwy. Nie było łatwo iść po tej rozkołysanej masie, zalewanej wodą, szarpanej i znoszonej prądem rzeki, jednak posuwałem się prawie biegiem, wspominając słowicza podłogę, po której tak lekko przeszedłem w Hagi, i modląc się do ducha Shige-ru, by mnie nie opuszczał.

Gdy dotarłem na miejsce, Makoto zsiadł z konia i chwycił mnie za ramię.

- Gdzieś ty był? Baliśmy się, że zginąłeś!

- Rzeczywiście, mogłem zginąć! - warknąłem wściekle. - A gdzie ty byłeś?

Nim odpowiedział, nadszedł Kahei.

- Dlaczego zwlekacie? - zapytałem. - Pogoń ludzi!

Kahei zawahał się:

- Boją się zanieczyścić od wyrzutków.

- Zsiadaj - rozkazałem, a gdy zsiadł z konia, rzekłem z wściekłością: - Niemal zginąłem przez waszą głupotę! Moje rozkazy należy wykonywać natychmiast, bez względu na to, co o nich sądzicie! Jeśli wam się to nie podoba, to wracajcie do Hagi, do świątyni, dokądkolwiek, tylko zejdźcie mi z oczu! - Mówiłem cicho, nie chcąc, by słyszeli mnie żołnierze, lecz dałem im odczuć całą siłę mego gniewu. - Wyślijcie konnych, którzy zdołają przepłynąć rzekę o własnych siłach. Konie juczne niech wejdą na most, my osłonimy tyły. Na końcu niech przeprowią się piesi, nie więcej niż trzydziestu naraz.

- Tak, panie Otori - rzekł Kahei, skoczył na siodło i pogalopował wzdłuż kolumny żołnierzy.

- Wybacz, Takeo - szepnął zawstydzony Makoto.

- Następnym razem cię zabiję - powiedziałem. - Daj mi konia.

Przejechałem przed frontem wojska i powtórzyłem rozkazy.

- Nie bójcie się! - zawołałem. - Ja już przeszedłem przez ten most. Jeśli jest nieczysty, niech skutki tego spadną na mnie! - Byłem niemal w stanie uniesienia; nie wierzyłem, że cokolwiek na niebie lub ziemi może mnie zranić.

Z potężnym okrzykiem pierwszy wojownik wjechał do wody, inni podążyli w jego ślady. Na most wprowadzono pierwsze konie, a ten, ku mojej uldze, wytrzymał ich ciężar. Widząc, że przeprawa rozpoczęła się pomyślnie, wróciłem na brzeg, nieustannie podnosząc pieszych na duchu i zapewniając, że nic im się nie stanie.

Odszukałem Kaede, która razem z pozostałymi kobietami czekała w cieniu drzew pod osłoną parasola. Amano pilnował koni.

Na mój widok jej twarz się rozjaśniła; wilgotne włosy lśniły, na rzęsach wisały krople.

Zsiadłem z konia i rzuciłem Amano wodze.

- Co się stało z Aoi? - zapytał Makoto, poznając wierzchowca.

- Został ranny, nie wiem, czy poważnie. Jest po drugiej stronie rzeki. Przepląnął

ją ze mną. - Chciałem opowiedzieć, jaki dzielny był mój koń, ale nie miałem na to czasu.

- Musimy przekroczyć rzekę - zwróciłem się do kobiet. - Niedotykalni zbudowali most.

Kaede patrzyła na mnie w milczeniu, lecz Manami natychmiast otworzyła usta, by zaprotestować. Uciszyłem ją gestem.

- Nie ma innej drogi. Róbcie, co każę. - Powtórzyłem to, co mówiłem żołnierzom -

że wezmę na siebie skutki nieczystości.

- Tak, panie Otori - mruknęła, niechętnie kiwając głową i patrząc na mnie z ukosa. Z trudem powstrzymałem chęć, by ją uderzyć, choć czułem, że na to zasługuje.

- Mam jechać konno? - zapytała Kaede.

- Nie, most jest bardzo chwiejny. Lepiej iść piechotą. Sam przeprowadzę się z twoim koniem.

Lecz Amano nie chciał o tym słyszeć. - Jest wielu giermków, którzy mogą to zrobić - rzekł, patrząc na mój mokry, zabłocony strój.

- Wezmę któregoś ze sobą. Niech zabierze Raku i jakiegoś konia dla mnie. Muszę wracać. - Wciąż pamiętałem o człowieku, który uciekł z chaty; jeśli pobiegł kogoś ostrzec o naszym przybyciu, chciałem osobiście się o tym przekonać.

- Dajcie tu Shuna dla pana Otori! - krzyknął Amano. Jeden z giermków zbliżył się do nas na niewielkim gniadoszu i ujął wodze Raku. Krótco pożegnałem się z Kaede, prosząc ją, by podczas przeprowy dopilnowała skrzynki z zapiskami, po czym dosiadłem wierzchowca Makoto i ruszyłem z powrotem.

Kolumna żołnierzy sprawnie przemieszczała się przez most. Około dwustu znajdowało się już na drugim brzegu, pozostałych Kahei podzielił na grupy, w każdej wyznaczając dowódcę. Nad wodą czekał na mnie Makoto. Zwróciłem mu konia, sam zostając z Raku, a Makoto z giermkim wjechali konno do rzeki. Gniadosz Shun radził

sobie świetnie - zanurzył się bez trwogi i płynął spokojnie i pewnie, jakby robił to codziennie.

Giermek wrócił przez most i zabrał ode mnie Raku, żeby jego z kolei przeprowadzić, ja tymczasem dołączyłem do ludzi na pontonach. Przepychali się jeden obok drugiego niczym szczury w porcie

Hagi, starając się jak najkrócej przebywać na zalewanych wodą tratwach; przypuszczalnie tylko nieliczni umieli pływać. Niektórzy mnie pozdrawiali, jeden czy dwaj dotknęli mego ramienia, jakbym potrafił odpędzić zło i przynieść im szczęście. Dodawałem im otuchy, jak mogłem, żartując na temat obfitości jedzenia i gorących kąpeli, czekających ich w Maruyamie. Byli w niezłych nastrojach, choć wszyscy wiedzieliśmy, że do Maruyamy został jeszcze szmat drogi.

Znalazłszy się na drugim brzegu, kazałem giermkowi zaczekać z Raku na Kaede, sam natomiast dosiadłem Shuna. Był mały i niezbyt piękny, ale coś mi się w nim spodobało. Ruszyliśmy z Makoto przodem na czele reszty wojowników - szczególnie zależało mi na łucznicach, których dwa oddziały, po trzydziestu każdy, były już gotowe do walki. Tym poleciłem skryć się za groblą i czekać na mój sygnał.

Zwłoki Jin-emonu wciąż leżały przy barierze. Wokół panowała cisza, okolica sprawiała wrażenie wymarłej.

- Masz z tym coś wspólnego? - zapytał Makoto, patrząc z odrazą na olbrzymie ciało i szereg odciętych głów.

- Później ci opowiem. Miał towarzysza, któremu udało się uciec. Podejrzewam, że wróci i przywodzi więcej ludzi; Kahei uprzedzał, że w tych stronach roi się od bandytów. Zabity pewnie wymuszał od podróżnych myto za skorzystanie z mostu, a w razie odmowy skracał ich o głowę.

Makoto zsiadł z konia, by lepiej przyjrzeć się czaszkom.

- Niektórzy z nich to wojownicy - orzekł - i w dodatku młodzi. Powinniśmy w odwecie go ściąć.

Dobyl miecza.

- Nie rób tego - ostrzegłem. - Ma kości z granitu. Uszkodzisz ostrze.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem i nic nie mówiąc, szybkim ruchem ciął

zwłoki w szyję. Ostrze pękło, wydając dźwięk niemal ludzki, a wśród otaczających nas żołnierzy rozległy się okrzyki zdumienia i strachu.

Makoto osłupiały wpatrywał się w złamaną klingę, a potem spojrzał na mnie. Na jego twarzy malował się wstyd.

- Wybacz mi - powiedział, już po raz drugi tego dnia. - Powinienem być cię posłuchać.

Znów zapłonąłem gniewem. Uniosłem miecz, wzrok zasnuła mi znajoma czerwień. Jak miałem chronić swych ludzi, skoro mnie nie słuchali? Makoto zlekceważył

moją radę w obecności wszystkich tych wojowników i zasługiwał na śmierć. Straciłem panowanie nad sobą i byłbym ściął go na miejscu, lecz w tym momencie usłyszałem tętent kopyt, który przypominał mi, że mam innych, prawdziwych wrogów.

- To demon, niezupełnie człowiek - powiedziałem do Makoto. - Nie mogłeś o tym wiedzieć. Będziesz musiał walczyć, używając łuku.

Dałem znak ludziom, by zachowali ciszę. Zastygli jak kamienie, nawet konie się nie poruszały. Deszcz zelżał, zamienił się w drobną mżawkę. W zapadającym mglistym zmierzchu wyglądaliśmy jak armia widm.

Słyszałem, jak bandyci nadchodzą, chlapiąc wodą i błotem, aż wreszcie wyłonili się z mgły - trzydziestu konnych i tyluż pieszych. Była to pstra, obszarpana zgraja: wojownicy, najwyraźniej bezpieczni, na niezłych koniach, w zbrojach, noszących ślady dawnej świetności, motłoch, pozostały po dziesięciu latach wojny, zbiedzy z rąk okrutnych panów lub z kopalni srebra, złodzieje, szaleńcy, mordercy. Człowiek, który uciekł z chałupy, teraz biegł u boku bandyty, jadącego na czele tłumu. Gdy zatrzymali się w bryzgach błota, wskazał na mnie i wrzasnął coś niezrozumiale.

- Kim jest ten, kto zamordował Jin-emon, naszego przyjaciela i towarzysza? -
zawołał jeździec.

- Jestem Otori Takeo. Prowadzę moich ludzi do Maruyamy. Jin-emon napadł na mnie bez powodu i zapłacił za to. Przepuście nas, albo i was spotka to samo.

- Wracajcie, skąd przyszliście - warknął. - My tu nienawidzimy Otorich.

Otoczający go mężczyźni zarechotali szyderczo. Splunął na ziemię i wywinął mieczem młynka. Podniosłem rękę, dając łucznikom znak.

Powietrze wypełniła pieśń cięciw i strzał. To straszny dźwięk: syk i furkot beltów, głuche uderzenia grotów o żywe ciało, krzyki rannych. Nie miałem jednak czasu dłużej się zastanawiać, gdyż przywódca spiął konia i ruszył ku mnie galopem z mieczem uniesionym nad głową.

Miał konia większego niż Shun i dłuższe ramiona, jednak w oczach Shuna nie znać było lęku. Koń postawił uszy i uprzedzając cios bandyty uskoczył w bok, przy czym obrócił się w powietrzu, dając mi możliwość zadania ciosu od tyłu. Uderzenie rozplatało przeciwnikowi kark, podczas gdy on wciąż daremnie celował w miejsce, w którym stałem przedtem.

Jeździec nie należał do potworów ani demonów, wręcz przeciwnie, był aż nadto człowiekiem i krew, która zeń trysnęła, miała po ludzku czerwoną barwę. Przez chwilę chybotął się w siodle swego przerażonego wierzchowca, po czym zwałił się bokiem na ziemię.

Tymczasem Shun z całkowitym spokojem wykonał obrót i stawił czoło kolejnemu napastnikowi. Ten nie miał hełmu, więc Jato rozciął mu czaszkę na dwoje.

Krew, mózg i kość rozprysły się wokół; wkrótce wszystkich nas spowiła woń krwi, zmieszanej z deszczem i błotem. Nasi żołnierze włączali się do walki, stopniowo zyskując nad wrogiem bezwzględność i przewagę; ci z bandytów, którzy jeszcze żyli, próbowali ratować się ucieczką, lecz ich również dogoniliśmy i wycięli w pień. Furia, która przez cały dzień tliła się we mnie i którą

nieposłuszeństwo Makoto rozпалиło na dobre, znalazła ujście w tej krótkiej, krwawej potyczce. Byłem wściekły, że ci głupi awanturnicy nas zatrzymali, zabierając cenny czas, lecz cena, którą za to zapłacili, napawała mnie głębokim zadowoleniem. Choć bitwy, którą stoczyliśmy, nie mogłem nazwać wielką, odnieśliśmy zwycięstwo, które pozwoliło żołnierzom poznać smak krwi i walki.

Straciliśmy trzech ludzi, dwóch zostało rannych; później doniesiono mi jeszcze o czterech, którzy utopili się w rzece. Przyjaciół Kaheiego, Shibata z klanu Otori, który znał się

niewiele na ziołolecznictwie, opatrzył rany i stłuczenia, a sam Kahei pojechał przodem do miasteczka, żeby rozejrzeć się za noclegiem, przynajmniej dla kobiet. Ja poświęciłem chwilę zorganizowaniu reszty wojska, aby zwolnić tempo marszu, po czym przekazałem dowództwo Makoto i wróciłem nad rzekę, gdzie ostatni żołnierze schodzili właśnie z mostu.

Niedotykalni wciąż siedzieli zbici w grupkę na brzegu. Kiedy Jo-An podszedł do mnie, miałem ochotę zsiąść z konia i go uściskać, lecz nie posłuchałem impulsu i chwila minęła.

- Dziękuję - powiedziałem. - Dziękuję wszystkim twoim ludziom. Uratowaliście nas od katastrofy.

- Żaden z tamtych nam nie podziękował - rzekł cierpko, wskazując na mijających nas gęsiego żołnierzy. - Dobrze, że pracujemy dla Boga, nie dla nich.

- Idziesz z nami, Jo-An? - zapytałem. Nie chciałem, by wracali za rzekę, narażając się na licho wie jakie kary; w końcu nielegalnie przekroczyli granicę, ścinali drzewa bez pozwolenia i pomagali człowiekowi ściganemu przez prawo.

Skinął głową; sprawiał wrażenie wyczerpanego. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Wolałbym nie zabierać ze sobą niedotykalnych - obawiałem się reakcji wojowników, przeczuwałem tarcia i pretensje - ale nie mogłem ich tutaj porzucić.

- Musimy zniszczyć most - oznajmiłem - bo Otori przejdą po nim za nami.

Jo-An znów przytaknął i zwołał pozostałych. Podnieśli się ciężko i jęli rozwiązywać powrozy, łączące tratwy ze sobą. Zatrzymałem kilku swych żołnierzy, pieszych, uzbrojonych

w sierpy i noże ogrodnicze, i skierowałem do pomocy wyrzutkom. Wspólnymi siłami zwolnili tratwy, a gdy się rozdzieliły, wartki prąd natychmiast zniósł je na środek rzeki, która skwapliwie zajęła się ich zniszczeniem. Przez chwilę wpatrywałem się w mętną wodę, a następnie jeszcze raz głośno podziękowałem niedotykalnym, doradzając, by nie oddalali się zbyt daleko. Potem odszukałem Kaede.

Zdążyła już dosięść Raku i czekała na mnie pod drzewami, które otaczały kapliczkę lisa. Musnąłem wzrokiem Manami, przycupniętą na grzbiecie jucznego konia, z powierzoną jej skrzynką za plecami, lecz potem patrzyłem już tylko na Kaede. Choć twarz jej pobladła, siedziała wyprostowana na małym siwku, z lekkim uśmiechem patrząc na przechodzących gęsiego żołnierzy. I mimo prymitywnego otoczenia ona, którą na ogół widywałem powściągliwą i elegancką w wytwornych wnętrzach, wyglądała na szczęśliwą.

Na jej widok ogarnęło mnie przemożne pragnienie, by wziąć ją w ramiona.

Pomyślałem, że umrę, jeśli zaraz jej nie posiadę. Nie spodziewałem się tego i uczucie to nappełniło mnie wstydem; powinienem przede wszystkim troszczyć się o jej bezpieczeństwo, ponadto dowodziłem wojskiem i miałem na głowie tysiąc żołnierzy.

Gwałtowne pożądanie, jakie wzbudziła we mnie żona, speszyło mnie i onieśmieliło.

Zobaczyła mnie i podjechała bliżej. Konie cicho zarżały; nasze kolana się zetknęły. Gdy pochyliła ku mnie głowę, poczułem tchnienie jej jaśminowych perfum.

- Droga wolna - powiedziałem. - Możemy jechać dalej.

- Kto to był?

- Chyba bandyci - odrzekłem krótko, nie chcąc wnosić krwi i umierania tam, gdzie była Kaede. - Kahei pojechał przodem, żeby znaleźć ci miejsce na nocleg.

- Mogę spać na dworze, byle z tobą - szepnęła. - Nigdy nie zaznałam wolności, lecz dzisiaj, podczas tej podróży, mimo deszczu i wszystkich trudności, czułam się wolna.

Pośpiesznie pogładziłem jej dłoń, po czym odjechałem z Amano, zagadując go o Shuna. Powieki mnie piekły, chciałem za wszelką cenę ukryć uczucia.

- Nigdy nie dosiadałem takiego konia. Zupełnie jakby wiedział, co myślę.

Amano zmrużył oczy w uśmiechu.

- Ciekaw byłem, czy ci się spodoba. Ktoś mi go przyprowadził kilka tygodni temu; podejrzewam, że został skradziony albo schwytyany po śmierci właściciela. Nie wyobrażam sobie, by ktoś dobrowolnie się go pozbył: to najmądrzejszy koń, jakiego znam. Kary jest bardziej widowiskowy - robi świetnie wrażenie - ale wiem, którego z nich wolałbym dosiadać w boju. - Roześmiał się szeroko. - Pan Otori ma szczęście do koni. To dar; przychodzą do ciebie dobre zwierzęta.

- Miejmy nadzieję, że to dobra wróżba na przyszłość - odparłem.

Minęliśmy chałupę. Na grobli, ułożone rzędami, leżały trupy. Pomyślałem, że należałoby zostawić żołnierzy, by je spalili lub pochowali, gdy wtem przede mną rozległy się krzyki i ujrzałem jednego z ludzi Kaheiego, który przedzierał się konno w moją stronę, wołając o wolną drogę.

- Panie Otori! - wysapał, zatrzymując konia tuż przed nami. - Jesteś potrzebny na przodzie. Przyszli jacyś chłopcy i chcą z tobą rozmawiać.

Od chwili przeprawy przez rzekę zastanawiałem się, gdzie się podziela miejscowa ludność. Choć pola ryżowe stały pod wodą, nie było żadnego śladu, aby ktokolwiek coś na nich sadił. Kanały odwadniające zarosły rżesą, z widocznych w oddali chat nie unosiła się ani jedna smuga dymu, nie dostrzegłem też żadnej ludzkiej aktywności. Okolica sprawiała wrażenie przeklętej i opustoszałej.

Obawiałem się nawet, że Jin-emon zastraszył, przepędził bądź wymordował wszystkich wieśniaków, lecz widocznie wieść o jego śmierci błyskawicznie się rozniosła i wywabiła ich z ukrycia.

Ruszyłem kłusem wzdłuż kolumny żołnierzy, którzy wołali do mnie wesoło, czasem nawet śpiewali. Najwyraźniej nie przejmowali się nadejściem nocy, pokładając całkowitą wiarę w moich umiejętnościach załatwienia im prowiantu i zakwaterowania.

Makoto na czele wojska zarządził postój, gdyż przed nami przykucnęło w błocie kilkunastu chłopów, którzy padli na twarz, kiedy zsiadłem z konia.

- Przybyli nam podziękować - powiedział Makoto. - Bandyci terroryzowali okolicę od przeszło roku. Tej wiosny z obawy przed nimi chłopci nie posadzili ryżu.

Potwór zabijał ich synów i braci, wiele kobiet zostało porwanych.

- Usiądźcie prosto - rzekłem. - Jestem Otori Takeo.

Wyprostowali się, lecz na dźwięk mojego imienia znów się skłonili.

- Usiądźcie - powtórzyłem. - Jin-emon nie żyje. - Ponownie padli na twarz. -

Możecie zrobić z jego ciałem, co zechcecie. Odszukajcie szczątki waszych krewnych i pochowajcie jak należy. - Urwałem; chciałem prosić ich o żywność, ale mieli tak niewiele, że bałem się, iż po naszym odejściu umrą z głodu.

Najstarszy z nich, wyraźnie przywódca, odezwał się z wahaniem:

- Panie, czy możemy coś dla ciebie zrobić? Nakarmilibyśmy twych żołnierzy, ale jest ich tak wielu...

- Pochowajcie zmarłych. Nie jesteście nam nic winni - odparłem. - Ale musimy znaleźć jakiś nocleg. Możecie coś powiedzieć o pobliskim mieście?

- Kibi jest o godzinę marszu stąd. Przyjmą was z radością. Mamy nowego namiestnika, człowieka pana Otori. Już wiele razy w tym roku wysyłał ludzi, żeby rozprawili się z bandytami, ale zawsze ponosili klęskę. Ostatnio z ręki Jin-emon zginęli dwaj jego synowie, mój syn również. Oto jego brat, Jiro. Panie Otori, weź go ze sobą.

Jiro, trochę ode mnie młodszy, był przejmująco chudy i brudny, lecz miał miłą, inteligentną twarz.

- Podejdz tu, Jiro - poprosiłem.

Chłopiec podniósł się i stanął przy głowie gnadosza, który ostrożnie go obwąchał.

- Lubisz konie?

Skinął głową, zbyt przejęty tym, że w ogóle się do niego zwracam, by wykrztusić choćby słowo.

- Skoro ojciec pozwala ci odejść, możesz zabrać się z nami do Maruyamy.

Uznałem, że mógłby dołączyć do giermków i stajennych Amano.

- Powinniśmy się spieszyć - mruknął Makoto u mego boku.

- Przynieśliśmy, co mieliśmy - powiedział chłop i skinął na pozostałych. Zdjęli z ramion worki i kosze ze swoją skromną ofiarą; placki z prosa, kielki paproci i różną ściętą w górach zieleninę, garść maleńkich suszonych śliwek i kilka pomarszczonych kasztanów. Nie chciałem tego przyjąć, lecz odmowa byłaby dla wieśniaków obelgą.

Poleciałem dwóm żołnierzom zabrać jedzenie.

- Pożegnaj się z ojcem - zwróciłem się do Jiro. Ujrzałem, że starszy człowiek wykrzywia twarz, z trudem powstrzymując łzy. Pożałowałem, że zgodziłem się zabrać chłopca, nie tylko dlatego, że oznaczało to odpowiedzialność za kolejne ludzkie życie, lecz również dlatego, że w ten sposób odbierałem ojcu jedyne go pomocnika przy uprawie zaniedbanych pól.

- Odeślę go z miasta.

- Nie! - wykrzyknęli równocześnie ojciec i syn, przy czym ten ostatni oblał się pąsem.

- Pozwól mu pójść ze sobą - rzekł błagalnie ojciec. - Wywodzimy się z klasy rycerskiej, dopiero moi dziadkowie zaczęli się imać rolnictwa, żeby nie umrzeć z głodu.

Jeśli Jiro będzie ci dobrze służył, może znów zostanie wojownikiem i przywróci świetność naszemu nazwisku.

Odesłałem chłopaka, żeby pomógł Amano przy koniach, które zdobyliśmy na rozbójnikach, i nakazałem mu zgłosić się do mnie, kiedy znajdzie sobie wierzchowca.

Zastanawiałem się, co się dzieje z Aoi, którego straciłem z oczu, odkąd zostawiłem go pod opieką Jo-Ana - wydawało mi się, że od tamtej pory minęło już kilka dni.

Strzemię w strzemię ruszyliśmy z Makoto na czele wojska.

- To dobry dzień, dobry początek - powiedział. - Wspaniale się spisałeś, pomimo mojego idiotyzmu.

Przypomniałem sobie swoją wcześniejszą wściekłość. Zupełnie się ulotniła.

- Nie mówmy już o tym. Czy powiedziałbyś, że stoczyliśmy bitwę?

- Dla ludzi nieopierzonych z pewnością była to bitwa - przytaknął. - A także zwycięstwo. Skoro wygrałeś, możesz je określić, jak chcesz.

Jeszcze trzy wygrane i jedna przegrana, pomyślałem i natychmiast zadałem sobie pytanie, o co chodziło w przepowiedni. Czy rzeczywiście mogłem ją interpretować tak, jak mi się podobało?

Zacząłem rozumieć, jaka jest potężna i niebezpieczna, jak będzie wpływać na moje życie, bez względu na to, czy w nią uwierzę, czy nie. Słowa zostały wypowiedziane, a ja je usłyszałem i już nigdy nie zdołam wymazać ich z pamięci. A przecież nie mogłem się zdobyć na to, by uwierzyć w nie bez zastrzeżeń.

Wrócił Jiro, jadąc truchtem na Ki, osobistym kasztanie Amano.

- Pan Amano uważa, że powinieneś zmienić wierzchowca i przysyła ci swojego.

Chyba nie uda mu się uratować karego konia - bardzo kuleje i nie nadąży za nami. A nikogo tutaj nie stać na utrzymanie stworzenia, które nie jest zdolne do pracy.

Poczułem drgnienie żalu za dzielnym i odważnym zwierzęciem.

- Ten mi odpowiada - odparłem, klepiąc Shuna po karku. Jiro zsunął się z grzbietu kasztana i powiedział:

- Ki jest ładniejszy.

- Powinieneś robić dobre wrażenie - rzekł do mnie cierpko Makoto.

Przesiadłem się na parskającego kasztana, który wyglądał tak świeżo, jakby właśnie zszedł z pastwiska. Jiro wskoczył na gnadosza, lecz kiedy tylko dotknął siodła, koń schylił łeb i wierzgnął, wyrzucając chłopca daleko w błoto, po czym wpatrzył się w niedoszłego jeźdźca ze zdziwioną miną, jakby chciał zapytać: A ten co tam robi?

Makoto i ja ryknęliśmy śmiechem, uznając zdarzenie za znacznie śmieszniejsze, niż było w istocie.

- Dobrze ci tak, nie powinieneś być dla niego niegrzeczny.

Ku memu uznaniu Jiro także zaczął się śmiać. Wstał i z powagą przeprosił Shuna, który już bez protestów pozwolił mu się dosiąść.

Po tym wydarzeniu chłopiec nabrał nieco śmiałości i zaczął pokazywać nam ciekawostki na drodze - górę, gdzie mieszkały gobliny, kapliczkę, która goiła najgłębsze rany, przydrożne źródło, które nie wysychało od tysiąca lat.

Przypuszczałem, że podobnie jak ja niemal całe dzieciństwo spędził, biegając samopas po górach.

- Jiro, umiesz czytać i pisać? - zapytałem.

- Trochę - odpowiedział.

- Żeby zostać wojownikiem, będziesz musiał się dużo uczyć - wtrącił Makoto z uśmiechem.

- A nie wystarczy znać sposoby walki? Ćwiczyłem trochę z łukiem i drewnianym kijem.

- Musisz się kształcić, inaczej będziesz nie lepszy niż bandyci.

- A ty, panie, jesteś wielkim wojownikiem? - kpiny Makoto zachęciły Jiro do większej poufałości.

- Nic podobnego, jestem mnichem.

Na twarzy Jiro odmalowało się bezbrzeżne zdumienie.

- Wybacz, ale wcale na to nie wyglądasz!

Makoto rzucił wodze i zdjął hełm, ukazując ogoloną głowę, po czym potarł czaszkę i zawiesił hełm na łąku siodła.

- Polegam na panu Otori, że dziś uchroni nas od dalszej walki.

Po niespełna godzinie dotarliśmy do miasteczka. Tutejsze domy wyglądały na zamieszkane, pola były zadbane, naprawiono też groble i posadzono ryż. W kilku większych domostwach paliły się lampy, oblewając zniszczone ekrany oranżowym blaskiem. Gdzieś w kuchniach płonęły ogniska, a płynąca od nich woń potraw sprawiła, że kiszki zagrały nam marsza.

Miasto niegdyś otaczały umocnienia, lecz po ostatnich walkach w murach ziały wyrwy, bramy i wieże strażnicze strawił ogień. W drobnej mżawce zarysy ruin wydawały się miękkie i rozmyte. Pod miastem płynęła rzeka, którą pokonaliśmy wcześniej; nie dostrzegłem śladu mostu, ale niegdyś najwyraźniej kwitł tu handel rzeczny, choć teraz większość łodzi była uszkodzona. Most, przy którym Jin-emon ustawił swoją „rogatkę”, stanowił o życiu miasta, które bandyta niemal zdusił.

Przy zgliszczach bramy głównej czekał na nas Kahei. Kazałem mu zostać z żołnierzami; sam zamierzałem udać się do miasta z Makoto, Jiro i niewielkim oddziałem straży.

Zafrasował się nieco.

- Lepiej ja pojedę, możecie wpaść w zasadzkę - zaproponował.

Nie zgodziłem się - moim zdaniem w tej na poły zrujnowanej miejscowości nic nam nie groziło, sądziłem także, że roztropniej będzie podejść do zarządcy Araiego ze spokojem, jakbym oczekiwał odeń przyjaźni i współpracy. Nie wypadało mu wprost odmówić mi pomocy, co mógłby uczynić, gdyby wyczuł, że się go obawiam.

Tak jak mówił Kahei, nie było tu zamku, lecz na niewielkim wzniesieniu pośrodku miasta ujrzeliśmy sporą drewnianą rezydencję ze świeżo wyremontowanym ogrodzeniem i bramą. Sam dom uniknął większych zniszczeń, ale sprawiał wrażenie zapuszczonego. Gdy się zbliżyliśmy, brama otworzyła się i stanął w niej mężczyzna w średnim wieku, otoczony niewielką grupą zbrojnych.

Od razu go poznałem. Był u boku Araiego, kiedy armie Zachodu zdobyły Inuyamę, a potem przyjechał z Araim do Terayamy, nawet siedział obok niego, kiedy ostatni raz ich widziałem. O ile dobrze pamiętałem, nosił imię Niwa. Czyżby to jego synów zabił Jin-emon? Wyraźnie się postarzał, a jego

twarz była poorana cierpieniem.

Ściągnąłem wodze i oznajmiłem głośno:

- Jestem Otori Takeo, syn Shigeru, wnuk Shigemoriego. Nie mam złych zamiarów wobec ciebie ani twego ludu. Wraz z żoną, Shirakawa Kaede, prowadzę wojsko do jej dóbr w Maruyamie. Proszę, byś pomógł nam znaleźć prowiant i schronienie na noc.

- Pamiętam cię dobrze - odparł. - Trochę czasu minęło od naszego ostatniego spotkania. Jestem Niwa Junkei i zarządzam tą ziemią w imieniu pana Araiego. Czy pragniesz zawrzeć z nim sojusz?

- Z najwyższą przyjemnością to uczynię - powiedziałem - kiedy zabezpieczę dobra mojej żony. Wówczas niezwłocznie udam się do Inuyamy, by się pokłonić jego wysokości.

- Cóż, najwyraźniej wiele się w twym życiu zmieniło. Chyba jestem twoim dłużnikiem; wieść niesie, że zgładziłeś Jin-emona i jego rozbójników.

- To prawda, Jin-emon i jego ludzie nie żyją. Przywieźliśmy głowy wojowników, by zapewnić im stosowny pochówek. Żałuję, że nie przybyłem wcześniej, może oszczędziłbym ci smutku.

Skinął głową, zacisnąwszy usta w cienką, niemal czarną linię, lecz nie wspomniał

o swoich synach.

- Musicie być moimi gośćmi - rzekł, starając się tchnąć energię w swój zmęczony głos. - Zapraszamy serdecznie. Sala klanu jest otwarta dla twoich wojowników - doznała uszczerbku, ale dach się trzyma - pozostali mogą rozbić obóz za miastem. Dostarczymy tyle prowiantu, ile się da. Żonę, proszę, przyprowadź do mego domu, kobiety się nią zajmą. - Urwał, po czym dodał z goryczą, odrzucając grzecznościowe formułki: - Zdaję sobie sprawę, że proponuję ci tylko to, co i tak byś sobie wziął. Z rozkazu pana Araiego miałem cię powstrzymać, lecz skoro nie potrafiłem ustrzec okolicy przed grupką bandytów, jakie miałbym szanse w starciu z armią tak wielką jak twoja?

- Jestem ci ogromnie wdzięczny.

Postanowiłem nie zwracać uwagi na jego ton i złożyć go na karb żałoby.

Zastanowiły mnie jednak braki w zapasach żywności i uzbrojenia, rzucająca się w oczy słabość miasta, zuchwalstwo bandytów. Najwyraźniej Arai z trudem panował nad tymi terenami; poskramanie tohańskich niedobitków musiało pochłaniać wszystkie jego siły.

Niwa dostarczył nam kilka worków prosa i ryżu, suszoną rybę oraz pastę sojową, które rozdałem ludziom wraz z darami chłopów. Wdzięczni mieszczanie życzliwie przyjęli żołnierzy, podejmując ich jak umieli najlepiej. Rozbito namioty, rozpalono ogniska, napojono i nakarmiono konie. Z Makoto, Amano i Jiro u boku objechałem obóz, wstrząśnięty swym brakiem wiedzy i doświadczenia, a zarazem zdumiony, że mimo to moi ludzie zdołali się jakoś urządzić na pierwszym noclegu. Zamieniłem kilka słów z wartownikami, których wystawił Kahei, a potem z Jo-Anem i nocującymi w pobliżu niedotykalnymi; wyglądało na to, że między obiema grupkami został zawarty niepewny

rozejm.

Miałem ochotę czuwać sam - usłyszałbym nadciągającą armię znacznie wcześniej niż ktokolwiek inny - ale Makoto przekonał mnie, że powinienem wracać i chociaż trochę odpocząć. Jiro odprowadził Shuna i kasztana do stajni Niwy, my zaś podążyliśmy na nasze kwatery.

Kaede, która już tu przybyła, umieszczono w pokoju z żoną Niwy i jej kobietami.

Marzyłem, by zostać z nią sam na sam, lecz wiedziałem, że mam na to niewielkie szanse. Oczekiwano, że Kaede zanocuje w pokoju kobiet, mnie zaś wyznaczono nocleg razem z Makoto, Kaheim i kilkoma strażnikami, w dodatku w sąsiedztwie pokoju Niwy i jego straży.

Stara kobieta, która powiedziała nam, że była piastunką żony Niwy, zaprowadziła nas do pokoju gościnnego. Był przestronny i niegdyś zapewne ładny, lecz maty były stare i poplamione, a ściany upstrzone grzybem. Przez otwarte okna docierały podmuchy wieczornego wietrzyku, niosąc woń kwiatów i mokrej ziemi, ale zaniedbany ogród całkiem zdziczał.

- Kąpiel gotowa, panie - oznajmiła kobieta i wskazała mi drewnianą łaźnię na końcu werandy. Poprosiłem Makoto, by stanął na straży, i kazałem służącej wyjść.

Trudno było sobie wyobrazić bardziej nieszkodliwą osobę, nie mogłem jednak ryzykować. Zbiegłem z Plemienia, które wydało na mnie wyrok śmierci, a wiedziałem aż nazbyt dobrze, że zabójcy mogą się ukrywać w dowolnym przebraniu.

Kobieta przeprosiła za brak należycie gorącej wody, pomstując na niedostatek opału i żywności. Rzeczywiście, kąpiel była ledwie ciepła, lecz nie czułem nocnego chłodu, zresztą samo to, że mogłem zmyć z siebie błoto i krew, stanowiło nieopisaną przyjemność. Powoli zanurzyłem się w kadzi i przyjrzałem się obrażeniom odniesionym w ciągu dnia. Nie zauważyłem żadnych ran, lecz moją uwagę zwróciły sińce które nie wiadomo skąd się wzięły. Pamiętałem stalowy uścisk rąk Jinemona - na ramionach ujrzałem wyraźne ślady - lecz nie miałem pojęcia, kiedy doznałem ogromnego stłuczenia na udzie, które już robiło się czarne. Również nadgarstek, wykręcony ongiś przez Akio podczas bójki w Inuyamie, który uważałem za zdrowy, znowu mnie rozbolał, zapewne od kontaktu z kamiennymi kośćmi rozbójnika; pomyślałem, że będę musiał rano założyć nań skórzaną opaskę.

Pozwoliłem sobie na chwilę rozluźnienia i już prawie zasypiałem, gdy na zewnątrz rozległy się kobiece kroki, drzwi odsunęły się i do pomieszczenia weszła Kaede.

Wiedziałem, że to ona, rozpoznałem jej stąpanie, jej zapach.

- Przyniosłam lampy - powiedziała. - Stara mówi, że ją odesłałeś, pewnie dlatego, że jest za brzydka. Namówiła mnie, bym ją zastąpiła.

Postawiła lampy na podłodze; światło w łaźni zmieniło się, po czym poczułem na szyi kojące dotknięcie jej dłoni.

- Przeprosiłam ją za twoje grubiaństwo, lecz odrzekła, że tam, gdzie się wychowała, mężem w łaźni zawsze zajmowała się żona i że powinnam uczynić tak samo.

- Co za wspaniały stary zwyczaj - odrzekłem, z trudem powstrzymując jęk.

Jej dłonie przesunęły się na moje ramiona. Przemóżna żądza zalała mnie falą gorąca. Usłyszałem westchnienie jedwabiu, gdy rozwiązywała szarfę, i szept rzucanej na podłogę szaty; pochyliła się, by natrzeć mi skronie, a jej piersi musnęły mi kark.

Wyskoczyłem z kadzi i chwyciłem ją w ramiona. Była tak samo podniecona jak ja. Nie chciałem kłaść jej na podłogę, uniosłem ją więc, ona zaś oplotła mnie nogami.

Gdy w nią wchodziłem, poczułem pierwsze drgnienie jej szczytowania; nasze ciała splotły się w jedno w rytmie, będącym echem naszych serc.

W końcu jednak padliśmy na podłogę, choć była mokra i szorstka, i długo leżeliśmy ciasno spleceni, bez słowa.

Wreszcie przemówiłem; chciałem ją przeprosić, zawstydziłem się siły swego pożądania. Była moją żoną, a ja potraktowałem ją jak prostytutkę.

- Wybacz - szepnąłem. - Przepraszam.

- Tak bardzo tego chciałam - rzekła cicho Kaede. - Bałam się, że dzisiaj nie będziemy mogli być razem. To ja powinnam cię prosić o wybaczenie. Chyba jestem bezwstydną.

Przyciągnąłem ją do siebie i zanurzyłem twarz w jej włosach. To, co do niej czułem, zakrawało na urzeczenie - bałem się jego siły, lecz nie mogłem mu się oprzeć.

Nigdy dotąd nie przeżyłem nic tak zachwycającego.

- To jakiś urok - mruknęła Kaede, czytając w moich myślach. - Tak silny, że nie mogę z nim walczyć. Czy miłość zawsze jest taka?

- Nie wiem. Nigdy nie kochałem nikogo oprócz ciebie.

- Ze mną jest tak samo. - Kiedy wstała, spostrzegłem, że jej szata jest przemoczona. Nabrała wody z kadzi i obmyła się. - Manami musi mi gdzieś znaleźć suchą szatę. - Westchnęła. - Chyba powinnam już wracać do kobiet. Spróbuję pocieszyć biedną panią Niwa, którą zżera smutek. A ty, o czym będziesz mówił z jej mężem?

- Dowiem się czegoś o poruszeniach Araiego i o liczebności jego wojsk.

- To żałosne, co tu się dzieje. Każdy mógłby zdobyć to miasto.

- Sądysz, że powinniśmy je zająć? - Ta myśl przyszła mi do głowy już wtedy, gdy usłyszałem słowa Niwy przy bramie. Ja również nabrałem wody z kadzi, umyłem się i naciągnąłem ubranie.

- Możemy sobie pozwolić, by zostawić tu garnizon?

- Raczej nie. Sądzę, że trudności Araiego wynikają częściowo z tego, że zbyt szybko zagarnął zbyt wiele terenu. Ma na to za mało wojska.

- Zgadzam się - przytaknęła Kaede, owijając się szatą i ciasno zawiązując pas. -

Musimy umocnić się w Maruyamie i zgromadzić zapasy na zimę. Jeśli tamtejsze ziemie są tak zaniedbane jak te tujsze, nie uda nam się wykarmić ludzi. Zanim zostaniemy wojownikami, musimy zamienić się w rolników.

Wpatrywałem się w nią. Miała wilgotne włosy i rysy złagodniałe od miłości, nigdy nie widziałem jej równie pięknej, lecz pod maską urody krył się umysł niczym ostrze miecza.

Taka kombinacja, i to u własnej żony, była wręcz nieodparcie erotyczna.

Otworzyła drzwi, wsunęła na nogi sandały i uklękła.

- Dobranoc, panie Takeo - rzekła słodkim głosem, całkiem innym niż normalnie, wstała zręcznie i oddaliła się, kołysząc biodrami pod cienką, wilgotną tkaniną.

Siedzący na zewnątrz Makoto odprowadził ją wzrokiem pełnym dezaprobaty, a może i zazdrości.

- Woda jest prawie zimna, ale może się wykąpiesz? - zapytałem. - Potem pójdziemy do Niwy.

Na posiłek przyszedł także Kahei. Stara służąca pomagała Niwie podawać do stołu i gdy stawiała przede mną tacę, wydało mi się, że dostrzegam w jej oczach drwinę, jednak odwróciłem wzrok. Zdążyłem już tak zgłodnieć, że z trudem opanowałem chęć, by rzucić się na jedzenie i wpychać je garściami do ust. Zresztą, nie było go zbyt wiele.

Kobiety wróciły, przynosząc herbatę i wino, po czym opuściły nas na dobre.

Zazdrościłem im - miały spać obok Kaede.

Wino rozwiązało Niwie język, choć nie poprawiło mu nastroju, przeciwnie, popadł w jeszcze głębszą melancholię. Przyjął od Araiego urząd namiestnika, sądząc, że zyska dom dla swych synów i wnuków; teraz utracił jednych i nigdy nie miał ujrzeć drugich. Co gorsza, w jego mniemaniu synowie nie zginęli z honorem na polu walki, lecz zostali zamordowani przez stworzenie, które właściwie nie było człowiekiem.

- Nie pojmuję, jak zdołałeś go pokonać - powiedział, patrząc na mnie z powątpiewaniem. - Bez urazy, lecz moi synowie byli od ciebie dwa razy więksi, starsi, bardziej doświadczeni. - Pociągnął głęboki łyk. - Ale też właściwie nigdy nie potrafiłem zrozumieć, w jaki sposób zglądziłeś Iidę. Kiedy zniknąłeś, krążyły wieści, że w twoich żyłach płynie dziwna krew, dzięki której masz szczególne zdolności. Czy to coś w rodzaju czarów?

Poczułem, że siedzący obok mnie Kahei sztywnieje: jak każdy wojownik na najdrobniejszą wzmiankę o czarach reagował wściekłością. Nie sądziłem, by Niwa chciał mnie obrazić; po prostu otepiał z żalu tak dalece, że nie całkiem wiedział, co mówi. Nie odpowiedziałem. Wciąż się we mnie

wpatrywał, lecz unikałem jego wzroku.

Marzyłem o tym, by zasnąć, powieki opadały mi ze zmęczenia, bolały zęby.

- Tak, tak, krążyły różne pogłoski - powtórzył Niwa. - Twoje zniknięcie było dla Araiego poważnym ciosem. Potraktował je jak obelgę. Uznał, że istnieje spisek przeciwko niemu. Miał długoletnią kochankę, Muto Shizukę, znasz ją?

- Była pokojówką mojej żony - odparłem, nie wspominając, że była również moją krewną. - Pan Arai sam ją przysłał.

- Okazało się, że pochodzi z Plemienia. To znaczy, Arai cały czas o tym wiedział, ale nie zdawał sobie sprawy, co to oznacza. Kiedy odszedłeś, podobno do Plemienia - w każdym razie tak powiadano - wiele spraw nabrzmiało i pękło.

Urwał, zerkając na mnie podejrzliwie.

- Ale pewnie już wiesz o tym wszystkim.

- Słyszałem, że pan Arai zamierzał wystąpić przeciwko Plemieniu - odparłem ostrożnie. - Ale nie wiem, z jakim skutkiem.

- Nieszczególnym. Niektórzy - mnie wśród nich nie było - doradzali mi, by współpracował z Plemieniem tak jak Iida. Ich zdaniem, najlepszym narzędziem kontroli są pieniądze. Araiemu się to nie podoba; po pierwsze, nie stać go na to, poza tym nie leży to w jego naturze. Lubi, kiedy wszystko jest jasne, i nie znosi wychodzić na głupca.

Jego zdaniem Muto Shizuka, Plemię, nawet ty, w pewien sposób wystrychnęliście go na dudka.

- Nie miałem takiego zamiaru - odparłem. - Ale rozumiem, że to, co zrobiłem, mogło sprawiać takie wrażenie. Jestem mu winien przeprosiny. Kiedy tylko urządzimy się w Maruyamie, udam się do niego. Czy zatrzymał się w Inuyamie?

- Spędził tam zimę. Ma zamiar na wiosnę wrócić do Kumamoto, zlikwidować gniazda oporu, stamtąd ruszyć na wschód, by skonsolidować dawne ziemie Noguchi, a potem wziąć się za Plemię, poczynając od Inuyamy. - Nalał wszystkim wina i głośno przełknął zawartość czarki. - Ale to ostatnie zadanie przypomina kopanie słodkich kartofli; pod ziemią jest ich znacznie więcej niż się sądzi, a gdy próbuje się je wyciągnąć, choćby nie wiem jak ostrożnie, rozpadają się na kawałki i znowu kielkują. Nawet tutaj wykryłem kilku członków Plemienia; jeden prowadził browar, drugi był drobnym handlarzem i lichwiarzem. Lecz to tylko starzy ludzie, płotki, nic więcej. Zażyli truciznę, zanim zdążyłem coś z nich wyciągnąć, a reszta zniknęła.

Podniósł czarkę i wpatrzył się w nią posepnie.

- Arai będzie chyba musiał rozedrzeć się na dwoje - rzekł w końcu. - Z klanem Tohan sobie poradzi; to zwykły przeciwnik, prostolinijny, zresztą po śmierci Iidy stracili serce do walki. Ale żeby próbować jednocześnie zlikwidować ukrytego wroga...

Postawił sobie niemożliwy cel, a kończą mu się pieniądze i zapasy. - Przyłapał się na tym, co mówi, i szybko dodał: - W żadnym razie nie jestem wobec niego nielojalny; złożyłem przysięgę na wierność i jej dotrzymam. Ale kosztowało mnie to dwóch synów.

Skłoniliśmy głowy i cicho wyraziliśmy współczucie.

- Robi się późno - rzekł Kahei. - Musimy trochę się przespać, skoro mamy wyruszyć o świcie.

- Oczywiście - Niwa wstał niezdarnie i klasnął w dłonie. Po chwili zjawiała się stara kobieta z lampą w ręce i zaprowadziła nas do pokoju, gdzie rozłożono już posłania. Poszedłem do ustępu, po czym spacerowałem jakiś czas po ogrodzie, żeby wino wywietrzało mi z głowy. W mieście panowała cisza, niemal słyszałem, jak moi ludzie oddychają we śnie. W drzewach wokół świątyni zawołała sowa, gdzieś daleko zaszczekał pies. Nisko na niebie wisiał niepełny księżyc, przez jasną tarczę wędrowały strzępki chmur; niebo spowijała mgiełka, widać było tylko najjaśniejsze gwiazdy.

Rozmyślałem o tym, co powiedział Niwa. Miał rację: wykrycie siatki, stworzonej przez Plemię na terenie Trzech Krain, zakrawało na niemożliwość. Jednak Shigeru tego dokonał, miałem to na piśmie.

Wróciłem do pokoju. Makoto już spał, Kahei rozmawiał z dwoma ludźmi, którzy przyszli pełnić wartę. Powiedział mi, że wystawił również strażę przed pokojem, w którym spała Kaede. Położyłem się, żałując, że nie ma jej ze mną, przez chwilę zastanawiałem się, czy po nią nie posłać, po czym utonąłem w głębokiej rzece snu.



Rozdział trzeci

Przez kilka następnych dni marszu do Maruyamy nie zdarzyło się nic szczególnego. Wieść o śmierci Jin-emona i pokonaniu jego bandytów wyprzedzała nas lotem ptaka, toteż wszędzie witano nas z radością. Dzięki długim dniom i krótkim nocom posuwaliśmy się szybko, wykorzystując sprzyjającą pogodę przed nastaniem śliwkowych deszczów.

W czasie podróży Kaede próbowała wprowadzić mnie w polityczne zawiłości dotyczące dóbr, które miały przypaść jej w udziale. Shigeru już trochę mi opowiadał, lecz splątany układ małżeństw, adopcji, śmierci - a niekiedy morderstw - zawiści oraz intryg był mi w dużej części nieznanym. Ponownie ogarnął mnie podziw dla siły Maruyama Naomi, kobiety, którą kochał mój przybrany ojciec; zdołała utrzymać się przy życiu i samodzielnie rządzić. Poczulem żal, że umarła, z goryczą pomyślałem o śmierci Shigeru, lecz tym mocniejsze stało się moje postanowienie, by kontynuować ich dzieło pokoju i sprawiedliwości.

- Podczas podróży takiej jak ta pani Maruyama trochę ze mną rozmawiała -

opowiadała Kaede. - Ale jechałyśmy wtedy w przeciwną stronę, do Tsuwano, gdzie spotkałam ciebie. Powiedziała mi, że kobiety powinny pozwolić się nosić w lektyce i ukrywać swą rzeczywistą siłę, w przeciwnym razie wojownicy i władcy je zmiażdżą. A jednak proszę, jadę obok ciebie na Raku i jestem wolna. Nigdy już nie wsiądę do lektyki.

Był to dzień słońca i przelotnych deszczów, niczym w ludowej bajce o zaślubinach lisa. Na tle czarnych chmur nagle pojawiała się tęcza, przez chwilę dzielnie świeciło słońce, w końcu spadała srebrzysta ulewa, potem niebo się zaciągało, słońce i tęcza znikwały, a deszcz robił się ostry i lodowaty.

Małżeństwo pani Maruyama zostało zawarte w celu poprawienia stosunków między klanami Seishuu i Tohan. Jej mąż był Tohańczykiem, spokrewnionym z rodami Iida i Noguchi; znacznie od niej starszy, był już przedtem żonaty i miał dorosłe dzieci.

Od początku kwestionowano sens sojuszu zawieranego za pośrednictwem tak niedobranego związku, krytkowała go również sama Naomi, która, choć zaledwie szesnastoletnia, została nauczona niezależności sądów i wypowiedzi. Jednak klanowi zależało na aliansie i ślub doszedł do skutku.

Już za życia pani Maruyama jej pasierbowie sprawiali mnóstwo kłopotów, a po śmierci ojca zaczęli - na szczęście bez skutku - żądać oddania majątku. Jedyna córka zmarłego męża Naomi poślubiła Iidę Nariaki, kuzyna Iidy Sadamu, który, jak się okazało, zdołał uniknąć rzezi w Inuyamie, po czym zbiegł na Zachód i ponownie wysunął roszczenia do spadku. Zdania władców klanu Seishuu były podzielone; co prawda Maruyamę zawsze dziedziczono w linii żeńskiej, lecz były to ostatnie ziemie, gdzie hołowano owej tradycji, która stanowiła afront dla klasy rycerskiej. Ponadto wielu ludzi uważało Nariakiego za prawowitego dziedzica, gdyż teść adoptował go jeszcze przed swoim ślubem z panią Maruyama.

Naomi lubiła swego męża i kiedy cztery lata po ślubie zmarł, szczerze go opłakiwała. Została z maleńkim synkiem oraz córeczką, której postanowiła przekazać swoje włości. Jednak syn zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach - krążyły pogłoski, że go otruto - natomiast piękna, owdowiała Naomi po bitwie pod Yaegaharą zwróciła uwagę samego Iidy Sadamu.

- Ale wtedy już знаła Shigeru - powiedziałem, żałując, że nie wiem, kiedy i jak się poznali. - A teraz ty po niej dziedziczysz.

Matka Kaede była stryjeczną siostrą Naomi, co czyniło Kaede najbliższą krewną zmarłej głowy klanu, albowiem córka pani Maruyama, Mariko, zginęła wraz z matką w odmętach rzeki w Inuyamie.

- Jeśli mi na to pozwolą - odrzekła Kaede. - Kiedy Sugita Haruki, zarządca majątku, przybył do mnie pod koniec zeszłego roku, przysięgał, że klan Maruyama mnie poprze. Ale kto wie, być może Nariaki już go zastąpił?

- A więc trzeba go będzie wypłoszyć.

Ranikiem szóstego dnia dotarliśmy do granicy dóbr Maruyama. Kahei zatrzymał

straż przednią kilkaset kroków przed barierą.

- Miałem nadzieję, że brat wyjdzie nam na spotkanie - rzekł cicho, gdy doń dołączyłem.

Ja również miałem taką nadzieję. Jeszcze przed moim ślubem z Kaede Miyoshi Gemba wyruszył do Maruyamy, aby przekazać wiadomość o naszym rychłym przybyciu, lecz od tamtej pory nie mieliśmy od niego wiadomości. Niepokoiłem się o jego bezpieczeństwo, liczyłem także, że zanim wkroczę na ten teren, dowiem się od niego z grubsza, co się dzieje, gdzie jest Iida Nariaki, jakie są nastroje.

W strażnicy na rozstajach panowała cisza, drogi we wszystkich kierunkach były puste. Amano i Jiro zrobili wypad na południe, lecz niebawem wrócili.

- Przeszła tędy spora armia! - zameldował Amano. - Znaleźliśmy wiele śladów kopyt i końskich odchodów.

- Szli w stronę Maruyamy?

- Tak!

Kahei podjechał do budynku strażnicy i zawołał:

- Jest tam kto? Pan Otori Takeo przywozi swoją żonę, panią Shirakawa Kaede, spadkobierczynię pani Maruyama Naomi, aby objęła należne jej włości!

Nie było odpowiedzi. Z niewidocznego paleniska unosiła się cienka smużka dymu. Nie rozlegał się żaden dźwięk z wyjątkiem szmeru tysiąca ludzkich oddechów za plecami i niespokojnych poruszeń koni. Skóra mi ścierpła; spodziewałem się usłyszeć lada chwila syk i trzepot strzał.

Wróciłem do Kaheiego.

- Chodź, rozejrzemy się.

Zerknął na mnie, lecz już dawno zaniechał wszelkich prób powstrzymania mnie.

Zsiedliśmy z koni, rzuciliśmy wodze Jiro i z obnażonymi mieczami ruszyliśmy naprzód.

Bariera leżała na ziemi, strzaskana w tumultie ludzkich i końskich nóg. Panowała osobliwa cisza, tylko w lesie dźwięczało nadnaturalnie głośne wołanie gajówki. Po niebie płynęły duże, szare chmury, ale deszcz ustał, a południowy wiatr niósł łagodne ciepło.

Niósł także woń dymu i krwi. Pierwszego trupa ujrzałem na progu strażnicy.

Upadł w palenisko; jego ubranie wciąż się tliło i spaliłoby się doszczętnie, gdyby nie było przemoczone krwią, płynącą z rozplatanego brzucha. Dłoń zmarłego zacisnęła się na rękojeści miecza, lecz ostrze było czyste. Za nim leżały na wznak dwa kolejne ciała, zbrukane własnymi

pośmiertnymi odchodami.

- Zostali uduszeni - rzekłem do Kaheiego. Mróz przebiegł mi po kościach; tylko Plemię stosowało garotę.

Skinął głową i odwrócił jednego ze zmarłych, by zobaczyć godło na plecach.

- Maruyama.

- Kiedy zginęli? - zapytałem, rozglądając się po pomieszczeniu. Dwaj strażnicy zostali całkowicie zaskoczeni, trzeciego zasztyletowano, nim zdążył użyć miecza.

Wezbrała we mnie furia, ta sama, którą czułem, kiedy strażnicy w Hagi wpuścili Kenjiego do ogrodu lub kiedy nie widzieli, że prześlizguję się obok nich - furia na tępotę zwykłych ludzi, którzy tak łatwo dawali się przechytrzyć Plemieniu. Ci tutaj zostali napadnięci przy posiłku i skrytobójczo zabici, nim któryś zdążył uciec i ostrzec swych panów, że wróg nadciąga.

Kahei podniósł czajnik spod ściany, gdzie go rzucono.

- Jeszcze ciepły.

- Musimy ich dopędzić, zanim dotrą do miasta.

- Ruszajmy więc - oczy Kaheiego zabłyśły z podniecenia. Byliśmy już na progu, gdy nagle usłyszałem nowy dźwięk, dobiegający z małego składziku na tyłach strażnicy. Dałem znak Kaheiemu, by zachował milczenie, po czym podkradłem się do drzwi. Ktoś za nimi stał, usiłując powstrzymać oddech, nie mógł wszakże opanować drżenia i dygotu, wypuszczając powietrze niemal ze szlochem.

Jednym ruchem odsunąłem drzwi i znalazłem się w środku. W pomieszczeniu, upchnięte byle jak, leżały zwalone bele ryżu, deski, broń i narzędzia rolnicze.

- Kto tam jest?! Wychodzić!

Rozległ się tupot drobnych stóp i zza bel wypadła mała postać, usiłując prześliznąć się między moimi nogami. Gdy chwyciłem ją za kołnierz, ujrzałem, że to chłopiec lat około dziesięciu. W ręce trzymał nóż; ścisnąłem mu palce i mały z okrzykiem bólu wypuścił broń z ręki.

Wyrywał się ze wszystkich sił, z trudem powstrzymując łzy.

- Uspokój się! Nie zrobię ci krzywdy!

- Ojczy! Ojczy!

Wepchnąłem go do wartowni.

- Czy jeden z tych ludzi to twój ojciec?

Chłopiec zbiegał jak ściana, jego oddech stał się urywany, oczy zaszklily się łzami, jednak zapanował nad sobą. Nie było wątpliwości, że to syn wojownika. Spojrzał na mężczyznę na podłodze, którego Kahei wyciągnął już z ognia, objął wzrokiem potworną ranę oraz niewidzące oczy, po czym skinął głową i zzieleniał.

Wyprowadziłem go za drzwi, żeby mógł z wymiotować na zewnątrz. W czajniku zostało trochę herbaty, więc Kahei wlał ją do znalezionej wśród skorup czarki i dał mu się napić.

- Co się tutaj stało? - zapytałem.

Mały szczykał zębami; choć usiłował mówić normalnie, jego głos zabrzmiał głośniejszy, niż zamierzał.

- Dwóch ludzi weszło przez dach. Zadusili Kitano i Tsurutę. Ktoś przeciął pęta i spłoszył konie. Ojciec chciał je złapać, lecz kiedy wrócił, rozciął mu nożem brzuch.

Stłumił łkanie.

- Myślałem, że sobie poszli! - jęknął. - Nie widziałem ich! Wyszli z powietrza i rozplatali go na pół!

- A ty gdzie wtedy byłeś?

- W składziku. Schowałem się. Okropnie mi wstyd. Żałuję, że ich nie pozabijałem!

Kahei uśmiechnął się do małej, zawziętej twarzyczki.

- Postąpiłeś słusznie! Dorośniesz i wtedy ich zabijesz!

- Opisz mi tych ludzi - poprosiłem.

- Mieli ciemne ubrania. Nie robili żadnego hałasu. I potrafili sprawić, że nie było ich widać! - Splunął i dodał: - Czarnoksiężskie sztuczki!

- A wojsko, które tędy przeszło?

- Iida Nariaki z klanu Tohan i trochę żołnierzy Seishuu. Rozpoznałem ich godła.

- Ilu?

- Setki. Szli i szli, ostatni minęli nas całkiem niedawno. Czekałem w ukryciu, żeby sobie poszli, i już miałem wychodzić, kiedy was usłyszałem.

- Jak się nazywasz?

- Sugita Hiroshi, syn Hikaru.

- Mieszkaś w Maruyamie?

- Tak, mój stryj, Sugita Haruki, jest głównym zarządcą dóbr Maruyama.

- Lepiej chodź z nami - powiedziałem. - Wiesz, kim jesteśmy?

- Otori - odparł ze słabym uśmiechem. - Poznają po godłach. To na was czekaliśmy?

- Jestem Otori Takeo, a to Miyoshi Kahei. Moją żoną jest Shirakawa Kaede, spadkobierczyni tych włości.

Chłopiec padł na kolana.

- Panie Otori! Brat pana Miyoshi już dawno zjawił się u mego stryja. Szykują się do wojny, bo stryj jest pewien, że Iida Nariaki nie odda dóbr pani Shirakawa bez walki.

Ma rację, prawda?

Kahei poklepał go po ramieniu.

- Idź teraz, pożegnaj się z ojcem. I zabierz jego miecz, teraz należy do ciebie.

Kiedy zwyciężymy, przewieziemy ciało do Maruyamy i urządzimy mu godny pochówek.

Oto jakie powinienem otrzymać wychowanie, pomyślałem, patrząc na Hiroshiego, który wrócił, ciągnąc miecz niemal tak długi jak on sam. Matka zakazała mi obrywać krabom szczypce, sprawiać ból jakiegokolwiek czującej istocie, lecz tego chłopca od urodzenia uczono nie lękać się śmierci i okrucieństwa. Wiedziałem, że Kahei jest pełen uznania dla jego odwagi; wychowano go zgodnie z tym samym kodeksem. Cóż, westchnąłem, skoro wszystkie lekcje Plemienia nie zdołały wyrobić we mnie bezwzględności, to już pewnie nigdy jej nie zdobędę. Po prostu musiałem udawać.

- Przepędzili nasze konie! - wykrzyknął Hiroshi, kiedy mijaliśmy puste stajnie.

Znowu zaczął dygotać, lecz tym razem, jak sądziłem, z gniewu, nie ze strachu.

- Odbierzemy je z nawiązką - obiecał mu Kahei. - Teraz jedź z Jiro i bądź

grzeczny.

- Zabierz go do kobiet i powiedz Manami, żeby się nim zajęła - poleciłem Jiro, biorąc Shuna i ponownie go dosiadając.

Jednak kiedy Kahei wsadził chłopca na siodło za plecami Jiro, mały zaprotestował.

- Nie chcę, żeby się mną zajmowano! - krzyknął. - Chcę iść z wami do boju!

- Tylko żebyś nie zabił nikogo przez pomyłkę! - zaśmiał się Kahei. - Pamiętaj, że jesteśmy przyjaciółmi!

Opowiedziałem Makoto, czegośmy się dowiedzieli.

- Atak musiał ich kompletnie zaskoczyć. Posterunek był bardzo słabo obsadzony.

- A może w Maruyamie spodziewali się tego? - Zamyślił się. - Może specjalnie wycofali większość ludzi, żeby zaatakować wroga na korzystniejszym gruncie lub zastawić na niego zasadzkę? Znasz teren między granicą i miastem?

- Nigdy tu nie byłem.

- A twoja żona?

Pokręciłem głową.

- To lepiej wezwij z powrotem tego chłopca. To być może nasz jedyny przewodnik.

Kahei zawołał Jiro, który na szczęście nie odjechał daleko. Hiroshi nie posiadał

się z radości, że do nas wraca, w dodatku okazało się, że wie zdumiewająco dużo o okolicy.

Zamek warowny w Maruyamie stał na wierzchołku obłego pagórka, poniżej którego rozpościerało się spore miasto. Mieszkańcy czerpali wodę z niewielkiej, wartkiej rzeczki, która zasilala również system doskonale zarybionych kanałów; zamek miał

dostęp do własnych źródeł. Mury miejskie były ongiś świetnie utrzymane i można ich było bronić bez końca, niestety, po śmierci pani Maruyama, w zamieszaniu, które nastąpiło po upadku lidy, zaniechano napraw i zredukowano strażę. Obecnie ludność miasta dzieliła się na zwolenników Sugity, popierających jego kampanię na rzecz Kaede, oraz tych, którzy uznali, że lepiej ugiąć się przed losem i zaakceptować rządy lidy Nariaki oraz jego żony, tym bardziej że ich zdaniem jej roszczenia także miały pewne podstawy.

- Gdzie jest teraz twój stryj?

- Czeka pod miastem ze swoimi ludźmi. Nie chciał się za bardzo oddalać, żeby nikt nie zajął miasta za jego plecami. Tak przynajmniej mówił ojciec.

- Zamierza wycofać się za mury miejskie?

Oczy chłopca zwęziły się w szparki jak u dorosłego.

- Tylko w razie bezwzględnej konieczności. Wtedy musiałby szukać oparcia w zamku, bo miasta nie da się obronić. Mamy bardzo mało żywności; zeszłoroczne wichury zniszczyły większość plonów, a zima była bardzo ciężka. Nie wytrzymamy długotrwałego oblężenia.

- A które miejsce twój stryj wybrałby do walki?

- Niedaleko bramy miejskiej droga, którą jedziemy, przecina rzekę Asagawa. Jest tam bród, prawie

zawsze przejezdny, choć zdarzają się nagle powodzie. Żeby do niego dotrzeć, trzeba zjechać na dno stromego wąwozu, a potem wydostać się na górę. Na przeciwnym stoku jest duża polana; ojciec twierdził, że da się tam zatrzymać nieprzyjaciela, a przy dostatecznych siłach nawet oskrzydlić go i zamknąć w wąwozie.

- Hej, kapitanie, dobrze mówisz! - zaśmiał się Kahei. - Przypomnij mi, żebym zabierał cię na wszystkie wyprawy wojenne!

- Trochę się orientuję w okolicy - bąknął Hiroshi, nagle onieśmielony. - Ale ojciec nauczył mnie, że prowadząc wojnę, przede wszystkim trzeba znać teren.

- Byłby z ciebie dumny - powiedziałem.

A więc musieliśmy jak najszybciej posuwać się naprzód, gdyż istniała szansa, że zdołamy zatrzymać wroga w wąwozie; gdyby Sugita wycofał się do miasta, mogliśmy przypuścić nagły atak od tyłu.

Miałem do chłopca jeszcze jedno pytanie.

- Mówiłeś, że można oskrzydlić wojsko w wąwozie - czy to znaczy, że istnieje inna droga, prowadząca stąd na polanę?

- Tak, kilka mil na północ jest następna przeprawa. Jechaliśmy tamtędy kilka dni temu, bo po całodziennym ulewie główny bród był zalany. To trochę dalej, ale za to można jechać galopem.

- Poprowadzisz pana Miyoshi?

- Oczywiście - odparł i spojrzał na Kaheiego z błyskiem w oku.

- Kahei, bierz jazdę i ruszaj co koń wyskoczy. Hiroshi pokaże ci, gdzie znaleźć Sugitę. Uprzedź go, że nadjeżdżamy; powinien ścieśnić nieprzyjaciela w wąwozie. Ja poprowadzę piechotę i chłopstwo.

- Bardzo dobrze! - pochwalił Hiroshi. - Bród jest pełen głazów, konie wojskowe i tak by sobie tam nie poradziły. A Tohańczycy uznają cię za słabszego niż w rzeczywistości i nie docenią twoich sił. Nie spodziewają się, że chłopcy mogą walczyć.

Powinienem pobierać od niego lekcje strategii, pomyślałem.

- Ja też mam jechać z panem Miyoshi? – zapytał Jiro.

- Tak, weź Hiroshiego na siodło i dobrze go pilnuj!

Oddział oddalił się pędem i po chwili już tylko tętent kopyt rozbrzmiewał echem w rozległej dolinie.

- Która godzina? - zwróciłem się do Makoto.

- Druga połowa godziny Węża.

- Ludzie coś jedli?

- Podczas postoju zarządziłem szybki posiłek.

- Więc możemy zbierać się do drogi. Jedźcie przodem, ja zaraz do ciebie dołączę, tylko porozmawiam z dowódcami i moją żoną.

Makoto zawrócił konia, lecz przed odjazdem krótko objął wzrokiem niebo, las i dolinę.

- Jaki piękny dzień - rzekł cicho.

Wiedziałem, o czym myśli: dobry dzień, żeby umrzeć. Lecz ani jemu, ani mnie nie była tego dnia pisana śmierć, choć wielu innym - tak.

Zawróciłem klusem wzdłuż szeregów odpoczywających mężczyzn, wzywając do wymarszu i objaśniając dowódcom nasz plan. Ludzie wstali skwapliwie, zwłaszcza gdy dowiedzieli się, kim jest główny przeciwnik, a możliwość ukarania Tohańczyków za klęskę pod Yaegaharą, utratę Yamagaty oraz lata niewoli powitali okrzykiem entuzjazmu.

Kaede czekała z pozostałymi kobietami w małym zagajniku na uboczu. Jak zwykle towarzyszył im Amano.

- Idziemy na wojnę - oznajmiłem. - Armia Iidy Nariakiego przekroczyła granicę przed nami. Kahei pojechał okężną drogą, mamy nadzieję, że spotka się ze swym bratem i panem Sugitą. Amano zabierze was do lasu, gdzie musicie zostać, aż po was przyślę.

Amano skłonił się; po minie Kaede poznałem, że chce coś powiedzieć, ale później i ona kiwnęła głową.

- Niech wszechmiłosierny będzie z tobą - szepnęła, nie odrywając wzroku od mojej twarzy, po czym pochyliła się ku mnie i dodała: - Pewnego dnia pojedę w bój obok ciebie!

- Wiedząc, że jesteś bezpieczna, będę mógł całkowicie skupić się na walce -

odparłem. - Poza tym musisz pilnować zapisków.

Zaniepokojona Manami wtrąciła:

- Pole walki to nie miejsce dla kobiety!

- Nie - zgodziła się Kaede. - Tylko bym przeszkadzała. Ale jakże bym chciała urodzić się mężczyzną!

Jej zawziętość mnie rozbawiła.

- Dzisiejszą noc spędzimy w Maruyamie! - obiecałem. Jej wyrazista, odważna twarz stała mi przed oczami przez cały dzień. Jeszcze przed wyjazdem z Terayamy Kaede i Manami wyhaftowały chorągwie - czapkę Otori, białą rzekę Shirakawa i wzgórze Maruyama - które teraz rozwinęliśmy,

jadąc doliną. Moją uwagę zwrócił stan okolicznych pól: sprawiały wrażenie żyznych i już dawno powinny być zalane i obsadzone, jednak groble przerwano, a w kanałach irygacyjnych zalegały wodorosty i muł.

Jakby tego było mało, ziemia i gospodarstwa zostały doszczętnie ogołoczone przez napastników. Przy drogach płakały dzieci, budynki płonęły, tu i ówdzie leżały porzucone trupy ludzi zabitych od niechcienia, bez powodu. Czasem, gdy mijaliśmy dom lub osadę, pozostali przy życiu chłopcy i mężczyźni podchodzili, aby nas wypytać.

Na wieść, że ścigamy wojska Tohan, widząc, że się zgadzam, by wzięli udział w walce, chętnie się do nas przyłączali, aż wreszcie nasze szeregi zwiększyły się o co najmniej stu ludzi.

Po niespełna dwóch godzinach, gdy minęło południe i zaczęła się godzina Kozy, usłyszałem przed sobą dźwięki, na które czekałem: szczęk stali, rzenie koni, okrzyki walczących i wrzaski rannych. Dałem znak Makoto, który kazał ludziom się zatrzymać.

Shun znieruchomiał i postawił uszy, nasłuchując równie czujnie jak ja; nie odpowiedział rzeniem na głosy innych koni, zupełnie jakby rozumiał, że należy zachować ciszę.

- Zapewne powstrzymał ich Sugita, tak jak mówił chłopak - mruknął Makoto. -

Ale czy Kahei zdążył do niego dotrzeć?

- Ktokolwiek walczy, wygląda to na dużą bitwę.

Droga przed nami znikwała w głębokim wąwozie. Czubki drzew w wiosennym słońcu kołysały świeżymi listkami. Zgiełk bitewny, choć głośny, nie zagłuszał śpiewu ptaków.

- Chorążowie pojedą ze mną - zarządziłem.

- Nie powinieneś jechać na przodzie. Zostań w centrum, gdzie jest bezpieczniej.

Staniesz się łatwym celem dla łuczników.

- To moja wojna - odparłem. - Słuszne jest, bym pierwszy nawiązał walkę. - Być może mój głos brzmiał spokojnie i dobitnie, lecz wewnątrz czułem napięcie. Pragnąłem jak najszybciej rozpocząć bój i jak najszybciej go zakończyć.

- Owszem, to twoja wojna i wszyscy wdaliśmy się w nią z twojego powodu! Tym bardziej musimy dołożyć starań, by zachować cię przy życiu!

Obróciłem konia i stanąłem przodem do swych ludzi. Ogarnął mnie smutek, że niektórzy z nich dzisiaj umrą, lecz przynajmniej dałem im szansę, by zginęli jak mężczyźni walcząc o swoją ziemię i rodziny. Krzyknąłem na chorążych którzy ruszyli naprzód, trzymając łopoczące na wietrze proporce. Spojrzałem na białą czapkę, pomodliłem się do ducha Shigeru i poczułem, jak we mnie wnika, wślizguje się pod skórę, płynie wzdłuż ścięgien i kości. Dobyłem Jato. Ostrze załśniło w słońcu, a żołnierze odpowiedzieli gromkim okrzykiem.

Zawróciłem i puściłem Shuna w kłus. Ruszył naprzód spokojny i chętny, jakby się wybierał na przejażdżkę po łące. Pobudzony koń po mojej lewicy szarpał uzdę i usiłował wierzgać; wyczuwałem niepokój jeźdźca, który z trudem powściągał

wierzchowca jedną ręką, drugą trzymając pionowo drzewce chorągwi.

Schodząca w dół droga tonęła w gęstym cieniu, a jej powierzchnia, jak zapowiadał Hiroshi, stawała się coraz bardziej nierówna. Piaszczyste błoto ustąpiło piargom i kamieniom, aż wreszcie zaczęły się głązy i wykroty, wymyte przez niedawne powodzie; droga po każdym deszczu zapewne zamieniała się w potok.

Zwolniliśmy do stępa. Spoza odgłosów bitwy dał się słyszeć szum rzeki.

Oświetlona przerwa w gęstwinie przed nami znaczyła miejsce, gdzie droga wynurzała się z lasu i biegła kilkaset stóp wzdłuż brzegu do brodu. Na tym tle, niczym sylwetki na tle oświetlonego ekranu, którymi bawią się dzieci, rysowały się ciemne postacie, zwijające się i zmagające w ferworze walki.

Zamierzałem najpierw użyć łuczników, lecz na ten widok uświadomiłem sobie, że nasze strzały zabiłyby tyluż sojuszników co wrogów. Ludzie Sugity najwyraźniej przegnali napastników z polany i metr po metrze spychali ich wzdłuż rzeki. Zbliżając się, ujrzelśmy, jak łamią się szeregi wroga; niektórzy żołnierze próbowali salwować się ucieczką, jednak na nasz widok zawrócili pędem, krzycząc głośno, aby ostrzec dowódców.

Makoto uniósł do ust konchę. Przeciągły, niesamowity dźwięk wzniósł się wysoko i odbił echem od ściany wąwozu na drugim brzegu; z przodu, niczym kolejne echo, rozległa się odpowiedź, głos rogu, zbyt wszakże daleki, bym zdołał stwierdzić, kto na nim gra. Na moment zapadła cisza, podobna chwili nim załame się fala, po czym znaleźliśmy się wśród walczących. Zaczęła się rzeź.

Tylko kronikarz, po wielu dniach opisujący przebieg wydarzeń, może powiedzieć, co działo się podczas bitwy, a i to zazwyczaj jest jedynie opowieść zwycięzcy. W ogniu walki niepodobna stwierdzić, na czyją stronę przechyla się szala; ba, nawet patrząc na konflikt z lotu ptaka, widzi się wyłącznie barwny, pulsujący kobierzec zbroi, godeł, proporców i chorągwi, stali i krwi - piękny, ale koszmarne.

Wszystkich na polu bitwy ogarnia szaleństwo - jakże inaczej moglibyśmy robić to, co robimy, znosić widoki, które oglądamy?

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że nasza potyczka z bandytami była zaledwie igraszką. Tu mieliśmy do czynienia z zahartowanym w bojach wojskiem Tohan i Seishuu świetnie uzbrojonym, zaciekłym, podstępny. Zobaczywszy godło czapli, żołnierze pojęli od razu, kto zaszedł ich od tyłu i co najmniej połowa z nich zapragnęła natychmiast pomścić na mnie śmierć Iidy. Makoto, nakłaniając mnie, bym pozostał w centrum, kierował się głosem rozsądku. Odparłem atak trzech wojowników - przed ostatnim ocaliło mnie tylko wyczucie Shuna - zanim przyjaciel mnie dogonił. Posługując się kosturem niczym włócznią, dźgnął czwartego pod brodę, zrzucając go z siodła, a leżącego dopadł jeden z chłopów, który obciął mu sierpem głowę.

Popędziłem Shuna do przodu. Instynktownie znajdował drogę w ścisku, obracając się we właściwych momentach, by zapewnić mi jak największą przewagę.

Jato, jak niegdyś przepowiedział Shigeru, sam rwał się do walki, unosząc się i opadając, zboczony krwią od czubka po gardę.

Wokół mnie i Makoto uformował się zwarty oddział zbrojnych, lecz wówczas zauważyłem przed sobą podobny oddział, nad którym łopotała chorągiew klanu Tohan.

Obie grupy falowały i wirowały, ludzie wokół nich stawali i padali, aż wreszcie zbliżyły się do siebie tak bardzo, że wśród skłębionych ciał wyraźnie ujrzałem postać swego wroga.

Poczułem dreszcz; rozpoznałem tego człowieka. Miał na sobie czarną zbroję i rogaty hełm - taki sam nosił Iida Sadamu, gdy patrzyłem nań w Mino spod kopyt jego konia - na piersi złocił mu się rząd koralików modlitewnych. Nasze spojrzenia spotkały się ponad zamętem bitwy; Nariaki wydał wściekły okrzyk, spiął wierzchowca i przedzierając się przez

chroniących go wojowników, ruszył pędem w moją stronę.

- Otori Takeo jest mój! - wrzasnął. - Niech nikt nie śmie go tknąć! - Atakujący mnie wrogowie odsunęli się nieco i znalazłem się z nim oko w oko.

Opowiadam tę historię, jakbym miał czas na zastanowienie, lecz w rzeczywistości wcale go nie miałem. Każda scena to rozbłysk pamięci: Nariaki był

przede mną, tuż-tuż, znów krzyknął coś obraźliwie, lecz ledwie słyszałem jego słowa.

Rzucił wodze i oburącz chwycił miecz. Jego koń był większy niż Shun, on sam zaś, podobnie jak Iida, znacznie roślejszy ode mnie. Nie spuszczałem oczu z ostrza, wypatrując chwili, gdy zacznie opadać. Shun też je śledził.

Błysnęła stal. Shun uskoczył, miecz ze świstem przeciął powietrze. Impet potężnego ciosu na moment zakłócił równowagę jeźdźcy, który wsparł się niezdarnie o szyję konia. Spłoszony wierzchowiec wierzgnął; Nariaki, mając do wyboru upadek lub rzucenie broni, osunął się jeszcze bardziej, szybko uwolnił stopy ze strzemion i chwyciwszy się końskiej grzywy zaskakująco zręcznie zeskoczył na ziemię. Padł na kolana, lecz nie wypuścił miecza z rąk, jednym ruchem poderwał się na nogi i zamachnął. Niechybnie kosztowałoby mnie to nogę, gdyby Shun nie usunął się przed uderzeniem.

Moi ludzie, którzy otoczyli nas ciasnym kręgiem, z łatwością mogli go pokonać, krzyknąłem jednak:

- Cofnąć się!

Postanowiłem, że sam go zabiję. Opętała mnie furia, niepodobna do niczego, co dotąd czułem, tak różna od zimnych zabójstw Plemienia, jak dzień różni się od nocy.

Puściłem wodze i zeskoczyłem z Shuna, a jego parsknięcie powiedziało mi, że będzie czekał niewzruszony jak skała, póki znów go nie dosiędę.

Stałem twarzą w twarz z krewniakiem lidy, żałując tylko, że nie mogłem stanąć tak przed lidą. Wiedziałem, że Nariaki mną gardzi i ma ku temu powody; istotnie, nie miałem jego umiejętności ani wiedzy, lecz owa wzgarda była również jego słabością. Ruszył do przodu, kręcąc mieczem młynka - zamierzał mnie ściąć, wykorzystując większą długość ramion. Nagle stanął mi przed oczami trening z Matsudą w Terayamie. Jak wtedy, teraz również ujrzałem obraz Kaede - była moją siłą, moim życiem. Dzisiejszą noc spędzimy w Maruyamie, znów obiecałem jej w myślach, i poczułem, że bezwiednie wykonuję manewr z treningu.

Czarna krew, pomyślałem, być może nawet krzyknąłem te słowa do Nariakiego, płynie w moich i twoich żyłach, pochodzimy z tej samej klasy. Ręka Shigeru zawładnęła moją dłonią: Jato dosięgnął celu, ukąsił i czerwona krew lidy Nariakiego zbryzgała mi twarz.

Gdy padał na kolana, Jato uderzył ponownie. Głowa wroga, z oczami wciąż pełnymi wściekłości i wykrzywionymi grymasem wargami, potoczyła się do moich stóp.

Ta scena wryła mi się w pamięć, lecz poza nią pamiętam niewiele. Nie miałem czasu się bać ani nawet myśleć. Ruchy, których nauczyli mnie Shigeru i Matsuda, przenosiły się przez moje ramię do miecza, ale nie było to działanie świadome.

Upewniwszy się, że Nariaki nie żyje, rozejrzałem się za Shunem i otarłszy pot z oczu, ujrzałem przy jego łbie Jo-Ana, który pilnował również konia mego wroga.

- Zabierz je stąd! - krzyknąłem, widząc, że Hiroshi słusznie ocenił teren.

Stopniowo spychane do rzeki armie Seishuu i Tohan walczyły w potwornym ścisku, ich przerażone konie potykały się o kamienie i łamały nogi w wykrotach, a nie mogąc posuwać się dalej, wpadały w panikę.

Jo-An z małpią zręcznością wdrapał się na grzbiet Shuna i przedarł przez skłębioną ciżbę. Od czasu do czasu jego postać migiała mi w tłoku, gdy zbierał

pozbawione jeźdźców, przerażone wierzchowce, i prowadził je do lasu. Tak jak mówił, podczas bitwy oprócz zabijania jest wiele innych rzeczy do roboty.

Wkrótce dostrzegłem przed sobą chorągwie Otori i Ma-ruyama, a także godło Miyoshi. Żołnierze wroga wzięci w dwa ognie znaleźli się w pułapce. Bronili się zaciekle, lecz nie mieli już wyjścia ani nadziei.

Chyba żaden nie uszedł cało. Rzeka spłynęła krwawą pianą.

Kiedy już było po wszystkim i zapanowała cisza, niedotykalni zajęli się poległymi i ułożyli ich w rzędach. Sugita, z którym spotkałem się po bitwie, przeszedł

wzdłuż nich wraz ze mną i wielu zmarłych rozpoznał. Jo-An i jego ludzie, którzy już przedtem wyprowadzili wiele koni w bezpieczne miejsce, teraz ogołocili zwłoki z broni oraz odzieży i zabrali się do ich palenia.

Nie odczułem upływu czasu. Dzień minął, chyba dochodziła już godzina Psa; walka trwała pięć do sześciu godzin.

Siły były mniej więcej równe, każda armia liczyła około dwóch tysięcy ludzi. Ale po stronie Tohan wszyscy zginęli, my natomiast mieliśmy niecałą setkę poległych oraz dwustu rannych.

Jo-An przyprowadził mi Shuna i razem z Sugitą pojechałem do lasu, gdzie czekała Kaede. Manami, zaradna jak zwykle, zdążyła już rozłożyć obóz, rozpalić ogień i zagotować wodę. Kaede klęczała na dywanie pod drzewami; między srebrnoszarymi pniami buków widniała jej wyprostowana sylwetka, okryta płaszczem włosów.

Zbliżywszy się, zobaczyłem, że ma zamknięte oczy.

Manami z błyszczącymi, zaczerwienionymi oczami wyszła nam na powitanie.

- Modli się - szepnęła. - Siedzi tak od kilku godzin.

Zsiadłem z konia i zawołałem Kaede po imieniu. Uniosła powieki, a jej twarz zakwitła radością i ulgą. Skłoniła się, dotykając czołem ziemi, poruszając ustami w bezgłośnej podzięce. Obaj z Sugitą padliśmy przed nią na kolana.

- Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo - powiedział Sugitą. - Iida Nariaki nie żyje i nic już nie stoi na przeszkodzie, byś objęła swe włości w Maruyamie.

- Jestem ci ogromnie wdzięczna za twoją lojalność i odwagę - odrzekła, po czym zwróciła się do mnie. - Jesteś ranny?

- Chyba nie.

Powoli opuszczał mnie szal bitewny, w całym ciele czułem ból. Dzwoniło mi w uszach, zapach krwi i śmierci, którym przesiąknęłam, wywoływał mdłości. Kaede w swej czystości i jasności sprawiała wrażenie nieosiągalnej.

- Modliłam się o twoje ocalenie - rzekła cicho; w obecności Sugity nie czuliśmy się swobodnie.

- Napijcie się herbaty - podpowiedziała Manami. Zdałem sobie sprawę, że w ustach całkiem mi wyschło, a na wargach zakrzepła krew.

- Jestem bardzo brudny - zacząłem, lecz włożyła mi do ręki czarkę, którą z wdzięcznością wychyliłem.

Słońce już zaszło, przejrzyste światło wieczoru zabarwiło się błękitem. Wiatr ustał i ptaki podjęły ostatnią pieśń dnia. Dobiegł mnie szelest; uniosłem wzrok i na pobliskiej polance ujrzałem w trawie zającą. Znieruchomiałem z czarką przy ustach.

Odpowiedział mi uważnym spojrzeniem wielkich, dzikich oczu i pokicał dalej. Herbata smakowała dymem i goryczą.

Gdyby wierzyć przepowiedni, mieliśmy za sobą dwie bitwy, a przed sobą trzy -
dwie wygrane i jedną przegraną.



Rozdział czwarty

Kiedy miesiąc wcześniej Shirakawa Kaede wyruszała do świątyni w Terayamie pod opieką braci Miyoshi, Muto Shizuka postanowiła odwiedzić sekretną wioskę swej plemiennej rodziny, ukrytą w górach daleko za Yamagatą. Przy pożegnaniu Kaede płakała, niemal siłą wręczyła Shizuce pieniądze, uparła się także, by ta wzięła jednego z juczych koni, którego miała przy okazji odesłać, Shizuka wiedziała jednak, że z chwilą ujrzenia Takeo, dziewczyna zaraz o niej zapomni.

Rozstanie z Kaede oraz jej pochopny zamiar poślubienia Takeo napawały Shizukę głębokim niepokojem. Jechała w milczeniu, rozważając obłęd, jakim jest miłość, oraz nieszczęścia, jakie małżeństwo młodych mogło ściągnąć na ich głowy. Nie wątpiła, że się pobiorą - teraz, gdy zrzędzeniem opatrności znów się spotkali, nic nie było w stanie ich powstrzymać. Lecz obawiała się reakcji Araiego, z chwilą zaś, gdy jej myśli zwróciły się ku panu Fujiwarze, mimo wiosennego słońca przeszył ją lodowaty dreszcz.

Wiedziała, że jedynym uczuciem arystokraty będzie uraza i gniew, i już teraz lękała się jego zemsty.

Kondo jechał obok w nie lepszym nastroju; nagła odprawa rozżłościła go i zasmuciła.

- Mogłaby mi zaufać! Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłem! Przecież przysięgałem jej wierność! Nigdy bym jej nie skrzywdził! - powtarzał raz po raz.

On też jest pod urokiem Kaede, pomyślała Shizuka, najwyraźniej jej zaufanie mu pochlebiło. Tylekroć zwracała się do niego o radę; teraz będzie się radzić Takeo.

- To Takeo polecił, byśmy wyjechali - powiedziała głośno. - I słusznie; nie może ufać żadnemu z nas.

- Niech to diabli porwą! - sarknął ponuro Kondo. - I dokąd ja teraz pójde?

Podobało mi się u pani Shirakawa. Odpowiadała mi ta posada. - Odrzucił głowę do tyłu i pociągnął nosem.

- Być może rodzina Muto znajdzie dla nas obojga nowe zadania - rzekła krótko Shizuka.

- Starzeję się i wolałbym się ustatkować. Trzeba zwolnić miejsce dla młodszych.

Szkoda, że jest ich tak niewielu! - burknął Kondo, zerkając na nią ze swym zwykłym, ironicznym uśmiechem. W jego wzroku było coś, co ją poruszyło, ciepło, kryjące się na dnie ironii; na swój ostrożny sposób chyba się do niej zalecał. Od czasu, gdy ocalił jej życie w drodze do Shirakawy, istniało między nimi pewne napięcie. Była mu ogromnie wdzięczna i kiedyś zastanawiała się nawet, czy nie pójść z nim do łóżka, lecz później nawiązała romans z doktorem Ishidą, medykiem pana Fujiwary, i nie chciała już znać nikogo więcej.

Z drugiej strony, pomyślała z żalem, powinna być realistką. Małżeństwo Kaede z Takeo skutecznie usuwało doktora Ishidę z jej, Shizuki, życia; nie miała pojęcia, czy jeszcze kiedyś go spotka. Pożegnali się serdecznie, nalegał, by jak najszybciej doń wróciła, posunął się nawet do wyznania, że będzie za nią tęsknił, ale jakże miała wrócić, skoro nie była już na służbie u Kaede i nie należała do jej domowników? Dotychczas ich romans przebiegał w najściślejszej tajemnicy, lecz gdyby Fujiwara się o nim dowiedział, życie medyka zawisłoby na włosku.

Myśl, że może już nigdy nie ujrzeć tego dobrego, mądrego człowieka, do reszty ją przygnębiła. Nie jestem lepsza od Kaede, pomyślała. W rzeczy samej, żaden wiek nie chroni przed żarem miłości.

Minęli Yamagatę i po około dwudziestu milach dotarli do wioski, gdzie zatrzymali się na noc. Kondo znał właściciela zajazdu, być może nawet był z nim spokrewniony, choć Shizuce nie chciało się tego sprawdzać. Tak jak się obawiała, wyraźnie dawał do zrozumienia, że pragnie się z nią przespać, a kiedy wymówiła się zmęczeniem, dostrzegła w jego oczach zawód. Jednak nie wywierał na nią nacisku ani do niczego jej nie zmuszał, chociaż mógł to uczynić; poczuła wdzięczność, lecz potem ogarnął ją gniew na samą siebie za to uczucie.

Niemniej następnego ranka, kiedy zostawiwszy konie w zajezdzie, ruszyli pieszo pod stromą górę, Kondo zagadnął:

- A może byśmy się tak pobrali? Byłaby z nas dobrana para. Masz dwóch chłopców, prawda? Mógłbym ich adoptować. Poza tym nie jesteśmy jeszcze za starzy na własne dzieci. Twoja rodzina chętnie się zgodzi.

Słuchała tego z ciężkim sercem, zwłaszcza, że wiedziała, iż jej rodzina istotnie by się zgodziła.

- Nie jesteś żonaty? - W jego wieku było to dość zdumiewające.

- Kiedy miałem siedemnaście lat, ożeniłem się z kobietą Kuroda. Umarła kilka lat temu. Nie mieliśmy dzieci.

Shizuka zerknęła na niego, ciekawa, czy nadal oplakuje żonę.

- Była bardzo nieszczęśliwą osobą - ciągnął. - Nie całkiem przy zdrowych zmysłach. Przez długie okresy dręczyły ją okropne lęki i koszmary, widywała demony i upiory. Kiedy byłem przy niej, czuła się lepiej, ale często musiałem wyjeżdżać, gdyż pracowałem jako szpieg dla rodziny mojej matki, Kondo, która mnie adoptowała.

Kiedyś podczas podróży zatrzymała mnie zła pogoda; gdy nie wróciłem o spodziewanej porze, żona

się powiesiła.

Po raz pierwszy Shizuka nie usłyszała w jego głosie ironii. Pojęła, że przemawia przezeń prawdziwy ból, i nieoczekiwanie dla samej siebie poczuła wzruszenie.

- Może wychowywano ją zbyt surowo - powiedział. - Często zastanawiałem się, co właściwie robimy naszym dzieciom. Pod wieloma względami to dobrze, że ich nie mam.

- Dla dziecka ćwiczenia są zabawą. Pamiętam, że byłam dumna ze swoich umiejętności i gardziłam ludźmi, którzy ich nie posiadali. Nikt nie kwestionuje sposobu, w jaki go wychowują, po prostu przyjmuje, że tak musi być.

- Ty masz talent, jesteś bratanicą i wnuczką mistrzów Muto. Ale być Kurodą, kimś poślednim, nie jest tak łatwo. A kiedy brak naturalnych uzdolnień, szkolenie bywa bardzo ciężkie. - Umilkł, po czym powiedział cicho: - Może była zbyt wrażliwa. Żadne wychowanie nie zdoła wyrugować podstawowych cech charakteru.

- Nie jestem pewna. Mimo to przykro mi, że ją utraciłeś.

- Cóż, to było dawno temu, ale wtedy zacząłem się zastanawiać nad wieloma rzeczami, których mnie nauczono. Rzadko o tym mówię. Kiedy człowiek jest członkiem Plemienia, musi być posłuszny i tyle.

- Może gdyby Takeo wychował się wśród Plemienia, nauczyłby się posłuszeństwa jak my wszyscy - zastanawiała się głośno Shizuka. - Nie znosił, gdy kazano mu słuchać rozkazów i ograniczano jego swobodę. A co zrobili Kikuta? Oddali go Akio na naukę, jakby miał dwa latka! O jego ucieczkę mogą mieć pretensje tylko do siebie. Shigeru, który od początku wiedział, jak z nim postępować, przede wszystkim zaskarbił sobie jego lojalność. Takeo wszystko by dla niego zrobił.

Jak my wszyscy, dodała w duchu i natychmiast stłumiła tę myśl. Znała wiele tajemnic pana Shigeru, rzeczy, o których wiedzieli tylko umarli, i obawiała się, że Kondo zacznie coś podejrzywać.

- Gdyby dać wiarę wszystkim opowieściom - powiedział Kondo - to trzeba przyznać, że Takeo dokonał wielkich rzeczy.

- Kondo, czyżbyś go podziwiał? Sądziłam, że nic nie robi na tobie wrażenia!

- Każdy podziwia odwagę - odparł. - W moich żyłach, podobnie jak w żyłach Takeo, również płynie zmieszana krew klanów i Plemienia. Do dwunastego roku życia wychowywało mnie Plemię, potem z pozoru stałem się wojownikiem, lecz w rzeczywistości byłem szpiegiem. Być może trochę rozumiem jego rozdarcie.

Przez chwilę szedł w milczeniu, wreszcie powiedział:

- A poza tym chyba dobrze wiesz, że zwłaszcza ty zrobiłaś na mnie wrażenie.

Był dzisiaj mniej powściągliwy, bardziej otwarcie wyrażał uczucia. Dojmująco uświadamiała sobie jego żądzę, a teraz, gdy zaczęła mu współczuć, trudno jej było dłużej się opierać. Jako kochanka

Araiego czy służąca Kaede miała pozycję i przysługującą z tego tytułu ochronę, obecnie jednak nic jej nie zostało z wyjątkiem osobistych umiejętności oraz tego mężczyzny, który ocalił jej życie i który chyba nie byłby złym mężem. Nie znalazła powodu, by dalej mu odmawiać, więc kiedy w południe zatrzymali się na posiłek, pozwoliła mu zaprowadzić się w cień drzew.

Owiewał ich miękki wiatr, niosący zapach cedru i sosnowego igliwia, grzało słońce, z oddali dobiegał stłumiony plusk wodospadu. Wszystko mówiło o nowym życiu i wiosnie.

Mimo obaw Shizuki Kondo nie był złym kochankiem, choć w porównaniu z Ishidą przejawiał zbytnią szorstkość i pośpiech. Cóż, jeśli tak ma być, pomyślała, to muszę jakoś się z tym pogodzić.

Lecz wówczas zachnęła się: Co się ze mną dzieje? Czyżbym się nagle zestarzała?

Rok temu pogoniłabym takiego Kondo gdzie pieprz rośnie - ale rok temu sądziłam jeszcze, że należę do Araiego. Tyle się wydarzyło od tamtej pory, tyle intryg, tyle śmierci; Shigeru i Naomi zginęli, a ja musiałam udawać, że mnie to nie obchodzi, nie wolno mi było płakać nawet wtedy, gdy ojciec moich dzieci chciał mnie zamordować, nawet wtedy, gdy myślałam, że Kaede umrze...

Nie po raz pierwszy poczuła się chora od udawania, bezwzględności, okrucieństwa. Wspomniała Shigeru i jego pragnienie pokoju i sprawiedliwości, Ishidę, który chciał uzdrawiać, a nie zabijać, i poczuła, że jej serce ściska się z bólu, jakiego sobie dotąd nie wyobrażała. Jestem stara, pomyślała. W przyszłym roku skończę trzydzieści lat.

Zakłuło ją pod powiekami i uświadomiła sobie, że płacze. Po twarzy pociekły jej łzy. Kondo, zdezorientowany, przytulił ją mocniej do siebie. Na jego piersi pod jej policzkiem utworzyła się maleńka kałuża, lśniąca wilgocią na tle tatuaży w kolorze sepii i cynobru, pokrywających jego ciało.

W końcu Shizuka wstała. Zmoczyła kawałek płótna w lodowatym źródle pod wodospadem i umyła twarz, po czym zaczerpnęła w dłonie wody, żeby się napić. Nie licząc skrzeczenia żab i nieśmiałego grania pierwszych cykad, w lesie panowała cisza.

Robiło się chłodniej; musieli się pośpieszyć, jeśli chcieli dotrzeć do celu przed zapadnięciem nocy.

Gdy wróciła, Kondo przygotował już węzełki i przytroczył je do kija, który teraz zarzucił na ramię.

- Wiesz, nie wierzę, byś mogła skrzywdzić Takeo - powiedział, gdy znaleźli się na ścieżce; musiał podnieść głos, ponieważ Shizuka jako znająca drogę szła przodem. - Nie sądzę, byś była w stanie go zabić.

- A czemu nie? - rzekła, odwracając głowę. - Zabijałam już nie raz!

- Znam twoją reputację! Ale gdy mówisz o Takeo, rysy ci łagodnieją, jakbyś mu współczuła. Nie wierzę też, byś zrobiła coś złego pani Shirakawa, zbyt serdeczny masz do niej stosunek.

- Wszystko widzisz! Wszystko o mnie wiesz! Czy aby na pewno nie jesteś lisem demonem?

Zastanawiała się, czy odkrył jej romans z Ishidą, modliła się, by o tym nie wspomniał.

- W moich żyłach również płynie krew Plemienia - powiedział.

- Unikając Takeo, nie narażę się na wewnętrzny konflikt - odparła. - I tobie radzę to samo. - Przez chwilę milczała, po czym dodała raptownie: - Chyba rzeczywiście mu współczuję.

- A ludzie mówią, że nie znasz litości! - W głosie Kondo znów pojawił się cień drwiny.

- Jednak wciąż porusza mnie cierpienie. Nie takie, które ludzie ściągają na siebie przez własną głupotę, ale ciosy zadawane przez los.

Zbocze stawało się coraz bardziej strome; poczuła, że braknie jej tchu, więc zamilkła, lecz jej myśli przez cały czas zaprzętały więzi łączące jej życie z Takeo i Kaede oraz z przeznaczeniem Otori.

Kiedy stromizna złagodniała, a ścieżka zrobiła się szersza, Kondo znów znalazł

się u jej boku. Wówczas Shizuka rzekła:

- Wydaje mi się, że sposób, w jaki wychowali Takeo Ukryci, jego późniejsza adopcja do klasy wojowników oraz wymagania Plemienia to trzy elementy życia Takeo, których nie da się pogodzić. Prędzej rozedrże się na strzępy. A to małżeństwo przysporzy mu jeszcze więcej wrogów.

- Cóż, nie pożyje długo. Prędzej czy później ktoś go upoluje.

- Któż to wie? - odparła z bez troską, której nie czuła. - Niewykluczone, że nikt nie zdoła go zabić, bo nikomu nie uda się do niego zbliżyć.

- W drodze do Terayamy próbowano dwa razy. Daremnie; zginęło trzech ludzi.

- Nic o tym nie mówiłeś!

- Bałem się, że pani Shirakawa się przestraszy i znowu rozchoruje. Ale każdy kolejny trup powoduje, że wściekłość wobec Takeo rośnie. Ja nie chciałbym tak żyć.

Rzeczywiście, pomyślała Shizuka, nikt z nas by nie chciał. Wolelibyśmy żyć bez intryg i podejrzeń. Wolelibyśmy spokojnie spać w nocy, nie obawiając się każdego nieznanego dźwięku, nie lękając się noża zza węgła, trucizny w jedzeniu, niewidocznego łuczника w lesie. W tajemnej wiosce przynajmniej przez kilka tygodni mogła być bezpieczna.

Słońce chyliło się ku zachodowi, ciepły blask przenikał między pniami cedrów, które na jego tle wydawały się czarne. Poszycie lasu tonęło w powodzi światła. Shizuka od kilku minut miała świadomość, że ktoś za nimi idzie.

To pewnie dzieci, pomyślała i bardzo wyraźnie przypomniała sobie, jak będąc dzieckiem, doskonaliła swoje talenty w tej właśnie okolicy. Znała tu każdy kamień, każde drzewo, każdą fałdę terenu.

- Zenko! Taku! - zawołała. - Czy to wy?

Jedyną odpowiedzią był stłumiony chichot. Miała wrażenie, że słyszy kroki, gdzieś w oddali osypały się kamienie. Najwyraźniej dzieci pobiegły do domu skrótem, prowadzącym przez grań, podczas gdy ona i Kondo trzymali się krętej ścieżki. Shizuka uśmiechnęła się pod nosem, usiłując się otrząsnąć z ponurego nastroju. Miała synów; zamierzała uczynić to, co będzie dla nich najlepsze. I zamierzała słuchać rad swych dziadków, robić wszystko, co jej kazali. Posłuszeństwo przynosiło pewne ukojenie, a dla Plemienia, jak mówił Kondo, było rzeczą najważniejszą.

Ponownie stłumiła myśl o swym dawnym, niewybaczalnym wykroczeniu, mając nadzieję, że umarli zabrali jej tajemnicę do grobu.

Skręcili z głównego traktu i przekroczywszy stertę kamieni, weszli na boczną dróżkę, wijącą się dnem skalnego wąwozu. Na jego końcu dróżka zakręcała po raz ostatni i ostro schodziła w dół. Shizuka zatrzymała się na chwilę, jak zwykle urzeczona nagłym widokiem zielonej kotliny, zamkniętej wśród posępnych górskich szczytów.

Lekka mgiełka, po części wstający ze strumienia opar, po części dym z domowych palenisk, spowijała leżącą poniżej garstkę domów, gdy jednak znaleźli się na ścieżce prowadzącej przez pola, okazało się, że budynki, otoczone solidnym drewnianym ogrodzeniem, wznoszą się wysoko nad nimi.

Brama była otwarta, a strzegący jej wartownicy życzliwie powitali Shizukę.

- Hej! Witaj w domu!

- To tak teraz wita się gości? Co za beztroska! A gdybym była szpiegiem?

- Twoi synowie już nam powiedzieli, że idziesz - rzekł jeden z wartowników. -

Widzieli cię na górze.

Ogarnęła ją błoga ulga. Dopiero teraz zdała sobie sprawę ze swego nieustającego niepokoju o dzieci. Na szczęście były żywe i zdrowe.

- To jest Kondo... - urwała, uświadamiając sobie, że nie zna jego imienia.

- Kondo Kiichi - dokończył. - Moim ojcem był Kuroda Tetsuo.

Wartownicy zmrużyli oczy. Momentalnie przyjęli do wiadomości jego imię, umiejscowili go w hierarchii Plemienia i zaklasyfikowali stosownie do wyglądu i rodowodu. Zapewne byli jej braćmi lub dziećmi jej rodzeństwa; wychowała się z nimi, gdy spędzała całe miesiące u dziadków, przysyłana w dzieciństwie na szkolenia.

Rywalizowała z nimi, obserwowała ich, w końcu przechytrzyła, potem jednak los zawiódł ją do Kumamoto i Araiego.

- Uważaj na Shizukę - syknął do Kondo wartownik. - Wolałbym przespać się ze żmiją!

- Na to z pewnością masz większe szanse - odcięła się ze śmiechem.

Kondo nic nie powiedział, jedynie spojrział na nią z ukosa, unosząc brew.

Z zewnątrz budynki w wiosce sprawiały wrażenie zwykłych gospodarstw o stromych strzechach, zbudowanych z wyblakłych cedrowych belek. W otwartych szopach za nimi widniały starannie poukładane narzędzia rolnicze, drewno na opał, worki ryżu i trzciniowe łądygi. Zewnętrzne okna okrywały drewniane okiennice, stopnie przy wejściach ułożono z grubo ciosanych górskich gładów. Lecz wnętrza tych domostw kryły wiele sekretów: ukryte przejścia i drzwi, tunele i piwnice, fałszywe szafy i podłogi, pod którymi, w razie konieczności, mogła ukryć się cała społeczność.

Niewielu ludzi wiedziało o istnieniu wioski, jeszcze mniej umiałoby tu trafić, a przecież rodzina Muto była zawsze przygotowana na atak. Tu również, zanurzone w starożytnej tradycji Plemienia, wychowywały się ich dzieci.

Samo wspomnienie sprawiło, że Shizukę przeszył mimowolny dreszcz. Serce zabiło jej szybciej. Nic, co później przeżyła, nawet walka na zamku w Inuyamie, nie mogło się równać z emocjami owych dziecięcych gier i zabaw.

Główny budynek położony był pośrodku wioski i rodzina już zgromadziła się przed wejściem, by ją powitać: dziadek i obaj synowie Shizuki, a obok nich, ku jej zaskoczeniu i radości, stryj Muto Kenji.

- Dziadku, stryju - przywitała się grzecznie, zamierzając przedstawić Kondo, lecz młodszy chłopiec podbiegł do niej podniecony i objął ją w pasie.

- Taku! - skarcił go starszy brat, po czym rzekł z powagą: - Witaj, matko. Bardzo dawno cię nie widzieliśmy.

- Chodźcie, niech wam się przyjrzę! - zawołała, zachwycona ich wyglądem.

Zenko, który na początku roku skończył dwanaście lat, sporo urósł i utracił dziecięcą pulchność, Taku był od brata o dwa lata młodszy, lecz i on wyglądał na umięśnionego i silnego. Obaj patrzyli na nią śmiało i otwarcie.

- Zaczyna przypominać swego ojca - rzekł Kenji, klepiąc Zenko po ramieniu.

Rzeczywiście, pomyślała Shizuka, patrząc na starszego syna, to wypisz wymaluj Arai. Taku miał więcej cech Muto, poza tym, inaczej niż u brata, jego dłoń przecinała prosta linia rodziny Kikuta. Być może zdążył już wykształcić ostry słuch i inne zdolności, ale tego zamierzała dowiedzieć się później.

Tymczasem Kondo klęknął przed mistrzami Muto i przedstawił się, mówiąc, jak się nazywa i skąd pochodzi.

- To on ocalił mi życie - rzekła Shizuka. - Może wiecie, że próbowano mnie zamordować.

- Nie ciebie jedną - wtrącił Kenji, patrząc na nią znacząco, jakby chciał ją uciszyć; w rzeczy samej, w obecności chłopców nie powinna mówić zbyt wiele. - Później porozmawiamy. Cieszę się, że cię widzę.

Weszła pokojówka z miską wody, aby obmyć z kurzu stopy wędrowców.

- Jesteśmy ci winni wdzięczność - zwrócił się do Kondo dziadek Shizuki - i serdecznie cię witamy. Ja zresztą poznałem cię już dawno, lecz byłeś wtedy jeszcze dzieckiem i pewnie nic nie pamiętasz. Proszę, wejdź i zjedz z nami.

Gdy Kondo ruszył za starszym panem do środka, Kenji zagadnął Shizukę półgłosem:

- Co się dzieje? Skąd się tu wzięłaś? Czy coś się stało pani Shirakawa?

- Jak widzę, wciąż masz do niej słabość - westchnęła Shizuka. - Jest cała i zdrowa.

Dołączyła do Takeo w Terayamie; zapewne wkrótce się pobiorą - podkreślam, że wbrew moim radom. To nieszczęście dla nich obojga.

Kenji sapnął cicho. Odniosła wrażenie, że na jego twarzy dostrzega cień uśmiechu.

- Nieszczęście, owszem, zapewne - mruknął. - Ale pisane przez los.

Weszli do domu. Taku pobiegł przodem poprosić prababkę, by przyniosła wino i czarki, Zenko został z tyłu, idąc spokojnie u boku Kondo.

- Dziękuję, że uratowałaś życie mojej matce - rzekł z powagą - Jestem twoim dłużnikiem.

- Mam nadzieję, że się bliżej poznamy i zostaniemy przyjaciółmi - odparł Kondo.

- Lubisz polować? Może zabierzesz mnie w góry? Od miesiący nie jadłem mięsa.

Chłopiec zgodził się z radością.

- Czasami używamy sideł, a w późniejszej porze roku sokołów. Może wtedy będziesz jeszcze z nami?

To już mężczyzna, pomyślała Shizuka. Gdybym tylko mogła go chronić, gdybyż obaj na zawsze pozostali dziećmi!

Weszła babka, niosąc wino. Shizuka wzięła od niej tacę i obsłużyła mężczyzn, po czym poszła za staruszką do kuchni, z rozkoszą wdychając znajomy zapach. Służące, jej krewne, powitały ją serdecznie i nie pozwoliły jej nic robić, mimo że jak zawsze chciała pomóc przy posiłku.

- Jutro, jutro się napracujesz - zaśmiała się babka. - Dzisiaj jesteś gościem honorowym.

Shizuka przysiadła na drewnianym schodku między kuchnią a podestem, na którym zbudowano pozostałą część domu. Dobiegł ją pomruk rozmowy mężczyzn i wysokie głosy chłopców. Zenko przechodził mutację.

- Może się napijemy? - zachichotała babka. - Nie spodziewaliśmy się ciebie, lecz tym milej cię widzieć. Ale z niej klejnot, co? - zwróciła się do służących, które potwierdziły ochoczo.

- Shizuka jest jeszcze ładniejsza niż zwykle - powiedziała Kana. - Mogłaby być siostrą chłopców, a nie ich matką.

-I w dodatku przyprowadziła przystojnego mężczyznę - roześmiała się Miyabi. -

Naprawdę ocalił ci życie? To historia jak z bajki.

Shizuka uśmiechnęła się i wypijała wino, chwilowo szczęśliwa, że jest w domu i znów słyszy syczący dialekt krewniaczek, które natarczywie domagały się plotek i nowin.

- Powiadają, że pani Shirakawa jest najpiękniejszą kobietą w Trzech Krainach -

zagadnęła Kana. - Czy to prawda?

Shizuka wychyliła kolejną czarę, czując, jak ciepło rozlewa się jej w żołądku i niesie pogodną wiadomość w głąb ciała.

- Nie do wiary, jaka jest piękna. Mówicie, że ja wyładniałam, ale mężczyźni, którzy na mnie patrzą, chcą tylko przespać się ze mną, a patrząc na Shirakawa Kaede, popadają w rozpacz. Nie mogą znieść, że takie piękno istnieje i że nigdy go nie posiadają.

Mówię wam, byłam znacznie dumniejsza z jej urody niż z własnej.

- Powiadają, że rzuca na mężczyzn urok - powiedziała Miyabi - a kto jej pożąda, ginie.

- Na pewno rzuciła urok na twego stryja - zachichotała staruszka. - Gdybyś słyszała, jak o niej mówi...

- Czemu ją opuściłaś? - zapytała Kana, zręcznym ruchem wrzucając do naczynia na parze cienutko pokrojone warzywa.

- Ona sama padła ofiarą uroku miłości. Związała się z Otori Takeo, tym chłopcem Kikuta, przez którego jest tyle kłopotów. Uparli się, że się pobiorą. Kazał odejść Kondo i mnie, bo Kikuta wydali na niego wyrok.

Kana pisnęła i jęła dmuchać na oparzone palce.

- Och, jaka szkoda - westchnęła Miyabi. - To znaczy, że oboje są zgubieni.

- A czego się spodziewasz? - fuknęła Shizuka. - Wiesz, jakie są kary za nieposłuszeństwo. - Poczła pod powiekami pieczenie, jakby zaraz miała się rozplakać.

- Dobrze już, dobrze - wtrąciła babka, łagodniej niż Shizuka zapamiętała. - Miałaś długą podróż. Jesteś zmęczona. Jedz i nabieraj sił. Wieczorem Kenji pewnie zechce z tobą porozmawiać.

Kana nałożyła do miseczki porcję ryżu z garnka i zwieńczyła go garstką zieleniny z gór: łopianu, pędów paproci i grzybów. Shizuka jadła, siedząc na schodku, jak to często robiła, będąc dzieckiem.

Miyabi zapytała niepewnie:

- Muszę przygotować posłania, ale... gdzie będzie spał nasz gość?

- Niech idzie do mężczyzn - odrzekła Shizuka z ustami pełnymi ryżu. - Rozmowa ze stryjem może długo potrwać.

Gdyby spała z Kondo pod rodzinnym dachem, równałoby się to ogłoszeniu małżeństwa. Nie była pewna, czy tego chce; nie zamierzała nic robić, póki nie poradzi się Kenjiego.

Babka poklepała ją po dłoni, patrząc na nią błyszczącymi, pogodnymi oczyma, po czym dołała jej wina, a gdy jedzenie było gotowe i dziewczęta zaniósły tace mężczyznom, podniosła się na nogi.

- Przejdź się ze mną do kapliczki. Chciałabym złożyć ofiarę w podziękę za twój szczęśliwy powrót.

Zawinęła w szmatkę kilka kulek ryżu i flaszeczkę wina. Idąc obok Shizuki, robiła wrażenie mniejszej, poruszała się też wolniej, wdzięczna, że może się wesprzeć na ramieniu wnuczki.

Zapadała noc, ludzie wracali do domów na wieczorny posiłek. Przy bramie jednego z budynków rozszczerzył się pies, który w podskokach podbiegł do idących; po chwili przywołał go kobiecy głos i rozległo się wesołe pozdrowienie. Z gęstego zagajnika wokół kaplicy dobiegało pohukiwanie sów, a czujne uszy Shizuki wychwyciły wysoki pisk nietoperzy.

- Nadal je słyszysz? - zapytała babka, wpatrując się z natężeniem w śmigające cienie. - A ja ledwie je widzę! To twoja krew Kikuta.

- Mój słuch nie jest szczególnie dobry - odparła Shizuka. - A szkoda.

Nad brzegiem płynącego przez zagajnik strumyka migotały świetliki. Wśród drzew zamajaczyła brama, cynobrowa w gasnącym świetle. Kobiety przeszły pod jej łukiem, po czym umyły ręce przy źródle i wypłukały usta. Nad misą, wykonaną z czarnogranatowego kamienia, czuwał smok z kutego żelaza; źródłana górską wodą była lodowata i bardzo czysta.

Kaplica robiła wrażenie opustoszałej, choć przed ołtarzem paliły się lampiony.

Stara kobieta złożyła ofiarę na drewnianym podeście u stóp posągu Hachimana, boga wojny. Skłoniła się dwukrotnie, trzykrotnie klasnęła w dłonie i trzykrotnie powtórzyła rytuał. Idąc w jej ślady, Shizuka pomodliła się o boską ochronę, jednak nie dla siebie ani dla rodziny, lecz dla Kaede i Takeo, w czasie wojen, które z pewnością miały ich ogarnąć. Poczowała lekki wstyd; ucieszyła się niemal, że nikt nie czyta w jej myślach - nikt, oprócz samego boga.

Babka stała nieruchomo, patrząc w niebo. Jej twarz wydawała się równie stara jak drewniana figura i równie przepełniona życiodajną mocą. Promieniowała z niej taka siła i wytrwałość, że Shizuka poczuła przyływ czci i miłości. W starych ludziach gromadziła się mądrość pokoleń - być może ona, Shizuka, zdoła zaczerpnąć trochę tej mądrości?

Przez kilka chwil stały bez ruchu, lecz wtem dobiegł je odgłos krzątania, skrzywienie odsuwanych

drzwi i kroki na ganku. Z kaplicy wyszedł kapłan, już przebrany w nocne szaty.

- Nie spodziewałem się nikogo tak późno - przeprosił. - Wejdźcie i wypijcie z nami herbatę.

- Moja wnuczka wróciła.

- Ach, Shizuka! Dawno cię nie widziałem. Witaj w domu!

Spędziły trochę czasu z kapłanem i jego żoną, dzieląc się bieżącymi nowinami i plotkami, aż w końcu babka powiedziała:

- Kenji już pewnie jest gotowy. Nie dajmy mu na siebie czekać.

Kiedy wracały, większość domów była ciemna i cicha. O tej porze roku ludzie kładli się spać wcześniej i wstawali przed świtem, by zdążyć z wiosennym przygotowaniem i obsadzaniem pól ryżowych. Shizuka przypomniawszy sobie, że jako młoda dziewczyna wiele razy brodziła po kostki w wodzie, sadząc flance i dzieląc się z nimi swoją młodością i płodnością, podczas gdy na brzegu starsze kobiety śpiewnie recytowały tradycyjne pieśni. Czy była już za stara, by znów wziąć udział w wiosennym sadzeniu?

Czy gdyby poślubiła Kondo, byłaby za stara, aby urodzić kolejne dziecko?

Zastały dziewczęta w kuchni na sprzątanii i szorowaniu naczyń. Taku siedział

na starym miejscu Shizuki i kiwał się sennie, z trudem unosząc powieki.

- Ma dla ciebie wiadomość - roześmiała się Miyabi. - Nie chciał jej przekazać nikomu innemu!

Shizuka usiadła obok syna i połaskotała go w policzek.

- Posłańcy nie mogą zasypiać - zakpiła czule.

- Stryj Kenji jest gotowy i czeka, żeby z tobą porozmawiać - oznajmił dostojnie Taku, lecz natychmiast ziewnął rozdzierająco, psując cały efekt. - Jest w pokoju dziennym razem z dziadkiem, pozostali poszli spać.

- Co i tobie radzę - powiedziała Shizuka, obejmując go i przytulając.

Taku rozluźnił się niczym dziecko, ufnie wtulając głowę w jej piersi, lecz już po chwili zaczął się wiercić.

- Mamo, nie każ stryjowi Kenjiemu czekać - mruknął stłumionym głosem.

Roześmiała się i puściła go.

- Idź spać.

- Rano będziesz tu jeszcze? - zapytał i znowu ziewnął.

- Oczywiście!

Obdarzył ją słodkim uśmiechem.

- Jutro pokażę ci wszystko, czego się nauczyłem, kiedy cię nie było.

- Twoja matka nieźle się zdziwi - dodała Miyabi. Shizuka odprowadziła młodszego syna do pokoju kobiet, gdzie wciąż jeszcze sypiał. Dzisiaj, myślała, będzie go miała przy sobie, usłyszy w nocy jego dziecięcy odddech, a rano, po przebudzeniu, ujrzy jego swobodnie rozrzucone kończyny i potargane włosy. Tak bardzo stęskniła się za tym widokiem.

Zenko nocował już z mężczyznami; słyszała, jak wypytywał Kondo o bitwę pod Kushimoto, gdzie ten walczył u boku Araiego, i wyczuła w jego głosie nutę dumy, gdy mówił, kto jest jego ojcem. Co naprawdę wiedział o wojnie, którą Arai wydał

Plemieniu? O zamachu zorganizowanym na jej, Shizuki, życie?

Co z nimi będzie? - zmartwiła się. Czy mieszana krew stanie się dla nich taką samą tragedią, jak dla Takeo?

Życzyła Taku dobrej nocy, przeszła przez pokój i odsunęła drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie czekali już na nią stryj i dziadek. Dotknęła czołem maty; Kenji uśmiechnął się i skinął głową bez słowa, po czym spojrzał na ojca, unosząc pytająco brew.

- No cóż - rzekł stary pan. - Muszę zostawić was samych. Pomagając mu wstać, Shizuka z przykrością zauważyła, że on także bardzo się postarzał.

- Dobranoc, dziecko - powiedział przy drzwiach, gdzie już czekała nań Kana, by przygotować go do snu. - Jaka to ulga, że jesteś u nas, bezpieczna w ten mroczny czas.

Ale jak długo będziemy gdziekolwiek bezpieczni?

- Chyba dziadek zbyt czarno widzi - rzekła Shizuka, wracając do stryja. - Gniew Araiego przeminie. Prędzej czy później zrozumie, że nie zdoła pozbyć się Plemienia i że jak każdy władca potrzebuje szpiegów. Jakoś się z nami ułoży.

- Zgadzam się. Wszyscy sądzimy, że na dłuższą metę Arai nie stanowi problemu.

Tak jak mówisz, z łatwością możemy przeczekać w ukryciu, aż ochłonie. Ale jest inna sprawa, która może okazać się znacznie poważniejsza. Podobno Shigeru zostawił

spadek, jakiego nikt się nie spodziewał: Kikuta są przekonani, że sporządził spis naszych siatek i ich członków, a teraz te notatki znajdują się w posiadaniu Takeo.

Shizuka poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Miała wrażenie, iż ożywiła przeszłość przez sam

fakt, że o niej myślała.

- Czy to możliwe? - szepnęła, usiłując oddychać jak zwykle.

- Mistrz Kikuta, Kotaro, jest tego pewien. Pod koniec zeszłego roku wysłał Takeo do Hagi pod nadzorem Akio, każąc mu odszukać notatki i dostarczyć je Plemieniu.

Podobno Takeo wszedł do domu Shigeru i rozmawiał z Ichiro, ale potem jakoś zdołał

umknąć Akio i przedostał się do Terayamy. Po drodze zabił dwóch naszych ludzi i wojownika Otori.

- Wojownika Otori? - powtórzyła Shizuka zdumiona.

- Tak. Rodzina Kikuta zacieśniła związki z klanem Otori, po pierwsze, by razem stawić opór Araiemu, po drugie, by zgładzić Takeo.

- A rodzina Muto?

Kenji odchrząknął. - Jeszcze nie podjąłem decyzji.

Shizuka uniosła brwi, ciekawa dalszych słów stryja.

- Kotaro przypuszcza, że zapiski były przechowywane w świątyni w Terayamie, co, gdy się zastanowić, wydaje się oczywiste. Ten podstępny starzec Matsuda nie zaniechał intryg, nawet kiedy został kapłanem, a oprócz tego był bardzo blisko z Shigeru. Chyba nawet przypominam sobie szkatułkę, w której Shigeru przewoził te papiery. Nie mam pojęcia, jak mogłem to przeoczyć! Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że miałem wtedy inne rzeczy na głowie. Kikuta są na mnie wściekli, a ja wyszedłem na idiotę. - Uśmiechnął się mimowolnie. - Shigeru mnie okpił, mnie, którego kiedyś nazywano Lisem!

- To by wyjaśniało, dlaczego wydali na Takeo wyrok śmierci - rzekła Shizuka. -

Sądziłam, że to kara za nieposłuszeństwo; wydawała mi się zbyt okrutna, chociaż mnie nie zdziwiła. Ale gdy usłyszałam, że oddano go pod nadzór Akio, wiedziałam, że będą z tego kłopoty.

- Moja córka też tak sądziła. Jeszcze kiedy Takeo przebywał w naszym domu w Yamagacie, Yuki przesłała mi wiadomość. Takeo przechytrzył wtedy moją żonę i uciekł

na całą noc do miasta; nic specjalnego się nie stało, rano wrócił, ale Yuki napisała, że jej zdaniem on i Akio niechybnie pozabijają się nawzajem. Prawdę mówiąc, Akio faktycznie był o włos od śmierci. Ludzie Muto Yuzuru wyciągnęli go z rzeki podtopionego i półżywego z zimna.

- Szkoda, że Takeo go nie wykończył! - nie zdołała się powstrzymać Shizuka.

Kenji uśmiechnął się bezradośnie.

- Obawiam się, że w pierwszej chwili ja również tak zareagowałem. Akio twierdzi, że usiłował

jedynie przeszkodzić Takeo w ucieczce, jednak później dowiedziałem się od Yuki, że już wcześniej dostał polecenie, by go zabić, miał się tylko dowiedzieć, gdzie są zapiski.

- Ale dlaczego? - zapytała Shizuka. - Co im przyjdzie z jego śmierci?

- Sytuacja nie jest prosta. Pojawienie się Takeo zakłóciło spokój wielu ludzi, zwłaszcza w rodzinie Kikuta. A jego nieposłuszeństwo i lekkomyślność jeszcze pogarszają sprawę.

- Moim zdaniem Kikuta są zbyt surowi. Ty dawałeś mu zawsze dużo swobody...

- To jedyny sposób, żeby go okiełznać. Pojąłem to od razu po przybyciu do Hagi.

Takeo ma prawidłowe odruchy, zrobi wszystko dla człowieka, który zdobędzie jego lojalność, lecz nie można go do niczego zmusić. Prędeż pęknie, niż się ugnie.

- To pewnie kolejna cecha Kikuta - mruknęła Shizuka.

- Być może - westchnął Kenji i wpatrzył się w mrok. - Dla prawdziwych Kikuta świat jest czarno-biały - rzekł po dłuższej chwili. - Kto nie jest posłuszny, ten ginie; śmierć to jedyne lekarstwo na głupotę; i tak dalej, i tak dalej. Tak są wychowani.

Jeśli Kikuta kiedykolwiek odkryją, jaką rolę odegrałam w całej tej historii, z pewnością zabiją i mnie, pomyślała Shizuka. Kenjiemu też nie ośmielię się nic powiedzieć.

- Więc nie dość, że Takeo jest stracony dla Plemienia, to w dodatku wie coś, co może nas zgubić?

- Tak, i dzięki tej wiedzy prędzej czy później kupi sobie sojusz z Araith.

- Nie pozwolą mu pozostać przy życiu - rzekła Shizuka ze smutkiem.

- Jak dotąd, nieźle sobie radzi. Kikuta nawet nie przypuszczali, że tak trudno będzie się go pozbyć. - Shizuka odniosła wrażenie, że w smutnym głosie stryja słyszy ton przekornej dumy. - I posiadał sztukę otaczania się oddanymi ludźmi. Połowa młodych wojowników Otori przekroczyła granicę, by dołączyć doń w Terayamie.

- Jeśli pobiorą się z Kaede, a jestem pewna, że tak będzie, Araith wpadnie w szal.

Zapiski Shigeru mogą nie wystarczyć, by go udobruchać.

- Cóż, znasz Araithego lepiej niż ktokolwiek inny. Pozostaje też kwestia twoich synów. Nie mówiłem im, że ich ojciec kazał cię zabić, ale prędzej czy później z pewnością się o tym dowiedzą. Taku się nie przejmie, całą duszą należy do Plemienia, ale Zenko wielbi ojca. Nie jest taki zdolny jak Taku i z wielu względów byłoby lepiej, gdyby wychowywał go Araith. Czy to w ogóle możliwe?

- Nie wiem - odparła Shizuka. - Zapewne im więcej ziem podbije Araith, tym więcej będzie potrzebował synów.

- Trzeba kogoś wysłać, żeby się dowiedział, jak Arai reaguje na małżeństwo Takeo i na awanse Otorich, a także rozeznał się w jego uczuciach do chłopców. Jak sądzisz, może Kondo pojedzie?

- Czemu nie? - odrzekła Shizuka z ulgą.

- On chyba cię lubi. Wyszłabyś za niego?

- Pragnie tego - przyznała. - Ale powiedziałam, że muszę się ciebie poradzić.

Chciałabym się jeszcze zastanowić.

- Nie ma sensu nic robić pochopnie - zgodził się Kenji. - Odpowiesz mi, kiedy wróci. - W jego oczach błysnęło uczucie, którego nie zdołała odczytać. - Do tej pory i ja postanowię, co robić dalej.

Shizuka nie odpowiedziała, uważnie wpatrując się w twarz Kenjiego w świetle lampy, próbując złożyć w jedno informacje, których jej udzielił, rozszyfrować zarówno to, co mówił, jak i to, co przemilczał. Wyczuwała, że stryj cieszy się, iż może jej szczerze powiedzieć, co go martwi; domyślała się, że nie rozmawiał nawet z rodzicami. Zdając sobie sprawę z serdeczności, jaką ongiś darzył Shigeru, rozumiała, że jest rozdarty, musząc uczestniczyć w polowaniu na Takeo. Nie słyszała dotychczas, aby jakikolwiek członek Plemienia tak otwarcie mówił o rozłamie wśród mistrzów.

Czy Plemię zdoła przetrwać konflikt między rodzinami Muto i Kikuta? Jej zdaniem było to znacznie większe zagrożenie niż poczynania Takeo lub Araiego.

- Gdzie jest teraz twoja córka? - zapytała.

- O ile mi wiadomo, w jednej z sekretnych wiosek Plemienia na północ od Matsue. - Kenji urwał, po czym cicho, niemal z bólem dodał: - Na początku roku Yuki poślubiła Akio.

- Akio?! - Shizuka nie potrafiła powstrzymać okrzyku.

- Tak. Biedaczka. Kikuta nalegali i nie dało się ich dłużej zwodzić. O małżeństwie tych dwojga mówiło się, odkąd byli dziećmi. Nie miałem żadnych rozsądnych powodów, by odmawiać, jedynie irracjonalne przeczucia ojca jedynaczki. Moja żona ich nie podziela; wręcz przeciwnie, bardzo popiera ten związek, zwłaszcza że Yuki jest w ciąży.

- Z Akio? - zdumiała się Shizuka.

Stryj pokręcił głową w milczeniu; Shizuka nigdy jeszcze nie widziała, by do tego stopnia zaniemówił.

- Chyba nie z Takeo?

Przytaknął. Lampy zamigotały, w domu panowała cisza.

Shizuka nie miała pojęcia, co powiedzieć. Potrafiła jedynie myśleć o utraconym dziecku Kaede i pytaniu, które dziewczyna zadała jej w ogrodzie w Shirakawie: Czy zabraliby moje dziecko tak, jak

zabrali Takeo? To, że Plemię sięgnęło jednak po dziecko Takeo, wydało się jej czymś zgoła nadprzyrodzonym, okrutnym zrzędzeniem losu, którego istoty ludzkie nie mogą uniknąć, choćby nie wiadomo jak się starały.

Kenji zaczerpnął głęboko tchu.

- Yuki zadurzyła się w Takeo jeszcze w Yamagacie - podjął - i stanowczo opowiedziała się po jego stronie przeciwko mistrzowi Kikuta i mnie. Jak sobie pewnie wyobrażasz, decyzja, by porwać Takeo w Inuyamie przed planowanym zamachem na Iidę, była dla mnie źródłem nieustannej udręki. Zdradziłem Shigeru i chyba nigdy nie wybaczę sobie roli, jaką odegrałem w jego pojmaniu. Całymi latami uważałem go za najbliższego przyjaciela. A jednak w imię jedności Plemienia spełniłem życzenie rodziny Kikuta i wydałem Takeo w ich ręce. Między nami mówiąc, z radością byłbym zginął w Inuyamie, gdybym mógł w ten sposób zatrzeć swoją hańbę. Nie mówiłem o tym z nikim oprócz ciebie. Oczywiście, Kikuta są zachwyceni, że dziecko zostanie u nich. Urodzi się w siódmym miesiącu; mają nadzieję, że odziedziczy zdolności obojga rodziców. Ich zdaniem, przyczyną niedostatków Takeo jest jego wychowanie, a skoro tym dzieckiem zajmą się od urodzenia...

Urwał. Milczenie w pokoju stawało się coraz cięższe.

- Powiedz coś, bratanico, choćby, że dobrze mi tak!

- Nie mnie oceniać, czy postąpiłeś słusznie - odparła cicho. - Przykro mi, że musiałeś tyle wycierpieć. Zdumiewa mnie sposób, w jaki los nami gra, niczym pionkami na planszy.

- Widujesz czasem duchy?

- Śni mi się pan Shirakawa - przyznała po dłuższej przerwie. - Wiesz, że Kondo i ja przyczyniliśmy się do jego śmierci, aby ocalić ciężarną Kaede.

Usłyszała syk wciąganego oddechu, lecz stryj nie odzywał się, więc po chwili dodała:

- Ojciec Kaede stracił rozum, niewiele brakowało, a byłby ją zgwałcił, a potem zabił. Chciałam ratować życie jej i dziecka. Ale i tak poroniła, a potem prawie umarła; nie wiem, czy w ogóle pamięta, co zrobiliśmy. Bez wahania znów postąpiłabym tak samo, ale z jakiegoś powodu to wspomnienie mnie prześladowuje, może dlatego, że dotąd z nikim o tym nie rozmawiałam, nawet z Kondo.

- Skoro chodziło o jej życie, twój czyn był usprawiedliwiony.

- To była jedna z takich chwil, kiedy nie ma czasu na myślenie. Kondo i ja działaliśmy odruchowo. Nigdy przedtem nie zabiłam kogoś tak wysokiej rangi. Mam uczucie, że popełniłam straszną zbrodnię.

- Cóż, a ja mam uczucie, że zbrodnią była zdrada, jakiej się dopuściłem wobec Shigeru. Nawiedza mnie we śnie taki, jakim wyciągnęliśmy go z rzeki. Ściągnąłem mu z głowy kaptur i błagałem, by mi przebaczył, ale starczyło mu jedynie sił, by porozmawiać z Takeo. Co noc do mnie przychodzi.

Znów zapadło długie milczenie.

- O czym myślisz? - zapytała w końcu. - Chyba nie zamierzasz doprowadzić do rozłamu?

- Moim obowiązkiem jest działanie zgodne z interesem rodziny Muto. Z drugiej strony, Kikuta mają moją córkę, a wkrótce będą mieli też wnuka, więc powinienem przede wszystkim myśleć o nich obojgu. Kiedyś przysiągłem Takeo, że póki żyję, będzie bezpieczny, nie zamierzam zatem dążyć do jego śmierci. Poczekajmy; zobaczymy, jak postąpi. Kikuta, którzy mają nadzieję, że Otori go sprowokują i wciągną w walkę, skupili uwagę głównie na Hagi i Terayamie. Pewnie wezmą na cel tego biedaka Ichiro. -

Syknął przez zęby. - Jak uważasz, co zrobią Takeo i Kaede, kiedy się pobiorą?

- Kaede koniecznie chce odzyskać Maruyamę - rzekła Shizuka. - Więc chyba jak najszybciej wyruszą na południe.

- W Maruyamie jest tylko kilka rodzin z Plemienia. Takeo będzie tam bezpieczniejszy niż gdzie indziej. - Kenji zamilknął, zatopiony w myślach, po czym uśmiechnął się lekko. - Oczywiście, o to małżeństwo możemy mieć pretensję tylko do siebie. To my dopuściliśmy do ich spotkania, nawet trochę ich zachęcaliśmy. Co nas opętało?

Shizuka nagle wspomniała salę ćwiczeń w Tsuwano, suchy trzask drewnianych kijów, rześistą ulewę na zewnątrz, młode twarze promieniejące nagłą namiętnością...

- Może było nam ich żal. Obojgu wyznaczono role w spisku większym, niż przypuszczali, oboje zostali skazani, zanim jeszcze zaczęli żyć.

- Masz rację, że wszyscy byliśmy pionkami w rękach przeznaczenia... - rzekł w zamyśleniu stryj. - Niech Kondo jutro wyjedzie. Ty zostań i spędź z nami lato; dobrze będzie jeszcze porozmawiać o tym wszystkim. Decyzje, które muszę podjąć, są bardzo poważne i z pewnością wpłyną na życie wielu przyszłych pokoleń.



Rozdział piąty

Zgodnie z życzeniem Kaede pierwsze tygodnie w Maruyamie spędziliśmy na odbudowie kraju. Powitano nas ciepło, z pozorną jednogomyślnością, lecz włości były bardzo rozległe; służyło tu wielu dziedzicznych wasali, że nie wspomnę o licznej starszyźnie, konserwatywnej i zadufanej w sobie jak większość starych ludzi.

Oczywiście, reputacja człowieka, który pomścił Shigeru, bardzo mi pomogła, ale jednocześnie pojawiły się typowe plotki o moim podejrzanym pochodzeniu, czarach, jakich rzekomo używałem, i temu podobne. Wojownicy Otori byli mi całkowicie oddani, nie wątpiłem też w lojalność Sugity, jego rodziny i towarzyszy broni, lecz w stosunku do wielu innych nie miałem takiej pewności, a i oni traktowali mnie nieufnie.

Sugita, zachwycony naszym małżeństwem, zwierzył mi się z tego, co już kiedyś powiedział Kaede - że jest przekonany, iż uda mi się zjednoczyć Trzy Krainy i zaprowadzić pokój. Jednak starszyzna na ogół czuła się zaskoczona. Nikt nie ośmielił się nic powiedzieć mi w oczy, lecz z napomknięć i pokątnych szeptów szybko wywnioskowałem, iż spodziewano się, że Kaede poślubi Fujiwarę. Niespecjalnie się tym przejąłem - nie zdawałem sobie wówczas sprawy, jak daleko sięgają wpływy i potęga owego arystokraty - ale jak wszystkie wydarzenia tego lata, również i ta wiadomość wzmogła moje przeświadczenie, że czas nagli. Musiałem ruszyć na Hagi; musiałem przejąć przywództwo klanu Otori. Gdybym zdołał odzyskać to, co według prawa mi się należało, i ustanowić swą siedzibę w Hagi, nikt nie odważyłby się zakwestionować mojej władzy.

Tymczasem jednak zostaliśmy z żoną rolnikami; Sugita codziennie zabierał nas na wieś, gdzie sprawdzaliśmy stan pól, lasów, rzek i wiosek, nadzorując naprawy budynków, usuwanie zwalonych drzew, przycinanie sadów i sadzenie ryżu. Ziemie były prawidłowo wymierzone, system danin rzetelny i sprawiedliwy; dobra, choć zaniedbane, należały do zasobnych, a tutejsza ludność odznaczała się pracowitością i energią. Nie trzeba było wiele zachodu, by powrócił dobrobyt i ożywienie, jakim Maruyama cieszyła się za rządów pani Naomi.

Zamek i rezydencja również nosiły ślady zniszczeń, lecz pod bacznym okiem Kaede szybko odzyskały dawną świetność. Maty zostały wymienione, parawany odmalowane, drewniane posadzki wypolerowane. W ogrodzie stał pawilon herbaciany, zbudowany przez babkę pani Maruyama, o którym ta opowiadała mi podczas pierwszego spotkania w Chigawie. Obiecała mi wówczas, że pewnego dnia napijemy się tam herbaty, kiedy więc wreszcie odnowiono ten prosty budynek i Kaede przygotowała dla mnie napar, po. czułem, że owo życzenie się spełniło, choć samej Naomi nie było już wśród żywych.

Nieustannie byłem świadom obecności duchów Naomi i Shigeru. Jak przepowiedział przeor w Terayamie, w osobach Kaede i mojej zyskali szansę na powtórne życie - zamierzaliśmy osiągnąć wszystko, o czym marzyli, a co zostało im udaremnione. Składaliśmy tabliczki i ofiary w małej kapliczce w rezydencji i co dzień modliliśmy się o radę i pomoc. Odczuwałem głęboką ulgę, że wreszcie spełniam ostatnią prośbę Shigeru, również Kaede wydawała się pogodniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Byłby to dla mnie czas zwycięstwa i wielkiej radości z ponownego rozkwitu ziemi i ludu, gdyby nie mroczniejsze dzieło, które czułem się zobowiązany podjąć, zadanie, które nie sprawiało mi najmniejszej przyjemności. Sugita utrzymywał, że niepodobna, by w mieście warownym mieszkali członkowie Plemienia - tak świetnie się ukrywali i tak potajemnie działali - ja jednak wiedziałem swoje. Shigeru wszystkich spisał, poza tym nie zapominałem o mężczyznach, których zauważył Hiroshi, osobnikach w ciemnych strojach, którzy pojawili się znikąd, aby zgładzić jego ojca. Nie znalazłem tych ludzi wśród poległych pod Asagawą, a więc musieli przeżyć bitwę i teraz z pewnością mnie tropili.

Większość osób opisanych w notatkach należała do rodzin Kuroda oraz Imai, było również kilku bogatszych kupców Muto. Tak daleko na zachodzie osiedlali się tylko nieliczni Kikuta, lecz jedyna tutejsza rodzina sprawowała zwyczajową władzę nad innymi. Powtarzałem sobie słowa przepowiedni, że zabić mnie może tylko własny syn, choć jednak w dzień dawałem im wiarę, w nocy nasłuchiwałem każdego odgłosu, spałem lekko i jadłem tylko to, co przygotowano pod bacznym okiem Manami.

Nie miałem żadnych wieści o Yuki, nie wiedziałem nawet, czy urodziła chłopca, czy dziewczynkę. Kaede krwawiła regularnie przez całe lato; zdawałem sobie sprawę, że jest rozczarowana, gdyż bardzo pragnęła dziecka, wbrew sobie jednak czułem ulgę.

Bardzo pragnąłem doczekać się potomka, ale bałem się związanych z tym komplikacji.

Co bym począł, gdyby Kaede również powiła chłopca?

Pytanie, jak postąpić w sprawie Plemienia, nurtowało mnie dniem i nocą. Już pierwszego tygodnia pobytu w mieście wysłałem do rodzin Kikuta i Muto wiadomość, że chcę się z nimi naradzić i oczekuję ich następnego dnia. Tej samej nocy włamano się do rezydencji i usiłowano ukraść zapiski. Obudził mnie ruch w pokoju; widząc niewyraźną postać napastnika, krzyknąłem i rzuciłem się w pościg z nadzieją, że wezmę go żywcem, jednak gdy przeskakiwał przez mur, na chwilę przestał być niewidzialny i zginął z rąk wartowników, zanim zdołałem temu przeszkodzić. Był ubrany na czarno i miał takie same tatuaże jak Shintaro, skrytobójca, który usiłował zabić Shigeru w Hagi, uznałem więc, że należał do rodziny Kuroda.

Następnego ranka wysłałem ludzi do domu Kikuta i kazałem aresztować wszystkich jego mieszkańców. Na spotkaniu w wyznaczonym terminie pojawiło się dwóch starców Muto, chytrych i śliskich niczym węże. Dałem im wybór: albo wyniosą się z prowincji, albo wyrzekną się lojalności wobec Plemienia. Odpowiedzieli, że muszą naradzić się z dziećmi. Przez dwa dni panował spokój, ale trzeciego dnia, kiedy pojechałem z Amano i Sugito do dalekiego zakątka dóbr, omal nie zginąłem od wystrzelonej z ukrycia strzały, na szczęście Shun i ja równocześnie usłyszeliśmy jej brzęk i zrobiliśmy unik. Gdy wytropiliśmy łucznika, mając nadzieję wydobyć zeń zeznania, zdążył już zażyć truciznę; wyglądał jak jeden z ludzi opisanych przez Hiroshiego, ale nie miałem jak tego sprawdzić.

Straciłem cierpliwość. Uznałem, że Plemię igra ze mną w przekonaniu, że nie jestem dostatecznie bezwzględny, by się z nimi ostatecznie rozprawić. Poleciałem powiesić dorosłych więźniów z rodziny Kikuta i tej samej nocy wysłałem patrole do ponad pięćdziesięciu domów, każąc zgładzić wszystkich z wyjątkiem dzieci. Miałem nadzieję, że przynajmniej najmłodszy ocaleją, lecz Plemię wolało otruć własne potomstwo, niż oddać je w moje ręce. Wówczas starcy wrócili do mnie, ale termin ultimatum minął. Pozostał im jedynie wybór między mieczem a trucizną i obaj otruli się na miejscu.

Kilkoro członków Plemienia uciekło za granicę dóbr, ale nie miałem środków, by ich ścigać. Większość, jak niegdyś ja, przyczała się w sekretnych pokojach bądź w tajemnych górskich wioskach, gdzie nikt nie zdołałby ich wytropić oprócz mnie który wiedziałem o nich wszystko i poznałem ich metody w praktyce. W cichości ducha brzydziłem się własną bezwzględnością; przerażało mnie, że morduję całe rodziny tak, jak niegdyś zamordowano moją, ale nie widziałem innego wyjścia i nie sądzę, bym przejawiał nadmierne okrucieństwo. Śmierć, jaką im zadawałem,

była szybka - nie rozpinalem ich na krzyżu, nie palilem żywcem, nie wieszalem głową w dół za pięty.

Moim celem nie było sterroryzowanie ludności, lecz wyrugowanie zła.

Te pociągnięcia nie spodobały się klasie rycerskiej, która czerpała korzyści z usług kupców Plemienia, kupowała od nich soję i wino, pożyczala pieniądze, a czasem też czynila użytek z ich mroczniejszego rzemiosła - skrytobójstwa. Nieufność wobec mnie jeszcze się wzmożła, próbowałem więc zająć wojowników ćwiczeniami wojskowymi i patrolowaniem granic, a sam poświęciłem się odbudowie kraju.

Usuwaając członków Plemienia, zadałem klasie kupieckiej straszliwy cios; z drugiej strony, przejąłem ich majątek na rzecz skarbcza, w ten sposób zasilając gospodarkę ogromnymi funduszami, które uprzednio były zamrożone. Przez dwa tygodnie wydawało się, że grozi nam niedobór podstawowych towarów jeszcze przed nastaniem zimy, lecz wówczas odkryliśmy, że kilku przedsiębiorczych wieśniaków, zniechęconych zdrerstwem Plemienia, od dawna prowadzi na małą skalę własną gorzelnię. Doskonale poznali cały proces i mogli natychmiast podjąć produkcję, więc daliśmy im pieniądze na rozkręcenie interesu w przejętych gospodarstwach Plemienia, w zamian pobierając do skarbcza sześćdziesiąt procent zysków. Działalność ta okazała się tak korzystna, że mogliśmy ograniczyć podatek ryżowy do trzydziestu procent, co z kolei zapewniło nam przychylność chłopstwa.

Pozostały majątek i ziemie Plemienia rozdzieliłem pomiędzy ludzi, którzy przyszli ze mną z Terayamy. Maleńką osadę na brzegu rzeki przekazałem niedotykalnym, którzy natychmiast wzięli się do garbowania skór, zdjętych z zabitych koni. Poczulem ulgę, że ludzie ci, którzy tak wiele mi pomogli, nareszcie osiedli w spokoju, ale moja nad nimi piecza zaskoczyła radę starszych i zwiększyła jeszcze ich podejrzliwość.

Co tydzień zjawiali się jacyś wojownicy Otori, chcący do mnie dołączyć. Główne siły Otori, nie zdoławszy okrążyć nas w Terayamie, kontynuowały pościg aż do rzeki, którą przekroczyliśmy po moście wyrzutek, i tam rozłożyły się obozem; żołnierze Otori patrolowali wszystkie drogi między Yamagatą, Inuyamą i Zachodem, co bez wątpienia musiało niepokoić również Araiego.

Niemal każdego popołudnia zasiadaliśmy z Kaede w pawilonie herbacianym i razem z Makoto oraz braćmi Miyoshi omawialiśmy strategię na przyszłość. Najbardziej się obawiałem, że jeśli zbyt długo pozostanę bezczynny, Otori odetną mnie na północy, Arai zaś od południowego wschodu, wiedziałem bowiem, że ten ostatni z pewnością zechce wrócić na lato do rodzinnego Kumamoto. Nie mogłem prowadzić wojny na dwóch frontach; po naradzie uznaliśmy zatem, że nadeszła stosowna pora, aby Kahei i Gemba udali się do Araiego i spróbowali zawrzeć choćby krótkotrwały rozejm.

Zdawałem sobie sprawę, że w rokowaniach z nim nie mam zbyt wielu atutów, mogłem się powołać jedynie na nasz krótki sojusz przeciwko lidzie, przedśmiertne życzenie Shigeru i jego zapiski o Plemieniu. Z drugiej strony, moje zniknięcie musiało rozwścieczyć Araiego, który dodatkowo się obraził, gdy zawarłem małżeństwo bez jego zgody; nie wiedziałem też, czy nadal zwalcza Plemię czy ze względów praktycznych już powściągnął swój gniew.

Co się tyczy pokoju z Otori, nie miałem złudzeń. Nie zamierzałem negocjować ze stryjami Shigeru, świadom, że nigdy dobrowolnie nie oddadzą mi władzy. Klan i tak był już podzielony, do tego

stopnia, że właściwie znajdował się w stanie wojny domowej. Gdybym nawet odniósł zwycięstwo nad główną armią stryjów, po prostu wycofaliby się do Hagi, gdzie mogliby odpierać nasze ataki, aż zima zmusiłaby nas do odwrotu. Pomimo odzyskania dóbr Maruyama nie mogłem sobie pozwolić na długotrwałe oblężenie tak daleko od źródeł zaopatrzenia.

Wymknąłem się wojskom Otori dzięki niedotykalnym, których wykorzystanie nikomu przedtem nie przyszło do głowy, teraz więc zacząłem się zastanawiać, jak ponownie zaskoczyć przeciwnika. Wyobraziłem sobie miasto Hagi, leżące w kołysce zatoki, szczelnie bronione od strony lądu, lecz otwarte od strony morza. Skoro nie dało się do niego podejść, może udałoby się podpłynąć?

Wojsko, szybko i łatwo przewożone drogą morską... Nie znałem żadnego dowódcy, który dysponowałby takimi siłami. A przecież z historii wiedziałem, że setki lat temu wypłynęła z głównego lądu ogromna flota, która byłaby podbiła Osiem Wysp, gdyby nie burza, zesłana przez Niebiosą. Wciąż wracałem myślami do dawnego przyjaciela z Hagi, Terada Fumio, chłopca, który wraz z rodziną uciekł na wyspę Oshima. Fumio pierwszy pokazał mi łódzie i statki, nauczył mnie pływać i żeglować, a stryjów Shigeru nienawidził niemal tak mocno jak ja. Może zechciałby zostać moim sojusznikiem?

Nie wspominałem nikomu o swych pomysłach, ale pewnej nocy, gdy pozostali udali się na spoczynek, Kaede, która wciąż mnie obserwowała i znała wszystkie moje nastroje, zapytała:

- Zastanawiasz się, jak zaatakować Hagi?

- Kiedy tam mieszkałem, zaprzyjaźniłem się z chłopcem z rodziny Terada. Byli rybakami, lecz gdy Otori podnieśli im podatek od połowu, zabrali swoje łódzie i przenieśli się na Oshimę, wyspę na wybrzeżu północno-zachodnim.

- Są piratami?

- Rynek w Hagi zamknął się przed nimi, a nie sposób wyżyć wyłącznie z rybołówstwa. Zamierzam się do nich wybrać. Jeśli mogą i zechcą mi pomóc, spróbuję wziąć Hagi od strony morza. Ale trzeba to zrobić w tym roku, co oznacza, że powinienem wyjechać, zanim zaczną się tajfuny.

- Musisz jechać osobiście? Wyślij posłańca.

- Fumio mi ufa, ale jego rodzina nie zechce rozmawiać z nikim innym. Skończyły się deszcze, a Kahei i Gemba powinni natychmiast wyruszyć do Inuyamy. Wezmę tylko kilku ludzi, Makoto, może Jiro.

- Weź i mnie - poprosiła Kaede.

Pomyślałem o trudnościach podróży z kobietą, o tym, że będzie potrzebna co najmniej jedna służąca, o szukaniu stosownych noclegów...

- Nie, zostań tutaj z Sugitą. Nie możemy oboje opuszczać włości. Amano niech też zostanie.

- Jaka szkoda, że nie jestem Makoto - westchnęła. - Ależ mu zazdroszczę!

- A on zazdrości tobie - odrzekłem lekko. - Sądzi, że o wiele za dużo z tobą rozmawiam. Podobno żona ma tylko jedno zadanie - dać mężczyźnie dziedzica. Całą resztę zapewniają mu koledzy.

Żartowałem, lecz Kaede potraktowała moje słowa poważnie.

- Muszę urodzić twoje dziecko - rzekła i zacisnęła usta. Oczy jej zwilgotniały. -

Czasem boję się, że już nigdy nie zajdę w ciążę. Jakże żałuję, że nasze dziecko umarło!

- Będziemy mieli wiele innych - powiedziałem łagodnie. - Same dziewczynki, równie piękne jak ich matka.

Wziąłem ją w ramiona; mimo ciepłej, bezwietrznej nocy drżała, a skórę miała lodowatą.

- Nie jedź - szepnęła.

- Nie będzie mnie najwyżej tydzień.

Następnego dnia bracia Miyoshi wyjechali do Inuyamy, orędować u Araiego w mojej sprawie; dzień później wyruszyłem z Makoto na wybrzeże. Kaede wciąż boczyła się na mnie

i nasze rozstanie było chłodne. Po raz pierwszy się posprzeczailiśmy - ona chciała ze mną jechać, ja zaś się nie zgodziłem, choć mogłem to zrobić. Nie wiedziałem wtedy, ile czasu minie i jak wiele oboje wycierpimy, zanim znów ją zobaczę.

Mimo sporu wyjeżdżałem w dobrym nastroju. Towarzyszyli mi Makoto, Jiro i trzech żołnierzy, wszyscy w nieoznakowanych strojach, co pozwalało nam przemieszczać się szybko i bez zbędnych ceregieli. Cieszyłem się, że na jakiś czas opuszczam miasto, cieszyłem się również, że odsuwam od siebie okrutne zadanie eksterminacji Plemienia. Śliwkowe deszcze dobiegły końca, niebo było błękitne, powietrze przejrzyste. Wszędzie po drodze dostrzegałem ślady powolnego odradzania się ziemi i powrotu do dawnego dobrobytu. Świeża zieleń pól ryżowych zwiastowała urodzaj; przynajmniej tej zimy, pomyślałem, nikt nie doświadczy tu głodu.

Makoto, milczący i powściągliwy w obecności Kaede, rozmawiał teraz ze mną, jak potrafi jedynie najbliższy przyjaciel. Widział mnie kiedyś, gdy byłem słaby i bezbronny, ja zaś ufałem mu jak nikomu innemu. Otworzyłem przed nim serce; oprócz Kaede tylko on wiedział, że nieustannie spodziewam się ataku ze strony Plemienia, on jeden znał głęboką odrazę, z jaką podjąłem się ich usunięcia. Tylko jedno sprawiało mu ból - moja wielka miłość do Kaede. Był zapewne zazdrosny, choć próbował to ukryć, lecz przede wszystkim znajdował w moim uczuciu coś nienaturalnego. Uważał, że mężczyźni nie wypada darzyć taką namiętnością własnej żony; nie mówił o tym, ale dostrzegałem dezaprobatę na jego twarzy.

Ze swą zwykłą nienatrętną zyczliwością wziął pod swoje skrzydła Jiro i znalazł

czas, by uczyć go pisania, a także władania kijem i włócznią. Jiro okazał się pojętym uczniem. Wciągu letnich miesięcy urósł o kilka centymetrów, a dzięki dobremu odżywianiu zaczął również nabierać ciała. Czasem napomykałem, że powinien wrócić do rodziny w Kibi i pomóc przy żniwach,

błagał jednak, bym pozwolił mu zostać, przysięgając, że będzie służył Makoto i mnie do końca życia. Wielu chłopskich synów takich jak on - bystrych, odważnych, silnych - zaciągnęło się w moje szeregi.

Wyposażeni w długie włócznie i skórzane zbroje, podzieleni na dwudziestoosobowe oddziały, każdy z własnym dowódcą, stanowili jeden z moich największych atutów, a najzdolniejszych kazałem szkolić na łuczników.

Po trzech dniach dotarliśmy nad morze. Krajobraz nie był tu tak pęsy jak w okolicach Matsue; przeciwnie, tego późnoletniego popołudnia wybrzeże wyglądało wręcz pięknie. Ze spokojnego morza barwy ciemnego błękitu, prawie indygo, wyłaniały się wyspy o urwistych brzegach, zmarszczona wietrzykiem woda układała się w małe trójkątne fale, ostre niczym noże. Wyspy sprawiały wrażenie niezamieszkanym; nic nie mąciło jednolitej zieleni sosen i cedrów, wczepionych korzeniami w strome zbocza.

Daleko w oddali, ledwie dostrzegalny w morskiej mgiełce, majaczył masyw Oshimy, kryjącej w chmurach czubek wulkanu. Za nią, niewidoczne, leżało miasto Hagi.

- Oto jaskinia smoka - rzekł Makoto. - Jak zamierzasz się tam dostać?

Z klifu, na którym staliśmy, droga prowadziła w dół do zatoczki, gdzie widniała mała wioska rybacka - kilka chałup, łodzie wyciągnięte na piarg, brama kaplicy, poświęconej bogom mórz.

- Moglibyśmy pożyczyć łódź - powiedziałem niepewnie gdyż osada wyglądała na opuszczoną. Nie dostrzegłem znaku życia; po ogniskach, które rozpalają rybacy, by pozyskać sól z wody morskiej, zostały tylko sterty czarnych, zwęglonych kłód.

- Nigdy nie płynąłem łodzią - zawołał Jiro - chyba że przez rzekę!

- Ani ja - mruknął Makoto, gdy ruszyliśmy w stronę osady.

Wieśniacy, którzy na nasz widok pochowali się, jak umieli, teraz próbowali uciec.

Otoczające nas piękno było złudzeniem - spotkałem w Trzech Krainach wielu ubogich ludzi, ale ci stanowczo należeli do najędzniejszych. Żołnierze dogonili mężczyznę, który brnął rozpaczliwie po piargu, tuląc do piersi dziecko mniej więcej dwuletnie; tak obciążony z łatwością dał się złapać i przywlec z powrotem. Dziecko zanosiło się płaczem, lecz jego ojciec wyglądał na człowieka, którego lęk ani żal nie mogą już dotknąć.

- Nie zamierzamy cię skrzywdzić ani nic ci zabrać - powiedziałem. - Szukam kogoś, kto popłynie ze mną na Oshimę.

Zerknął na mnie, a na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie. Jeden z trzymających go żołnierzy szturchnął go mocno.

- Gadaj, gdy jego wysokość cię pyta!

- Jego wysokość? Tytuły nie uratują go przed Teradą! Wiecie, jak nazywamy Oshimę? Wrota piekieł!

- Piekieł czy nie piekieł, muszę tam dotrzeć – oznajmiłem. - I dobrze zapłacę.

- A na co nam srebro? - zapytał z goryczą. - Jeśli ktoś się dowie, że mam pieniądze, od razu mnie zabije. Przeżyłem tylko dlatego, że nie zostało mi nic, co warto ukraść. Bandyci zabrali mi już żonę i córki, mój syn utracił matkę, gdy był jeszcze przy piersi! Dawałem mu ssać szmatkę, maczaną w wodzie i rosole, żułem ryby i karmiłem go z ust niczym morski ptak. Nie mogę go porzucić i popłynąć na Oshimę na pewną śmierć!

-To znajdź kogoś, kto mnie zawiezie - powiedziałem. - Kiedy wrócę do Maruyamy, przyślę tu żołnierzy, by wytępilli bandytów. Te dobra należą teraz do mojej żony, Shirakawa Kaede. Sprawimy, że będzie tu bezpiecznie.

- Nieważne, do kogo należą te dobra. Nigdy nie wrócisz z Oshimy, panie.

- Zabierzcie mu dziecko! - rozkazał gniewnie Makoto, po czym zwrócił się do rybaka: - Umrze, jeśli nas nie posłuchasz!

- Proszę bardzo, bierzcie go! - krzyknął rozpaczliwie mężczyzna. - Zabijcie!

Powinienem był sam to zrobić! A potem zabijcie i mnie! Niech się skończą moje cierpienia!

Makoto zeskoczył z konia, chcąc własnoręcznie wyrwać mu dziecko; mały z głośnym łkaniem chwycił ojca za szyję niczym małpka.

- Zostaw ich - rzekłem i również zsiadłem. - Nie możemy ich do niczego zmuszać. - Przyjrzałem się mężczyźnie, starając się nie patrzeć mu w oczy; po pierwszym spojrzeniu on również unikał mego wzroku. - Co mamy do jedzenia?

Jiro rozpiął juki i wyjął zawinięty w liście wodorostu ryt doprawiony kiszonymi śliwkami, oraz suszoną rybę.

- Chcę porozmawiać z tobą sam na sam - powiedziałem do mężczyzny. - Czy weźmiesz dziecko i usiądziesz, by zjeść ze mną posiłek?

Przełknął z wysiłkiem ślinę, nie odrywając wzroku od jedzenia. Dziecko poczuło zapach ryby i odwróciło głowę, wyciągając rączkę do Jiro.

Ojciec skinął głową.

- Puśćcie go - poleciłem i wziąłem jedzenie. Obok jednej z chałup leżała łódź, odwrócona do góry dnem. - Tam pójdziemy.

Kiedy usiadłem na łodzi, rybak uklęknął u moich stóp z pochyloną głową, po czym posadził dziecko i również przygiął je do ziemi. Przestało płakać, ale nadal głośno pociągało nosem.

Wyciągnąłem jedzenie i wyszeptalem pierwszą modlitwę Ukrytych, cały czas uważnie wpatrując się w twarz mężczyzny.

Jego usta bezgłośnie powtórzyły słowa modlitwy, ale nie przyjął poczęstunku.

Dziecko wyciągnęło dłoń i znów się rozplakało.

- Jeśli próbujesz mnie usidlić, niech ci Tajemny wybaczy. - Zmówił drugą modlitwę, wziął kulkę z ryżu i dzieląc ją na cząstki zaczął karmić synka. - Przynajmniej moje dziecko przed śmiercią posmakuje ryżu.

- Nie próbuję cię usidlić. - Podałem mu następną kulkę ryżu, którą łapczywie wtłoczył do ust. - Jestem Otori Takeo, dziedzic klanu Otori. Ale wychowałem się wśród Ukrytych i w dzieciństwie nosiłem imię Tomasu.

- Niech On cię błogosławi i zachowa w dobrym zdrowiu - rzekł mężczyzna, biorąc ode mnie rybę. - Jak mnie rozpoznałeś?

- Kiedy mówiłeś, że powinieneś zabić siebie i swego syna, na moment spojrzawsz w górę, jakbyś się modlił.

- Wiele razy modliłem się do Tajemnego, aby przyjął mnie do siebie. Ale wiesz, że nie wolno mi nikomu odebrać życia, nawet sobie.

- Wszyscy tu należycie do Ukrytych?

- Tak, od pokoleń, od czasu, gdy pierwsi nauczyciele przybyli z głównego lądu.

Nigdy nas z tego powodu nie prześladowano; chroniła nas pani tych dóbr, ale zmarła w zeszłym roku. Bandyci i piraci robią się coraz śmielsi i liczniejsi, poza tym wiedzą, że nie będziemy się bronić.

Urwał kawałek ryby i dał go dziecku. Chłopczyk zacisnął piastkę i wpatrzył się we mnie; powieki miał zaczerwienione i pozlepiane, na brudnej buzi widniały ślady łez.

Nagle obdarzył mnie niepewnym, drżącym uśmiechem.

- Powiedziałem, że po pani Maruyama te ziemie odziedziczyła moja żona.

Przysięgam, że oczyścimy je z bandytów i sprawimy, że będą bezpieczne. Kiedyś w Hagi znałem syna Terady, a teraz muszę z nim pomówić.

- Jest ktoś, kto może wam pomóc. Nie ma dzieci i słyszałem, że bywał na Oshimie. Spróbuję go odszukać. Idźcie do kaplicy; jest pusta, bo mnisi uciekli, ale można schronić się w budynku i zostawić tam ludzi oraz konie. Jeśli ten człowiek zechce cię zawieźć, przyjdzie po ciebie wieczorem. Do Oshimy jest pół dnia żeglugi i trzeba wypłynąć z rannym lub wieczornym odpływem. Niech sam podejmie decyzję.

- Nie pożałujesz, że nam pomogłeś.

Po raz pierwszy na jego twarzy zamigotał uśmiech.

- Być może ty, panie, pożałujesz, że znalazłeś się na Oshimie.

Wstałem, aby odejść, lecz nim uszedłem dziesięć kroków, zawołał za mną:

- Panie! Panie Otori!

Gdy się odwróciłem, podbiegł do mnie; w ślad za nim dreptało dziecko, nadal ssąc rybę. Nieśmiało zapytał:

- A więc będziesz zabijał?

- Tak - odparłem. - Zabijałem już przedtem i znowu zabiję, nawet jeśli zostanę przeklęty.

- Niech On ma litość nad tobą - szepnął.

Słońce zachodziło w karmazynowym pożarze, na czarnych piargach kładły się długie cienie. Wysoko nade mną, niczym potępione dusze, żałośnie chrypiały ptaki.

Fale, wzdychając przeciągle, podmywały brzeg i wsysały kamienie w głębinę.

Budynki kaplicy były w stanie rozpadu; zapleśniałe belki gniły w cieniu omszałych drzew, powykęcanych w groteskowe kształty przez północne, zimowe sztormy. Noc nastąpiła

bezwietrzna, nieruchoma i duszna, przenikliwy śpiew cykad i wysoki jęk moskitów powtarzał niczym echo miarowy syk fal. Puściliśmy konie wolno, by pasły się w zapuszczonym ogrodzie i napiły wody ze stawów, obecnie pustych, gdyż ryby już dawno zjedzono. Od czasu do czasu z lasu rozbrzmiewało pohukiwanie sów, w oddali żałośnie zaskrzeczała żaba. Jiro rozniecił ogień ze świeżych gałązek, by odstraszyć owady, po czym zjedliśmy trochę przywiezionych produktów, rozdzielając je starannie, gdyż najwyraźniej w tym miejscu nie było nic do jedzenia. Powiedziałem żołnierzom, by zdrzemnęli się pierwsi i zmienili nas o północy. Jeszcze przez chwilę słyszałem szepty, po czym ich oddechy się wyrównały.

- Co zrobimy, jeśli ten człowiek się nie pokaże? - zapytał Makoto.

- Jestem przekonany, że przyjdzie - odparłem. Jiro milczał, walcząc z sennością przy ognisku; głowa co chwila opadała mu na piersi.

- Połóż się - rzekł Makoto, a gdy chłopiec, jak zwykle w jego wieku, natychmiast zapadł w sen, zagadnął mnie cicho:

- Jak ci się udało udobruchać tego rybaka?

- Nakarmiłem jego dziecko - odparłem. - Czasem to wystarczy.

- To coś więcej. Słuchał cię, jakbyście mówili jednym językiem.

Wzruszyłem ramionami.

- Zobaczymy, czy ten drugi się pojawi.

- Tak samo było z wyrzutkiem - nie ustępował Makoto. - Ośmiela się zbliżyć do ciebie, jakbyś był mu coś winien i rozmawia z tobą prawie jak z równym. Nad rzeką chciałem go zabić za jego bezczelność, ale ty go wysłuchałeś, a on ciebie.

- Jo-An ocalił mi życie na drodze do Terayamy.

- Nawet wiesz, jak mu na imię. Ja przez całe życie nie znałem z imienia żadnego wyrzutka.

Od dymu z ogniska piekły mnie oczy. Milczałem. Nigdy nie mówiłem Makoto, że urodziłem się i dorastałem wśród Ukrytych, wiedziała o tym tylko Kaede. Nauczono mnie, abym o tym nie wspominał - i być może była to jedyna nauka, jakiej pozostałem posłuszny.

- Dużo mówiłeś o swoim ojcu - ciągnął Makoto. - Wiem, że płynęła w nim mieszana krew Otori i Plemienia. Ale nigdy nie opowiadasz o matce. Kim była?

- Była chłopką z Mino. To mała góraska wioska daleko za Inuyamą, prawie na granicy Trzech Krain. Nikt nigdy o niej nie słyszał. Być może dlatego czuję silną więź z wyrzutkami i rybakami.

Próbowałem mówić lekkim tonem. Nie chciałem rozmawiać o matce; tak bardzo oddaliłem się od niej i od wiary, w której zostałem wychowany, że na samą myśl o tym czułem niepokój. Nie tylko przeżyłem, gdy reszta mego ludu zginęła, ale nie wierzyłem już w to, za co umarli. Miałem teraz inne cele, inne, pilniejsze troski.

- Była? Już nie żyje?

W cichym, zaniedbanym ogrodzie, przy dymiącym ognisku, pośród szumu fal, napięcie między nami wzrastało coraz bardziej. Makoto pragnął poznać moje najtajniejsze sekrety - ja pragnąłem otworzyć przed nim serce. Teraz, gdy wszyscy już usnęli i tylko my czuwaliśmy w tym przedziwnym miejscu, być może zrodziło się w nim pożądanie. Zawsze byłem świadom jego miłości. Przywyczałem się na nią liczyć, jak na lojalność braci Miyoshi i swoje uczucie do Kaede - stanowiła niezmienny punkt w moim świecie i była mi potrzebna. Niewątpliwie, od dnia, gdy pocieszył mnie w Terayamie, nasze stosunki bardzo się zmieniły, ale dziś przypominałem sobie, jaki samotny i bezbronny byłem po śmierci Shigeru i znów zyskałem poczucie, że mogę powiedzieć mu wszystko.

Ogień zagaśł i prawie nie widziałem jego twarzy, ale czułem na sobie jego wzrok.

Zastanawiałem się, czy coś podejrzewa; prawda wydawała mi się tak oczywista, że byłem pewien, iż lada moment sam o niej wspomni.

- Moja matka należała do Ukrytych. Zostałem wychowany według ich przekonań. O ile mi wiadomo, wraz z całą moją rodziną zginęła z rąk Tohańczyków w masakrze wioski, kiedy Shigeru uratował mi

życie. Jo-An i ten rybak to również Ukryci.

My... rozpoznajemy się nawzajem.

Milczał.

- Ufam, że nikomu nie powiesz - dodałem.

- Czy nasz przeor wie o tym?

- Nigdy o tym nie wspominał, ale Shigeru mógł mu powiedzieć. Tak czy inaczej, nie jestem już wyznawcą. Złamałem wszystkie zakazy, zwłaszcza przykazanie: nie zabijaj.

- Oczywiście, że nikomu nic nie powtórzę. Wśród wojowników ta wiadomość wyrządziłaby ci niepowetowane szkody. Większość z nich uważa, że Iida, prześladując Ukrytych, czynił słusznie, a niejeden z nich go naśladował. To wyjaśnia wiele rzeczy, których nie pojmowałem w twoim zachowaniu.

- Ty, jako wojownik i mnich, wyznawca Oświeconego, na pewno nienawidzisz Ukrytych.

- Nie tyle nienawidzę, ile nie rozumiem, o co chodzi w ich tajemniczych wierzeniach. Mało o nich wiem, a i to zapewne jest zniekształcone. Może kiedyś porozmawiamy o tym w spokoju.

Spostrzegłem, że stara się mówić rzeczowo, aby mnie nie urazić.

- Matka przede wszystkim nauczyła mnie współczucia - rzekłem. - Współczucia i odrazy do okrucieństwa. Ale od tamtej pory całe moje szkolenie polegało na tym, by wyrugować współczucie i wyrobić w sobie bezwzględność.

- Tego wymaga wojna i sprawowanie rządów - powiedział. - To ścieżka, którą prowadzi nas los. W świątyni również uczymy się nie zabijać, lecz pod koniec aktywnego życia tylko święci mogą się tym poszczycić. Walka w obronie własnej, z zemsty, z chęci wymierzenia sprawiedliwości, nie jest grzechem.

- To samo głosił Shigeru.

Na chwilę zapadła cisza, myślałem nawet, że Makoto mnie obejmie. Szczerze mówiąc, pewnie bym się nie wycofał - nagle ogarnęło mnie pragnienie, by położyć się z kimś, kto mnie przytuli, być może nawet bezwiednie wykonałem gest w jego stronę. On jednak wstał i powiedział:

- Prześpij się trochę. Posiedzę tu i obudzę strażę.

Położyłem się przy ogniu, mając nadzieję, że dym odstraszy moskity, te jednak wciąż bzykały mi nad głową. Morze bez końca cofało się i nadpływało, sycząc na kamienistej plaży. Po swoich wyznaniach czułem się nieswojo; nie dotrzymałem wiary Ukrytym, ponadto bałem się, że Makoto źle o mnie pomyśli, i dziecinnie czekałem, żeby mnie zapewnił, że wszystko w porządku. Pragnąłem też Kaede; bałem się, że zniknę w jaskini smoka na Oshimie i już nigdy jej nie zobaczę.

Wreszcie zasnąłem, a kiedy nadszedł sen, po raz pierwszy od śmierci matki wyraźnie zobaczyłem ją w naszym domu w Mino. Otaczał mnie zapach gotowanego jedzenia, słyszałem stuk siekiery ojczyma, rąbiącego drwa na opał. We śnie doznałem przyływu radości i ulgi, że wszyscy nadal żyją. Wtem pod nogami usłyszałem skrobanie i poczułem, że coś mnie obłązi. Matka spojrzała w dół pustym, zdumionym wzrokiem. Podążyłem za jej spojrzeniem. Na ziemi falowała czarna masa krabów, z których zdarto skorupy. Wtem usłyszałem krzyk, dźwięk, który znałem z innej kaplicy -

z innego życia, w którym Tohańczycy rozrywali człowieka na strzępy.

Wiedziałem, że kraby rozszarpia mnie na kawałki, tak jak ja odarłem je ze skorup.

Obudziłem się przerażony i zlany potem. Klęczał przy mnie Makoto.

- Przyszedł jakiś człowiek - powiedział. - Mówi, że będzie rozmawiał tylko z tobą.

Przytłoczył mnie lęk. Nie chciałem płynąć z obcym na Oshimę, chciałem natychmiast wracać do Maruyamy, do Kaede. Żałowałem, że nie mogę wysłać kogoś innego na tę najpewniej daremną wyprawę. Ale kto inny zginąłby z rąk piratów, zanim zdążyłby zamienić z nimi słowo. Skoro przyjechałem tak daleko, skoro zmusiłem miejscowych, by przysłali mi kogoś, kto zaprowadzi mnie do siedziby rodu Terada na Oshimie, nie mogłem już zawrócić.

Mężczyzna klęczący za plecami Makoto był tylko cieniem w ciemnościach.

Przeprosił, że nie przyszedł wcześniej, i wyjaśnił, że możemy wypłynąć dopiero pod koniec godziny Wołu; przy księżycu w drugiej kwadrze uznał, że lepiej wyruszyć nad ranem, zamiast czekać na popołudniowy przyływ. Sprawiał wrażenie młodszego niż rybak, który go tu przysłał, i wyrażał się z większą swadą. Nie potrafiłem go umiejscowić.

Makoto chciał mi przydzielić choćby jednego żołnierza, lecz przewoźnik stanowczo się sprzeciwił, twierdząc, że jego łódź nie uniesie dodatkowej osoby. Przed odjazdem zaproponowałem mu srebro, ale odmówił ze śmiechem. Nie ma sensu dawać pieniędzy piratom, powiedział; weźmie zapłatę, kiedy wrócimy, w przeciwnym wypadku ktoś się po nią zgłosi.

- Jeżeli pan Otori nie wróci, czeka was nie zapłata, ale miecz - zagroził Makoto.

- Jeśli zginę, osoby, które utrzymuję, muszą otrzymać zadośćuczynienie - odparł.

- To są moje warunki.

Zgodziłem się mimo protestów Makoto. Chciałem już wyruszyć, otrząsnąć się z lęków, które zostawił senny koszmar. Shun, mój koń, zarżał cicho, gdy odchodziłem, nakazałem więc Makoto, by go chronił z narażeniem życia. Wziąłem ze sobą Jato oraz broń Plemienia, jak zwykle ukrytą pod ubraniem.

Łódź stała na piargu, wyciągnięta ponad granicę przyływu. podeszliśmy do niej bez słowa; pomogłem towarzyszowi zepchnąć ją do wody, po czym wskoczyłem do środka. Mężczyzna jeszcze raz pchnął łódź, dał susa na rufę i jął energicznie bączkować.

Po chwili skinął, bym zmienił go przy wiośle, sam zaś zajął się stawianiem niewielkiego, kwadratowego, słomianego żagla, połyskującego żółcią w świetle księżyca.

Przyczepione do masztu amulety pobrzękiwały na bryzie od lądu; właśnie ta bryza, wespół z odpływem, miała nas zanieść na wyspę.

Noc była bardzo jasna, dobierający księżyc malował na spokojnym morzu srebrzysty szlak. Łódź śpiewała pieśń wiatru i fali, tę samą, którą zapamiętałem z czasów, kiedy pływałem z Fumio na łodziach w Hagi. Coś z poczucia wolności i zakazanego podniecenia owych nocy wróciło do mnie teraz, rozprasząc sieć obaw, rozsnutą przez zły sen.

Nareszcie ujrzałem wyraźnie twarz młodego człowieka na dziobie. Wyglądał

znajomo, choć nie sądziłem, bym go spotkał kiedykolwiek przedtem.

- Jak się nazywasz?

- Ryoma, panie.

- Nie masz nazwiska?

Pokręcił głową w milczeniu, uznałem więc, że nie ma ochoty nic mówić. Cóż, wiózł mnie na Oshimę, nie musiał oprócz tego zabawiać mnie rozmową. Ziewnąłem i ciałniej otuliłem się opończą, myśląc, że właściwie powinienem się trochę przespać.

- Jednak gdybym miał nazwisko, byłoby takie jak twoje panie - powiedział

Ryoma.

Raptownie otworzyłem oczy, a moja dłoń sama podążyła ku Jato; pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, było słowo „Kikuta” i myśl, że mam przed sobą skrytobójcę z Plemienia. Ale Ryoma spokojnie, choć z pewną goryczą, wyjaśnił:

- Właściwie należy mi się nazwisko Otori; niestety, ojciec nigdy mnie nie uznał.

Była to opowieść, jakich wiele. Dwadzieścia lat temu, gdy matka Ryomy pracowała w zamku Hagi jako pokojówka, zwróciła na siebie uwagę Masahiro, młodszego pana Otori. Gdy ciąża stała się widoczna, Masahiro oświadczył, że dziewczyna jest prostytutką, a dziecko mógł spłodzić każdy. Jej rodzina nie miała wyjścia - sprzedała córkę do domu publicznego, gdzie dziewczyna wkrótce zasłużyła na miano nadane jej przez Masahiro, tym samym zaprzepaszczając wszelkie szanse na uznanie syna. Masahiro miał wielu prawowitych synów i nie potrzebował kolejnego potomka z podejrzanego łoża.

- Ale ludzie mówią, że jestem do niego podobny.

Gwiazdy zbladły i niebo się rozjaśniło. Wstawał dzień, słońce wschodziło ogniście, równie szkarłatne jak wczorajszy zachód. Po raz pierwszy zobaczyłem wyraźnie swego towarzysza i

pojąłem, dlaczego wydał mi się znajomy; jego rysy, podobnie jak moje, nosiły piętno Otori, choć szpecił go lekko cofnięty podbródek i wystraszone oczy jego naturalnego ojca.

- Dostrzegam podobieństwo - rzekłem. Więc jesteśmy spokrewnieni. Nie powiedziałem tego Ryomie, lecz aż nazbyt wyraźnie przypomniałem sobie podsłuchane słowa Masahiro: „Gdybyśmy chcieli adoptować wszystkie nasze nieślubne dzieci...”.

Jego syn mnie zaciekał; był tym, kim ja mógłbym się stać, gdyby nie drobne odchylenie drogi życiowej. Do mnie przyznawali się przodkowie po mieczu i po kądzieli - do niego nikt.

- Spójrzmy tylko na nas - zaśmiał się gorzko. - Ty jesteś panem Otori Takeo, prawowitym dziedzicem włości, adoptowanym przez Shigeru, mnie zaś traktują prawie jak niedotykalnego.

- A więc znasz moją historię?

- Moja matka wie wszystko o Otorich - rzekł z uśmiechem. - A poza tym, chyba jesteś świadom własnej sławy.

Zachowywał się dziwnie, przypochlebnie i poufale zarazem. Przypuszczalnie matka go psuła, wychowując w atmosferze nierealnych oczekiwań i fałszywych wyobrażeń, snując opowieści o możliwych krewnych, panach Otori, czyniąc zeń człowieka dumnego i niezadowolonego, nieprzystosowanego, by stawić czoło życiu.

-I dlatego zgodziłeś się mi pomóc?

- Częściowo. Chciałem cię poznać. Pracowałem dla rodziny Terada i wiele razy pływałem na Oshimę. Ludzie nazywają ją wejściem do piekieł, ale ja tam byłem i przeżyłem.

Jego głos brzmiał wręcz chętnie, lecz gdy znów się odezwał, usłyszałem w nim błagalną nutę:

- Miałem nadzieję, że i ty mi pomożesz. - Zerknął na mnie z ukosa. - Zaatakujesz Hagi?

- Powszechnie wiadomo, że twój ojciec i jego starszy brat wydali Shigeru w ręce Iidy. Są odpowiedzialni za jego śmierć.

Nie chciałem mówić zbyt wiele, gdyż mógł okazać się szpiegiem.

- Taką miałem nadzieję - uśmiechnął się szeroko. - Ja też muszę się z nimi porachować.

- Z własnym ojcem?

-Nienawidzę go bardziej, niż sądziłem, że to możliwe - odparł. - Terada nie znoszą Otorich. Jeśli wystąpisz przeciwko nim, być może zyskasz na Oshimie sojuszników.

Ten mój krewniak nie był głupi; dobrze wiedział, w jakim celu przybywam.

- Jestem ci winien wdzięczność za to, że mnie przewozisz - rzekłem. - Szukając pomsty za śmierć

Shigeru, zaciągnąłem wiele długów. Zamierzam spłacić je wszystkie, kiedy zajmę Hagi.

- Daj mi nazwisko - odparł. - To wszystko, czego pragnę.

Opowiedział mi, że od czasu do czasu zawozi na wyspę zasłyszane wiadomości o wyprawach na główny ląd oraz o transportach srebra, jedwabiu i innych cennych towarów, płynących wzdłuż wybrzeża.

- Na razie Terada co najwyżej utrudniają życie Otorim, ale połączonymi siłami może zdołacie ich pokonać.

Nie potwierdziłem ani nie zaprzeczyłem; chciałem zmienić temat, zagadnąłem go więc o rybaka i o to, jak się poznali.

- Jeśli chodzi ci o to, czy wierzę w te bzdury, to odpowiedź brzmi: nie! - odparł, a widząc moje zdumione spojrzenie, zaśmiał się: - Ale moja matka, owszem. Te wierzenia są dość rozpowszechnione wśród prostytutek; być może to jedyna pociecha w ich nędznym życiu. A poza tym, któż lepiej niż one wie o tym, że pod warstwą pozorów wszyscy ludzie są tacy sami. Nie wierzę, że istnieje inny bóg i inne życie poza doczesnym. Nikt po śmierci nie zostaje ukarany. Dlatego chcę zobaczyć, jak winni ponoszą karę teraz.

Mgła wyparowała w słońcu i wyraźnie już dostrzegałem wynurzającą się z morza stożkową sylwetę wyspy i wznoszące się z niej dymy. Siwe, spienione fale biły o szaroczarny klif, wiatr się wzmagał, pchając nas ślizgiem po powierzchni wody, prądy między rafami wyraźnie przyspieszyły. Gdy osunęliśmy się z ogromnego, bladezielonego grzbietu, żołądek podszedł mi do gardła. Odetchnąłem głęboko i wbiłem wzrok w skalisty brzeg; nie chciałem stanąć przed piratami trapienymi chorobą morską.

Niebawem okrążyliśmy cypel i znaleźliśmy się po zawietrznej. Morze było tu spokojniejsze. Ryoma krzyknął, bym chwycił za wiosło, sam zaś odwiązał żagiel, który opadł i furkotem.

Na wiosle dotarliśmy do zacisznego portu, naturalnej, głębokiej przystani, otoczonej skalnymi ścianami oraz falochronami, zbudowanymi ludzką ręką. Na widok flotyli okrętów, zacumowanych przy brzegu, serce zabiło mi żywiej - było ich co najmniej dziesięć lub dwanaście, wyglądały na mocne, zdatne do żeglugi, mogące pomieścić dziesiątki ludzi.

Portu strzegły dwa drewniane forty po obu stronach zatoki; przez wąskie luki strzelnicze dostrzegłem ludzi, którzy niewątpliwie mierzyli we mnie z łuków. Ryoma zawołał i pomachał do nich ręką. Z bliższego fortu wyłonili się dwaj mężczyźni, ale nie odpowiedzieli na pozdrowienie, tylko zdawkowo skinęli głowami.

- Hej, Ryoma, co to za pasażer? - krzyknął jeden, zbliżając się do nas.

- Pan Otori Takeo! - odparł Ryoma donośnie.

- Ach, tak? Twój brat? Kolejny błąd twojej matki?

Ryoma zręcznie dobił do nabrzeża i przytrzymał łódź, żebyśmy mogli wysiąść.

Mężczyźni zanosili się rechotem. Nie chciałem wszczynać bójki, lecz nie mogłem pozwolić, by obelgi uszły im na sucho.

- Nazywam się Otori Takeo - oznajmiłem - i nie jestem niczym błędem.

Przybyłem, by porozmawiać z Teradą Fumio i jego ojcem.

- A my jesteśmy tu po to, by zatrzymać takich jak ty - parsknął większy strażnik, machając mi mieczem przed nosem i szczerząc zęby w uśmiechu. Miał długie włosy, gęstą brodę mieszkańca północy i porwane bliznami oblicze.

To było wręcz zbyt łatwe - jego arogancja i głupota uczyniły go nader podatnym na sen Kikuta. Gdy spojrzałem mu głęboko w oczy, szczeka mu opadła, uśmiech zaś przeszedł w westchnienie, jakby się zdziwił, że powieki mu się kleją, a kolana uginają.

Był dużym, postawnym mężczyzną, toteż upadł ciężko, uderzając głową o kamienie.

Drugi zamachnął się na mnie mieczem, lecz właśnie tego się spodziewałem.

Zdażyłem się rozdziwić i dobyć Jato, a gdy napastnik bezskutecznie przecinał mój wizerunek, jednym uderzeniem wyrwałem mu broń i odrzuciłem daleko za siebie.

- Proszę, powiedz Teradzie, że tu jestem - powtórzyłem. Tymczasem Ryoma przycumował łódź i wyskoczył na nabrzeże.

- To jest pan Otori, idioto! - krzyknął, podnosząc miecz strażnika. - Ten, o którym opowiadają te wszystkie historie! Masz szczęście, że nie uśmiercił cię na miejscu!

Z fortu wybiegli inni żołnierze i natychmiast padli na kolana.

- Wybacz mi, panie, nie zamierzałem cię obrazić - wymamrotał zdumiony strażnik, wytrzeszczając oczy na widok czegoś, co bez wątpienia uznał za czary.

- Ciesz się, że jestem w dobrym humorze - powiedziałem. - Ale obraziłeś mego kuzyna i sądzę, że powinieneś go przeprosić.

Z Jato na gardle mężczyzna spełnił rozkaz. Na ustach Ryomy wykwitł uśmieszek zadowolenia.

- A Teruo? - wykrztusił strażnik, wskazując nieprzytomnego kolegę.

- Nic mu nie grozi. Kiedy się obudzi, będzie miał lepsze maniery. A teraz bądź

łaskaw powiadomić Teradę Fumio o moim przybyciu.

Pośpiesznie oddalił się z jakimś kolegą, reszta żołnierzy wróciła do fortu.

Usiadłem na balustradzie nabrzeża obok szylkretowego kota, który z zainteresowaniem przyglądał się całemu zajściu. Był to najgrubszy kocur, jakiego widziałem w życiu.

Podszedł do leżącego, starannie go obwąchał, po czym wskoczył obok mnie na murek i zaczął się myć. Przesądni żeglarze z pewnością sądzili, że dzięki swej niezwykłej maści przynosi im szczęście, toteż rozpieszczali go i przekarmiali. Ciekaw byłem, czy zabierają go w podróże.

Pogłodziłem kota i rozejrzałem się. Na tyłach portu leżała mała wioska, za nią wznosiło się wzgórze. W połowie drogi wiodącej na szczyt stał spory drewniany budynek, na poły dom mieszkalny, na poły warownia, skąd musiał się roztaczać doskonały widok na wybrzeże i szlaki morskie aż do samego Hagi. Nie mogłem się oprzeć uczuciu podziwu dla usytuowania i konstrukcji domu, zacząłem też pojmować, dlaczego nikomu nie udało się przepędzić piratów z ich gniazda.

Widziałem, jak strażnicy biegną ścieżką pod górę, słyszałem ich zdyszane okrzyki, gdy przekazywali wiadomość przy bramie domostwa. Potem dobiegł mnie znajomy głos - to mówił Fumio, tonem nieco głębszym i dojrzałym niż kiedyś, lecz z tą samą nutą podniecenia, jaką pamiętałem. Wstałem i poszedłem do końca nabrzeża.

Kot zeskoczył i ruszył w ślad za mną.

Tymczasem na przystani zebrał się spory tłum, przyglądający mi się wrogo i podejrzliwie. Miałem nadzieję, że obecność kota uspokoi gapiów, patrzyli na mnie z zaciekawieniem i napięciem, jednocześnie słuchając słów Ryomy, który uznał za stosowne mnie przedstawić:

- Oto pan Otori Takeo, syn i spadkobierca pana Shigeru, człowiek, który zabił

lidę! - Po czym dodał, niemal do siebie: - Nazwał mnie kuzynem.

Fumio zbiegł pędem ze wzgórza. Niepotrzebnie się martwiłem, jak zostanę przyjęty - powitał mnie serdecznie i uściskał jak brata. Wyglądał dojrzałej, zapuścił

wąsy i rozrósł się w ramionach - prawdę mówiąc, był równie dobrze odżywiony jak nadbrzeżny kot - ale jego ruchliwa twarz i żywe spojrzenie pozostały niezmiennie.

- Sam przypląnąłeś? - zapytał, cofając się o krok i przyglądając mi się bacznie.

- Ten człowiek mnie przywiózł - odparłem, wskazując Ryomę, który na widok Fumio padł na ziemię; bez względu na marzenia i aspiracje, mój krewniak wiedział, gdzie leży prawdziwa władza! - Nie mogę zostać długo, muszę jeszcze dziś wracać.

- Poczekaj tu na pana Otori - polecił Fumio Ryomie i na odchodnym rzucił przez ramię do strażników: - Dajcie mu coś do jedzenia.

I nie dokuczajcie znanemu, chciałem dodać, lecz bałem się, że jeszcze bardziej zawstydzę swego przewoźnika. Miałem nadzieję, że strażnicy zaczną go traktować lepiej niż dotychczas, ale szczerze mówiąc, nie bardzo w to wierzyłem. Było w nim coś, co prowokowało do kpiny i czyniło zeń wieczną ofiarę.

- Jak przypuszczam, przybyłeś tu w konkretnym celu - powiedział Fumio, gdy szliśmy pod górę. Nie stracił nic ze swej energii i wytrwałości. - Wykąpiemy się, zjemy coś, a potem zaprowadzę cię do ojca.

Choć miałem doń naprawdę pilną sprawę, pokusa, by zanurzyć się w gorącej wodzie, okazała się silniejsza. Ufortyfikowany dom został zbudowany wokół kilku gorących źródeł, które z bulgotem tryskały ze skał, czyniąc z wyspy prawdziwą bramę piekieł, miejsce dzikie i zniechęcające nawet bez swoich wojowniczych mieszkańców.

Nad nami dymił wulkan, powietrze pachniało siarką; w głębinach źródeł, niczym skamieniałe trupy, majaczyły sine głązy, nad powierzchnią unosiły się kłęby pary.

Rozebrałem się i szybko wśliznąłem do wody. Przyznaję, że nigdy jeszcze nie kąpałem się w takim ukropie. Miałem uczucie, że lada moment zejdzie mi skóra, lecz po pierwszym, bolesnym szoku wrażenie było nieopisane. Wszystko ze mnie spłynęło: wiele dni konnej wędrówki, noce spędzone na gołej ziemi, długa podróż łodzią.

Wiedziałem, że powinienem mieć się na baczności - chłopięca przyjaźń to wątła podstawa zaufania - lecz w owej chwili każdy mógł mnie zabić, a ja zapewne umarłbym szczęśliwy.

- Od czasu do czasu docierały do nas wieści o tobie - powiedział Fumio. - Od naszego ostatniego spotkania bardzo się napracowałeś! Przykro mi, że pan Shigeru zginął.

- To ogromna strata, nie tylko dla mnie, ale i dla klanu. Wciąż ścigam jego morderców.

- Przecież Iida nie żyje?

- Owszem, Iida poniósł karę, ale to panowie Otori zaplanowali śmierć Shigeru i wydali go w ręce Iidy.

- Zamierzasz go pomścić? Jeśli tak, możesz liczyć na ród Terada.

Krótko opowiedziałem mu o swoim ślubie z Kaede, o naszej podróży do Maruyamy i siłach, jakimi dysponuję.

- Jednak przede wszystkim muszę wrócić do Hagi i objąć swoje dziedzictwo.

Panowie Otori nie oddadzą go dobrowolnie, więc będę musiał wziąć je siłą. Szczerze mówiąc, bardzo mi to odpowiada, gdyż w ten sposób zyskuję powód, by ich zniszczyć.

Fumio uśmiechnął się i uniósł brwi.

- Zmieniłeś się, odkąd cię poznałem.

- Musiałem.

Wyszliśmy z wody, ubraliśmy się i zjedliśmy posiłek, który podano w jednym z licznych pokoiów

domostwa. Przypominało magazyn, istną skarbnicę przedmiotów cennych i pięknych, zapewne zrabowanych ze statków handlowych; były tu rzeźby z kości słoniowej, naczynia z białozielonej porcelany, brokaty, misy złote i srebrne, tygrysie i lamparcie futra. Nigdy dotąd nie widziałem domu, gdzie znajdowałyby się tyle kosztowności, wystawionych bez śladu elegancji i umiaru, do których przywyczałem się w rycerskich siedzibach.

- Obejrzyj je sobie - zachęcił Fumio, gdy skończyliśmy jeść. - Ja pójdę pomówić z ojcem. Jeśli coś ci się spodoba, weź sobie. Ojciec gromadzi te rzeczy, ale nic dla niego nie znaczą.

Podziękowałem mu za propozycję, jednak nie zamierzałem nic ze sobą zabierać.

Siedziałem, spokojnie czekając na powrót przyjaciela, na pozór rozluźniony, lecz czujny.

Co prawda Fumio powitał mnie serdecznie, ale nie miałem pojęcia, jakimi jeszcze sojuszami związany był ród Terada; równie dobrze mogli działać w porozumieniu z rodziną Kikuta. Nasłuchiwałem, umiejscawiając wszystkich domowników, próbując przypisać im głosy i akcent; jednak już dawno zdałem sobie sprawę, że gdybym przypadkiem trafił w pułapkę, mam nikłe szanse ucieczki. W rzeczy samej, wszedłem samotnie do jaskini smoka.

Zorientowałem się już, że smok - czyli sam Terada ojciec - przebywa na tyłach domu. Słyszałem, jak wydawał rozkazy, domagał się herbaty, wachlarza, wina. Jego głos był szorstki i pełen energii, podobny do głosu Fumia, często namiętny, czasem gniewny, lecz zdradzający utajone poczucie humoru. Terada Fumifusa był kimś, kogo nie wolno było nie doceniać. Udało mu się wyzwolić ze sztywnej hierarchii ustroju klanowego, przeciwstawić Otorim i sprawić, że jego imię budziło lęk w całej Środkowej Krainie.

Wreszcie Fumio wrócił i zaprowadził mnie na tyły domu, do pokoju z widokiem na Hagi, położonego niczym orle gniazdo wysoko nad wioską i portem. W oddali, ledwie widoczny, majaczył znajomy zarys gór; morze było nieruchome i spokojne, smugowate niczym jedwabna mora barwy indygo, ze śnieżnobiałymi koronkami fal przy skalistym brzegu. Poniżej okna kołował orzeł, z tej odległości nie większy od skowronka.

Nigdy jeszcze nie widziałem takiego pokoju - nawet najwyższe piętro zamku w Hagi nie znajdowało się tak wysoko, nie było tak otwarte na żywioły. Ciekawe, pomyślałem, co się tu dzieje, gdy wybrzeżem wędrują wściekle jesienne tajfuny.

Budynek znajdował się częściowo pod osłoną cypla, ale sam pomysł takiej konstrukcji świadczył o niesłychanej pysze, równie wielkiej jak duma watażków na lądzie.

Terada siedział na tygryziej skórze, zwrócony twarzą do otwartych okien. Na niskim stoliku u jego boku leżały mapy i wykresy, listy przewozowe oraz rura, podobna do bambusowego fletu. Przy drugim końcu stołu klęczał skryba z pędzlem w dłoni, mając przed sobą tusz w kamieniu.

Skłoniłem się nisko i wymieniłem swe imię i pochodzenie. Terada oddał mi ukłon, co świadczyło o uprzejmości - jeśli ktoś tu miał władzę, to niewątpliwie on.

- Wiele słyszałem o tobie od syna - rzekł. - Miło cię tu widzieć. - Skinieniem zaprosił mnie, bym usiadł obok niego. Skryba dotknął czołem maty i pozostał w tej pozycji.

- Słyszałem, że powaliłeś jednego z moich ludzi, nie tknąwszy go nawet palcem.

Jak to zrobiłeś?

- Robił to samo psom, kiedy byliśmy chłopcami - wtrącił Fumio, siadając na podłodze ze skrzyżowanymi nogami.

- Moje zdolności są bardzo skromne - odparłem. - Nie chciałem go skrzywdzić.

- Zdolności Plemienia? - zapytał Terada.

Nie miałem wątpliwości, że sam korzystał z ich usług i doskonale wiedział, o co chodzi. Lekko skłoniłem głowę.

Zmrużył oczy i odął wargi.

- Pokaż mi, jak to wygląda - zażądał i zdzielił skrybę w głowę złożonym wachlarzem. - Na przykładzie tego człowieka.

- Proszę wybaczyć, moje talenty są co prawda znikome ale nie mogę ich demonstrować jak sztuczek.

- Hmm - mruknął. - Chcesz powiedzieć, że nie występujesz na życzenie?

- Pan Terada bardzo ściśle to ujął.

Zapadło pełne napięcia milczenie, po czym gospodarz się roześmiał.

- Fumio mnie ostrzegał, że nie da się tobą komenderować. Odziedziczyłeś nie tylko wygląd Otorich, ale również ich ośli upór. Cóż, niezbyt wysoko cenię sobie czary, chyba że takie, które może czynić każdy. - Podniósł rurę i przytknął jej koniec do jednego oka, jednocześnie zamykając drugie. - Oto moja magia - rzekł, wręczając mi ją. -

Co o tym sądzisz?

- Popatrz. - Fumio uśmiechnął się szeroko. Ostrożnie ująłem rurę, usiłując nieznacznie ją obwąchać, na wypadek, gdyby była zatruta. Fumio parsknął śmiechem.

- Nic ci nie grozi!

Przymknąwszy jedno oko spojrzałem w głąb rury. Z gardła wyrwał mi się okrzyk zaskoczenia; dalekie góry oraz miasto Hagi zbliżyły się ku mnie nagłym skokiem.

Opuściłem rurę i wszystko wróciło na miejsce, zamglone i niewyraźne jak przedtem.

Panowie Terada, ojciec i syn, chichotali w najlepsze.

- Co to jest? - zapytałem. Rura nie sprawiała wrażenia wytworu magii. Stworzyła ją ludzka ręka.

- Jest tam szkło w kształcie ziarna soczewicy. Powiększa przedmioty i przybliża to, co odległe - wyjaśnił Terada.

- Pochodzi z głównego ładu?

- Zabraliśmy ją z tamtejszego statku; od dawna mają podobne wynalazki. Ale wydaje mi się, że ten został wykonany przez barbarzyńców z dalekiego kraju na południu. - Pochyliwszy się ku mnie, odebrał mi rurę, jeszcze raz spojrzął przez nią i rzekł z uśmiechem: - Wyobraź sobie kraje oraz ludzi, którzy potrafią robić takie rzeczy.

Tu, na Ośmiu Wyspach, ulegamy złudzeniu, że jesteśmy całym światem, ale czasem mam wrażenie, że o niczym nie mamy pojęcia.

- Słyszeliśmy pogłoski o broni, która zabija z wielkiej odległości za pomocą ołowiu i ognia - powiedział Fumio. - Próbujemy zdobyć coś takiego dla siebie. - Spojrzął

w okno wzrokiem, przepelnionym niespokojną tęsknotą za ogromnym światem na zewnątrz. Pojąłem, że zamknięty na wyspie musi się czuć jak w więzieniu.

Widok dziwnego przedmiotu i wieści o nowej broni napełniły mnie złymi przeczuciami. Wysokość, na jakiej znajdował się pokój, pionowe urwisko, zmęczenie -

wszystko to sprawiło, że na chwilę zawirowało mi w głowie. Starłem się oddychać spokojnie i głęboko, mimo to poczułem, że oblewa mnie zimny pot. Zrozumiałem, że sojusz z piratami nie tylko umocni ich władzę, lecz otworzy drogę dla zalewu nowych rzeczy i pomysłów, a te całkowicie odmienia społeczność, w której usiłowałem wywalczyć sobie miejsce. W pokoju zapadła cisza. Słyszałem stłumione odgłosy domostwa wokół mnie, uderzenia skrzydeł orła, odległy syk morza i głosy mężczyzn w porcie. Kobieta tłukąca ryż cicho nuciła starą balladę o dziewczynie, zakochanej w rybaku.

Powietrze, zda się, zamigotało niczym morze, jakby z oblicza rzeczywistości opadła cienka zasłona. Wiele miesięcy temu Kenji powiedział mi, że kiedyś wszyscy ludzie mieli zdolności, które teraz zachowało tylko Plemię - a właściwie garstka takich jak ja. Wkrótce, pomyślałem, i my znikniemy, a nasze talenty ulegną zapomnieniu, ustępując technicznej magii, tak pożądanej przez Teradów. Pomyślałem o swojej roli w likwidowaniu owych zdolności, o członkach Plemienia, których zabiłem, i poczułem dojmujące ukłucie żalu. A przecież wiedziałem, że nie odstąpię od sojuszu z rodem Terada, że już się nie cofnę - a jeśli dalekowiedząca rura i ognista broń pomogą mi osiągnąć cel, nie zawaham się przed ich użyciem.

Pokój przestał wirować. Krew znów popłynęła mi w żyłach. Minęło zaledwie kilka chwil.

- Słyszałem, że masz dla mnie propozycję - powiedział Terada. - Z ciekawością jej wysłucham.

Powiedziałem mu o swym pomysle, aby wziąć Hagi od strony morza. Mój plan polegał na tym, by związać siły wroga nad rzeką przy pomocy połowy wojska, a tymczasem przetransportować drugą połowę drogą morską i przypuścić szturm na zamek. W rewanżu za pomoc zamierzałem ponownie osadzić ród Terada w Hagi i utworzyć flotyllę okrętów wojennych pod ich dowództwem. Po zaprowadzeniu pokoju klan Otori mógłby finansować wyprawy na główny ląd w zamian za wiedzę i kontakty handlowe.

- Znam siłę i wpływy twojej rodziny - zakończyłem. - Nie wierzę, żebyście chcieli na zawsze zostać tutaj, na Oshimie.

- To prawda, że wolelibyśmy wrócić do rodzinnego domu - odparł Terada. - Jak wiesz, Otori go skonfiskowali.

- Zostanie wam zwrócony - obiecałem.

- Jakiś ty pewny siebie! - parsknął rozbawiony.

- Jestem pewien, że z twoją pomocą zwyciężę.

- Kiedy zamierzasz zaatakować? - Fumio spojrzał na mnie rozpalonym wzrokiem.

- Jak najprędzej. Szybkość i zaskoczenie to moja najsilniejsza broń.

- Lada dzień spodziewamy się pierwszych tajfunów - rzekł Terada. - Dlatego wszystkie nasze okręty są w porcie. Minie miesiąc, nim znów zdołamy wyjść w morze.

- Więc ruszymy, kiedy tylko pogoda się poprawi.

- Nie jesteś starszy od mojego syna. Na jakiej podstawie sądzisz, że umiesz dowodzić armią?

Szczegółowo opisałem mu nasze siły i wyposażenie, naszą bazę w Maruyamie i bitwy, które już wygraliśmy. Zmrużył oczy i chrząknął, po czym zamilkł na pewien czas. Wyczuwałem w nim zarówno ostrożność jak i żądzę zemsty. W końcu trzasnął

wachlarzem w stół, aż skryba się wzdrygnął, skłonił mi się nisko i tonem bardziej oficjalnym niż dotychczas oznajmił:

- Panie Otori, pomogę ci w tym przedsięwzięciu i chętnie cię ujrzę jako władcę Hagi. Dom i ród Terada przysięgają ci wierność, a nasi ludzie i okręty są na twoje rozkazy.

Podziękowałem mu, nie kryjąc wzruszenia. Przyniesiono wino i wypiliśmy za nasze porozumienie. Fumio był zachwycony, jak się później dowiedziałem, miał swoje powody, by chcieć wrócić do Hagi, z których nie najbliższym była obiecana mu dziewczyna. We trzech spożyliśmy południowy posiłek, rozmawiając o strategii i wojsku, a po południu Fumio zabrał mnie do portu, aby pokazać mi okręty.

Ryoma czekał na przystani z kotem u boku. Powitał nas wylewnie, a gdy wszedłem z Fumio na

pobliski okręt, trzymał się mnie niczym cień. Wielkość i ładowność jednostki robiły ogromne wrażenie, spodobał mi się sposób, w jaki piraci wzmocnili ją zaporami z desek, zdumiała ogromne płócienne żagle oraz liczne wiosła.

Plan, który był zaledwie mglistą ideą w moich myślach, nagle zaczął przybierać realne kształty.

Umówiliśmy się, że kiedy tylko pogoda się poprawi, Fumio przez Ryomę prześle mi wiadomość, a ja w następną pełnię księżyca zacznę przemieszczać ludzi na północ.

Przy kaplicy Katte Jinja będą czekały okręty, które zabiorą nas na Oshimę, skąd dokonamy ataku na miasto i zamek.

- Znów wejdziemy do Hagi w nocy, zupełnie jak za dawnych czasów - rzekł

Fumio, szczerząc zęby z uciechy.

- Nie wiem, jak ci dziękować. Na pewno wstawiłeś się za mną u ojca.

- Nie było potrzeby; od razu dostrzegł korzyści z sojuszu z tobą, poza tym uznaje w tobie prawowitego władcę klanu. Ale chyba by się nie zgodził, gdybyś nie przybył tu sam, osobiście. Zaimponowałeś mu. Lubi śmiałków.

Wiedziałem, że to był jedyny sposób, lecz owa myśl bardzo mi ciążyła. Tyle jeszcze trzeba było zrobić, a ja byłem sam jeden, nawet szaleńczy alians z piratami zależał tylko ode mnie.

Fumio nalegał, bym został dłużej, ale zaczęło mi być spieszno do Maruyamy -

chciałem jak najszybciej zacząć przygotowania i za wszelką cenę uprzedzić atak Araiego. Poza tym, nie ufałem pogodzie. Panowała nienaturalna cisza, a niebo zaciągnęło się ołowiem z pasmem czerni na horyzoncie.

- Jeśli zaraz wyruszymy, odpływ nam pomoże - popędzał mnie Ryoma.

Na nabrzeżu uściskałem Fumio i wsiadłem do łodzi. Ostatni raz pomachałem mu na pożegnanie, po czym odcumowaliśmy i niesieni odpływem zaczęliśmy się oddalać od brzegów wyspy.

Ryoma z niepokojem wpatrywał się w ołowiane niebo. Nie bez powodu, gdyż zaledwie pół mili od Oshimy wiatr zaczął przybierać na sile. Po chwili już wściekle wiało, zacinając nam deszczem prosto w twarz. Na wiosła w ogóle nie posuwaliśmy się naprzód, ale gdy spróbowaliśmy postawić żagiel, wichura natychmiast wyrwała nam go z rąk.

- Musimy zawrócić! - krzyknął Ryoma.

Nie mogłem się sprzeciwić, choć myśl o dalszej zwłoce bardzo mnie przygnębiła. Ryoma, używając wiosła, jakoś zdołał zawrócić kruchą łupinę. Fale z każdą chwilą stawały się większe - ogromne, zielonkawe bałwany, które zawisały nad nami niczym góry, po czym ciskały nas w otchłań. Zapewne byliśmy tak zieloni jak one; po czwartym czy piątym zjeździe obaj zwymiotowaliśmy jednocześnie,

jednak kwaśny odór był niemal niewyczuwalny w przytłaczającym żywiole wiatru i wody.

Sztorm pchał nas w stronę portu, lecz musieliśmy pracować wiosłem we dwóch.

Nie sądziłem, że uda nam się trafić do zatoki, obawiałem się, że wichura zniesie nas na otwarte morze, jednak za cyplem zyskaliśmy chwilę wytchnienia i zdołaliśmy wpłynąć za falochron. Mimo to niebezpieczeństwo nie minęło - woda w porcie gotowała się jak w kotle. Fale pchnęły łódź na nabrzeże, wessały ją z powrotem i z mdlącym trzaskiem cisnęły o kamienną ścianę.

Znalazłem się pod wodą. Rozpaczliwie zamachałem rękami, próbując wypłynąć na powierzchnię. Kilka stóp od siebie zobaczyłem Ryomę, jego twarz i otwarte usta, zupełnie jakby wołał o pomoc. Chwyciłem go za ubranie i pociągnąłem do góry. Na powierzchni zaczerpnął głęboko tchu, ale natychmiast wpadł w panikę, zamachał

gwałtownie rękami, po czym chwycił mnie mocno za szyję. Zacząłem się dusić i znów poszliśmy pod wodę. Co z tego, że umiałem długo wstrzymać oddech, skoro wiedziałem, że mimo swych uzdolnień, prędzej czy później będę musiał odetchnąć? W

głowie mi łupało, płuca nieznośnie bolały; próbowałem rozerwać uścisk Ryomy, dosięgnąć jego szyi, obezwładnić go choćby na moment i wydostać nas obu z opresji.

Jasno i wyraźnie pomyślałem: „To mój kuzyn, nie mój syn”, a potem: Być może wyrocznia się pomyliła!”.

Nie mogłem uwierzyć, że zginę przez utonięcie. Wzrok mi się mącił, widziałem na przemian przepastną czerń i oślepiający blask, w głowie czułem ogłuszający ból.

Pociągnie mnie za sobą na tamten świat, pomyślałem, lecz wówczas poczułem na twarzy wiatr i łąpczywie zachłysnąłem się powietrzem.

Dwaj ludzie Fumio skoczyli nam na ratunek, przywiązani sznurami do nabrzeża.

Za włosy wywlekli nas na kamienie, gdzie natychmiast zwymiotowaliśmy ponownie, głównie wodą morską. Ryoma był w znacznie gorszym stanie niż ja - jak wielu żeglarzy i rybaków nie umiał pływać i straszliwie lękał się utonięcia.

Deszcz lał strumieniami, całkowicie zasłaniając odległy brzeg. Okręty piratów kołysały się w szeregu na przystani, skrzypiąc i jęcząc zgodnym chórem. Obok mnie klęczał Fumio.

- Możesz iść? Spróbujmy się schronić przed najgorszym uderzeniem sztormu.

Podniosłem się. Gardło mnie bolało, oczy piekły, lecz poza tym wyszedłem z przygody bez szwanku, nie utraciłem Jato ani reszty broni. Na pogodę nie miałem wpływu, mimo to przepełniały mnie gniew i niepokój.

- Ile czasu to potrwa?

- To chyba nie prawdziwy tajfun, tylko lokalny sztorm Powinien minąć do rana.

Fumio był optymistą. Sztorm szalał przez trzy doby a przez dwa kolejne dni morze było zbyt wzburzone, by Ryoma odważył się wypłynąć z portu swoją małą łódką. Zresztą i tak wymagała napraw, które trwały jeszcze cztery dni. Choć Fumio proponował, że odeśle mnie okrętem piratów, nie mogłem pozwolić, by ktokolwiek mnie z nimi zobaczył - bałem się, że szpiedzy odgadną moje plany. Czekając beczynn timer, całymi dniami zamartwiałem się, co zrodi Makoto - czy zaczeka na mnie, czy wróci do Maruyamy? A może, skoro już wie, że należę do Ukrytych, całkiem mnie porzuci i odejdzie do Terayamy? Jeszcze bardziej niepokoiłem się o Kaede, której nie zamierzałem opuszczać na tak długo.

Za to do woli rozmawiałem z Fumio o okrętach i nawigacji, o walkach morskich, o broni, w którą należy wyposażyć żeglarzy, i temu podobnych sprawach. W

towarzystwie szyl-kretowego kota, który chodził za mną krok w krok i był równie wścibiśki jak ja, zwiedziłem wszystkie okręty i obejrzałem ich uzbrojenie, które zrodiło na mnie jeszcze większe wrażenie niż przedtem. Wieczorami zaś, gdy z dołu dobiegały głosy grających w kości żeglarzy oraz śpiewy ich dziewcząt, do późnej nocy naradzałem się z ojcem Fumio, coraz wyżej ceniąc sobie jego odwagę i rozum, ciesząc się, że mam w tym człowieku sojusznika.

Księżyc był już w ostatniej kwadrze, kiedy wykorzystując wieczorny odpływ, wypłynęliśmy na spokojne morze. Ryoma, który po przytopieniu doszedł już do siebie, na moją prośbę został ostatniego wieczora przyjęty w rezydencji Terada i zjadł z nami posiłek. Obecność starego pirata całkowicie odjęła mu mowę, lecz widziałem, że bardzo sobie ceni ten zaszczyt.

Wiał silny wiatr i mogliśmy postawić nowy żagiel z żółtego płótna, który uszyli dla nas piraci. W miejsce amuletów, utraconych przy wywrotce, dostaliśmy nowe; na dziobie tkwiła drewniana figurka boga mórz, który, zdaniem żeglarzy, najwyraźniej otaczał nas szczególną opieką. Amulety śpiewały na wietrze, zbocza Oshimy spowijała mgła, a gdy mijaliśmy ją od południa, rozległ się stłumiony huk, jakby echo, i z czubka wulkanu uniósł się mały obłok czarnego dymu i popiołu. Pomyślałem, że miejscowa ludność ma rację, nazywając wyspę bramą piekieł; stopniowo jednak i wulkan zmałał i zbladł, aby skryć się ostatecznie w podnoszącym się z morza liliowym, wieczornym oparze.

Na szczęście niemal zakończyliśmy przeprawę przed zapadnięciem nocy, gdyż wieczorem otoczył nas nieprzenikniony, gęsty obłok. Ryoma to gadał jak najęty, to popadał w ponure milczenie. Nie miałem wyboru - mogłem tylko mu zaufać i zmieniać się z nim przy wiosle.

Zmianę melodii morza i syk fal, cofających się z piargów, usłyszałem na długo przedtem, nim zamajaczył przed nami ciemny zarys lądu; przybiliśmy dokładnie w tym samym miejscu, z którego wypłynęliśmy. Na plaży, przy małym ognisku, czekał na nas Jiro. Gdy łódź zaszurała na kamieniach, zerwał się na równe nogi i mocno chwycił

dziób.

- Pan Otori! Już straciliśmy nadzieję! Makoto chciał wracać do Maruyamy i zawiadomić wszystkich, że zaginałeś!

- Zatrzymała nas burza.

Zalała mnie fala ulgi, że na mnie czekają, że mnie nie opuścili.

Mimo wyczerpania Ryoma nie chciał wyjść z łodzi ani odpocząć do rana.

Domyśliłem się, że mimo wcześniejszych przechwałek bardzo się boi i pragnie wrócić do domu, póki jest ciemno, żeby nikt nie odgadł, dokąd pływał. Posłałem Jiro do kaplicy, by przyniósł obiecane srebro, oraz tyle jedzenia, ile byliśmy w stanie oddać, Ryomie zaś poleciłem, by nas oczekiwał, kiedy ustali się pogoda.

Znowu zrobił się niezręczny i skrepowany. Czulem, że chciałby usłyszeć zapewnienia i gwarancje, których nie mogłem mu udzielić; miałem wrażenie, że w jakiś sposób go zawiodłem. Może spodziewał się, że z miejsca oficjalnie go uznam i zabiorę ze sobą do Maruyamy, nie chciałem jednak brać na siebie odpowiedzialności za kolejną osobę. Z drugiej strony, nie mogłem dopuścić do tego, by się do mnie zraził. Pragnąłem wykorzystać go jako posłańca, musiałem mu zaufać i jego milczenie było mi niezbędne.

Usilnie przekonywałem go o konieczności zachowania najgłębszej tajemnicy, sugerując, że od tego zależy jego przyszła pozycja, aż wreszcie przysiągł, że nie puści pary z ust.

Pieniądze oraz żywność od Jiro przyjął z wyrazami najwyższej wdzięczności, ja również podziękowałem mu serdecznie - naprawdę byłem mu bardzo wdzięczny - lecz nie mogłem oprzeć się uczuciu, że ze zwykłym rybakiem miałbym znacznie mniej zachodu.

Makoto, któremu za moim powrotem spadł kamień serca, przyszedł z Jiro na plażę. W drodze powrotnej do kaplicy opowiedziałem mu o wyprawie i pomyślnym zakończeniu rozmów z rodem Terada; jednak jeszcze długo odruchowo nadstawiałem ucha, by wychwycić pluśnięcia wiosła oddalającego się w ciemności Ryomy.



Rozdział szósty

Kiedy Takeo wyjeżdżał na wybrzeże, a bracia Miyoshi do Inuyamy, malujące się na ich twarzach podniecenie wzbudziło w Kaede irytację. Była zła, że zostaje w domu, ponadto w ciągu następnych dni prześladowały ją lęki i niepokój. Nie przypuszczała, że tak dotkliwie odczuje brak fizycznej obecności męża; zazdrościła Makoto, że mu towarzyszył, obawiała się o jego bezpieczeństwo, lecz jednocześnie nie mogła powstrzymać złości.

Zemsta jest dla niego ważniejsza niż ja, myślała często. Czy poślubił mnie tylko po to, by ułatwić

sobie odwet na wrogach? Wierzyła, że głęboko ją kocha, ale był

wojownikiem i jeśli by musiał wybierać, wiedziała, że wybrałby zemstę. Gdybym była mężczyzną, postępowałabym tak samo, powtarzała sobie. Nie potrafię nawet dać mu dziecka; co ze mnie za pożytek, co za kobieta? Powinnam była urodzić się mężczyzną.

Może dane mi będzie odrodzić się w męskiej postaci?

Nikommu nie zwierzała się z tych myśli - zresztą nie było nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Sugita i inni członkowie starszyny traktowali ją uprzejmie, nawet serdecznie, ale wyraźnie unikali jej towarzystwa. Całymi dniami szukała sobie zajęć, nadzorując gospodarstwo, objeżdżając włości razem z Amano i przepisując notatki, które powierzył jej Takeo. Już raz próbowano je ukraść, uznała więc, że należy dla bezpieczeństwa sporządzić kopię, ponadto miała nadzieję, że dzięki temu lepiej zrozumie, dlaczego Takeo zwalcza Plemię z taką zaciekłością i dlaczego tak się tym dręczy. Niedawne egzekucje oraz stosy trupów po bitwie pod Asagawą głęboko nią wstrząsnęły; wychowanie człowieka trwało tak długo, a tak łatwo było zgasić życie!

Obawiała się odwetu zarówno żywych, jak i martwych. Z drugiej strony, cóż miał

począć Takeo, skoro tak wielu ludzi sprzysięgło się, by go zgładzić?

Ona, Kaede, również zabijała, z jej rozkazu ginęli ludzie; a może utrata dziecka była karą za owe postęпки? Jej pragnienia uległy zmianie - teraz chciała przede wszystkim chronić i karmić, dawać życie, a nie je odbierać. Czy potrafiłaby utrzymać swoje włości i władać nimi bez użycia przemocy? Miała aż nadto samotnych godzin, by przemyśleć wszystkie te sprawy.

Takeo powiedział, że powróci za niecały tydzień, jednak termin minął, jego zaś wciąż nie było. Niepokoiła się coraz bardziej. Należało podjąć pewne decyzje, zrobić plany na przyszłość, tymczasem starszyna jej unikała, a Sugita na jej każdy pomysł

reagował głębokim ukłonem i sugestią, by zaczekała na powrót męża. Dwukrotnie próbowała zwołać zebranie rady starszych i dwukrotnie wszyscy jej członkowie wymawiali się złym stanem zdrowia.

- To ciekawe, że chorują tego samego dnia - rzekła do Sugity z przekąsem. - Nie miałam pojęcia, że Maruyama jest taka niezdrowa dla osób starszych.

- Cierpliwości, pani Kaede. Nie musimy o niczym decydować do powrotu pana Takeo, co nastąpi lada dzień. Może będzie chciał pilnie gdzieś wysłać żołnierzy, więc muszą czekać w gotowości. I my powinniśmy czekać.

Jej rozdrażnienie dodatkowo zwiększała świadomość, że choć dobra były jej własnością, wszyscy powoływali się na Takeo. Ona również musiała go słuchać, w końcu był jej mężem, ale Shirakawa i Maruyama należały do niej i na ich terenie powinna móc robić, co zechce! W pewnej mierze czuła się również zgorszona faktem, że Takeo zamierzał zawrzeć sojusz z piratami. Wszystkie zasady, wedle których ją wychowano, podpowiadały, że jest wyżej odeń urodzona, a w jej żyłach płynie czystsza krew. Wstydziła się tych myśli, odpychała je od siebie, ale nie mogła się ich pozbyć, a im

dłużej Takeo był nieobecny, tym natrętniej ją prześladowały.

- Gdzie jest twój bratanek? - zapytała Sugitę, chcąc się czymś zająć. - Przyślij go do mnie, niech popatrzę na kogoś, kto ma mniej niż trzydzieści lat!

Ale z Hiroshiego nie miała wielkiej pociechy, gdyż on również był pełen pretensji, że zostawiono go w domu. Marzył o tym, by jechać do Inuyamy z Kaheiem i Gemką.

- Nawet nie znają drogi - gderał niczym staruszek. - Wszystko bym im pokazał, a tak muszę siedzieć tutaj i pobierać nauki od stryja. Nawet Jiro pozwolono jechać z panem Otori!

- Jiro jest od ciebie znacznie starszy - zauważyła Kaede.

- Tylko o pięć lat. To on powinien się uczyć, ja już teraz znam więcej znaków!

- Bo wcześniej zacząłeś. Nie powinieneś gardzić ludźmi tylko dlatego, że nie mieli twoich możliwości. - Przyjrzała mu się; był niski na swój wiek, ale silny i ładnie zbudowany, zapowiadał się na przystojnego mężczyznę. - Masz chyba tyle samo lat, co moja siostra - dodała.

- Twoja siostra jest do ciebie podobna?

- Tak powiadają. Według mnie jest piękniejsza.

- To niemożliwe - rzekł impulsywnie, lecz widząc, że Kaede się śmieje, zaczerwienił się po uszy. - Wszyscy mówią, że pani Otori jest najpiękniejszą kobietą w Trzech Królestwach.

- A co oni wiedzą? - odcięła się. - W stolicy, na cesarskim dworze, są kobiety tak piękne, że mężczyźni ślepną od samego patrzenia. Trzeba je zasłaniać parawanem, żeby cały dwór nie stracił wzroku.

- To jak sobie radzą ich mężowie? - zapytał z niedowierzaniem.

- Noszą opaski na oczach - zażartowała, zarzucając mu na głowę leżącą obok chustkę i przez chwilę przytrzymała go w zabawie, jednak zaraz się jej wyrwał.

Zobaczyła, że jest urażony, potraktowała go jak dziecko, a on pragnął być mężczyzną.

- Dziewczynom to dobrze, nie muszą się uczyć - burknął

- Ależ moja siostra uwielbia się uczyć i ja również. Dziewczynki powinny umieć czytać i pisać, tak samo jak chłopcy wtedy mogłyby pomagać mężom. Ja pomagam swojemu.

- Większość ludzi zatrudnia w tym celu skrybów, zwłaszcza jeśli sami nie potrafią pisać.

- Mój mąż umie pisać - zaprotestowała. - Po prostu, podobnie jak Jiro, zaczął się uczyć później niż ty.

- Nie zamierzałem powiedzieć nic przeciwko niemu! - przeraził się Hiroshi. - Pan Otori ocalił mi życie i pomścił śmierć mego ojca! Zawdzięczam mu wszystko, tylko...

- Tylko co? - zapytała z nieprzyjemnym uczuciem, że jest niełojalna.

- Powtarzam tylko, co ludzie mówią - speszył się Hiroshi. - A mówią, że jest dziwny. Zadaje się z wyrzutkami, pozwala chłopom brać udział w bitwach, zaczął tępić niektórych kupców, nie wiadomo dlaczego. Mówią, że niepodobna, by został

wychowany jak wojownik, i bardzo by chcieli wiedzieć, gdzie spędził młodość.

- Kto mówi? Mieszczanie?

- Nie, ludzie tacy jak moja rodzina.

- Wojownicy z Maruyamy?

- Tak, a niektórzy w dodatku twierdzą, że uprawia czary.

Właściwie się nie zdziwiła - te same rzeczy ją również niepokoiły u Takeo - a przecież oburzyła się, że wojownicy nie są wobec niego lojalni.

- Może został wychowany trochę nietypowo - powiedziała - ale na mocy więzów krwi i adopcji jest spadkobiercą klanu Otori, a poza tym to mój mąż. Nikt nie ma prawa go krytykować. - Postanowiła się dowiedzieć, kto rozpowszechnia te pogłoski, po czym go uciszyć. - Zostaniesz moim szpiegiem, dobrze? - zwróciła się do Hiroshiego. - Donoś mi o każdej, nawet najmniejszej oznace niełojalności.

Od tej pory Hiroshi przychodził do niej codziennie; pokazywał, czego się nauczył, lecz przede wszystkim opowiadał, czego dowiedział się od wojowników. Nie było to nic konkretnego - szepty, żarty, próżna gadanina ludzi, niemających zbyt wiele do roboty, toteż Kaede na razie wstrzymała się od działania, postanowiła jednak ostrzec Takeo, kiedy ten wróci.

Nastaly wielkie upały i zrobiło się za duszno na konne przejażdżki. Kaede, nie chcąc o niczym decydować i co dzień spodziewając się powrotu męża, większość czasu spędzała na klęczkach przy łąkowym stoliku do pisania, kopiując kroniki Plemienia.

Wszystkie drzwi rezydencji stały otworem, aby pochwycić najmniejszy powiew, za oknami ogłuszająco grały owady. Ulubiony pokój Kaede miał widok na stawy i wodospad, za krzewami azalii majaczyły zwietrzałe, srebrzyste belki pawilonu herbacianego. Co dzień obiecywała sobie, że wieczorem przyrządzi tam herbatę dla Takeo i co wieczór doznawała rozczarowania. Czasem nad staw przylatywały zimorodki, odwracając jej uwagę błyskiem oranżu i błękitu; kiedyś obok werandy przysiadła czapla, co dziewczyna wzięła za znak, że jej mąż tego dnia wróci, ale tak się nie stało.

Nikomui nie pokazała, co pisze, szybko bowiem zdała sobie sprawę z wagi zapisków. Była zdumiona, jak wiele udało się odkryć Shigeru, i zastanawiała się, czy miał w Plemieniu informatora. Co wieczór chowała kopię i oryginał w innym miejscu, próbując zapamiętać jak najwięcej. Tajna siatka stała się jej obsesją, wszędzie się jej dopatrywała i nie ufała nikomu, choć Takeo po przyjeździe do

Maruyamy przede wszystkim zrobił czystkę wśród mieszkańców zamku. Zasięg działania Plemienia ją przerażał; nie wyobrażała sobie, by Takeo zdołał kiedykolwiek im umknąć. A potem nachodziła ją myśl, że już go dopadli, że leży gdzieś martwy, a ona nigdy go już nie zobaczy.

Miał rację, myślała. Trzeba ich wszystkich pozabijać, wytepić, bowiem chcą go zniszczyć. A jeśli zniszczą jego, zniszczą i mnie.

Oczyrna duszy często widziała twarze Muto Kenjiego i Shizuki. Żałowała, że tak dalece zaufała Shizuce, zadając sobie pytanie, ile szczegółów z jej życia towarzyszka przekazała Plemieniu. Sądziła, że zarówno Shizuka, jak i Kenji ją lubią; czy cała ta serdeczność była fałszywa? Omal nie zginęli razem z nią na zamku w Inuyamie; czy to się nie liczyło? Czuła się zdradzona przez Shizukę, lecz jednocześnie ogromnie za nią tęskniła i marzyła, by mieć kogoś podobnego, komu mogłaby się zwierzyć.

Krwawienie miesięczne znów się zaczęło, przynosząc nowe uczucie zawodu i tygodniowe odosobnienie. Nawet Hiroshi jej nie odwiedzał. Kiedy ustało, skończyła również przepisywanie i ogarnął ją jeszcze większy niepokój. Święto Umarłych przyszło i minęło, napełniając ją smutkiem i żalem za zmarłymi. Trwające całe lato roboty przy odnawianiu rezydencji dobiegły końca, pokoje wyglądały przepięknie, ale były puste i niezamieszkałe. Pewnego ranka Hiroshi zapytał ją:

- Czemu nie ma tu twojej siostry?

Ona zaś odparła impulsywnie:

- Pojedziemy do mojego domu, by ją przywieźć?

Przez tydzień niebo było ołowiane, jakby groził im tajfun, lecz potem powietrze nagle się oczyściło, a upał nieco zelżał. Noce stały się chłodniejsze, pogoda doskonale służyła podróży. Sugita próbował odwieść Kaede od zamiaru, nawet nieuchwytni dotąd starcy przychodzili jeden po drugim, aby ją przekonać, ale nie zwracała na nich uwagi.

Shirakawa była odległa zaledwie o trzy dni drogi; gdyby Takeo wrócił wcześniej, mógłby do Kaede dołączyć, a wyprawa trochę ukołoby jej nerwy.

- Może pošlemy po twoje siostry - zaproponował Sugita. - To świetny pomysł, powinienem był sam na to wpaść. Pojadę po nie z eskortą.

- Muszę się zająć swoim domem - odparła; skoro raz wbiła sobie tę myśl do głowy, nie potrafiła od niej odstąpić. - Od dnia ślubu nie rozmawiałam ze swymi ludźmi. Powinnam była pojechać wiele tygodni temu. Trzeba sprawdzić stan majątku i dopilnować, by zwieziono plony.

Nie przyznała się Sugicie, ale rwała się do wyjazdu jeszcze z innego powodu, który całe lato leżał jej na sercu. Zamierzała odwiedzić święte jaskinie Shirakawy, napić się cudownej wody z rzeki i pomodlić się do bogini o dziecko.

- Nie będzie mnie tylko kilka dni.

- Obawiam się, że twojemu mężowi się to nie spodoba.

- Ufa moim ocenom we wszystkich sprawach - odparła. - A poza tym, czyż pani Naomi nie podróżowała sama?

Przywykł przyjmować rozkazy od kobiety, więc w końcu udało się jej uśmierzyć jego wątpliwości. Miał z nią jechać Amano oraz kilku ludzi z Shirakawy, którzy towarzyszyli jej od chwili, gdy wiosną wyjechała do Terayamy. Po zastanowieniu postanowiła nie zabierać żadnej kobiety, nawet Manami - chciała podróżować szybko, konno, unikając oficjalnej pompy, którą musiałyby znosić, gdyby jechała jawnie.

Manami błagała i dąsała się, lecz Kaede pozostała nieugięta.

Dosiadła Raku, odmawiając nawet zabrania lektyki. Przed odjazdem zamierzała ukryć kopie zapisków pod podłogą w pawilonie herbacianym, lecz wciąż niepokoiły ją drobne oznaki nielojalności i nie mogła znieść myśli, że ktoś mógłby je znaleźć.

Postanowiła wziąć ze sobą oba komplety i ukryć oryginały gdzieś w domu w Shirakawie. W tajemnicy pouczała Hiroshiego - po długich naleganiach zgodził się, by jej towarzyszył - aby nie spuszczał z oka cennych skrzynek. I w ostatniej chwili zapakowała także podarowany jej przez Takeo miecz.

Amano zdołał przekonać chłopca, by zostawił miecz ojca, lecz mały wziął sztylet oraz łuk i dosiadł niedużego, ognistego deresza z rodzinnej stajni. Przez cały pierwszy dzień konik wierzgał i opierał się, dostarczając ludziom mnóstwo rozrywki, dwukrotnie nawet zawracał gwałtownie i pędził co sił w stronę stajni. Chłopiec z trudem go powściągał i znów doganiał pozostałych, wciąż niezrażony, lecz i twarzą siną ze złości.

- To miłe stworzenie, lecz całkiem surowe - orzekł Amano. - A przez ciebie jest jeszcze bardziej napięty. Nie trzymaj go tak mocno, rozluźnij się.

Zmusił Hiroshiego, by jechał u jego boku, dzięki czemu koń uspokoił się i następnego dnia nie sprawiał już kłopotów. Kaede podróżowała z radością, tak jak przypuszczała, droga stanowiła odtrutkę na ponury nastrój. Pogoda dopisywała, wokół

trwały żniwa, ludzie cieszyli się, że po wielu miesiącach rozłąki zobaczą swe domy i rodziny. Hiroshi był dobrym towarzyszem, istną skarbnicą wiadomości o kraju, przez który przejeżdżali.

- Szkoda, że ojciec nie nauczył mnie tak wiele, jak twój nauczył ciebie - rzekła pod wrażeniem jego wiedzy. - W twoim wieku byłam zakładniczką w zamku Noguchi.

- Bez przerwy kazał mi się uczyć. Nie wolno mi było zmarnować ani chwili.

- Życie jest takie krótkie i kruche. Może wiedział, że nigdy nie zobaczy, jak dorastasz.

Hiroshi skinął głową i przez chwilę jechał w milczeniu.

Pewnie brakuje mu ojca, pomyślała Kaede z nagłym przypływem zazdrości o to, jak został wychowany. Moje dzieci też będą tak wychowane, obiecała sobie. Zarówno dziewczynki, jak i chłopcy będą się wszystkiego uczyć i poznają własną siłę.

Rankiem trzeciego dnia przekroczyli rzekę Shirakawa i znaleźli się we włościach rodziny Kaede. Woda była płytka toteż z łatwością pokonali bystry nurt, pieniący się między głazami. Na granicy nie było bariery; znajdowali się poza zasięgiem wielkich klanów, na terenach mniejszych majątków, których właściciele prowadzili błahe spory bądź zawarli ze sobą układy przyjaźni. Nominalnie owe rycerskie rody przysięgały na wierność klanom Kumamoto lub Maruyama, lecz nie przenosiły się do miast warownych, woląc uprawiać własne ziemie i płacić jedynie symboliczne podatki.

- Nigdy dotąd nie przeprowaiałem się przez Shirakawę - powiedział Hiroshi, gdy konie z pluskiem wyjechały z wody. - Tak daleko od Maruyamy jeszcze nie byłem!

- Teraz moja kolej, żeby cię uczyć - rzekła Kaede, z przyjemnością wskazując charakterystyczne punkty swej ziemi.

- Później zabiorę cię do źródeł rzeki, do wielkich jaskiń, ale będziesz musiał zaczekać na zewnątrz.

- Dlaczego?

- To święte miejsce kobiet. Mężczyznom nie wolno tam postawić stopy.

Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w domu, więc starała się nie ociągać, ale na wszystko zwracała uwagę: na wygląd terenu, postęp żniw, stan wołów i dzieci. W

porównaniu z zeszłym rokiem, kiedy wróciła tu z Shizuką, wszystko wyglądało znacznie lepiej, nadal jednak widać było oznaki nędzy i zaniedbania.

Porzuciłam ich, pomyślała z poczuciem winy, powinnam była wcześniej przyjechać do domu. Wspomniała, jak raptownie uciekła na wiosnę do Terayamy; wydawało jej się, że wówczas nie była sobą, że coś ją opętało.

Amano wysłał przodem dwóch ludzi i Shoji Kiyoshi, główny zarządca dóbr, czekał na nią przy bramie. Powitał ją ze zdziwieniem i, jak jej się wydało, chłodem.

Mieszkające w domu kobiety czekały na nią ustawione szeregiem w ogrodzie, jednak nie dostrzegła wśród nich Ayame ani siostr.

Raku zarżał, obracając głowę ku stajniom i nadrzecznym łęgom, po których biegał zimą. Amano zbliżył się i pomógł jej zsiąść. Hiroshi również zsunął się z siodła, a jego deresz natychmiast spróbował kopnąć sąsiedniego wierzchowca.

- Gdzie są moje siostry? - zapytała Kaede, nie reagując na ciche powitanie kobiet.

Nikt nie odpowiedział. Z drzewa przy bramie dobiegał irytujący wrzask dzierzby.

- Pani Shirakawa... - zaczął Shoji. Gwałtownie obróciła się ku niemu.

- Gdzie one są?

- Powiedziano nam... przysłałaś polecenie, by pojechały do pana Fujiwary.

- Nic podobnego! Jak długo są u niego?

- Co najmniej dwa miesiące. - Zerknął na konnych i służbę. - Powinniśmy porozmawiać na osobności.

- Tak, natychmiast - zgodziła się. Jedna z kobiet podbiegła z miską wody.

- Witamy w domu, pani Shirakawa.

Kaede obmyła stopy i wstąpiła na werandę. Po plecach przebiegły jej ciarki. W

domu panowało osobliwe milczenie. Pragnęła usłyszeć głosy Hany i Ai; zdała sobie sprawę, jak bardzo za nimi tęskniła.

Niedawno minęło południe. Poleciała nakarmić ludzi i napoić konie, mieli jednak czekać w pogotowiu, na wypadek, gdyby byli jej potrzebni. Zaprowadziła Hiroshiego do swego pokoju, kazać mu tam zostać i pilnować zapisków, choć sama nie była głodna, poleciała, by pokojówki zaniósły chłopcu coś do jedzenia. Następnie poszła do pokoju ojca i posłała po Shojiego.

Pomieszczenie wyglądało, jakby ktoś przed chwilą je opuścił. Na stoliku do pisania leżał porzucony pędzel; pewnie Hana kontynuowała naukę nawet po wyjeździe siostry. Kaede podniosła pędzel i patrzyła nań tępym wzrokiem, gdy do drzwi zastukał

Shoji.

Wszedł i uklęknął przed nią, mówiąc przepaszająco:

- Nie mieliśmy pojęcia, że sobie tego nie życzysz. To wyglądało tak naturalnie.

Pan Fujiwara osobiście przyjechał, żeby porozmawiać z Ai.

Wydało jej się, że w jego głosie słyszy cień nieszczerości.

- Po co je zaprosił? Czego od nich chciał? - Poczwała, że głos jej drży.

- Sama tam często jeździłaś - odparł Shoji.

- Od tamtej pory wszystko się zmieniło! - wykrzyknęła. - Pan Otori Takeo i ja pobraliśmy się w Terayamie. Osiedliśmy w Maruyamie, musiałeś o tym słyszeć!

- Nie mogłem w to uwierzyć - powiedział. - Wszyscy myśleli, że jesteś zaręczona z panem Fujiwarą i że to jego poślubisz.

- Nie było żadnych zaręczyn! - zaprzeczyła z furją. - Jak śmiesz podawać w wątpliwość moje małżeństwo!

Zobaczyła drgające z napięcia mięśnie jego szczęk i zdała sobie sprawę, że jest równie wściekły jak ona. Pochylił się ku niej i syknął:

- A co mieliśmy myśleć? Jakieś małżeństwo, którego nie poprzedziły zaręczyny, nikt nie prosił o zgodę, nikt jej nie udzielił, nie było na nim nikogo z rodziny! Dobrze, że twój ojciec nie żyje! Hańba, którą na niego ściągnęłaś, go zabiła, ale przynajmniej ta nowa hańba została mu oszczędzona...

Urwał. Patrzyli na siebie, oboje wstrząśnięci jego wybuchem.

Będę musiała odebrać mu życie, pomyślała Kaede z przerażeniem. Nie może mówić do mnie w ten sposób i przeżyć. Ale jest mi potrzebny; któż inny będzie doglądał moich spraw?

Wówczas ogarnął ją lęk, że spróbuje przechwycić jej majątek, a pod maską gniewu skrywa ambicję i chciwość. Ciekawa była, czy przejął dowództwo nad ludźmi, których zimą udało się jej zebrać wraz z Kondo i czy teraz słuchają jego rozkazów.

Żałowała, że nie ma z nią Kondo, po czym uświadomiła sobie, że członkowi Plemienia może ufać w jeszcze mniejszym stopniu niż głównemu zarządcy swego ojca. Nikt nie był w stanie jej pomóc. Wpatrywała się w Shojiego, z trudem tając lęk, aż wreszcie sługa spuścił wzrok.

Opanował się już.

- Wybacz mi - rzekł cicho, ocierając z ust ślinę. - Znam cię od urodzenia. Miałem obowiązek ci to powiedzieć, choć to bardzo dla mnie bolesne.

- Tym razem ci wybaczam - odparła. - Ale to ty hańbisz mego ojca brakiem szacunku dla jego spadkobiercy. Jeśli jeszcze kiedyś odezwiesz się do mnie w ten sposób, zmuszę cię, żebyś rozplątał sobie brzuch.

- Jesteś tylko kobietą - powiedział, pragnąc ją udobruchać, lecz jeszcze bardziej ją rozgniewał. - Nie masz nikogo, kto by tobą pokierował.

- Mam męża - ucięła. - Ani ty, ani pan Fujiwara nie możecie już tego zmienić. Jedź

zaraz do niego i powiedz, że moje siostry mają natychmiast wracać. Pojadą ze mną do Maruyamy.

Wyjechał niezwłocznie. Wstrząśnięta i niespokojna, nie mogła usiedzieć na miejscu, czekając na jego powrót. Wezwała Hiroshiego i pokazała mu dom, przy okazji sprawdzając wszystkie naprawy, jakich dokonała zeszłej jesieni. Skrajem pól ryżowych przechadzały się ibisy czubate w letnim upierzeniu; dzierzba nieustannie skrzeczała, karcąc je za wtargnięcie na jej terytorium. Kaede kazała Hiroshiemu przynieść skrzynki z zapiskami, po czym poprowadziła go w górę Shirakawy - Białej Rzeki - do

miejsca, gdzie woda wypływała spod skał. Nie mogła schować notatek tam, gdzie znalazłby je Shoji, nie mogła ich powierzyć żadnemu człowiekowi, postanowiła zatem oddać je bogini.

Święte miejsce jak zawsze przywróciło jej spokój, lecz jego ponadczasowa, wzniosła atmosfera zamiast podnieść na duchu, napełniła ją pełną podziwu trwogą.

Rzeka płynęła niespiesznie pod wielkim łukiem wejścia do grot, rozlewając się w szereg głębokich, zielonych stawów, przeczących jej nazwie; pokręcone kształty zwapniałych skał połyskiwały w półmroku niczym macica perłowa.

Na jej powitanie wyszła para staruszków, którzy opiekowali się świątynią. Kaede zostawiła Hiroshiego pod opieką mężczyzny i wręczywszy kobiecie jedną ze skrzynek, ruszyła za nią w głąb jaskini.

Wilgotna skała lśniła w blasku rozstawionych wewnątrz lamp i świec, ryk rzeki tłumił wszystkie hałasy. Stapały ostrożnie z kamienia na kamień, mijając ogromny grzyb, zastygły wodospad i schody do nieba utworzone z wody wapiennej, aż dotarły do skały w kształcie bogini, z której kapąły krople, białe niczym mleko matki.

- Chcę prosić boginię, by przechowała dla mnie te skarby - powiedziała Kaede. -

Muszą tu zostać na zawsze, chyba że sama po nie przyjdę.

Stara kobieta skinęła głową i ukloniła się. Z tyłu za figurą wysoko ponad poziomem rzeki wydrążono niszę. Podeszły do niej i umieściły tam skrzynki. Kaede zauważyła wiele innych przedmiotów, które powierzono bogini; unosił się tutaj stęchły zapach starości, jakby rozkładu, zresztą niektóre rzeczy już się rozpadły. Czy kroniki Plemienia również miały tutaj zgnić, ukryte we wnętrzu góry?

Wilgotne i lepkie powietrze przejęło ją dreszczem. Kiedy postawiła swoją skrzynkę, poczuła w ramionach nagłą pustkę i lekkość. Przeppełniło ją poczucie, że bogini zna jej potrzeby - że jej puste ramiona i puste łono zostaną wypełnione.

Uklękła i zaczerpnąwszy wody z sadzawki, która zebrała się u podstawy skały, napiła się miękkiej jak mleko wody i pomodliła się bezgłośnie.

Staruszka, klęcząca za jej plecami, zaintonowała monotonną modlitwę, tak starą, że Kaede nie rozpoznawała słów, jednak ich znaczenie zalało ją potężną falą i połączyło się z jej własną tęsknotą. Skalna postać nie miała oczu, nie miała twarzy, mimo to dziewczyna poczuła na sobie dobrotliwe spojrzenie bogini i przypomniała sobie wizję z Terayamy i słowa: „Bądź cierpliwa; on przyjdzie po ciebie”.

Teraz znów z zaskoczeniem je usłyszała, lecz po chwili uznała, że oznaczają: „On wróci”. Oczywiście, że wróci. Będę cierpliwa, przysięgła ponownie. Kiedy tylko moje siostry się zjawią, od razu wyruszymy do Maruyamy. A po powrocie Takeo pocznę dziecko. Miałam rację, że tu przyjechałam.

Odwiedziny w jaskiniach dodały jej sił do tego stopnia, że późnym popołudniem poszła do rodzinnej

kaplicy złożyć wyrazy uszanowania prochom ojca. Towarzyszył jej Hiroshi oraz jedna z domowniczek, Ayako, która niosła ofiarę z owoców i ryżu oraz misę dymiącego kadzidła.

Ojciec pochowany był wśród przodków, panów Shirakawa. W cieniu olbrzymich cedrów panował mrok i chłód, wiatr szumiał w gałęziach, niosąc min-min cykad. Przez lata

trzęsienia ziemi przesunęły kolumny i filary, ziemia zaś wybrzuszyła się, jakby zmarli próbowali uciec.

Grób ojca jednak był nienaruszony. Kaede wzięła dary od Ayako i umieściła je przed nagrobkiem, po czym klasnęła w dłonie i pochyliła głowę. Lękała się, że ujrzy lub usłyszy jego ducha, a przecież chciała go udobruchać. Nie potrafiła spokojnie myśleć o jego śmierci. Pragnął umrzeć, lecz nie zdołał znaleźć w sobie odwagi, aby się zabić, aż w końcu uśmiercili go Kondo i Shizuka - czy to było morderstwo? Zdawała sobie sprawę z roli, którą sama odegrała, z hańby, którą nań ściągnęła - czy jego duch zamierzał

zażądać zapłaty?

Wzięła od Ayako misę dymiącego kadzidła, pozwalając, by oczyszczający dym owionął nagrobek oraz jej twarz i ręce. Odstawiła misę i znów trzykrotnie klasnęła.

Wiatr ustał, świerszcze zamilkły, i po chwili ziemia pod jej stopami lekko zadrżała.

Krajobraz jakby się przesunął, drzewa zaczęły się chwiać.

- Trzęsienie ziemi! - krzyknął Hiroshi za jej plecami, a Ayame pisnęła ze strachu.

Wstrząs był niewielki i nie nastąpiły po nim kolejne, ale w drodze do domu Ayako wyglądała na zdenerwowaną i roztrzęsioną.

- Duch ojca przemówił do ciebie - szepnęła. - Co powiedział?

- Aprobuję wszystko, co zrobiłam - odparła Kaede z pewnością siebie, której bynajmniej nie czuła; prawdę mówiąc, ją również wstrząs wytrącił z równowagi. Bała się zgorzkniałego, gniewnego ducha ojca; miała wrażenie, że ten zwraca się przeciwko wszystkiemu, co przeżyła u stóp bogini w świętych jaskiniach.

- Niebiosom niech będą dzięki - mruknęła Ayako, lecz zacisnęła wargi i przez cały wieczór zerkąła na Kaede bojaźliwie.

- A tak przy okazji - zapytała Kaede przy posiłku - gdzie jest Sunoda, siostrzeniec Akity?

Młodzieniec ów przybył zeszłej zimy ze swoim wujem i został zmuszony do pozostania w jej domu jako zakładnik pod opieką Shojiego. Kaede uznała, że teraz mógłby jej się przydać.

- Pozwolono mu wyjechać do Inuyamy.

- Co? - Shoji uwolnił jej zakładnika? Nie mogła uwierzyć, że dopuścił się aż takiej zdrady.

- Podobno jego ojciec był chory - wyjaśniła Ayako.

A więc zakładnik zniknął, jeszcze bardziej zmniejszając jej władzę.

Zapadł już zmierzch, gdy usłyszała na zewnątrz głos Shojiego. Hiroshi poszedł

do domu Amano, aby poznać jego rodzinę i przenocować, Kaede czekała w pokoju ojca, gdzie przeglądała domowe rachunki. Dostrzegła wiele oznak złego zarządzania, a gdy zauważyła, że Shoji wrócił sam, ogarnęła ją prawdziwa furia.

Zjawił się wreszcie, a w ślad za nim Ayako z herbatą, jednak Kaede była zbyt niecierpliwa, by coś pić.

- Gdzie są moje siostry? - zapytała ostro.

Shoji z wdzięcznością napił się herbaty, zanim odpowiedział - Sprawiał wrażenie zgrzanego i zmęczonego.

- Pan Fujiwara z radością wita twój powrót - powiedział. - Przesyła ci pozdrowienia i prosi, byś jutro go odwiedziła. Przyśle po ciebie lektykę i eskortę.

- Nie zamierzam go odwiedzać - warknęła, usiłując zapanować nad sobą. - Jutro oczekuję tu swoich sióstr, a zaraz potem wyruszamy do Maruyamy.

- Obawiam się, że twoich sióstr tam nie ma.

Żołądek podszedł jej do gardła.

- A gdzie są?

- Pan Fujiwara prosi, by pani Shirakawa nie wpadała w panikę. Siostry są całkowicie bezpieczne; powie jej, gdzie przebywają, podczas jutrzejszej wizyty.

- Śmiałeś przynieść mi taką odpowiedź? - Nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to słabo i nieprzekonująco.

Shoji pochylił głowę.

- Nie sprawia mi to przyjemności. Ale pan Fujiwara jest tym, kim jest; nie mogę mu się opierać ani mu zaprzeczać. Uważam, że ty też nie możesz.

- A więc są zakładniczkami? - zapytała cicho.

Nie odpowiedział wprost, rzekł tylko: - Wydam polecenia w sprawie twojej jutrzejszej podróży. Życzysz sobie, bym ci towarzyszył?

- Nie! - krzyknęła. - Jeśli mam jechać, pojedę konno. Nie będę czekać na lektykę.

Powiedz Amano, żeby przygotował siwka. On ze mną pojedzie.

Przez chwilę myślała, że Shoji zamierza się z nią spierać lecz w końcu skłonił się głęboko i ustąpił.

Po jego odejściu w jej myślach zapanował zamęt. Skoro nie może ufać Shojiemu, któremu ze służących może zaufać? Czy próbują schwytać ją w pułapkę? Chyba nawet Fujiwara by się na to nie poważył! Była teraz zameżna. W jednej chwili pragnęła natychmiast wracać do Maruyamy, w następnej uświadamiała sobie, że Ai i Hana są w obcych rękach, i zaczynała rozumieć, co znaczy nacisk, wywierany za pomocą zakładników.

A więc tak cierpiały moja matka i pani Naomi, pomyślała. Muszę jechać do Fujiwary i pertraktować o wydanie sióstr. Kiedyś już mi pomógł; nie mógł przecież zwrócić się całkiem przeciwko mnie!

Potem zaczęła się martwić, co zrobi z Hiroshim. Podróż wyglądała na całkowicie bezpieczną, a jednak nie mogła się oprzeć uczuciu, że naraziła go na zagrożenie. Czy powinien jechać z nią do Fujiwary, czy też należało jak najszybciej odesłać go do domu?

Wstała wcześniej i posłała po Amano. Choć w uszach dźwięczały jej słowa Shizuki: „Nie możesz zjawić się przed panem Fujiwarą, dosiadając konia jak wojownik”, włożyła prosty podróżny strój, w którym przyjechała. Rósądek podpowiadał jej, że byłoby lepiej, gdyby odczekała kilka dni, wymieniła listy i podarunki, a potem przybyła w lektyce pod eskortą jego ludzi, opakowana we wspaniałe szaty niczym jeden ze skarbów, które tak cenił. Shizuka, a nawet Manami, tak by jej doradziły. Lecz nie mogła opanować niecierpliwości; wiedziała, że nie zniosłaby dalszego biernego oczekiwania.

Zamierzała po raz ostatni spotkać się z panem Fujiwarą, dowiedzieć się, czego chce i gdzie umieścić siostry, a potem natychmiast wrócić do Maruyamy, do Takeo.

Kiedy przyszedł Amano, odesłała kobiety, żeby porozmawiać z nim sam na sam, i w skrócie wyjaśniła sytuację.

- Muszę jechać do pana Fujiwary, ale prawdę mówiąc nie jestem pewna jego zamiarów. Może będzie trzeba szybko wyjechać i czym prędzej wracać do Maruyamy.

Bądź na to gotowy, przygotuj także ludzi i konie.

Oczy mu się zwęziły.

- Chyba nie dojdzie do walki?

- Nie wiem. Obawiam się, że zechce mnie zatrzymać.

- Wbrew twojej woli? To niemożliwe!

- Mało prawdopodobne, zgadzam się, ale mimo to jestem niespokojna. Po co zabierałby moje siostry,

gdyby nie chciał do czegoś mnie zmusić?

- Powinniśmy niezwłocznie stąd wyjechać. - Był dostatecznie młody, by nie dać się zastraszyć tytułom szlacheckim. - Niech miecz twego męża pomówi z panem Fujiwarą.

- Boję się o siostry. Trzeba przynajmniej się dowiedzieć, gdzie są. Shoji twierdzi, że nie możemy sprzeciwiać się Fujiwarze, i chyba ma rację. Muszę tam pojechać i porozmawiać z nim, ale nie wejdę do domu. Nie pozwól mu mnie schwytać.

Amano skłonił się.

- Może powinnam odesłać Hiroshiego do domu? - zastanawiała się Kaede. -

Żałuję, że wzięłam go ze sobą; teraz odpowiadam również za jego bezpieczeństwo.

- W jedności siła - odparł - a poza tym, skoro spodziewamy się kłopotów, raczej nie możemy sobie pozwolić na przydzielenie mu eskorty, mamy za mało ludzi. Niech zostanie z nami; prędzej zginę, niż pozwolę, by tobie lub jemu stała się krzywda.

Uśmiechnęła się, wdzięczna za jego lojalność.

- A więc jedźmy!

Pogoda znów się zmieniła. Jasność i chłód ostatnich kilku dni ustąpiły, ponownie zapanowała duchota. Powietrze było nieruchome i wilgotne, zwiastując tajfuny późnego lata. Spocone konie wierciły się niespokojnie, a deresz Hiroshiego wierzgał

bardziej niż zwykle.

Kaede chciała porozmawiać z Hiroshim, ostrzec przed niebezpieczeństwem i zmusić go, by obiecał, że nie wda się w walkę, lecz jego koń był zbyt nerwowy i Amano kazał mu jechać z przodu obok siebie, żeby nie drażnić Raku. Czowała, jak pod ubraniem cieknie z niej pot; miała nadzieję, że nie przybędzie mokra i czerwona na twarzy, i niemal pożałowała swej pochopnej decyzji. Jednak jazda konna, jak zwykle, dodała jej mocy. Przedtem pokonywała tę drogę tylko w lektyce - spoza jedwabnych zasłonek i papierowych ekranów nigdy nie widziała krajobrazu. Teraz mogła chłonąć urodę otoczenia, bujną zieleń lasów i pól uprawnych, majestat dalekich gór, których coraz bledsze łańcuchy znikały jeden za drugim, wtapiając się w blade niebo.

Nic dziwnego, że pan Fujiwara nie chciał opuścić tak pięknego miejsca. Ujrzała oczyma duszy jego uwodzicielską, intrygującą postać, wspomniała, że zawsze zdawał

się ją lubić i podziwiał. Nie mogła uwierzyć, że mógłby zrobić jej krzywdę, a mimo to niejasna obawa wyostrzyła jej zmysły. Zastanawiała się, czy w bój jedzie się z takim właśnie uczuciem, że życie nigdy nie było piękniejsze i bardziej ulotne, że należy je schwytać i momentalnie odrzucić?

Położyła dłoń na rękojeści miecza za pasem i to dotknięcie dodało jej otuchy.

Zaledwie kilka mil dzieliło ich od bram pałacu Fujiwary, gdy na drodze przed sobą zobaczyli chmurę kurzu, z której wyłonili się tragarze lektyki, a za nimi konna eskorta, wysłana po nią przez arystokratę. Ich dowódca musiał zauważyć znak srebrnej rzeki na płaszczu Amano, gdyż ściągnął wodze i zatrzymał się, by go powitać.

Początkowo prześliznął się wzrokiem po twarzy Kaede, lecz nagle zachnął się i spojrzał uważniej, a mięśnie jego szyi napięły się jak struny.

- Pani Shirakawa! - wydał stłumiony okrzyk, po czym odwrócił się i wrzasnął na tragarzy: - Na ziemię! Na ziemię!

Służący rzucili lektykę i uklękli w pyle drogi, jeźdźcy zsiadli z koni i pochyłili głowy. Sprawiali wrażenie uległych, jednak Kaede od razu dostrzegła, że ich liczba dwukrotnie przewyższa jej własną eskortę.

- Jadę w odwiedziny do jego wysokości - powiedziała. Poznała dowódcę, lecz nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Był to ten sam człowiek, który kiedyś eskortował ją do pana Fujiwary.

- Jestem Murita - przedstawił się. - Może pani Shirakawa wolałaby, by ją niesiono?

- Pojadę konno - ucięła. - Już niedaleko.

Zacisnęła usta w wąską kreskę. Pewnie mnie potępia, po. myślała, zerkając na Amano i Hiroshiego, którzy znaleźli się u jej boku. Amano nie dał nic po sobie poznać, lecz twarz Hiroshiego nabiegła krwią.

Czyżby wstydzili się za mnie? Czyżbym zhańbiła ich i siebie? Wyprostowała się w siodle i spięła Raku ostrogą.

Murita wysłał dwóch ludzi przodem, co jeszcze bardziej wzmogło jej niepokój; nie wiedziała, jak zostanie przyjęta, nie miała jednak innego wyjścia, jak jechać naprzód.

Konie wyczuły zdenerwowanie. Raku przez chwilę szedł bokiem, strzygąc uszami i wybałuszając oczy; koń Hiroshiego zarzucił łbem i usiłował wierzgnąć; pięści chłopca zbieleły na wodzach, gdy próbował nad nim zapanować.

Gdy dotarli do rezydencji, ujrzeni, że brama jest otwarta, a na dziedzińcu zgromadziła się uzbrojona straż. Amano zeskoczył z konia i podszedł, aby pomóc Kaede zsiąść z Raku.

- Nie zsiądę, póki nie przyjdzie pan Fujiwara - oznajmiła odważnie. - Nie zamierzam zostać długo.

Murita zawahał się; nie chciał zanieść swemu panu takiej wiadomości.

- Powiedz mu, że tu jestem - ponagliła.

- Pani Shirakawa.

Skłonił głowę i zsiadł, lecz w owej chwili aktor Mamoru, młody towarzysz pana Fujiwary, wyszedł z domu i uklęknął na wprost Kaede.

- Witaj, pani - powiedział. - Proszę, wejdź do środka. Przełęka się, że jeśli wejdzie do domu, już nigdy z niego nie wyjdzie.

- Mamoru - rzekła krótko - nie wejdę. Przyjechałam, by się dowiedzieć, gdzie są moje siostry.

Podniósł się i podszedł do konia z prawej strony, stając między nią i Amano. On, który tylko rzadko ośmielał się na nią spojrzeć, teraz jakby usiłował pochwycić jej wzrok.

- Pani Shirakawa - zaczął i usłyszała coś w jego głosie.

- Na koń! - rzuciła do Amano, który natychmiast usłuchał.

- Proszę - szepnął Mamoru. - Najlepiej będzie, jeśli się podporządkujesz. Błagam.

Dla dobra twojego i twoich ludzi, i tego chłopca...

- Jeśli pan Fujiwara nie wyjdzie i nie powie mi tego, co chcę wiedzieć, nie mam tu nic więcej do roboty.

Nie wiedziała, kto wydał rozkaz, dostrzegła tylko błysk spojrzenia, jakie wymienili Mamoru i Murita.

- Jedź! - krzyknęła do Amano, usiłując obrócić konia, lecz Murita już trzymał go za uzdę. Pochylając się w siodle, wyciągnęła miecz i spięła wierzchowca, który wyrwał

się z uchwytu i stanął dęba, bijąc kopytami. Miecz Kaede ciął Muritę przez rękę, raniąc go do krwi. Mężczyzna wrzasnął wściekle i sam dobył broni. Sądziła, że zamierza ją zabić, lecz znów złapał uzdę, usiłując przygiąć łeb konia do ziemi. Usłyszała za plecami gwałtowny ruch i rzenie; to deresz Hiroshiego szarpnął się i spanikował. Mamoru szarpał ją za ubranie, wołając, błagając, by się poddała. Za jego głową ujrzała Amano z obnażonym mieczem, zanim jednak zdążył go użyć, strzała ugodziła go w pierś. Ujrzała w jego oczach szok, na usta wystąpiła mu krwawa piana, po czym westchnął i z wolna osunął się na twarz.

- Nie! - wrzasnęła.

W tej samej chwili Murita, rozładowując furie, pchnął mieczem odsłoniętą pierś Raku. Koń, oszalały z bólu i strachu, kwiknął, brocząc jaskrawoczerwoną krwią, potknął

się, zatoczył i upadł na kolana. Murita pochwycił Kaede, próbując ściągnąć ją z siodła.

Jeszcze raz zamachnęła się na niego, ale jej ciosom brakowało siły, Murita z łatwością wykręcił jej rękę i bez słowa na poły powlókł, na poły poniósł w stronę domu.

- Pomocy! Pomocy! - krzyknęła po raz ostatni, wykręcając głowę ku swoim ludziom, jednak

zaskoczeni okrucieństwem i szybkością ataku wszyscy byli już martwi lub umierający. Zanim Murita wciągnął ją do środka, zdążyła jeszcze dostrzec, że deresz rzuca się do ucieczki i wbrew woli chłopca unosi go za bramę. Dało jej to ostatnią, małą kroplę pociechy.

Murita obszukał ją starannie i znalazł nóż; jego dłoń obficie krwawiła, był

wściekły i brutalny w obejściu. Mamoru biegł przodem, otwierając kolejne drzwi, aż wreszcie dotarli do pokojów gościnnych. Uwolniona z uścisku, Kaede padła na podłogę, szlochając z gniewu i rozpacz.

- Raku! Raku! - łkała tak żałośnie, jakby utraciła nie konia, lecz dziecko, a potem zapłakała za Amano i innymi, których poprowadziła na śmierć.

Mamoru z bełkotem przypadł do niej:

- Przykro mi, pani Shirakawa, musisz się poddać. Nikt cię tu nie skrzywdzi; wierz mi, wszyscy cię kochamy i szanujemy. Proszę, uspokój się.

Kiedy jednak rozplakała się jeszcze rozpaczliwiej, polecił pokojówkom:

- Sprowadźcie doktora Ishidę.

Po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że medyk już przy niej klęczy. Uniosła głowę i odgarniając włosy spojrzała nań znękanym wzrokiem.

- Pani Shirakawa... - zaczął, ale przerwała mu:

- Nazywam się Otori. Jestem zamężna. Co to za zniewaga? Nie pozwolisz chyba, aby mnie więzili? Każ im natychmiast mnie puścić!

- Żałuję, ale nie mogę - odrzekł cicho. - Wszyscy tutaj żyjemy wedle woli jego wysokości, nie własnej.

- Czego ode mnie chce? Dlaczego to zrobił? Uprowadził moje siostry, zamordował moich ludzi! - Łzy znów popłynęły jej po twarzy. - Nie musiał zabijać mojego konia! -wykrztusiła, wstrząsana szlochem.

Ishida posłał służące do siebie po zioła i kazał przynieść gorącej wody. Następnie delikatnie zbadał Kaede, spoglądając jej w oczy i mierząc tętno.

- Wybacz - powiedział - ale muszę o to zapytać: czy spodziewasz się dziecka?

- Po co ci ta wiadomość? To nie twoja sprawa!

- Jego wysokość zamierza cię poślubić. Uważa, że jesteś z nim zaręczona. Uzyskał

już zgodę cesarza, a także pana Araiego.

- Nie było żadnych zaręczyn - załkała Kaede. - Jestem żoną Otori Takeo.

- Nie mogę się z tobą o to spierać - rzekł Ishida łagodnie - Zaraz zobaczysz się z jego wysokością. Ale jako twój lekarz muszę wiedzieć, czy jesteś w ciąży.

- A jeśli tak?

- To się tego pozbędziemy.

I słysząc okrzyk przerażenia, dodał:

- Pan Fujiwara już i tak uczynił dla ciebie wielkie ustępstwa. Mógł kazać cię uśmiercić za twoją niewierność. Wybaczy ci i ożeni się z tobą, ale nie zamierza dawać nazwiska dziecku innego mężczyzny.

Odpowiedzią był nowy atak płaczu. Pokojówka wróciła, niosąc zioła i czajnik, a Ishida przygotował napar.

- Wypij - zwrócił się do Kaede. - To cię uspokoi.

- A jeżeli odmówię? - zapytała, prostując się raptownie, wrywając mu czarkę, jakby zamierzała wylać zawartość na matę. - A jeżeli odmówię jedzenia i picia? Ożeni się z trupem?

- Wtedy skążesz swoje siostry na śmierć - albo na coś gorszego. Przykro mi. Ta sytuacja nie sprawia mi przyjemności i nie jestem dumny ze swego w niej udziału.

Mogę jedynie być wobec ciebie całkowicie szczery. Jeśli poddasz się woli jego wysokości, ocalisz swój honor oraz ich życie.

Długo mu się przyglądała, po czym z wolna uniosła czarkę do ust.

- Nie jestem w ciąży - powiedziała i wypła do dna.

Ishida siedział z nią, aż jej zmysły się przytępiły, a gdy zobaczył, że się uspokaja, kazał służącym zabrać ją do łaźni i obmyć z krwi.

Zanim umyła ją i wykąpano, zioła zdążyły stłumić jej rozpacz i całe mordercze zajście wydało jej się tylko koszmarem. Po południu nawet zdrzemnęła się trochę; recytacje mnichów, zdejmujących z domostwa piętno śmierci i przywracających mu harmonię i spokój, dobiegały ją jakby z innego świata. Budząc się w znajomym pokoju, na moment zapomniała minione miesiące i pomyślała: „Jestem u Fujiwary. Ile czasu tu spędziłam? Muszę zawołać Shizukę i ją zapytać”.

Wtedy wróciła jej pamięć, lecz bez wyrazu, jako mgliste wyobrażenie o tym, co tak gwałtownie zostało jej odebrane.

Zapadł zmierzch, chłodny koniec długiego, ciężkiego dnia. Słyszała miękkie kroki służących i ich stłumione szepty. Przyniesiono jedzenie, lecz Kaede apatycznie skubnęła kilka kęsów i zaraz kazała

zabrać tacę.

Pokojówka wróciła z herbatą, a za nią do pokoju weszła obca kobieta w średnim wieku o małych, bystrych oczkach i surowym wyglądzie; wnosząc z jej wytwornego stroju i eleganckich manier, najwyraźniej nie była to służąca. Skłoniła się do ziemi przed Kaede i oznajmiła:

- Jestem Ono Rieko, kuzynka zmarłej żony pana Fujiwary. Spędziłam wiele lat w służbie jej wysokości, a teraz jego wysokość przysłał mnie, bym przygotowała cię do ceremonii zaślubin. Proszę, przyjmij mnie życzliwie. - I znów schyliła głowę do podłogi w oficjalnym ukłonie.

Kaede poczuła do kobiety instynktowną niechęć. Miała dość miły wygląd -

Fujiwara nie zniósłby przy sobie nieładnej osoby - lecz wyczuwało się w niej zarówno pychę, jak i małostkowość.

- A mam jakiś wybór? - zapytała zimno. Rieko zaniósła się perlistym śmiechem i usiadła.

- Jestem pewna, że pani Shirakawa zmieni co do mnie zdanie. Jestem tylko zwykłą kobietą, ale być może są rzeczy, w których potrafię ci doradzić. - Zaczęła nalewać napój ze słowami: - Doktor Ishida chce, żebyś to wypiała. A ponieważ dziś jest pierwsza noc po nowiu, pan Fujiwara przyjdzie wkrótce cię przywitać i obejrzeć z tobą nowy księżyc. Wypij, a ja zadbam o twój strój i fryzurę.

Kaede przełknęła łyk herbaty, a potem następny, z trudem powstrzymując się od picia duszkiem, czuła bowiem ogromne pragnienie. Była spokojna, niemal obojętna, lecz w skroniach czuła powolne dudnienie krwi. Bała się go, bała się spotkania i władzy, jaką nad nią miał. Była to władza, którą wszyscy mężczyźni mieli nad kobietami, nad każdym aspektem ich życia. Aż nazbyt wyraźnie wspomniała słowa pani Naomi:

„Muszę udawać bezbronną, inaczej ci wojownicy mnie zmiążdżą”.

I teraz ją miażdżyli. Shizuka ostrzegała ją, że ślub rozwścieczy wielu starszych członków jej klasy - że nigdy się nań nie zgodzą. Lecz gdyby posłuchała i zrobiła, co jej kazano, nigdy nie przeżyłaby tych kilku miesięcy z Takeo. Myśl o nim sprawiała jej tak dojmujący ból, że natychmiast zepchnęła ją w najgłębsze zakamarki serca - równie głęboko, jak kroniki Plemienia, ukryte w Świętych Jaskiniach.

Uświadomiła sobie, że Rieko bacznie się jej przygląda. Odwróciła twarz i znów napiła się herbaty.

- No, no, pani Shirakawa - rzekła Rieko dziarsko. - Nie wolno ci się zamartwiać.

Czeka cię świetne małżeństwo.

Przysunęła się nieco na kolanach. - Rzeczywiście jesteś tak piękna, jak powiadają, jeśli pominąć zbyt wysoki wzrost, ale masz trochę ziemistą cerę i z tym posępnym spojrzeniem ci nie do twarzy. Uroda to twój największy atut; musimy zrobić wszystko, by ją zachować.

Odebrała czarkę i odstawiła ją na tacę, po czym rozluźniła związane włosy Kaede i zaczęła je rozczesywać.

- Ile masz lat?

- Szesnaście.

- Myślałam, że więcej, co najmniej dwadzieścia. Pewnie jesteś typem, który szybko się starzeje. Będziemy musiały na to uważać. - Grzebień orał skórę głowy Kaede, aż łzy stanęły jej w oczach.

- Pewnie trudno ci upinać włosy, są bardzo miękkie.

- Zazwyczaj wiązę je z tyłu.

- Stołeczna moda każe nosić je spiętrzone na czubku głowy - rzekła Rieko, celowo szarpiąc, by sprawić Kaede ból.

- Grubsze, sztywniejsze włosy lepiej się układają.

Pod wpływem współczucia i zrozumienia Kaede zapewne dałaby upust łzom, lecz niezyczliwość Rieko tylko umocniła ją w postanowieniu, by nigdy się nie załamywać i nie okazywać żadnych uczuć. Spałam w lodzie, pomyślała. Przemówiła do mnie bogini. Odkryję tutaj jakieś źródło mocy i będę z niego korzystać, dopóki nie przyjdzie Takeo.

Wiedziała, że przyjdzie albo zginie, próbując to zrobić a ona, widząc jego ciało bez życia, zostanie zwolniona z obietnicy i dołączy do niego w mrokach świata podziemi.

W oddali nagle rozszczękały się podniecone psy; po chwili budynek zadygotał

od wstrząsu, dłuższego i nieco silniejszego niż wczorajszy.

Kaede poczuła to, co zawsze: szok, zdumienie, że ziemia może drzeć jak świeży sojowy twaróg, oraz coś w rodzaju uniesienia, że nie ma nic pewnego ani niezmiennego.

Nic nie trwa wiecznie, pomyślała, nawet Fujiwara i jego pełen skarbów dom.

Rieko upuściła grzebień i z trudem wstała. Do drzwi pędem podbiegły pokojówki.

- Szybko, chodź na dwór! - krzyknęła Rieko przerażonym głosem.

- Dlaczego? - zapytała Kaede. - To tylko niewielkie trzęsienie ziemi.

Ale Rieko opuściła już pokój. Kaede słyszała, jak każe pokojówkom zgasić wszystkie lampy, piszcząc pod wpływem paniki. Kaede została na miejscu, nasłuchując tupotu biegnących stóp, podniesionych głosów, szczekających psów. Po kilku chwilach podniosła grzebień i skończyła rozczesywać włosy, które zostawiła rozpuszczone, gdyż bolała ją głowa.

Szata, w którą przebrano ją wcześniej, wyglądała na stosowną do oglądania księżyca; gołębioszara, haftowana w liście lespedezy i cytrynowożółte gajówki. Chciała patrzeć na księżyc, skąpać się w jego srebrzystej poświacie, przypomnieć sobie, jak noc po nocy wędruje po niebie, znika na trzy dni,

a potem wraca.

Służące zostawiły otwarte drzwi na werandę. Kaede wyszła na zewnątrz i uklękła na drewnianej podłodze, wspominając, jak owinięta w futra niedźwiedzie siedziała tu z Fuji-warą, patrząc na padający śnieg.

Nastąpił kolejny lekki wstrząs, nie odczuwała jednak lęku. Ujrzała, że góry drżą na tle bladofioletowego nieba. Ciemne sylwetki drzew w ogrodzie zakołysały się, choć nie było wiatru, przestraszone ptaki nawoływały jak o świtanie.

Powoli ich głosy zacichły, umilkły również psy. Cienki złocisty sierp księżycy w nowiu zawisł tuż nad szczytami gór obok gwiazdy wieczornej. Kaede zamknęła oczy.

Poczuła woń perfum Fujiwary, jeszcze zanim go usłyszała. Zaraz potem dobiegł ją odgłos kroków i szelest jedwabiu. Uniosła powieki.

Stał kilka stóp od niej, patrząc na nią pożądlivym, nieruchomym wzrokiem, który tak dobrze znała.

- Pani Shirakawa.

- Panie Fujiwara.

Wytrzymała jego spojrzenie znacznie dłużej, niż powinna, po czym powoli zgięła kark, aż jej czoło dotknęło podłogi.

Fujiwara wstąpił na werandę; tuż za nim szedł Mamoru, niosąc dywaniki i poduszki. Arystokrata umościł się wygodnie i dopiero wtedy pozwolił Kaede się wyprostować.

Wyciągnął rękę i dotknął jej jedwabnej szaty.

- Bardzo ci w tym do twarzy. Sądziłem, że tak będzie. Przyprawiłaś biednego Muritę o niezły wstrząs, pojawiając się konno. Niemal zadźgał cię przez omyłkę.

Miała wrażenie, że zemdleje z wściekłości, która przebiła się nagle spod wywołanej przez zioła apatii. Że też mógł tak lekko, tak żartobliwie nawiązywać do zagłady jej ludzi do śmierci Amano, którego znała od dziecka!

- Jak śmiesz mi to robić? - warknęła. Wstrząśnięty Mamoru krzyknął cicho. - Trzy miesiące temu w Terayamie zostałam poślubiona Otori Takeo! Mój mąż cię ukarze... -

urwała, próbując nad sobą zapanować.

- Sądziłem, że pozachwycamy się księżycem, zanim zaczniemy rozmawiać -

powiedział, nie reagując na jej obraźliwy ton. - Gdzie są twoje kobiety? Czemu jesteś tu sama?

- Uciekły, gdy zatrzęsała się ziemia - rzekła krótko.

- A ty się nie bałaś?

- Nic mnie już nie przestraszy. Zrobiłeś mi już wszystko, co można najgorszego.

- Najwyraźniej jednak musimy porozmawiać - westchnął. - Mamoru, przynieś wina i dopilnuj, by nikt nam nie przeszkodził.

Do powrotu Mamoru Fujiwara bez słowa kontemplował księżyc, a gdy młodzieniec usunął się w ciemność, gestem nakazał Kaede, by naląła wina:

- Twoje małżeństwo z osobnikiem, który nazywa siebie Otori Takeo, nie ma znaczenia. Było zawarte bez pozwolenia i zostało unieważnione - oznajmił.

- Z czyjego polecenia?

- Pana Araiego, twego własnego zarządcy Shojiego oraz mojego. Otori już wyrzekli się Takeo i ogłosili, iż jego adopcja jest bezprawna. Zdaniem większości twoje nieposłuszeństwo wobec Araiego i niewierność wobec mnie powinny zostać ukarane śmiercią, zwłaszcza, że wyszedł na jaw twój udział w śmierci Iidy.

- Uzgodniliśmy, że nikomu nie powtórzysz moich tajemnic - rzekła.

- Myślałem, że uzgodniliśmy, iż się pobierzemy.

Nie mogła zareagować, nie obrażając go jeszcze bardziej; prawdę mówiąc, jego słowa ją przeraziły. Była aż nadto świadoma, że dla kaprysu może w każdej chwili kazać ją zabić. Nikt nie odważyłby się odmówić wykonania rozkazu ani go później osądzać.

- Zdajesz sobie sprawę z uznania, jakim cię darzę - ciągnął. - Udało mi się zawrzeć z Araiem coś w rodzaju transakcji. Zgodził się ciebie oszczędzić, jeśli się z tobą ożeni i będę cię trzymał w odosobnieniu. W swoim czasie szepnę cesarzowi kilka przychylnych słów w jego imieniu. W rewanżu posłałem mu twoje siostry.

- Oddałeś je Araiemu? Są w Inuyamie?

- Wydawało mi się, że oddawanie kobiet jako zakładniczek to dość powszechna praktyka - rzekł sucho. - A tak przy okazji, Arai ogromnie się rozsierdził, że ośmieliłaś się zatrzymać jego siostrzeńca. Byłoby to nawet niezłe posunięcie, ale swym pochopnym postępkim na wiosnę wszystko zmarnowałaś; udało ci się tylko jeszcze bardziej dotknąć Araiego i jego ludzi. Do tej pory Arai cię bronił. Postąpiłaś lekkomyślnie, tak źle go traktując.

- Teraz wiem, że Shoji mnie zdradził - powiedziała z goryczą. - Nie powinien był

pozwolić, aby siostrzeniec Akity wrócił do domu.

- Nie osądzaj Shojiego zbyt surowo - głos Fujiwary brzmiał chłodno i bezbarwnie.

- Zrobił tylko to, co uważał za najlepsze dla ciebie i twojej rodziny. Jak my wszyscy.

Chciałbym, żeby nasz ślub odbył się jak najszybciej, być może jeszcze w tym tygodniu.

Rieko pouczy cię, jak masz się ubrać i zachowywać.

Poczuła, że rozpacz spada na nią niczym sieć myśliwego na dziką kaczkę.

- Wszyscy związani ze mną mężczyźni umierali. Jedynym wyjątkiem jest mój prawowity mąż, pan Otori Takeo. Nie boisz się?

- Wieść gminna głosi, że umierają tylko mężczyźni, którzy cię pragną, ja zaś nigdy nie czułem do ciebie pożądania. Nie chcę mieć więcej dzieci. Poślubiam cię, żeby ocalić ci życie; to związek czysto formalny. - Wypił i odstawił czarkę na podłogę. - Teraz jest stosowny moment, byś wyraziła swoją wdzięczność.

- Więc mam być jednym z twoich przedmiotów?

- Pani Shirakawa, jesteś jedną z nielicznych osób - i jedyną kobietą - z którymi podzieliłem się widokiem swych skarbów. Wiesz zatem, że wolę je trzymać z dala od oczu świata, zawinięte, ukryte.

Struchlała. Nie powiedziała nic.

- I nie wyobrażaj sobie, że Takeo przybędzie cię ocalić. Arai postanowił go ukarać i w tej chwili już wyruszył przeciwko niemu. Dobra Maruyama i Shirakawa zostaną przejęte w twoim imieniu i przekazane mnie jako twemu mężowi. - Zmierzył ją przeciągłym spojrzeniem, jakby spijał każdą kroplę jej cierpienia. - Zaiste, pożądanie, które do ciebie czuje, doprowadziło go do upadku. Takeo nie dożyje zimy.

Przez całą poprzednią zimę Kaede przyglądała się Fujiwarze i znała wszystkie odcienie jego wyrazu twarzy. Lubił sądzić, że jest niewzruszony i zawsze doskonale panuje nad uczuciami, lecz ona stała się mistrzynią w ich odczytywaniu. Dosłyszała nutę okrucieństwa w jego głosie, wychwyciła smak przyjemności na jego języku. Już przedtem zwróciła na nie uwagę, kiedy wymawiał imię jej męża; opowiadając mu swe sekrety, gdy ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, a z okapów zwisały sople długości ludzkiej nogi, sądziła nawet, że Fujiwara trochę durzy się w Takeo. Widziała pożądlivy błysk w jego oczach, lekkie rozluźnienie warg, spęcznienie języka i niewyraźną mowę. Teraz uświadomiła sobie, że arystokrata pragnie śmierci Takeo - że sprawi mu ona rozkosz i uwolni go od obsesji. Nie miała również wątpliwości, że jej cierpienie uczyni ową rozkosz jeszcze większą.

W owej chwili przysięgła sobie dwie rzeczy: że niczego po sobie nie okaże i że będzie żyć. Podda się jego woli, żeby nie miał pretekstu, by ją zabić, zanim Takeo po nią przyjedzie, ale nigdy, przenigdy, nie da satysfakcji ani jemu, ani tej piekielnej kobiecie, którą jej przydzielił, nie da po sobie poznać, jak głęboko została zraniona.

Pozwoliła, by jej oczy zwrócone na Fujiwarę nabrały wzdargliwego wyrazu, po czym ominęła go

wzrokiem i wpatrzyła się w księżyc.

Ślub odbył się kilka dni później. Kaede piła napary przyrządzone przez Ishidę, wdzięczna za odrętwienie, jakie przynosiły. Postanowiła niezłomnie, że wyzbędzie się uczuć; wspominając, jak dawno temu wzrok Takeo pogrążył ją w głębokim, zimnym śnie, obiecała sobie, że stanie się jak lód. Nie winiła Mamoru ani Ishidy za rolę, jaką odegrali w jej uwięzieniu, wiedziała bowiem, że ich również obowiązuje ten sam sztywny kodeks, ale poprzysięgła sobie, że Murita zapłaci za śmierć jej ludzi, oraz ostatecznie znenawidziła Rieko.

Podczas ślubnych rytuałów obserwowała siebie niczym lalkę lub kukielkę na scenie. Jej rodzinę reprezentował Shoji oraz dwóch innych służących: jednego z nich rozpoznała jako brata Hirogawy, człowieka, którego Kondo zabił na jej polecenie, gdy ten w dniu śmierci jej ojca odmówił dalszej służby. Powinna była uśmiercić całą jego rodzinę, pomyślała z goryczą. Oszczędziłam ich tylko po to, by zyskać w nich wrogów.

Przybyli także inni mężczyźni, jak sądziła, przysłani przez Araiego, lecz zignorowali ją, nie powiedziano jej nawet, jak się nazywają. Aż nadto dobitnie uświadomiło jej to, w jakim położeniu się znalazła: nie była już panią na włościach, sojuszniczką i partnerką swego męża, lecz drugą żoną wielkiego pana, której życie zależało od jego kaprysu.

Ceremonia była bardzo wyszukana, o wiele wystawniejsza niż jej ślub w Terayamie. Modły i śpiewy zdawały się trwać bez końca. Od kadzidła i bicia w dzwony kręciło jej się w głowie, a gdy musiała trzykrotnie wypić z mężem rytualny potrójny kielich wina, miała wrażenie, że zemdleje. Tak niewiele jadła przez cały tydzień, że teraz czuła się jak widmo.

Dzień był nienaturalnie duszny i bezwietrzny, a pod wieczór spadł rześisty deszcz. Kaede wróciła z kaplicy lektyką, po czym Rieko i inne kobiety rozebrały ją i wykapały, natarły jej skórę kremem i uperfumowały włosy. Ubrano ją w nocne szaty, o wiele strojniejsze niż te, które zazwyczaj nosiła za dnia, a następnie zaprowadzono do nowych apartamentów daleko w głębi pałacu, których nigdy nie oglądała, nawet nie wiedziała, że istnieją. Zostały starannie odnowione - belki i kolumny lśniły od listków złota, parawany pomalowano w kwiaty i ptaki, ze świeżych słomianych mat unosił się słodki zapach. Pokoje, pociemniałe wskutek ulewy, oświetlały tuziny lamp w misternych stojakach z kutego metalu.

- To wszystko dla ciebie - oznajmiła Rieko z nutą zazdrości w głosie.

Kaede nie odpowiedziała. Chciała zawołać: I po co, skoro on nigdy ze mną nie legnie? - ale co to Rieko obchodziło? Potem naszła ją myśl: A może zamierza to uczynić jeden, jedyny raz, jak z pierwszą żoną, aby począć syna? Zadrzała ze strachu i wstrętu.

- Nie musisz się obawiać - syknęła Rieko szyderczo. - Przecież wiesz, czego oczekiwać w małżeństwie. Co innego, gdybyś była dziewczicą, jak się należy...

Kaede nie mogła uwierzyć, że ta kobieta mówi do niej w ten sposób, i to przy służących.

- Każ odejść pokojówkom - rzekła, a gdy zostały same powiedziała: - Jeśli jeszcze raz mnie obrazisz,

dopilnuję, aby cię zwolniono.

Rieko wybuchnęła swym pustym, perlistym śmiechem.

- Sądzę, że wasza wysokość nie całkiem rozumie swoje położenie. Pan Fujiwara nigdy mnie nie odprawi. Na twoim miejscu bardziej bym się martwiła własną przyszłością. Jeśli dopuścisz się najmniejszego wykroczenia - jeśli zrobisz coś niegodnego żony pana Fujiwary - może się okazać, że to ty zostaniesz zwolniona. Masz się za odważną, uważasz, że zdołasz odebrać sobie życie. Pozwól, że ci powiem: to jest trudniejsze, niż się wydaje. Gdy przychodzi co do czego, większość kobiet się cofa. My, słabe istoty, czepiamy się życia. - Uniosła lampę i oświetliła twarz Kaede. - Pewnie mówiono ci przez całe życie, że jesteś piękna, ale dzisiaj nie jesteś już tak piękna jak tydzień temu, a za rok będziesz jeszcze mniej piękna. Osiągnęłaś szczyt; od tej chwili twoja uroda zacznie blednąć.

Przysunęła lampę, aż Kaede poczuła na policzku gorąco płomienia.

- Mogłabym cię teraz oszpecić - syknęła Rieko. - Pan Fujiwara wyrzuciłby cię z domu; zatrzymuje tylko to, co cieszy jego oko. Trafiałabyś do burdelu, to jedyne miejsce dla takich jak ty.

Kaede wpatrywała się w nią niewzruszona. Płomień migotał między nimi. Na zewnątrz zerwał się wiatr, nagły podmuch wstrząsnął budynkiem. Daleko, jakby w innym kraju, rozległo się wycie psa.

Rieko znów się zaśmiała i postawiła lampę na podłodze.

- A więc nie wasza wysokość zadecyduje o tym, czy mnie zwolnić. Ale pewnie jesteś wyczerpana. Wybaczę ci zatem; musimy zostać przyjaciółkami, tak jak życzy sobie jego wysokość. Wkrótce przyjdzie do ciebie. Zaczekam w pokoju obok.

Kaede siedziała bez ruchu, wsłuchana w szum wzmagającego się wiatru. Nie potrafiła uniknąć wspomnień ze swej nocy poślubnej z Takeo, jego skóry przy jej skórze, jego ust na karku, gdy unosił jej ciężkie włosy, rozkoszy, jaką jej dawał, zanim w nią wszedł i stali się jedną istotą. Próbowowała powstrzymać te myśli, lecz oładnęło ją pożądanie, grożąc stopieniem jej lodowatego spokoju.

Usłyszała na zewnątrz kroki i wyprężyła się jak struna. Mimo przysięgi, że nie ujawni swoich uczuć, była pewna, że spragnione ciało ją zdradzi.

Fujiwara nakazał służbie pozostać na zewnątrz i przestąpił próg pokoju. Kaede natychmiast przypadła do podłogi, nie chcąc, by ujrział jej twarz, ale ten akt poddaństwa sprawił, że rozdygotała się jeszcze bardziej.

W ślad za arystokratą wszedł Mamoru, niosąc małą rzeźbioną szkatułkę z drewna paulowni. Postawił ją na podłodze, skłonił się nisko i tyłem odczołgał do drzwi.

- Usiądź prosto, droga żono - rzekł Fujiwara. Prostując się, Kaede kątem oka ujrzała, jak Rieko podaje Mamoru przez drzwi butelkę wina, po czym kłania się i wycofuje z zasięgu wzroku - ale z pewnością nie słuchu.

Mamoru nalał wina, a Fujiwara pociągnął łyk, nie przestając intensywnie wpatrywać się w Kaede.

Przyjęła czarę z rąk młodzieńca; trunek był mocny i słodki, lecz zaledwie umoczyła wargi. Miała wrażenie, że wszystko się sprzysięgło, by jeszcze bardziej ją rozognić.

- Chyba nigdy nie wyglądała tak pięknie - zwrócił się Fujiwara do Mamoru. -

Zauważ, jak cierpienie wydobywa doskonały zarys jej twarzy. Oczy zyskały głębię wyrazu, usta nabrały kobiecego kształtu. Uchwycenie tego będzie dla ciebie wyzwaniem.

Mamoru skłonił się bez słowa.

Po chwili milczenia Fujiwara polecił:

- Zostaw nas samych - a gdy młodzieniec wyszedł, wziął szkatułkę i wstał.

- Chodź - rzucił do Kaede.

Ruszyła za nim jak lunaticzka. Niewidzialni służący rozsunęli parawany na końcu pokoju, odsłaniając kolejne pomieszczenie. Leżały tu posłania, na których ułożono jedwabne kołdry i drewniane klocki pod głowę, wokół unosił się ciężki zapach wonności. Parawany zamknęły się za nimi; zostali sami.

- Nie ma powodu do zbytniego niepokoju - rzekł Fujiwara. - A może źle cię oceniłem i jesteś rozczarowana?

Po raz pierwszy dotknęło ją ostrze jego pogardy. Najwyraźniej dostrzegł, co się z nią dzieje, zauważył jej pożądanie. Oblała ją fala gorąca.

- Siadaj - powiedział.

Opadła na matę, nie podnosząc wzroku. On również usiadł, stawiając szkatułkę między nimi.

- Musimy spędzić razem trochę czasu. To tylko formalność.

Kaede milczała; nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Mów do mnie - rozkazał. - Opowiedz coś ciekawego albo zabawnego.

Wydawało się to niepodobieństwem. Wreszcie wykrztusiła:

- Czy mogę zadać panu Fujiwarze pytanie?

- Możesz.

- Co ja mam tu robić? Jak mam spędzać dni?

- Robiąc to, co tam wy, kobiety, robicie. Rieko ci pokaże.

- Mogę się dalej uczyć?

- Sądzę, że kształcenie dziewczynki było pewnym błędem. Z pewnością charakter ci się od tego nie poprawił. Wolno ci trochę czytać. Może Konfucjusza?

Podmuchy wiatru stawały się coraz mocniejsze. Tu, w samym środku domu, byli osłonięci przed jego pełną siłą, lecz mimo to krokwie i belki drżały, dach trzeszczał.

- Mogę zobaczyć się z siostrami?

- Kiedy kampania pana Araiego przeciw Otori dobiegnie końca, za rok czy dwa pojedziemy do Inuyamy.

- Czy mogę do nich napisać? - zapytała Kaede, czując, że wzbiera w niej furia, iż musi zebrać o względy.

- Jeśli pokażesz swoje listy Ono Rieko.

Płomienie lamp zamigotały w przeciągu, wiatr zawodził na zewnątrz niemal ludzkim głosem. Kaede nagle wspomniała pokojówki, obok których spała w zamku Noguchi. W dzikie, burzliwe noce, gdy wiatr nie pozwalał nikomu zmrużyć oka, straszyły się nawzajem opowieściami o duchach. Teraz również odniosła wrażenie, że w wielojęzycznej mowie wiatru słyszy te same upiorne głosy, które wyobrażała sobie wówczas. Opowieści pokojówek wszystkie traktowały o dziewczętach, takich jak one, niesprawiedliwie uśmierconych, zmarłych z miłości, porzuconych przez kochanków zdradzonych przez mężów, zamordowanych przez władców. Ich gniewne, zazdrosne dusze wołały o zemstę ze świata cieni. Zadrzała.

- Zimno ci?

- Nie, myślałam o duchach. Być może któryś z nich mnie dotknął. Wiatr się wzmaga. Czy to tajfun?

- Tak mi się zdaje.

Takeo, gdzie jesteś? - pomyślała. Czy w taką pogodę jesteś gdzieś na dworze?

Czy myślisz o mnie w tej chwili? Czy to twój duch unosi się nade mną, przyprawiając mnie o dreszcze?

Fujiwara przyglądał się jej uważnie.

- Jedną z wielu rzeczy, które w tobie podziwiam, jest to, że nie okazujesz lęku.

Ani przed trzęsieniem ziemi, ani przed tajfunem. Większość kobiet w takich razach wpada w panikę. Oczywiście, to bardziej kobiece - twoja śmiałość już i tak zawiodła cię zbyt daleko. Trzeba cię przed nią chronić.

Nigdy nie może się dowiedzieć, jak się boję wieści o ich śmierci, pomyślała.

Najbardziej o śmierci Takeo, ale również Hany oraz Ai. Nie wolno mi nigdy tego okazać.

Fujiwara pochylił się ku niej i bladą, długopalcą dłonią wskazał szkatułkę.

- Przyniosłem ci prezent ślubny - oznajmił, podnosząc wieczko i wyjmując przedmiot zawinięty w jedwab. - Nie sądzę, byś widziała przedtem takie kurioza.

Niektóre są bardzo stare. Od lat je zbieram.

Położył zawiniątko na podłodze.

- Możesz to sobie obejrzyć, kiedy pójdę.

Kaede nieufnie spojrzała na paczuszkę. Ton Fujiwary ostrzegł ją, że pada ofiarą jakiejś okrutnej drwiny. Nie miała pojęcia, co może się kryć pod jedwabiem - mały posążek, flakon perfum?

Uniosła wzrok na twarz Fujiwary i zobaczyła na jego wargach uśmiezek. Nie miała przed nim osłony ani bronii, z wyjątkiem swej urody i odwagi, wpatrzyła się więc w przestrzeń nad jego ramieniem, spokojna, nieruchoma.

Wstał i życzył jej dobrej nocy. Gdy wychodził, złożyła głęboki ukłon. Nie słyszała jego oddalających się kroków; było tak, jakby roztopił się w burzy.

Została sama, choć wiedziała, że Rieko i pokojówki czekają w sąsiednim pokoju.

Jej oczy spoczęły na ciemno-fioletowym jedwabiu. Po chwili podniosła przedmiot i odwinęła go.

Był to męski członek w stanie wzwodu, wyrzeźbiony z jakiegoś czerwonego, jedwabistego drewna, doskonały w każdym szczególe. Odpychał ją i fascynował, co z pewnością przewidział Fujiwara. Nie zamierzał dotknąć jej ciała, nie zamierzał nigdy z nią spać, lecz odgadł jej pobudzoną żądzę i tym perwersyjnym podarkiem dręczył ją, zarazem okazując wzdargę.

Łzy stanęły jej w oczach. Zawinęła rzeźbę i odłożyła ją do szkatułki. Potem położyła się na posłaniu w swej małżeńskiej komnacie i cicho zapłakała za mężczyzną, którego kochała i pragnęła.



Rozdział siódmy

- Bałem się, że będę musiał powiadomić twoją żonę, że zniknąłeś - rzekł Makoto, gdy zmierzaliśmy w ciemnościach do kaplicy. - Bałem się tego bardziej niż najkrwawszej bitwy.

- Lękałem się, żeście mnie opuścili - przyznałem.

- Sądziłem, że lepiej mnie znasz! Zawiadomienie pani Otori byłoby moim obowiązkiem, lecz zamierzałem zostawić tu jedzenie i konie pod opieką Jiro, i wrócić, kiedy tylko się z nią rozmówię. - I dodał cicho: - Takeo, nigdy bym cię nie zostawił, przecież wiesz.

Zawstydziłem się swoich wątpliwości i nie wspomniałem już o nich.

Zawołał do niewidocznych strażników na czatach, którzy natychmiast mu odpowiedzieli.

- Nie śpicie? - zapytałem, gdyż zazwyczaj czuwaliśmy i spaliśmy na zmianę.

- Nikomu nie chciało się spać. Noc jest zbyt duszna i wilgotna. Ostatnia burza, ta, przez którą się spóźniłeś, zjawiała się jakby znikąd. A przez ostatnich kilka dni mamy wraże-nie, że jesteśmy śledzeni. Wczoraj Jiro poszedł do lasu zbierać dzikie pataty i zauważył, że ktoś czai się wśród drzew. Pomyślałem, że bandyci, o których wspomniał

rybak, dowiedzieli się, że tu jesteśmy, i sprawdzają nasze siły.

Potykając się na zarośniętej ścieżce, robiliśmy więcej hałasu niż para wołów. Jeśli istotnie ktoś nas szpiegował, nie miał już wątpliwości, że wróciłem.

- Pewnie się boją, że stanowimy konkurencję - powiedziałem. - Kiedy wrócimy tu w większej liczbie, pozbedziemy się ich, ale w szczęściu nie możemy stawić im czoła.

Wyjedziemy o brzasku, miejmy tylko nadzieję, że nie napadną nas po drodze.

Niepodobna było określić, która jest godzina i ile czasu zostało do świtu. W

starych budynkach kaplicy rozlegały się dziwne odgłosy, skrzypienie drewna, szelesty na krytym strzechą dachu. Przez całą noc w lesie pohukiwały sowy, raz nawet usłyszałem miękkie stąpanie łap, być może dzikiego psa albo nawet wilka. Próbowałem usnąć, lecz w głowie kłębiło mi się od tych, którzy chcieli mnie zabić; niewykluczone, że wysledzili nas aż tutaj, moje zaś spóźnienie niewątpliwie im to ułatwiło. Rybakowi -

albo samemu Ryomie - mogło się wymknąć coś o mojej podróży na Oshimę, a zbyt dobrze wiedziałem, że szpiegzy Plemienia są wszędzie. Niezależnie od wyroku na moją głowę, wielu z nich zapewne czuło się teraz zobowiązanych, aby pomścić krewnych.

Choć za dnia szczerze wierzyłem w słowa wyroczni, nad ranem, jak zawsze, nie znalazłem w niej pociechy. Powoli, krok za krokiem, zmierzałem do osiągnięcia celu; nie mogłem znieść myśli, że zginę, zanim mi się to uda. Skoro jednak tylu ludzi sprzyścięło się przeciwko mnie, czyżbym wierząc, że ich pokonam, był takim samym szaleńcem jak Jo-An?

Musiałem zapaść w drzemkę, bo kiedy znów otworzyłem oczy, niebo było perłowoszare i zaczynały śpiewać ptaki. Obok mnie Jiro wciąż jeszcze spał, oddychając równo i głęboko jak dziecko. Dotknąłem jego ramienia, żeby go obudzić, on zaś z uśmiechem uniósł powieki, lecz gdy wracał z sennego świata, na jego twarzy odmalowały się smutek i rozczarowanie.

- Miałeś sen? - zapytałem.

- Tak, śnił mi się brat. Tak się ucieszyłem, że jednak żyje! Zawołał, bym za nim poszedł, a potem zniknął w lesie za naszym domem. - Z wyraźnym wysiłkiem opanował targające nim uczucia i wstał.
- Zaraz wyruszamy, prawda? Przygotuję konie.

Wspomniałem swój niedawny sen o matce i zacząłem się zastanawiać, co próbują nam przekazać umarli. W świetle brzasku kaplica wyglądała upiorniej niż zwykle. Było to gorzkie, wrogie miejsce, nie mogłem się wręcz doczekać, kiedy je opuszczę.

Po kilku dniach wypoczynku konie były świeże i posuwaliśmy się szybko. Wciąż panował upał i bezwietrzna duchota, niebo pokrywały chmury. Jadąc ścieżką prowadzącą na klif, obejrzałem się na plażę, myśląc o rybaku i jego jedynym ocalałym dziecku, lecz przy chatach nie dostrzegłem znaku życia. Wszyscy rozglądaliśmy się nerwowo; czujnie nasłuchiwałem każdego dźwięku, natężając słuch, by coś usłyszeć ponad tętentem końskich kopyt, brzękiem uprzęży i głuszącym wszystko rykiem morza.

Znalazłszy się na klifie, zatrzymałem konia i spojrzałem ku Oshimie. Skrywała ją mgła, tylko korona ciężkich chmur znaczyła miejsce, gdzie się znajdowała. Obok mnie przystanął Jiro, pozostali wjechali już do lasu. Na chwilę zapadła cisza i w owej chwili dobiegł mnie charakterystyczny dźwięk, na poły skrzypnięcie, na poły westchnienie naciąganej cięciwy.

Zawołałem ostrzegawczo do Jiro i wyciągnąłem rękę, próbując zepchnąć go z konia, lecz Shun uskoczył w bok, niemal zrzucając mnie z siodła. Jiro odwrócił głowę w stronę lasu. Strzała ze świstem przeleciała mi nad głową i ugodziła go w oko.

Krzyknął z bólu i szoku; sięgnął dłońmi do twarzy, po czym upadł na szyję konia, który zarżał przestraszony, wierzgnął i pognął za swymi towarzyszami, unosząc na grzbiecie rozkołysane, bezwładne ciało jeźdźcy.

Shun wyciągnął łeb i pogalopował zygzakiem pod osłonę drzew. Jadący przed nami żołnierze Makoto zawrócili; jeden z nich dopędził spienionego wierzchowca i zdołał chwycić go za wodze.

Makoto zdjął Jiro z siodła, lecz kiedy do nich dotarłem, chłopiec już nie żył.

Pocisk przebił czaszkę na wylot, rozrywając tył głowy. Zsiadłem z konia, odciąłem bełt i wyciągnąłem drzewce. Strzała była masywna, lotki wykonano z pióra orła; łuk, który ją wystrzelił, musiał być olbrzymi, taki, jakiego używają samotni łucznicy.

Przepelniała mnie rozpacz niemal nie do zniesienia. Ten strzał przeznaczony był

dla mnie - gdybym go nie usłyszał i nie uchylił się, Jiro żyłby jeszcze. Poczułem wybuch szaleńczej wściekłości - zamierzałem zabić mordercę albo sam zginąć.

- To pewnie zasadzka - szepnął Makoto. - Ukryjmy się i sprawdźmy, ilu ich jest.

- Nie, chodzi tylko o mnie - zaprzeczyłem równie cicho. - To robota Plemienia.

Zostańcie tutaj i nie pokazujcie się; ja pójdę go poszukać. Jest tylko jeden, najwyżej dwóch. -Nie chciałem brać żołnierzy; tylko ja umiałem poruszać się cicho i niepostrzeżenie, tylko ja mogłem podejść skrytobójcę. - Przyjdźcie, gdy was zawołam.

Chcę go wziąć żywcem.

- Jeśli jest tylko jeden, nie będziemy się ukrywać, lecz pojedziemy dalej. Daj mi swój hełm, dosiędę Shuna. Ruszy za nami w pościg, a wtedy znajdziesz go od tyłu.

Nie wiedziałem, w jakim stopniu podstęp okaże się skuteczny ani jak blisko znajduje się łucznik. Na pewno widział, że strzał chybił, i domyślił się, że zechcę go upolować. Ale żołnierze, jadąc przodem, przynajmniej mi nie przeszkadzali. Zabójca mógł być gdziekolwiek w lesie, sądziłem jednak, że potrafię przemieszczać się szybciej i ciszej niż on. Gdy konie oddaliły się stępa, unosząc swój smutny ciężar, stałem się niewidzialny i przemykając między drzewami, pobiegłem w górę zbocza. Łucznik z pewnością opuścił już stanowisko, z którego wystrzelił śmiertelną strzałę; pomyślałem, że podąży na południowy wschód, by przeciąć nam drogę w miejscu, gdzie skręcała z powrotem na południe.

Ale nawet jeśli nas obserwował, nie mógł wiedzieć, gdzie jestem teraz, chyba że posiadał najwyższe umiejętności Plemienia.

Niebawem dobiegł mnie szmer ludzkiego oddechu i lekkie uderzenia stopy o miękką ziemię. Zatrzymałem się i przestałem oddychać. Przeszedł w odległości dziesięciu kroków, zupełnie mnie nie widząc.

To był Kikuta Hajime, młody zapaśnik, z którym trenowałem w Matsue. Ostatni raz widziałem go w stajni zapaśników, gdy wędrowałem z Akio do Hagi. Wyobraziłem sobie wtedy, że z pewnością sądzi, iż nigdy mnie już nie zobaczy. Ale Akio nie zdołał

mnie zabić tak jak sobie zaplanował, teraz więc wysłano przeciwko mnie Hajime.

Ogromny łuk przewiesił przez ramię i mimo swej wagi przemieszczał się zwinnie i bezszelestnie, stąpając, jak większość dużych mężczyzn, na zewnętrznych krawędziach stóp. Tylko moje uszy mogły go usłyszeć.

Ruszyłem za nim w stronę drogi, skąd dobiegał mnie tętent koni, idących szybkim kłusem, jakby ktoś je ścigał. Usłyszałem nawet, jak jeden ze strażników, wzywając Makoto, by się pośpieszył, głośno zwraca się doń „panie Otori” - wybieg, który przyjąłem z gorzkim uśmiechem. W ślad za ściganym szybko pokonałem zbocze, ponownie zbiegłem w dół i zatrzymałem się na skalnym występie, z którego roztaczał

się doskonały widok na drogę poniżej.

Hajime mocno wsparł stopy o skałę i zdjął łuk z ramienia. Umieścił strzałę w cięciwie; usłyszałem, jak ją napina, oddychając głęboko. Jego bicepsy uwydatniły się, mięśnie karku zagrały - w walce wręcz nie miałbym z nim najmniejszych szans.

Zapewne Jato by się z nim rozprawił, gdybym zaszedł go z tyłu, ale musiałbym go zabić jednym ciosem, a chciałem go wziąć żywcem.

Stał bez ruchu, czekając, aż cel wyłoni się zza drzew. Prawie nie słyszałem, jak oddycha. Znałem technikę, jakiej używał, byłem też dostatecznie zorientowany w treningu, jaki musiał przejść, aby docenić jego całkowite skupienie. On i łuk stanowili jedność. Owszem, widok był wspaniały, lecz w owej chwili czułem jedynie pragnienie, by patrzeć, jak cierpi, a potem umiera. Z trudem opanowałem furję - miałem tylko kilka minut na zastanowienie.

Nadal nosiłem przy sobie broń Plemienia, między innymi zestaw ostrzy do rzucania. Nie posługiwałem się nimi zbyt wprawnie, teraz jednak mogły się przydać. Po kąpieli w pirackiej przystani wysuszyłem je i natłuściłem; wysliznęły się z pochwy gładko, wręcz jedwabście. Kiedy poniżej ukazały się konie, przybrałem niewidzialną postać i wybiegłem z ukrycia, jednocześnie ciskając ostrza w mego wroga.

Pierwsze dwa przeleciały obok niego, zakłócając jego koncentrację. Odwrócił się i zagapił gdzieś nad moją głowę z tą samą zaskoczoną miną, jaką przybierał w sali ćwiczeń, gdy stawałem się niewidzialny. Rozśmieszyło mnie to, lecz zarazem niewymownie zabołało. Trzecie ostrze trafiło go w policzek, na którym natychmiast wykwitła krew. Odruchowo cofnął się o krok i stanął na krawędzi skały. Kolejne dwa ostrza rzuciłem mu prosto w twarz, wracając do widzialności tuż przed jego nosem. Jato samoistnie znalazł się w mej dłoni. Hajime szarpnął się, by uniknąć cięcia, i runął w dół

padając ciężko niemal pod końskie kopyta.

Był ogłuszony upadkiem, mocno krwawił z policzka i oczu, mimo to w pięciu ledwieśmy go obezwładnili. Nie wydał żadnego dźwięku, lecz w jego oczach płonęła furia i nienawiść. Musiałem podjąć decyzję, czy zabić go na miejscu, czy zawlec go do Maruyamy i obmyślić dla niego powolną śmierć, która ukołoby mój żal po Jiro.

Kiedy nareszcie został związany i nie mógł wykonać najmniejszego ruchu, odciągnąłem Makoto na bok, by zasięgnąć jego rady. Nie potrafiłem pozbyć się wspomnienia o naszych wspólnych treningach; Hajime i ja byliśmy niemal przyjaciółmi.

Lecz kodeks Plemienia wykraczał ponad wszelkie osobiste sympatie i lojalności - czyż nie dowiodła tego zdrada, jakiej Kenji dopuścił się wobec Shigeru? Wiedziałem o tym również z własnego doświadczenia, a jednak wciąż czułem oburzenie i gniew.

Nagle Hajime zawołał do mnie:

- Hej, Psie!

- Jak śmiesz tak mówić do pana Otori! - wrzasnął jeden z żołnierzy, wymierzając mu kopniaka.

- Podejdź no tu, panie Otori - zapaśnik szyderczo wyszczerzył zęby. - Mam ci coś do powiedzenia. Zbliżyłem się do niego.

- Kikuta mają twego syna. A jego matka nie żyje.

- Yuki nie żyje?

- Kiedy chłopiec się urodził, zmusili ją, by zażyła truciznę. Akio wychowa go sam. Kikuta cię dopadną. Zdradziłeś ich; nie pozostawią cię przy życiu. I mają twojego syna!

Warknął niemal jak zwierzę i wyciągając język jak najdalej przygryzł go z całej siły. Oczy miał oszalałe z bólu ; wściekłości, ale nie wydał głosu; wypluł język, za którym popłynął czerwony potok i zalał mu gardło. Potężne ciało wygięło się i zadygotało; Hajime jeszcze chwilę walczył ze śmiercią, narzuconą przez własną wolę, po czym utopił się we krwi.

Odwrociłem wzrok, wstrząśnięty i niezmiernie smutny. Moja furia minęła; jej miejsce zajął ołowiany ciężar, jakby niebo przygniotło mi duszę. Kazałem ludziom zaciągnąć Hajime do lasu, obciąć mu głowę, a korpus zostawić wilkom i lisom na pożarcie.

Ciało Jiro zabraliśmy ze sobą i zatrzymawszy się w miasteczku Ohama na wybrzeżu, odprawiliśmy w miejscowej kaplicy nabożeństwo żałobne. Zapłaciliśmy za wystawienie dla Jiro kamiennej latarni w cieniu cedrów, a jego łuk i strzały podarowaliśmy kaplicy, gdzie, jak mi się zdaje, nadal wiszą pod krokwiami wśród wotywnych wizerunków koni, gdyż to bogini koni była patronką tego świętego miejsca.

Wśród obrazów znalazły się również moje wierzchowce. Musieliśmy pozostać w miasteczku prawie dwa tygodnie, najpierw, by dopełnić uroczystości pogrzebowych i oczyścić nasze, skalane śmiercią dusze, potem zaś na obchody Święta Umarłych.

Pożyczonym od kapłana pędzelkiem i tuszem namalowałem na kawałku drewna portret Shuna. Sądzę, iż włożyłem weń nie tylko szacunek dla konia, który wielokrotnie ratował mi życie, lecz również żal za Jiro, za Yuki, smutek z powodu życia, które najwyraźniej wiodło mnie tylko od jednej cudzej śmierci do drugiej. Oraz, być może, tęsknotę za Kaede, której brak, gdy żal rozbudziła moje pożądanie sprawiał mi niemal fizyczny ból.

Malowałem jak opętany - Shuna, Raku, Kyu, Aoi. Od dawna już nie miałem pędzla w ręce i jego gładkie drewno i chłodna wilgoć tuszu podziały na mnie kojąco.

Siedząc samotnie w cichej kaplicy, pozwoliłem sobie na wyobrażenie, że tak wygląda moje życie, że wycofałem się ze świata i całymi dniami maluję wotywnie obrazki dla pielgrzymów. Przypomniały mi się słowa przeora Terayamy, wypowiedziane dawno temu, gdy pierwszy raz odwiedziłem świątynię z Shigeru: „Wróć do nas, kiedy to wszystko się skończy. Zawsze znajdzie się tutaj miejsce dla ciebie”.

Czy to kiedykolwiek się skończy? - zapytałem sam siebie tak jak wtedy.

Często miałem łzy w oczach. Opłakiwałem Jiro i Yuki, ich krótkie życie, oddanie, jakim mnie darzyli, a na które nie zasługiwałem, śmierć, jaką ponieśli z mojego powodu.

Chciałem ich pomścić, lecz straszne samobójstwo Hajime odstręczało mnie od wszelkiej przemocy.

Jakiż to nieskończony cykl życia i śmierci zapoczątkowałem? Pomyślałem o wszystkim, co przeżyłem z Yuki, i gorzko pożałowałem... czego właściwie? Że jej nie kochałem? Być może nie czułem do niej takiej namiętności jak do Kaede, lecz na pewno jej pragnąłem, i wspomnienie to sprawiło, że cały zadygotałem z żądy i zapłakałem nad jej gibkim ciałem, znieruchomiałym na zawsze.

Cieszyłem się, że posępne obchody Święta Umarłych dały mi sposobność pożegnania się z jej duchem. Zapaliłem świece dla wszystkich zmarłych, prosząc o wybaczenie i radę. Minał rok od chwili, gdy stałem obok Shigeru na brzegu rzeki w Yamagacie i puszczałem z prądem małe, płonące łódeczki; rok, odkąd wymówiłem imię Kaede i widząc, jak rozjaśnia się jej twarz, pojąłem, że i ona mnie kocha.

Dręczyło mnie pożądanie. Mogłem położyć się z Makoto, żeby przynieść sobie ulgę, a jemu pociechę w żałobie, jednak choć często odczuwałem pokusę, coś mnie powstrzymywało. W ciągu dnia, gdy malowałem całymi godzinami, miałem wiele czasu na medytację nad wydarzeniami minionego roku; rozważałem wówczas wszystko, co zrobiłem, a zwłaszcza swoje błędy oraz ból, jakiego z ich powodu zaznało moje otoczenie. Uświadomiłem sobie, że z wyjątkiem decyzji, by przystać do Plemienia, wszystkie moje pomyłki wynikały z nieopanowanej żądy. Gdybym nie przespał się z Makoto, wzmagając jego obsesję, nie ujawniłby sekretu Kaede przed jej ojcem; gdybym nie spał z nią, nie utraciłaby dziecka i nie znalazłaby się na skraju śmierci; gdybym wreszcie nie spał z Yuki, nadal by żyła, a syn, który miał mnie zabić, nigdy by się nie narodził. Moje myśli zwróciły się ku Shigeru, który opierał się małżeństwu i przestrzegając celibatu wprawiał domowników w osłupienie, gdyż przysiągł pani Maruyama, że położy się tylko z nią. Nie słyszałem, by jakikolwiek inny mężczyzna złożył taką przysięgę, lecz im dłużej się nad nią zastanawiałem, tym bardziej pragnąłem naśladować go pod tym względem, jak i pod każdym innym. Klęcząc w milczeniu przed Kannon o końskiej głowie, ślubowałem bogini, że cała moja miłość, fizyczna i emocjonalna, będzie odtąd należała wyłącznie do mej żony Kaede.

Nasza rozłąka sprawiła, że zrozumiałem, jak bardzo jej potrzebuję, jak mocny, stały punkt stanowi w moim życiu Miłość do niej była odtrutką na truciznę wściekłości i smutku krążącą w mych żyłach; toteż strzegłem jej pilnie, jak wszystkich odtrutek, i głęboko ją ukrywałem.

Pogrążony w żałobie Makoto również oddawał się wielogodzinnej, cichej medytacji. We dnie prawie nie odzywaliśmy się do siebie, ale po wieczornym posiłku często rozmawialiśmy do późnej nocy. Oczywiście, usłyszał skierowane do mnie ostatnie słowa Hajime i próbował wypytywać mnie o Yuki i mego syna, lecz z początku mówienie o nich było dla mnie czymś nie do zniesienia. Jednak wieczorem w pierwszy dzień święta, po powrocie znad morza, wypiliśmy trochę wina; czując ulgę, że chłód między nami wreszcie zniknął i ufając mu jak nikomu innemu, uznałem, że powinienem mu powtórzyć słowa wyroczni.

Słuchał uważnie, gdy opisywałem starą, ślepą kobietę, jej świątobliwy wygląd, jaskinię, młynek modlitewny i znak Ukrytych.

- Słyszałem o niej - powiedział w końcu. - Szuka jej wielu tych, którzy aspirują do świętości, ale pierwszy raz widzę kogoś, kto znalazł drogę.

- Zaprowadził mnie wyrzutek, Jo-An.

Zamilkł. Noc była ciepła i bezwietrzna, wszystkie okna stały otworem. Światło pełnego księżyca lało się strumieniem na kaplicę i święty gaj, morze ryczało na kamienistej plaży. Po suficie przebiegła jaszczurka, przysysając się do belek maleńkimi łapkami, brzęczały moskity, ćmy trzepotały wokół lamp. Zgasilem płomień, by nie opaliły sobie skrzydeł - księżyc dawał dostatecznie dużo światła.

- Muszę zatem przyjąć, że cieszy się łaską Oświeconego, podobnie jak ty - rzekł

Makoto.

- Święta powiedziała mi: „Wszystko jest jednym” - odparłem. - Wtedy tego nie zrozumiałem, ale później w Terayamie przypomniałem sobie przedśmiertne wyznanie Shigeru i prawda jej słów objawiła mi się w całej pełni.

- Nie potrafisz tego wyrazić?

- Nie, ale wiem, że tak jest i zgodnie z tym żyję. Nie ma między nami różnic: nasze kasty i przekonania to iluzje, które odgradzają nas od prawdy. To droga Niebios, stosowna dla wszystkich ludzi, więc ja również muszę nią iść.

- Poszedłem za tobą ze względu na uczucie, jakim cię darzę, oraz dlatego, że wierzę w słuszność twojej sprawy - mruknął z uśmiechem. - Nie przypuszczałem, że będziesz również moim doradcą duchowym!

- Nie wiem nic o duchowości - zachnąłem się, podejrzewając, że ze mnie kpi. -

Odrzuciłem wiarę dzieciństwa, lecz nie zdołałem jej zastąpić niczym innym. Wszelkie nauki religijne wydają mi się w połowie głęboką prawdą, a w połowie czystym szaleństwem. Ludzie lgną do swych wierzeń, jakby mogły ich one ocalić, istnieje jednak miejsce gdzieś dalej, gdzie wszystkie prawdy stają się jednością.

- Najwyraźniej, mimo swej niewiedzy, lepiej w to wniknąłeś niż ja po latach nauki i dysput - zaśmiał się Makoto. - Co jeszcze powiedziała ci święta?

Powtórzyłem mu słowa wyroczni:

„Krew trzech ludów miesza się w twych żyłach. Choć urodziłeś się wśród Ukrytych, wyszedłeś na światło dzienne i twoje życie nie należy już do ciebie. Ziemia spełni pragnienie Niebios. Będziesz władał ziemią od morza do morza. Lecz ceną pokoju jest rozlew krwi. Pięć bitew kupi ci pokój, cztery wygrane i jedna przegrana”.

W tym miejscu urwałem, niepewny, czy mówić dalej.

- Pięć bitew? - zdumiał się Makoto. - A ile już stoczyliśmy?

- Dwie, jeśli liczyć potyczkę z bandytami Jin-emon.

- A więc to dlatego pytałeś mnie, czy można ją nazwać bitwą! I wierzysz w to?

- Przez większość czasu. A nie powinienem?

- Uwierzyłbym we wszystko, co bym od niej usłyszał, gdybym miał szczęście klęknąć u jej stóp - rzekł cicho Makoto. - Jest coś jeszcze?

- „Wielu umrze - dokończyłem - ty jednak ujdiesz śmierci, chyba że padniesz z ręki syna”.

- Bardzo mi przykro - powiedział współczująco. - To straszne brzemię dla każdego człowieka, a zwłaszcza dla ciebie, z twoim silnym przywiązaniem do dzieci.

Pewnie bardzo pragniesz mieć własnych synów.

Wzruszyłem się, że tak dobrze zna mój charakter.

- Kiedy pierwszy raz odszedłem do Plemienia i sądziłem, że utraciłem Kaede na zawsze, spałem z dziewczyną, która pomogła mi wynieść Shigeru z Inuyamy. Miała na imię Yuki; to ona przywiozła jego głowę do świątyni.

- Pamiętam ją - szepnął Makoto. - Chyba nigdy nie zapomnę jej przybycia i wstrząsu, jakim były dla nas wieści, które przyniosła.

- Była córką Muto Kenjiego - rzekłem z nowym przyływem smutku. - Nie do wiary, że Plemię tak ją potraktowało! Chcieli mieć to dziecko, a gdy się urodziło, po prostu ją zabili. Gorzko żałuję tego, co zrobiłem; nie powinienem był tak postąpić, nie tylko z powodu syna, lecz również dlatego, że stałem się przyczyną jej śmierci. Jeśli mój własny syn mnie zabije, to dobrze mi tak!

- Wszyscy za młodu robimy błędy - westchnął Makoto. - Taki nasz los, że musimy żyć z ich skutkami. - Ujął mnie za rękę i mocno uściśnął. - Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Potwierdza się wiele rzeczy, które w tobie wyczuwałem: jesteś wybrańcem Niebios, które otaczają cię opieką, przynajmniej dopóki nie zrealizujesz swych celów.

- Żałuję, że nie uchroniły mnie przed smutkiem.

- Zaiste wtedy dostąpiłbyś oświecenia - odparł sucho.

Pełnia przyniosła odmianę pogody. Upał zelżał, powietrze się oczyściło, w chłodzie poranków wyczuwało się tchnienie jesieni. Wróciły do mnie słowa przeora, że moi zwolennicy, ludzie, którzy mnie popierali, ginęli za mnie z wolnej woli. Musiałem odsunąć na bok smutki i znów podjąć swe dzieło aby ich śmierć nie poszła na marne.

Wspomniałem również słowa, jakie wypowiedział Shigeru w małej wiosce Hinode na drugim krańcu Trzech Krain:

„Dzieci płaczą. Mężczyźni i kobiety muszą wytrwać”.

Poczyniliśmy plany, by wyruszyć następnego dnia, lecz tego popołudnia ziemia lekko zadrżała, akurat tyle, by rozdźwięczały się gongi wiatrowe, a psy zaczęły wyć.

Wieczorem nastąpił drugi, silniejszy wstrząs, od którego w domu na naszej ulicy przewróciła się lampa, spędziliśmy więc część nocy, pomagając mieszkańcom opanować pożar. Nasze opóźnienie zwiększyło się o kolejnych kilka dni.

Gdy wreszcie udało się nam wyjechać, niemal odchodziłem od zmysłów z niecierpliwości, by zobaczyć Kaede. Z najwyższym pośpiechem parłem ku Maruyamie; zarządzałem wczesne pobudki i gnałem konie do późnej nocy pod malejącym księżycem. Na ogół jechaliśmy w milczeniu; zbyt dotkliwie odczuwaliśmy brak Jiro, by pozwalać sobie na dobroduszne zaczepki, z jakimi ruszaliśmy w podróż, a mnie dręczył

poza tym dziwny niepokój, którego nie mogłem się pozbyć.

Dotarliśmy do miasta pod koniec godziny Psa. W większości domów wygaszono już światła, bramy zamkowe były zatrzaśnięte. Strażnicy powitali nas ciepło, nie rozproszyli jednak moich złych przeczuć. Mówiłem sobie, że jestem zmęczony i rozdrażniony po długiej podróży; pragnąłem wziąć gorącą kąpiel, zjeść coś i zasnąć w objęciach żony. Jednakże przy wejściu do rezydencji powitała nas jej służąca fanami, a gdy ujrzałem jej twarz, od razu pojąłem, że stało się coś złego.

Kazałem jej powiadomić Kaede, że wróciłem, lecz padła na kolana i wykrztusiła:

- Panie... panie Otori... ona pojechała do Shirakawy, żeby zabrać swoje siostry.

- Co? - Nie wierzyłem własnym uszom. Kaede wyjechała sama, nie pytając mnie o zgodę, nic mi nie mówiąc? - Kiedy to było? Kiedy wraca?

- Wyjechała tuż po święcie - Manami wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać.

- Nie chcę straszyć waszej wysokości, ale powinna wrócić już jakiś czas temu.

- Czemu z nią nie pojechałaś?

- Nie zgodziła się. Chciała jechać konno i podróżować szybko, żeby zdążyć przed waszym powrotem.

- Zapal lampy i poślij kogoś po pana Sugitę - poleciłem, ale najwyraźniej już wiedział, że wróciłem, i właśnie do mnie zmierzał.

Wszedłem do rezydencji. Wydawało mi się, że nadal unosi się tutaj woń perfum Kaede; piękne pokoje, zdobne w gobeliny i malowane parawany, nosiły ślady jej ręki, wszędzie wyczuwałem jej obecność.

Manami kazała pokojówkom przynieść lampy i ich cienie bezszelestnie przesuwały się po pomieszczeniach. Jedna z nich szepnęła, że kąpiel jest gotowa, odparłem jednak, że najpierw porozmawiam z Sugitą.

Gdy wszedłem do ulubionego pokoju Kaede, mój wzrok padł na stolik do pisania, przy którym klęczała tak często przepisując kroniki Plemienia. Drewniana szkatuła, w której były schowane, zawsze stała obok stołu, teraz jednak zniknęła.

Zastanawiałem się właśnie, czy Kaede je ukryła, czy zabrała ze sobą, gdy pokojówka zapowiedziała Sugitę.

- Powierzyłem ci żonę - powiedziałem. Nie czułem już gniewu, tylko lodowaty chłód, przenikający do głębi jestestwa. - Dlaczego pozwoliłeś jej wyjechać?

Pytanie wyraźnie go zaskoczyło.

- Proszę wybaczyć - oznajmił - ale pani Otori upierała się przy wyjeździe. Wzięła liczną eskortę pod wodzą Amano Tenzo, pojechał również mój bratanek Hiroshi. To miała być podróż dla przyjemności, żeby odwiedzić dom rodzinny i przywieźć tu siostry.

- Więc czemu dotąd jej nie ma?

Wszystko to wyglądało nieszkodliwie; może zareagowałem przesadnie?

- Z pewnością jutro wróci - uspokajał Sugita. - Pani Naomi podejmowała wiele takich wypraw; poddani są przyzwyczajeni, że ich pani podróżuje w taki sposób.

Służąca przyniosła jedzenie oraz herbatę. Jedząc, pokrótce zdałem sprawę ze swej podróży. Nie chciałem opowiadać Sugicie szczegółów na wypadek, gdyby mój zamysł

spełził na niczym, powiedziałem jedynie, że obmyślam strategię długoterminową.

Od braci Miyoshi nie było żadnych wieści, nie mieliśmy też pojęcia, co zamierzają Arai i Otori. Czułem się tak, jakbym błądził po omacku; chciałem porozmawiać z Kaede, ten brak informacji był wprost nieznośny. Gdyby tak pracowała dla mnie siatka szpiegowska... Jak kilkakrotnie przedtem zadałem sobie pytanie, czy nie dałoby się wyszukać utalentowanych dzieci - być może sierot z Plemienia - i wychować ich na własne potrzeby. Z dziwną tęsknotą pomyślałem o swoim synu. Czy posiada talenty Yuki oraz moje?

Jeśli tak, z pewnością będą wykorzystane przeciwko mnie.

- Słyszałem, że zginął młody Jiro - rzekł Sugita.

- Tak, to bardzo smutne. Trafiła go strzała przeznaczona dla mnie.

-Jakie to szczęście, że wasza wysokość uniknął śmierci! - wykrzyknął. - Co się stało z zabójcą?

- Nie żyje. Na pewno znowu spróbują. To robota Plemienia.

Byłem ciekaw, ile Sugita wie o moim pochodzeniu, jakie plotki krążyły na ten temat podczas mej nieobecności.

- A tak przy okazji, żona przepisywała coś dla mnie. Gdzie są szkatułka i zwoje?

- Nie spuszczała z nich oka - odparł. - Skoro ich tu nie ma, pewnie zabrała je ze sobą.

Nie chciałem okazywać zbytniego niepokoju, toteż nie mówiłem nic więcej. Po wyjściu Sugity wziąłem kąpiel, zawoławszy służącą, by wyszorowała mi plecy.

Pragnąłem, by Kaede pojawiła się zniecka tak jak w domu Niwy, po czym nagle wspomniałem Yuki, co było niemal nie do zniesienia. Gdy służąca wyszła, zanurzyłem się w gorącej wodzie, zastanawiając się, co powiem Kaede, gdyż wiedziałem, że muszę się z nią podzielić przepowiednią dotyczącą mego syna, na razie jednak nie wyobrażałem sobie, jakich słów użyję.

Manami rozesała pościel i czekała, by zgasić lampy Zapytana o szkatułkę z zapiskami odpowiedziała tak sarno jak Sugita.

Sen długo nie nadchodził. Usłyszałem pianie pierwszych kogutów i z nastaniem świtu zapadłem w półdrzemkę. Gdy się ocknąłem, słońce było wysoko, a wokół mnie rozbrzmiewały domowe odgłosy.

Manami właśnie przyniosła śniadanie i krzątała się przy mnie, gderając, że muszę odpocząć po tak długiej i męczącej podróży, kiedy na dworze rozległ się głos Makoto. Poleciałem Manami go wprowadzić, lecz nie chciało mu się rozwiązywać sandałów, toteż zawołał do mnie z ogrodu:

- Chodź natychmiast! Wrócił mały Hiroshi!

Wstałem pośpiesznie, potrącając tacę i rozrzucając jej zawartość. Manami z okrzykiem rzuciła się do sprzątania, jednak przerwałem jej obcesowo i kazałem przynieść ubranie. Za chwilę dołączyłem do Makoto na zewnątrz.

- Gdzie on jest?

- W domu stryja. Nie wygląda najlepiej. - Makoto ścisnął mnie za ramię. - Przykro mi; przyniósł straszne wiadomości.

Pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, było trzęsienie ziemi. Znów ujrzałem pożar, do gaszenia którego nas wezwano, i wyobraziłem sobie Kaede uwięzioną w płonącym domu. Gapiłem się na Makoto, widziałem ból w jego oczach i nie potrafiłem wykrztusić tych niewyobrażalnych słów.

Natychmiast odgadł, co czuję.

- Żyje - powiedział szybko - ale Amano i reszta podobno zostali zgładzeni. Tylko Hiroshi ocalał.

Nie miałem pojęcia, co się mogło stać. Nikt w Maruya-mie ani Shirakawie nie ośmieliłby się skrzywdzić Kaede. Czyżby Plemię porwało ją, aby uderzyć we mnie?

- To pan Fujiwara - wyjaśnił Makoto. - Przebywa w jego domu.

Biegiem przekroczyliśmy główną basztę, wypadliśmy z bramy zamku i popędziliśmy w dół do miasta. Dom Sugity leżał zaraz za mostem; zgromadzeni przed bramą gapie patrzyli nań w milczeniu. Przedarliśmy się przez tłum i wpadliśmy do ogrodu, gdzie dwaj stajenni usiłowali nakłonić wyczerpanego konia, by stanął na nogi.

Był to ładny deresz, całkiem jednak pociemniały od potu, toczący pianę z pyska i przewracający oczami. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek się podniesie.

- Chłopiec jechał tu dzień i noc - powiedział Makoto, ale prawie go nie słyszałem.

Za to wyraźniej niż zwykle postrzegałem każdy szczegół otoczenia: lśniąca podłoga wewnątrz domu, woń kwiatów we wnękach, pieśń ptaków w ogrodowych krzewach.

Głos w mojej głowie tępo powtarzał: Fujiwara?

Sugita wyszedł nam na spotkanie; jego twarz była barwy popiołu. Nie miał mi nic do powiedzenia - wyglądał jak ktoś, kto już postanowił odebrać sobie życie, strzęp człowieka z dnia wczorajszego.

- Panie Otori... - wyszeptał.

- Chłopiec jest ranny? Może mówić?

- Lepiej sam chodź i zobacz. Hiroshi leżał w pokoju na tyłach domu, wychodzącym

na niewielki, zielony ogród, z którego dobiegał plusk strumienia. Było tu chłodniej niż w głównych salach, cieniste drzewa chroniły okna przed blaskiem porannego słońca.

Obok chłopca klęczały dwie kobiety: jedna przecierała mu twarz i kończyny wilgotną ściereczką, druga trzymała przy jego ustach czarkę z herbatą, próbując go skłonić, by się napił. Na nasz widok obie porzuciły swe zajęcia i przypadły do podłogi. Hiroshi obrócił

głowę, ujrzał mnie i próbował usiąść.

- Panie Otori - wychrypiał, wbrew sobie zanosząc się szlochem. - Przepraszam, wybacz mi - jęknął przez łzy.

Poczułem głęboką litość. Tak bardzo starał się być wojownikiem, żyć według surowego rycerskiego kodeksu. Klęknąłem przy nim i łagodnie położyłem mu dłoń na włosach. Nadal był uczesany jak dziecko; jeszcze wiele lat dzieliło go od pełnoletności, a jednak próbował postępować jak mężczyzna.

- Opowiedz mi, co się stało.

Wbił wzrok w moją twarz, ale nie odwzajemniłem spojrzenia. Zaczął mówić cichym, równym głosem, jakby raz po raz powtarzał swoją relację podczas długiej jazdy do domu.

- Kiedy przyjechaliśmy do domu pani Otori, stary zarządca pan Shoji - nie ufaj mu, on nas zdradził! - powiedział jej wysokości, że jej siostry są w gościnie u pana Fujiwary.

Wysłała go, aby przywiózł je do domu, ale po powrocie powiedział, że nie ma ich u pana Fujiwary, który kazał powtórzyć pani Shirakawa - nie chce jej inaczej nazywać -

że zdradzi jej miejsce pobytu sióstr, dopiero kiedy sama się u niego zjawi. Pojechaliśmy tam następnego dnia; na spotkanie wyjechał nam niejaki Murita. Tuż za bramą pani Otori została porwana, a jadący u jej boku Amano poniósł śmierć na miejscu. Nic więcej nie widziałem.

Głos mu się załamał i głęboko zaczerpnął tchu.

- Mój koń poniósł, nie mogłem nad nim zapanować. Powinienem był wziąć spokojniejszego wierzchowca, ale ten mi się podoba, jest taki piękny. Amano skarcił

mnie za to, powiedział, że koń jest dla mnie za silny. Nie chciałem go posłuchać i przez to nie zdołałem jej obronić.

Po policzkach popłynęły mu łzy. Jedna z kobiet pochyliła się i otarła je.

Makoto powiedział łagodnie:

- Powinniśmy być wdzięczni twojemu koniowi. Z pewnością ocalił ci życie, a gdybyś nie uciekł, nigdy byśmy się nie dowiedzieli, co się stało.

Próbowałem coś powiedzieć, by pocieszyć Hiroshiego, ale nie było żadnej pociechy.

- Panie Otori! - zawołał, podrywając się z posłania. - Pokażę ci drogę! Pojedziemy i odbijemy ją!

Był to dla niego zbyt duży wysiłek. Ujrzałem, że jego wzrok robi się szklisty, ująłem go więc za ramiona i zmusiłem, by się położył. Ze łzami zmieszał się pot, ciałem chłopca wstrząsały dreszcze. Potrzebuje odpoczynku, ale co chwila się ożywia i próbuje wstać.

- Hiroshi, popatrz na mnie - pochyliłem się nad nim i pozwoliłem, by nasze oczy się spotkały. Natychmiast ogarnął go sen, ciało rozluźniło się, a oddech stał się miarowy.

Kobiety nie mogły powstrzymać okrzyku, pochwyliłem także spojrzenia, jakie wymieniły. Cofnęły się przede mną, odwracając głowy i dokładając starań, by nie otrzeć się o moje ubranie.

- Będzie długo spał - powiedziałem. - Tego mu trzeba. Zawiadomcie mnie, gdy się obudzi.

Wstałem. Makoto i Sugita również się podnieśli, patrząc na mnie wyczekująco. W

duchu nie posiadałem się z oburzenia, lecz na zewnątrz, zapewne wskutek szoku, przejawiałem kamienny spokój.

- Chodź ze mną - zwróciłem się do Sugity. Prawdę mówiąc, chciałem przede wszystkim porozmawiać z Makoto, ale zostawienie Sugity samego było zbyt ryzykowne; bałem się, że rozetnie sobie brzuch, a ja nie mogłem teraz go utracić. Klan Maruyama przysięgał wierność Kaede, nie mnie - nie wiedziałem, jak zareagują na wiadomość o jej uwięzieniu, lecz Sugicie ufałem bardziej niż innym i czułem, że jeśli on okaże mi lojalność, reszta starszyzny pójdzie w jego ślady.

Wróciliśmy piechotą przez most do zamku. Tłum na zewnątrz zgęstniał, na ulicach ukazali się

uzbrojeni strażnicy. Zapanowało poruszenie - jeszcze nie panika, nawet nie strach, po prostu chaotyczny ruch ludzkiej ciżby, powtarzającej niesprawdzone pogłoski w obliczu nieokreślonego zagrożenia. Musiałem szybko podjąć decyzję, zanim sytuacja się zaogni i pożar wymknie się spod kontroli. Znalazłszy się za bramą zamku, poleciłem Makoto:

- Przygotuj ludzi. Bierzemy połowę zbrojnych i natychmiast wyruszamy na Fujiwarę. Ty, Sugita, będziesz bronił miasta. Zostawiam ci dwa tysiące żołnierzy.

Przygotuj zamek na oblężenie. Wyjedziemy skoro świt.

- Nie rób nic w pośpiechu! - Twarz Makoto była ściągnięta, głos pełen napięcia. -

Nie mamy pojęcia, gdzie teraz jest Arai. Być może zmierzasz wprost w pułapkę! Atak na Fujiwarę, człowieka o takiej randze i pozycji, nastawi wszystkich przeciwko tobie. Może lepiej pocze...

Przerwałem mu:

- Zwłoka jest niemożliwa. Nie zrobię nic, póki nie odzyskam żony. Zaczynamy natychmiast.

Dzień zszedł na gorączkowych przygotowaniach. Wiedziałem, że czynię słusznie, bez zwłoki podejmując działanie. Ludność Maruyamy zareagowała na porwanie oburzeniem i wściekłością, chciałem więc wykorzystać te uczucia. Gdybym zwlekał, uznano by, że jestem niezdecydowany, niepewny, potwierdziłbym wątpliwości na temat swego pochodzenia i osoby. Aż nadto dobrze pojmowałem, jakie ryzyko podejmuję, wiedziałem, że jednym pochopnym postępkim chcę naprawić drugi, ale nie umiałem sobie wyobrazić, że mógłbym postąpić inaczej.

Pod wieczór poleciłem Sugicie zwołać radę starszych. Zebrali się w niespełna godzinę. Powiadomiłem ich o swoich zamiarach, uprzedziłem o skutkach i oznajmiłem, że

oczekuję całkowitej lojalności wobec mnie i mojej żony. Nikt nie zaprotestował - sędzę, że mój gniew był na to zbyt wielki - ale trochę mnie zaniepokoiłi. Pochodzili z pokolenia Fujiwary i Araiego, wychowano ich wedle tego samego kodeksu. Ufałem Sugicie, nie byłem jednak pewien, czy teraz, pod nieobecność Kaede, zdoła utrzymać ich w ryzach, kiedy wyjadę.

Kazałem przyprowadzić Shuna, po czym pojechałem się przewietrzyć, zebrać myśli, przeciwiczyć konia i obejrzeć dobra.

Żniwa ryżowe dobiegły już półmetka; rolnicy pracowali dniami i nocami, aby zebrać plon, zanim pogoda się odmieni. Moi rozmówcy martwili się bliskością tajfunu, którego rychłe nadejście miała wróżyć lisia czapa, widoczna wokół księżyca podczas ostatniej pełni, odlatujące gęsi i bóle w kościach. Poleciłem żołnierzom Sugity, by przygotowali się do pomocy przy umacnianiu grobli i wałów przeciwpowodziowych; wiedziałem, że będą narzekać, miałem jednak nadzieję, że poczucie zagrożenia przeważy w ich umysłach nad urażoną dumą.

W końcu, na pół świadomie, znalazłem się na skraju osady wyrzutków. Unosiła się nad nią zwykła woń krwi i garbowanych skór. Kilku ludzi, wśród nich Jo-An, ściągało skórę z martwego konia, ładnego deresza, w którym rozpoznałem wierzchowca Hiroshiego, padłego rano na moich oczach.

Zawołałem Jo-Ana i zeskoczyłem z siodła, rzucając wodze towarzyszącemu mi giermkowi.

Stanąłem na brzegu rzeki. Po chwili Jo-An przykucnął obok mnie, aby obmyć zakrwawione ramiona i dłonie.

- Słyszałeś wiadomość?

Skinął głową, po czym zerknął na mnie i zapytał:

- Co zamierzasz?

- A co powinienem?

Pragnąłem, by jakiś bóg udzielił mi wskazówki. Pragnąłem usłyszeć słowa kolejnej wyroczni, która uwzględniłaby Kaede i naszą wspólną przyszłość.

Posłuchałbym jej ślepo.

- Przed tobą trzy bitwy - rzekł Jo-An. - Jedna przegrana, dwie wygrane. Wtedy będziesz mógł rządzić w pokoju, od morza do morza.

- Razem z żoną?

Odwrócił wzrok i spojrzał ponad wodą. Przy jazie żerowały dwie białe czaple, pikujący z wierzby zimorodek błysnął oranżem i błękitem.

- Skoro masz przegrać bitwę, lepiej, byś przegrał ją teraz.

- Jeżeli stracę żonę, nic nie ma dla mnie znaczenia - powiedziałem. - Odbiorę sobie życie.

- Nie wolno nam tego robić - odparł szybko. - Bóg ma wobec ciebie jakiś plan.

Winienesz stosować się do niego. - Widząc, że nie odpowiadam, ciągnął dalej: - To ma znaczenie dla nas, którzy rzuciliśmy wszystko, żeby pójść za tobą. Ma znaczenie dla cierpiących poddanych Otori. Zniesiemy wojnę, jeśli przyniesie pokój. Nie opuszczaj nas.

Patrząc na spokojny nurt rzeki w niebieskim wieczornym świetle, pomyślałem, że jeśli nie odzyskam Kaede, serce mi pęknie. Nad powierzchnią wody, tuż ponad swym własnym odbiciem, powoli przeleciała wielka szara czapla, zwinęła ogromne skrzydła i wylądowała z cichym pluskiem. Obróciła głowę i przyjrzała nam się bacznie, po czym, upewniwszy się, iż nie stanowimy dla niej zagrożenia, ruszyła bezszelestnie po płyciźnie.

Moim rzeczywistym celem było pomszczenie śmierci Shigeru i objęcie po nim spadku - wówczas spełniłyby się słowa wyroczni. Nie mogłem jednak bez sprzeciwu pozwolić, by ktokolwiek odebrał mi Kaede, to było nie do pomyślenia! Musiałem po nią pojechać, choćbym miał przez to utracić wszystko, o co walczyłem.

Pożegnałem się z Jo-Anem i wróciłem do zamku. Tam dowiedziałem się, że Hiroshi już nie śpi i czuje się lepiej. Poprosiłem, by go przyprowadzono, a tymczasem rozejrzałem się po rezydencji, szukając szkatułki z kronikami Plemienia, jednak nie znalazłem po niej śladu. Był to kolejny powód do zmartwienia; zacząłem się nawet obawiać, że została skradziona, co oznaczałoby, że Plemię zdołało przynajmniej raz przeniknąć do rezydencji i mogło to zrobić ponownie.

Hiroshi przyszedł przed zapadnięciem nocy. Miał bladą twarz i sińce pod oczami, ale poza tym szybko dochodził do siebie - fizycznie i psychicznie był odporny jak dorosły mężczyzna. Wypytałem go szczegółowo o drogę i kazałem opisać teren między Shirakawą a rezydencją Fujiwary. Opowiedział mi, jak zginął Raku. Ta wiadomość głęboko mnie zasmuciła; czarnogrzywy siwek był pierwszym koniem, jakiego dosiadałem, ogniwem łączącym mnie z Shigeru oraz moim krótkim życiem w roli jego syna w Hagi. Podarowałem go Kaede, kiedy nie mogłem jej dać nic innego, na nim też przyjechała do Terayamy.

Odesłałem wszystkich, aby rozmówić się z Hiroshim na osobności, i poprosiłem, by się przybliżył.

- Obiecaj, że nikomu nie powtórzysz tego, o czym będziemy teraz mówić.

- Przysięgam - oświadczył, po czym dodał impulsywnie: - Panie Otori, zawdzięczam ci życie. Zrobię wszystko, by pomóc ci uratować panią Otori.

- Uratujemy ją - odparłem. - Jutro wyjeżdżam.

- Weź mnie ze sobą - rzekł błagalnie.

Kusiło mnie, by się zgodzić, jednak uznałem, że nie jest jeszcze całkiem zdrów.

- Nie, musisz tu zostać.

Zrobił minę, jakby chciał się sprzeciwić, lecz najwyraźniej ugryzł się w język.

- Chodzi o zapiski, które kopiowała moja żona. Wzięła je ze sobą?

- Zabraliśmy oryginały i kopie - wyszeptał. - Ukryliśmy je w Shirakawie, w Świętych Jaskiniach.

Pobłogosławiłem Kaede w duchu za jej mądrość i zdolność przewidywania.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie? Pokręcił głową.

-I potrafiłbyś je odnaleźć?

- Oczywiście.

- Nie wolno ci nikomu powiedzieć, gdzie są. Kiedyś pojedziemy tam razem, żeby je odzyskać.

- I wtedy ukarzymy Shojiego - dodał Hiroshi z uciechą Po chwili zagadnął: -

Panie Otori, mogę o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Tego dnia, gdy zginął mój ojciec, ludzie, którzy zabili strażników, w jakiś sposób stali się niewidzialni. Ty też tak potrafisz?

- Dlaczego pytasz? Sądzisz, że potrafię?

- Dzisiaj kobiety w moim pokoju mówiły - wybacz - że jesteś czarownikiem.

Potrafisz robić wiele dziwnych rzeczy, na przykład mnie uspiłeś. - Spojrzał na mnie, marszcząc brew. - To nie było zwykłe spanie; miałem wyraźne, kolorowe sny, rozumiałem rzeczy, o których przedtem nie wiedziałem. Jeśli umiesz stać się niewidzialny, może byś mnie nauczył?

- Niektórych rzeczy nie da się nauczyć. To są wrodzone zdolności. I bez tego masz wiele talentów, odebrałeś doskonałe wychowanie.

Z jakiegoś powodu jego oczy nagle wezbrały łzami.

- Powiedziano mi, że Jiro nie żyje.

- Tak, zabił go skrytobójca, który celował we mnie.

- I zabiłeś tego skrytobójcę?

- Kazałem to zrobić, ale i tak już umierał. Odgryzł sobie język.

Oczy Hiroshiego zabłyśły. Pragnąłem choć trochę przybliżyć mu swój ból po śmierci Jiro i samobójstwie Hajime, swoją odrazę do niekończącego się cyklu zemsty i rozlewu krwi, nie sądziłem jednak, by ten syn wojownika zdołał to zrozumieć, nawet obudzony ze snu Kikuta, poza tym chciałem go jeszcze o coś zapytać.

- Czy wielu ludzi uważa mnie za czarownika?

- Niektórzy o tym szepczą - przyznał. - Głównie kobiety i durnie.

- Obawiam się nielojalności na zamku, dlatego muszę cię tu zostawić. Jeśli uznasz, że istnieje zagrożenie, iż po moim odjeździe Maruyama opowiedzą się po stronie Araiego, natychmiast daj mi znać.

Hiroshi popatrzył na mnie zdumiony.

- Nikt tutaj nie zdradziłby pana Otori.

- Nie byłbym tego taki pewny.

- Sam pojedę cię szukać.

- Tylko tym razem weź spokojniejszego konia.

Odesłałem go do domu stryja i poleciłem, by przyniesiono jedzenie. Wrócił

Makoto i zameldował o stanie przygotowań: wszystko było gotowe do porannego wymarszu, lecz po posiłku znów usiłował mnie odwieść od tego zamiaru.

- To istne szaleństwo. Przyrzekam, że odtąd nie powiem już o tym ani słowa, obiecuję też, że pojedę z tobą, ale atak na arystokratę, któremu ukradłeś narzeczoną...

- Zostaliśmy prawomocnie poślubieni - odparłem. - To on popełnił szaleństwo.

- Czyż nie ostrzegałem cię w Terayamie, jak świat oceni wasz związek?

Doprowadziłeś do tej sytuacji przez swój własny upór. Zginiesz, jeśli się nie opamiętasz.

- Jesteś pewien, że teraz, jak i wówczas, nie przemawia przez ciebie zazdrość?

Zawsze miałeś mi za złe moją miłość do Kaede.

- Tylko dlatego, że to uczucie zniszczy was oboje - odrzekł cicho. - Namiętność cię zaślepia. Postąpiłeś źle. Byłoby lepiej przyznać się do błędu i próbować się ułożyć z Araim. Nie zapominaj, że prawdopodobnie uwięził braci Miyoshi jako zakładników.

Atak na pana Fujiwarę jeszcze bardziej go rozjuszy...

- Nie dawaj mi takich rad! - zawołałem z furją. - Mam pozwolić, by odebrano mi żonę? Cały świat by mną wzgardził! Wolałbym umrzeć!

- Zapewne wszyscy umrzemy - odparł spokojnie. - Takeo, przykro mi, że muszę ci mówić to wszystko, ale to mój obowiązek. Niemniej, wiele razy ci powtarzałem, że twoja sprawa jest moją sprawą, więc pójdę za tobą bez względu na to, co wybierzesz.

Byłem zbyt rozgniewany, aby dalej z nim rozmawiać. Powiedziałem, że chcę zostać sam, po czym wezwałem Mana-mi. Przyszła czerwona od płaczu, przygotowała posłanie i zabrała resztki jedzenia, ja zaś wziąłem kąpiel, nie wiedząc, kiedy będę miał

okazję znów się umyć. Nie chciałem powściągać gniewu: kiedy ustępował, jego miejsce zajmował żal oraz coś jeszcze gorszego - obawa. Chciałem trwać w owym zaciętym, posępnym nastroju, właściwym mej naturze Kikuta, który czynił mnie nieustraszonym.

Przypomniało mi się jedno z powiedzeń Matsudy: „Kto walczy desperacko, przeżyje.

Kto walczy, by przeżyć, umrze”.

Przyszła pora, by walczyć desperacko, albowiem tracąc Kaede, traciłem wszystko.

Rano Manami już całkiem się rozkleiła; żegnając się z nami, niepoohamowanie szlochała, co pobudziło do płaczu pozostałe służące. Jednak wśród żołnierzy i w mieście panował dobry nastrój; ludzie, którzy wylegli na ulice, machali i wznosili okrzyki, zagrzewając nas do boju. Wziąłem wyłącznie wojowników z klanu Otori, którzy towarzyszyli mi od Terayamy, zostawiając rolników, by dokończyli żniwa i zebrali z pól ryż, a w razie potrzeby stanęli w obronie swoich domostw i miasta. Większość ludzi Maruyama postanowiła bronić zamku, jednak kilku zaproponowało mi usługi w charakterze przewodników i zwiadowców.

Miałem około pięciuset konnych oraz tyluż pieszych i konnych łuczników. Resztę stanowiła piechota, uzbrojona w pałki i włócznie, a pochód zamykały juczne konie i tragarze z prowiantem. Z dumą patrzyłem, jak szybko udało mi się zorganizować i wyposażyć żołnierzy.

Nie zaszliśmy daleko - zaledwie do brodu na Asagawie, gdzie ongiś odnieśliśmy druzgocące zwycięstwo nad lidą Nariaki - gdy zdałem sobie sprawę, że podąża za nami Jo-An z garścią wyrzutków. Za rzeką skręciliśmy na południe w stronę Shirakawy.

Nigdy nie jechałem tą drogą, wiedziałem jednak, że marsz do domu rodzinnego Kaede potrwa co najmniej dwa dni; tuż za nim, jak twierdził Makoto, leżała rezydencja Fujiwary.

Podczas przerwy na południowy posiłek poszedłem porozmawiać z Jo-Anem.

Dotkliwie uświadamiałem sobie spojrzenia, jakimi obrzucali mnie żołnierze, i bacznie nasłuchiwałem komentarzy pod swoim adresem. Byłem zdecydowany ukarać każdego, kto się odezwie, jednak nikt się na to nie odważył.

Jo-An padł przede mną na twarz, ale kazałem mu usiąść prosto.

- Po co idziesz za nami?

Ukazał połamane zęby w uśmiechu, bardziej przypominającym grymas.

- Żeby pogrzebać zabitych.

Ogarnął mnie chłód; nie taką odpowiedź pragnąłem usłyszeć.

- Pogoda się zmienia - ciągnął wyrzutek, spoglądając na masę spiętrzonych obłoków, rozpostartych na zachodzie niczym zmierzwiony koński ogon. - Idzie tajfun.

- Nie masz dla mnie jakiejś dobrej nowiny?

- Bóg zawsze ma dla ciebie dobrą nowinę - powiedział. - Przypomnę ci o tym, kiedy będzie po wszystkim.

- Po jakim wszystkim?

- Po bitwie, którą przegram.

- Może nie przegram?

W rzeczy samej, nie mogłem sobie tego wyobrazić, prowadząc tych wypoczętych, wesołych ludzi, którzy rwali się do boju z płomieniem słusznego gniewu w piersi.

Jo-An nie powiedział nic więcej, tylko jego wargi poruszyły się nieznacznie.

Zrozumiałem, że się modli.

Makoto podczas jazdy także zdawał się modlić, albo też znajdował się w owym stanie medytacji, w którym niekiedy pogrążają się mnisi. Robił wrażenie wyciszonego, wręcz nieobecnego, jakby już zerwał więź ze światem. Prawie się nie odzywałem, gdyż wciąż byłem na niego zły, mimo to wszakże, tak jak wiele razy przedtem, jechałem u jego boku. Owszem, kwestionowałem sens tej wyprawy, wiedziałem jednak, że mnie nie opuści; uspokojony miarowym rytmem końskich kopyt poczułem w końcu, że moja wściekłość mija. Niebo się zachmurzyło, na horyzoncie przybierając ciemną barwę, panowała nienaturalna cisza. Na noc rozbiliśmy obóz nieopodal małego miasteczka.

Nad ranem zaczęło padać i do południa deszcz zamienił się w ulewę, spowalniając marsz i pogarszając nastroje. Powtarzałem sobie, że na szczęście nie ma wiatru, a trochę deszczu nikomu nie zaszkodzi, ale Makoto nie był takim optymistą. Obawiał się, że powstrzyma nas rzeka Shirakawa, która w taką pogodę często wzbierała nagle i wylewała.

Jednak nie dane nam było dotrzeć do Shirakawy. Zwiadowcy, wysłani przodem tuż za granicą dóbr Maruyama, wrócili późnym popołudniem, by zameldować, że zauważyli średniej wielkości oddział - około półtora tysiąca zbrojnych - obozujący na równinie przed nami. Przeważały proporce Seishuu, ale dojrzeli również godło pana Fujiwary.

- Wyszedł nam na spotkanie - zwróciłem się do Makoto.

- Przewidział, co zrobię.

- Niemal na pewno nie weźmie udziału w bitwie, ale ma wielu sojuszników, których może w każdej chwili zmobilizować. Podejrzywałem, że zastawi pułapkę; nietrudno było odgadnąć twoją reakcję.

- Zaatakujemy o świcie.

Odetchnąłem z ulgą, słysząc, że siły wroga są tak niewielkie. Fujiwary nie obawiałem się wcale - większym zagrożeniem był Arai i jego trzydziestotysięczna armia. Według ostatnich otrzymanych meldunków stała pod Inuyamą, daleko na wschodzie Trzech Krain, ale od tamtej pory minęło całe lato; Arai mógł już dawno wrócić do Kumamoto odległego od Shirakawy o niecały dzień drogi.

Dokładnie wypytałem zwiadowców o ukształtowanie terenu. Jeden z nich, Sakai, wychował się w tej okolicy i uważał, że nieźle nadaje się na pole bitwy, przynajmniej w lepszą pogodę. Był to niewielki płaskowyż, od południa i wschodu otoczony górami, z pozostałych stron otwarty. Południowe pasmo gór przecinała przełęcz, przez którą zapewne dotarli tu nasi wrogowie, ku północy odchodziła

szeroka dolina, łącząca się z nadmorskim traktem. Droga, którą przybyliśmy z Maruyamy, łączyła się z ową doliną około dwóch mil przed pierwszymi kamienistymi połączeniami płaskowyżu.

Na tych wyżynach brakowało wody, dlatego też nie były uprawiane. Na dzikich łąkach wypasano konie, raz do roku koszone siano, a na wiosnę wypalano trawy. Sakai opowiadał, że pani Maruyama w młodości przyjeżdżała tu na polowania z sokołem; przed zachodem słońca dostrzegliśmy kilka orłów, szukających łupu.

Istnienie doliny na tyłach dodało mi otuchy, gdyż w razie potrzeby mieliśmy zapewniony odwrót. Nie zamierzałem się cofać ani wracać do zamku - zamierzałem przeć naprzód i zmiażdżyć człowieka, który stanął mi na drodze, zamierzałem odzyskać żonę i zetrzeć straszliwą obelgę, jaką było jej uprowadzenie. Jednakże Matsuda nauczył

mnie, bym nigdy nie atakował, nie wiedząc, jak się wycofać, toteż mimo targającej mną wściekłości nie zamierzałem narażać ludzi bez potrzeby.

Żadna dotąd noc nie wydawała mi się tak długa. Deszcz zelżał i o świcie zamienił

się w mżawkę, co podniosło mnie trochę na duchu. Wstaliśmy w ciemnościach i o pierwszym brzasku ruszyliśmy naprzód, rozwinąwszy proporce Otori. Na razie nie kazałem dąć w konchy.

Dotarłszy do końca doliny, zatrzymałem pochód i korzystając z osłony drzew, pieszo przekradłem się z Sakai na skraj płaskowyżu. Ku południowemu wschodowi ciągnął się szereg małych, obłych pagórków, porośniętych trawą i polnymi kwiatami, spośród których tu i ówdzie sterczały szarobiałe głazy o dziwnych kształtach, splamione żółtymi i czerwonymi porostami.

Po deszczu ziemia pod naszymi stopami była błotnista i śliska, nad płaskowyżem unosiły się smugi oparów. Nie widziałem dalej niż na dwieście kroków, jednak wyraźnie słyszałem siły wroga: rzenie koni, okrzyki ludzi, skrzypienie i brzęk uprzęży.

- Jak daleko dotarliście wczoraj? - zapytałem Seiko szeptem.

- Za pierwsze pasmo skał, niewiele dalej niż teraz. Ich zwiadowcy też się tu kręcili.

Spodziewałem się, że zaatakują nas w górnej partii doliny, jednakże dźwięki, które do mnie docierały, wskazywały na wojsko w gotowości, nie w marszu.

- Może nie chcą zrezygnować z przewagi, jaką daje im stok.

Istotnie, niewielkie nachylenie terenu dawało przeciwnikowi przewagę, która wszakże nie była zbyt duża. O wiele bardziej niepokoiła mnie mgła, gdyż przez nią nie mogłem dostrzec, z jakimi siłami przyjdzie nam walczyć. Na chwilę zamarłem, nasłuchując; spoza kapania kropel i westchnień drzew poruszanych wiatrem wyraźnie słyszałem odgłosy obu armii... ale czy rzeczywiście? Dźwięk ze strony wroga zdawał się narastać niczym przypływ morza.

- Widziałeś najwyżej tysiąc pięciuset żołnierzy?

- Bliżej tysiąca dwustu - odparł Sakai. - Mogę się nawet założyć.

Pokręciłem głową. Wzbierał we mnie lęk, być może wskutek złej pogody, niewyspania albo niepokoju, a może miałem omamy słuchowe. Po powrocie do oddziału wezwałem Makoto oraz dowódców drużyn i oświadczyłem, że niewykluczone, iż przeciwnik góruje nad nami liczebnie, w którym to przypadku na sygnał z konchy należy natychmiast się wycofać.

- Wracamy do Maruyamy? - zapytał Makoto.

Taki miałem plan, potrzebowałem jednak alternatywy. Wrogowie spodziewali się, że tak postąpię; nie wiedziałem nawet, czy już nie zajęli zamku, naprawdę zamykając mnie w potrzasku. Odciągnąłem Makoto na bok i powiedziałem:

- Jeśli Arai również zwrócił się przeciwko nam, nie możemy stanąć do walki.

Naszą jedyną nadzieją jest odwrót na wybrzeże i namówienie Teradów, by przewieźli nas na Oshimę. Gdyby do tego doszło, chcę, byś pojechał przodem i odnalazł Ryomę.

Musi nas umówić z Teradą Fumio.

- Powiedzą, że pierwszy rzucam się do ucieczki - zaprotestował. - Wolałbym zostać u twego boku.

- Nie ma nikogo innego, kogo mógłbym wysłać. Znasz Ryomę, znasz drogę. Poza tym, pewnie wszyscy będziemy zaraz uciekać.

Spojrzał na mnie ciekawie.

- Masz przecucie co do tej potyczki? Tę bitwę przegramy?

- Gdyby tak miało być, chciałbym oszczędzić ludzi. Tyle już straciłem, nie stać mnie, by ich również utracić! W końcu przed nami jeszcze dwa zwycięstwa!

Uśmiechnął się i krótko uściśnął mi dłoń. Wróciłem na czoło i dałem sygnał do marszu.

Konni łucznicy ruszyli przodem, za nimi piechota, na skrzydłach jechali konno wojownicy. U wylotu doliny na mój znak łucznicy rozdzielili się i przesunęli na skrzydła. Tuż poza zasięgiem strzał nieprzyjaciela rozkazałem piechocie stanąć.

Gdy wroddy łucznicy zamajaczyli we mgle, wysłany na czoło wojownik Otori zakrzyknął wielkim głosem:

- Pan Otori Takeo jedzie przez tę krainę! Dajcie mu przejście lub gińcie!

Jeden z nieprzyjaciół odkrzyknął:

- Pan Fujiwara rozkazał nam ukarać tak zwanego Otori! Do południa będziemy mieli jego głowę i twoją również!

Nasza garstka musiała wzbudzać politowanie. Piesi żołnierze wroga, pewni swego, spłynęli ku nam po zboczu, trzymając włócznie w pogotowiu. Moi łucznicy natychmiast zareagowali, rażąc atakujących gradem strzał. Ich łucznicy próbowali odpowiedzieć tym samym, lecz nadal znajdowaliśmy się poza ich zasięgiem; moi wojownicy bez trudu przedarli się przez pieszych, dopadając łuczników, zanim ci zdążyli ponownie napiąć cięciwy.

Następnie ruszyła falą nasza piechota, spychając przeciwnika w górę zbocza.

Wiedziałem, że moi ludzie są dobrze wyszkoleni, lecz nawet mnie zdumiała ich zaciekłość - wydawało się, że nic nie może ich powstrzymać. Nieprzyjacielskie wojsko cofało się szybciej, niż oczekiwałem, my zaś rzuciliśmy się w pogoń z obnażonymi mieczami, tnąc i rąbiąc maruderów.

Wjechałem na szczyt pierwszego wzniesienia, mając po prawicy Makoto, po lewicy zaś trębacza. Przed nami, aż do dalekich gór na wschodzie, rozciągała się falująca równina - lecz zamiast małego, uciekającego w rozsypce oddziału ujrzeliśmy widok, który nas sparaliżował. W kotlinie między pagórkami stała ogromna armia, zachodnie wojska Araiego z łopocącymi proporcami, gotowe do walki.

- Dmij! - krzyknąłem do jadącego obok człowieka, żałując, że nie zawierzyłem swoim uszom. Trębacz przytknął konchę do ust i nad płaskowyżem, odbijając się wielokrotnym echem od wzgórz, popłynął smętny dźwięk rogu.

- Jedź! - wrzasnąłem do Makoto, który z trudnością obrócił konia i zmusił go do galopu. Wierzchowiec opierał się trochę, nie chcąc opuszczać towarzyszy, zwłaszcza że Shun do niego zarżał. Ale po chwili już wszyscy zawróciliśmy i rzuciliśmy się pędem w ślad za Makoto.

Byłem dumny z ataku swoich ludzi, lecz jeszcze większą dumę poczułem owego mglistego, jesiennego poranka, kiedy natychmiast posłuchali rozkazu i rozpoczęli odwrót.

Szybkość naszego manewru zaskoczyła przeciwników; liczyli na to, że pogonimy ich w kotlinę, a wówczas wraz z ludźmi Araiego rozniosą nas na strzępy. W pierwszym starciu ponieśli znaczne straty, toteż z początku w pościgu przeszkadzały im ciała poległych i panujące po obu stronach zamieszanie. W dodatku deszcz znowu się wzmógł, zamieniając grunt w śliskie błoto, co działało na naszą korzyść, gdyż w dolinie, gdzie zdążyliśmy już dotrzeć, podłoże było kamieniste.

Zająłem pozycję na końcu, skąd mogłem osłaniać tyły i od czasu do czasu powstrzymywać mieczem ścigających. Dwustu najlepszych wojowników zostawiłem u wylotu doliny z rozkazem, by jak najdłużej stawiali opór, dając głównym siłom więcej czasu na ucieczkę.

Po całym dniu jazdy z zapadnięciem nocy wreszcie pozbyliśmy się prześladowców, jednak po odliczeniu tylnej straży oraz poległych została nas zaledwie połowa. Pozwoliłem, by ludzie przespali się kilka godzin, niestety, pogoda coraz bardziej się pogarszała, a wiatr potężniał. Przed świtem ponownie ruszyliśmy w drogę i przez cały następny dzień maszerowaliśmy bez jedzenia i odpoczynku, rozpaczliwie prąc w stronę wybrzeża i odpierając ataki ścigających nas oddziałów wroga.

Owej nocy znaleźliśmy się w pobliżu Maruyamy, posłałem więc Sakaiego przodem, by rozpoznał sytuację w mieście. Sądził, że ze względu na pogorszenie pogody powinniśmy się tam schronić, ja jednak z niechęcią myślałem o długotrwałym oblężeniu, które wówczas zapewne by nas czekało, poza tym nie byłem pewien, po czyjej stronie opowie się starszyzna. Tymczasem dałem rozkaz do postoju, aby coś zjeść i dać koniom odpocząć.

Przekroczyłem już wszelkie granice wyczerpania, toteż moje wspomnienia z tego okresu są mgliste. Wiedziałem, że stoję w obliczu całkowitej klęski, a właściwie już ją poniosłem; trochę żałowałem, że nie zginąłem, ratując Kaede za cenę życia, trochę czepiałem się słów wyroczni, pragnąc wierzyć, że się spełnią, a trochę zastanawiałem się, co właściwie robię, siedząc niczym duch w tej świątyni, gdzie znaleźliśmy schronienie, z bólem za oczami i marzeniem, by się wreszcie wyspać.

Wiatr wył między filarami, dach trzeszczał i czasem się unosił, jakby miał zaraz odlecieć. Niewiele rozmawialiśmy. W obozie panował nastrój jawnej rezygnacji - nie przeszliśmy jeszcze do krainy umarłych, lecz byliśmy blisko. Wszyscy oprócz strażników zasnęli, ja jednak nie zamierzałem spać, póki nie doprowadzę ludzi w bezpieczne miejsce. Na razie nie chciałem zakłócać im odpoczynku, choć wiedziałem, że wkrótce musimy wyruszyć i że znów będziemy szli do świtu. Powtarzałem sobie: Jeszcze chwilę, dopóki Sakai nie wróci, aż wreszcie przez huk wiatru i ulewy dobiegł

mnie tętent koni - nie jednego wszakże, lecz dwóch.

Wyszedłem na werandę i natężyłem wzrok, usiłując coś zobaczyć pośród deszczu. Przede mną zamajaczył Sakai, a za nim Hiroshi, zeskakujący z grzbietu starego, kościstego wierzchowca.

- Spotkałem go na drodze tuż za miastem! - krzyknął Sakai. - Jechał, by cię odszukać! W taką pogodę!

Byli spokrewnieni i w głosie mówiącego usłyszałem nutę dumy.

- Hiroshi! - zawołałem.

Chłopiec podbiegł do werandy, po drodze zrzucając ociekające wodą sandały, i padł na kolana.

- Panie Otori.

Wciągnąłem go pod dach i popatrzyłem nań w zdumieniu.

- Mój stryj nie żyje - wykrztusił z furją - a miasto poddało się wojskom Araiego!

Nie mogę w to uwierzyć! Tuż po twoim wyjeździe rada starszych podjęła decyzję; stryj wolał odebrać sobie życie, niż na to przystać. Dziś rano przybyli ludzie Araiego i starszyzna natychmiast im uległa.

Choć właściwie spodziewałem się tej wiadomości, przejęła mnie goryczą, której dopełniła śmierć Sugity, tak lojalnego wobec Kaede. Mimo to poczułem ulgę, że posłuchałem instynktu i zapewniłem sobie drogę odwrotu na wybrzeże. Musieliśmy zaraz ruszać. Zawołałem strażników i kazałem obudzić żołnierzy.

- I jechałeś taki szmat drogi, żeby mi o tym powiedzieć? - zapytałem Hiroshiego.

- Nawet gdyby opuściła cię cała Maruyama, ja nigdy tego nie uczynię -

oświadczył. - Obiecałem, że przyjadę, więc wybrałem ze stajni najstarszego konia!

- Lepiej byś zrobił, zostając w domu. Moja przyszłość rysuje się ciemno.

- Mnie też jest za nich wstyd - wtrącił cicho Sakai. - Sądziłem, że będą ci wierni.

- Nie mam żalu - powiedziałem. - Arai jest znacznie potężniejszy ode mnie, a od początku wiedzieliśmy, że Maruyama nie wytrzyma długiego oblężenia. Lepiej, że poddali się od razu, ocalili ludność i uratowali zbiory.

- Oczekują, że wycofasz się do miasta - rzekł Hiroshi. - Duży oddział ludzi Araiego zasadził się na ciebie nad Asagawą.

- A więc będzie ich mniej do pościgu. Nie podejrzewają, że mogę się skierować na wybrzeże. Jeśli będziemy jechać dzień i noc, za dwa dni dotrzemy na miejsce. -

Odwróciłem się do Sakaiego: - Nie ma sensu, żeby taki dzieciak jak Hiroshi okazywał

swemu klanowi nieposłuszeństwo i tracił życie za przegraną sprawę. Zabierz go z powrotem do Maruyamy. Zwalniam ciebie i jego ze wszelkich zobowiązań.

Obaj zaprotestowali gwałtownie, a ja nie miałem czasu na kłótnie. Żołnierze już wstali i czekali, gotowi do wymarszu. Nadal mocno padało, na szczęście wiatr ustał, przywracając mi nadzieję, że najgorsza burza minęła. Jednak z powodu ciemności posuwaliśmy się w tempie wołu, a gdy ludzie na przodzie próbowali oświetlać drogę pochodniami, deszcz bez przerwy je gasił, zamieniając w dymiące polana. Jechaliśmy niemal po omacku.

Istnieje wiele opowieści o rodzie Otori, wiele ballad i kronik o naszych przygodach, wszelako żadna nie pobudziła powszechnej wyobraźni tak bardzo jak ów rozpaczliwy, desperacki pochód przez zalaną wodą krainę. Wszyscy byliśmy młodzi, pełni energii i owładnięci szaleństwem młodości; posuwaliśmy się szybciej, niż można by przypuszczać - ale nie dość szybko. Cały czas jechałem z tyłu, poganiając maruderów, nie pozwalając, by ktokolwiek się ociągał. Pierwszego dnia odparliśmy dwa ataki, dzięki czemu główne siły zyskały bezcenny czas do ucieczki. Potem potyczki ustały, najwyraźniej zaniechano pościgu. Zapewne nikt nie wierzył, że wytrwamy, albowiem było już jasne, że zmierzamy prosto w wirujące serce tajfunu.

Burza nam sprzyjała, wiedziałem jednak, że jeśli pogoda jeszcze się pogorszy, przepadnie wszelka nadzieja na ucieczkę morzem. Drugiej nocy Shun był tak zmęczony, że ledwie człapał, beznadziejnie powłócząc nogami. Drzemałem w siodle; śniłem, że obok mnie jadą umarli, słyszałem, jak Amano woła do Jiro, a chłopiec odpowiada ze śmiechem. Potem wydało mi się, że widzę Shigeru i dosiadam Raku, zmierzając na zamek w Hagi, tak jak w dniu, gdy zostałem adoptowany. Ujrzałem w tłumie jednorękiego Ando, dobiegły mnie zdradzieckie głosy panów Otori. Odwróciłem głowę, by ostrzec Shigeru, i zobaczyłem go takim, jakim był w ostatnich chwilach życia, na brzegu rzeki w

Inuyamie. Miał rozszerzone z bólu źrenice, z ust ciekła mu krew.

- Masz przy sobie Jato? - zapytał, tak jak wtedy.

Ocknąłem się nagle. Byłem tak przemoczony, że zda się zamieniłem się w wodnika, który oddycha wodą, nie powietrzem. Przede mną, niczym duchy, majaczyli moi żołnierze. Usłyszałem daleki huk przyboju, a świt, gdy wreszcie nadszedł, ukazał

nam smagane wiatrem wybrzeże.

Przybrzeżne wyspy skrywały się za ciężkimi kurtynami deszczu, wichur z każdą chwilą przybierał na sile. Gdy dotarliśmy do skał, gdzie ongiś zasadził się na mnie Hajime, tajfun był już niczym udręczony demon. W poprzek drogi leżały dwie wyrwane z korzeniami sosny, musieliśmy zsiąść i je odsunąć, aby dać koniom przejście.

Wróciłem na czoło i poprowadziłem wojsko do kaplicy Katte Jinja. Straciła dach, resztki strzechy walały się po ogrodzie, ale przed wejściem do zrujnowanego budynku stał ze schyloną głową koń Makoto, odwrócony tyłem do wiatru, obok zaś inny, nieznan mi ogier. Makoto i Ryoma byli w kaplicy.

Wiedziałem, że sprawa jest beznadziejna, nim jeszcze zdążyli otworzyć usta.

Prawdę mówiąc, byłem zdumiony, że Makoto w ogóle udało się tu dotrzeć, a to, że odszukał Ryomę, zakrawało na cud. Uścisnąłem ich obu, niezmiernie wdzięczny za ich oddanie; dowiedziałem się później, że Fumio nakazał Ryomie poczekać i przekazać mi wiadomość, że Terada spotka się ze mną, gdy pogoda się poprawi.

Nasza klęska nie była skutkiem braku przewidywania, odwagi czy wytrwałości.

Pokonał nas żywioł, wielkie siły natury, sam los.

- Jo-An też tu jest - powiedział Makoto. - Wziął luzaka i przyjechał tu za mną.

Podczas ucieczki na wybrzeże prawie nie myślałem o Jo-Anie, lecz nie zdziwiłem się, widząc go tutaj, zupełnie jakbym wiedział, że się pojawi w swój zwykły, niemal nadprzyrodzony sposób, podobnie jak pojawił się w moim życiu. Teraz jednak nie chciałem z nim rozmawiać. Byłem zbyt zmęczony, by zajmować się czymkolwiek oprócz rozlokowania ludzi w budynkach świątynnych, zabezpieczania koni i ratowania resztek naszego przemoczonego prowiantu. Potem nie miałem już nic do roboty -

mogłem jedynie czekać, aż siła tajfunu się wyczerpie.

Trwało to dwa dni. Drugiej nocy obudziłem się ze świadomością, że sen przerwała mi cisza. Wiatr ustał i choć z dachu wciąż kapało, deszcz już nie padał. Wokół

mnie leżeli pokotem śpiący żołnierze. Wstałem i wyszedłem na dwór. Gwiazdy świeciły jasno niczym lampy, powietrze było zimne i czyste. Poszedłem sprawdzić konie, witany cicho przez

strażników.

- Przetarło się - powiedział wesoło jeden z nich, wiedziałem jednak, że dla nas jest już za późno.

Poszedłem na stary cmentarz. W zdewastowanym ogrodzie niczym duch ukazał

się Jo-An, podszedł do mnie i z bliska spojrzał mi w twarz.

- Dobrze się czujesz, panie?

- Muszę postanowić, czy postąpić jak wojownik czy nie.

- Powinieneś dziękować Bogu - powiedział. - Teraz, skoro przegrałeś bitwę, pozostałe są już wygrane.

To samo mówiłem Makoto, ale to było, zanim pokonały mnie wiatr i deszcz.

- Prawdziwy wojownik rozciąłby sobie brzuch - pomyślałem na głos.

- Twoje życie nie należy do ciebie, żebyś mógł je sobie odebrać. Bóg nadal ma wobec ciebie plany.

- Jeśli się nie zabiję, będę musiał poddać się Araiemu. Depcze mi po piętach, Terada w żaden sposób nie zdołają dotrzeć tu przed nim.

Noc urzekła pięknem. Usłyszałem stłumiony świst sowych skrzydeł, w starym stawie zaskrzeczała żaba. Fale, tłukące o kamienistą plażę, były coraz mniejsze.

- A ty, Jo-Anie, co zrobisz? Wrócisz do Maruyamy?

Miałem nieśmiałą nadzieję, że niedotykalni zostaną dobrze potraktowani, kiedy nie będę mógł już ich chronić. W panującym w kraju zamęciu byli jeszcze bardziej bezbronni - typowe kozły ofiarne, oskarżane przez wieśniaków, prześladowane przez wojowników.

- Czuję, że jestem blisko Boga - powiedział. - Myślę, że wkrótce wezwie mnie do siebie.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć.

- W Yamagacie skróciłeś cierpienie mego brata - rzekł Jo-An. - Jeśli tak się złoży, uczynisz to samo dla mnie?

- Nie mów takich rzeczy. Ocaliłeś mi życie, jak możesz prosić, bym odebrał ci twoje?

- Zrobisz to? Nie boję się śmierci, boję się bólu.

- Wracaj do Maruyamy - ponagliłem. - Weź konia, na którym przyjechałeś.

Trzymaj się z dala od gościńca. Przyślę po ciebie, jeśli będę mógł. Ale wiesz, że Arai zapewne mnie zabije. Prawdopodobnie nigdy się już nie spotkamy.

Obdarzył mnie swym zwykłym nikłym uśmiechem.

- Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- Wszystko, co zaszło między nami, jest częścią boskiego planu. Jemu powinieneś dziękować.

Wróciłem z nim do końskiej zagrody; strażnicy patrzyli z niedowierzaniem, jak rozwiązuję pęta ogiera, a Jo-An wskakuje na grzbiet.

Truchtem oddalił się w mrok, a ja znów się położyłem, lecz już nie zasnąłem.

Rozmyślałem o Kaede i o tym, jak bardzo ją kocham, rozmyślałem o swym niezwykłym życiu. Pomimo wszystkich błędów cieszyłem się, że przeżyłem je w taki sposób, żałowałem jedynie tych, którzy umarli przede mną.

Świt wstał jasny i nieskazitelny jak rzadko. Obmyłem się z grubsza i uczesałem, po czym zbudziłem swe obszarpane wojsko i kazałem im zrobić to samo. Posłałem po Ryomę, podziękowałem mu za usługi i poprosiłem, by zechciał przynajmniej zaczekać na wiadomość o mojej śmierci i przekazać ją na Oshimę do Fumio. Następnie zebrałem ludzi i oświadczyłem:

- Zamierzam poddać się panu Arai. Ufam, że w zamian was oszczędzi i przyjmie do siebie na służbę. Dziękuję wam za lojalność. Nikt nie miał lepszych żołnierzy niż ja.

Poleciałem, by poczekać przy kaplicy pod wodzą swych dowódców, po czym poprosiłem Makoto, Sakai i Hiroshiego, aby zechcieli mi towarzyszyć. Makoto ujął

chorągiew Otori, Sakai - Maruyamy, obie podarte i splamione błotem. Konie z początku poruszały się sztywno i wolno, lecz wkrótce ożywiły się, rozgrzane wschodzącym słońcem. Nad nami przeleciał klucz dzikich gęsi, daleko w lesie szczeknął jeleni za wodą, nad Oshimą, wisiały białe obłoki, poza tym niebo miało głęboką, niebieską barwę.

Minęliśmy zwalone sosny. Sztorm wypłukał drogę wokół nich i podmył

wzgórek, na którym ongiś stał Hajime; konie ostrożnie stąpały między głazami, które osunęły się niewielką lawiną. Pomyślałem o niepogrzebanym ciele młodego zapaśnika, które leżało niedaleko stąd; pomyślałem, że gdyby jego strzała dosięgła celu, Jiro i wielu innych żyliby jeszcze. Cóż, niedługo Hajime miał zostać pomszczony.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy przed nami rozległ się szybki tętent. Podniosłem rękę, nasza czwórka stanęła. Konni zbliżali się kłusem, stuosobową grupą, na której czele jechało dwóch ludzi niosących proporce Araiego. Na nasz widok zatrzymali się raptownie.

Ich przywódca zbliżył się do nas. Miał na sobie zbroję i wymyślny szyszak z ornamentem w kształcie półksiężyca.

Byłem wdzięczny za ciepło słońca, gdyż już nie trząsałem się z zimna i mój głos zabrzmiał stanowczo.

- Jestem Otori Takeo, a to Sugita Hiroshi, bratanek pana Sugity z Maruyamy.

Proszę, byście go oszczędzili i pozwolili mu bezpiecznie wrócić do klanu. Sakai Masaki jest jego krewnym i będzie mu towarzyszył.

Hiroshi nie odzywał się. Byłem z niego dumny.

Przywódca skłonił lekko głowę, co wzięłem za wyraz zgody.

- Jestem Akita Tsutomu - oznajmił. - Mam rozkaz doprowadzić pana Otori do pana Araiego, który życzy sobie z tobą rozmawiać.

- Jestem gotów poddać się panu Araiemu - odparłem - pod warunkiem, że daruje moim ludziom życie i przyjmie ich do siebie na służbę.

- Mogą ci towarzyszyć, jeśli pójdą spokojnie.

- Niech kilku twoich ludzi pojedzie z Kubo Makoto. On powie moim żołnierzom, by poddali się bez walki. Gdzie jest jego wysokość?

- Niedaleko stąd. Przekzekaliśmy tajfun w Shuho.

Makoto zawrócił pod eskortą dużego oddziału wojowników, a Sakai, Hiroshi i ja w milczeniu ruszyliśmy za Akitą.



Rozdział ósmy

Wiosna zamieniła się w lato, skończyło się sadzenie ryżu. Zaczęły się śliwkowe deszcze, sadzonki urosły i pola zabłysły świeżą zielenią. Shizuka siedziała w domu, patrząc na strumienie deszczówki, spływające z okapów, pomagała babce pleść sandały i peleryny ze słomy ryżowej, przekładała kokony jedwabników na przewiewnych strychach, a czasem zaglądała do szopy tkaczy i spędzała parę godzin przy krosnach.

Zawsze było coś do roboty - szycie, farbowanie, gotowanie - i odkryła, że te monotonne zajęcia ją uspokajają. Mimo jednak, że z ulgą zrezygnowała ze swych dotychczasowych ról i z radością poświęciła się synom i rodzinie, często ogarniało ją dziwne przygnębienie. Nigdy nie była bojaźliwa, lecz teraz dręczył ją niepokój; spała źle, budząc się od najlżejszego dźwięku, a kiedy w końcu zasypiała, śnili się jej umarli.

Najczęściej nawiedzał ją ojciec Kaede i patrzył na nią niewidzącymi oczami.

Wielokrotnie zanosila do kaplicy ofiary, mając nadzieję ułagodzić jego ducha, ale koszmary nie ustępowały. Tęskniła za Kaede, za Ishidą, nie mogła się doczekać, kiedy Kondo przyniesie o nich wiadomości, a jednocześnie obawiała się jego powrotu.

Deszcze minęły, nastały upalne, duszne dni prawdziwego lata. Dojrzały ogórki i melony, które zakiszono z ziołami i solą. Shizuka zaczęła chodzić w góry, gdzie zbierała grzyby, piołun na mokse, dąbrówkę i marzannę na barwniki, oraz inne, bardziej złowieszcze rośliny, z których Kenji przyrządzał truciznę.

Przyglądała się ćwiczeniom synów i pozostałych dzieci, zachwycona uzdolnieniami, jakie rozbudzało w nich Plemię. Znikali i znów się pojawiali; czasem widywała ich drżące, niewyraźne sylwetki, gdy uczyli się używać drugiego „ja”.

Jej starszy syn, Zenko, nie miał talentu swego młodszego brata. Tylko rok dzielił

go od wieku męskiego i jego zdolności powinny być szybko się rozwijać, jednak Shizuka widziała, że bardziej interesują go konie i miecze - najwyraźniej wdał się w ojca.

Czy Arai zechciałby teraz go uznać? Czy też nadal usiłowałby chronić prawowitego syna, eliminując dziecko z nieprawego łoża?

Taku nie przysparzał jej takich zmartwień. Przejawiał ogromne zdolności i w hierarchii Plemienia z pewnością czekała go wysoka pozycja; Kenji nie miał synów, więc któregoś dnia Taku mógł nawet zostać mistrzem rodziny Muto. Był niezmiernie utalentowany, niewidzialność przychodziła niu bez trudu, miał niezwykle ostry słuch i w wieku dojrzewania z pewnością dorównałby Takeo. Już teraz był równie giętki jak matka i bez trudu mieścił się w najmniejszej skrytce, gdzie tkwił skulony całymi godzinami. Lubił płatać figi służącym, chowając się w pustych beczułkach lub bambusowych koszach, z których nagle wyskakiwał niczym psotny tanuki z bajek.

Przylapała się, że porównuje młodszego syna z Takeo. Gdyby jej kuzyn został tak wychowany, gdyby Kikuta wiedzieli o nim od urodzenia, byłby członkiem Plemienia jak jej synowie i ona sama, bezwzględny, posłuszny, niezadającym pytań...

Ale, myślała, ja przecież zadaję pytania. I chyba nie jestem już posłuszna. Gdzie się podziała moja bezwzględność? Nigdy nie zabiję Takeo i nie zrobię nic, by skrzywdzić Kaede. Nie mogą mnie do tego zmusić. Wysłano mnie, bym jej służyła, a ja ją pokochałam. Obdarzyłam ją swoim przywiązaniem i nie zamierzam go teraz odbierać. Powiedziałam jej w Inuyamie, że kobiety również potrafią postępować z honorem.

Znów pomyślała o Ishidzie. Ciekawiło ją, czy łagodność i współczucie są zaraźliwe i czy przejęła od niego te cechy. A potem wspomniła inną, głębszą tajemnicę, którą skrywała w duszy. Gdzie wówczas było jej posłuszeństwo?

Święto Gwiazdy Tkaczki wypadło w deszczowy wieczór. Dzieci były rozczarowane, gdyż

zachmurzone niebo oznaczało, że sroki nie zdołają wybudować mostu przez Niebiosy i księżniczka dopiero za rok będzie mogła połączyć się z ukochanym. Shizuka uznała to za złą wróżbę i jej przygnębienie wzrosło.

Posłańcy przybywający z Yamagaty i dalszych miejscowości niekiedy przynosili wieści: o zaślubinach Takeo i Kaede, o ich ucieczce z Terayamy, o moście niedotykalnych, o pokonaniu Jinemona. Służące nie mogły się nadziwić tej historii, brzmiącej jak część starej legendy, i układały o niej pieśni; również Kenji i Shizuka rozmawiali wieczorami o tych wydarzeniach, rozdarci między konsternacją a niechętnym podziwem. Kiedy młoda para ze swoją armią przeniosła się do Maruyamy, wiadomości stały się rzadsze, choć od czasu do czasu Shizukę dochodziły słuchy o kampanii Takeo przeciwko Plemieniu.

- Najwyraźniej nauczył się bezwzględności - powiedział stryj, ale więcej o rym nie wspominał.

Miał inne zmartwienia. Nie mówił o Yuki, lecz gdy nadszedł siódmy miesiąc i wciąż nie było od niej wiadomości, dla całego domu nastał czas oczekiwania. Wszyscy niepokoił się o pierwsze wnuczę mistrza, dziecko Muto, które zawłaszczyła i zamierzała wychować rodzina Kikuta.

Pewnego dnia tuż przed Świętem Umarłych Shizuka wybrała się do wodospadu.

Było gorąco i duszno, wiatr ustał, więc z przyjemnością usiadła i zanurzyła stopy w chłodnej wodzie. Spieniona kaskada lśniła bielą na tle szarych skał, w rozbryzgach rodziły się i gasły maleńkie tęczowe. Pod cedrami monotonnie zgrzytały cykady, drażniąc jej nerwy. Na tle grania dobiegł ją odgłos kroków młodszego syna; udała, że go nie słyszy, a gdy był już pewny, że ją zaskoczy, wyciągnęła rękę, chwyciła go pod kolana i posadziła sobie na podółku.

- Usłyszałaś mnie - powiedział zawiedziony.

- Hałasowałaś jak dzika świnia.

- Wcale nie!

- Więc może mam słuch Kikuta - zakpiła łagodnie.

- To ja go mam!

- Wiem. I myślę, że jeszcze się wyostrzy, kiedy zaczniesz dorastać. - Ujęła jego dłoń i przeciągnęła palcem po przecinającej ją prostej linii. - Za to mamy takie same ręce.

- Jak Takeo - rzekł z dumą.

- A co ty wiesz o Takeo? - zapytała z uśmiechem.

- On również jest Kikuta. Stryj Kenji nam opowiadał; podobno umie robić rzeczy, których nie umie nikt inny, chociaż nie dało się go uczyć, tak mówi stryj. - Urwał, po czym szepnął: - Szkoda, że musimy go zabić.

- Skąd o tym wiesz? Też od stryja?

- Usłyszałem. Słyszę wiele rzeczy. Ludzie nie wiedzą, że jestem obok.

- Wysłali cię, byś mnie odszukał? - zapytała, konotując sobie, żeby nie rozmawiać o tajemnicach w domu dziadków, póki się nie upewni, gdzie jest jej młodszy syn.

- Właściwie nie. Nikt mi nie kazał przyjść, ale chyba powinnaś wrócić do domu.

- Coś się stało?

- Przyszła ciocia Seiko. Jest bardzo smutna. A stryj... -zawiesił głos i spojrzał na nią. - Nigdy dotąd go takiego nie widziałem.

Yuki, pomyślała od razu. Szybko wstała i wsunęła sandały. Serce jej waliło, czuła suchość w ustach. Skoro przyszła ciotka, mogło to oznaczać tylko jedno - najgorsze.

Jej obawy potwierdziły się, gdy dotarła do wioski, nad którą, zda się, zawisnął

żałobny całun. Twarze strażników były blade, nie uśmiechali się i nie żartowali. Nie traciła czasu, by ich wypytać; podążyła prosto do domu dziadków, pod którym, porzuciwszy paleniska i przygotowania do wieczornego posiłku, zebrały się już wiejskie kobiety. Przepchnęła się między nimi do środka, ledwie zwracając uwagę na kondolencje i słowa współczucia.

Żona Kenjiego, stryjenka Shizuki, klęczała na podłodze dużego pokoju w otoczeniu domowniczek; jej twarz była ściągnięta, oczy zaczerwienione, ciałem szarpało przejmujące łkanie.

- Ciociu! - Shizuka uklękła i skłoniła się głęboko. - Co się stało?

Seiko chwyciła ją mocno za rękę, ale nie była w stanie mówić.

- Yuki umarła - powiedziała cicho klęcząca obok babka.

- A dziecko?

- Dziecko ma się dobrze. To chłopiec.

- Tak mi przykro - szepnęła Shizuka. - Poród... Stryjenką wstrząsnął gwałtowny szloch.

- To nie poród - rzekła stara pani, obejmując Seiko i kołysząc, jakby była dzieckiem.

- Gdzie stryj?

- W pokoju obok, ze swoim ojcem. Idź do niego. Może zdołasz go jakoś pocieszyć.

Shizuka wstała i cicho przeszła do sąsiedniego pokoju; nieprzelane łzy piekły ją pod powiekami.

Kenji siedział bez ruchu obok dziadka. W pokoju panował półmrok; wszystkie okiennice zamknięto,

było nieznośnie duszno. Po twarzy starego pana ciekły łzy; co jakiś czas unosił rękę i ocierał je rękawem. Oczy stryja pozostały suche

- Stryju - szepnęła.

Nie poruszył się. Uklękła bezszelestnie. Wówczas obrócił głowę i spojrzał na nią.

- Shizuka - powiedział. Jego oczy załśniły od łez, które jednak nie popłynęły. -

Przyszła moja żona; widziałaś ją?

Przytaknęła.

- Nasza córka nie żyje.

- To straszna nowina. Tak mi przykro z powodu twojej straty.

Słowa były puste i pozbawione sensu. Milczał. W końcu ośmieliła się zapytać:

- Co się stało?

- Kikuta ją zabili. Zmusili ją, by zażyła truciznę. - Mówił, jakby nie wierzył

własnym słowom.

Shizuka również nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Mimo upału ziać przeniknął ją do szpiku kości.

- Dlaczego? Jak mogli zrobić coś takiego?

- Nie ufali jej. Nie wierzyli, że ukryje dziecko przed Takeo i wychowa je w nienawiści do ojca.

Sądziła, że żadna rewelacja na temat Plemienia nie zdoła nią wstrząsnąć, ale od tej nowiny serce jej zamarło. Zaniemówiła.

- Kto wie, może mnie również chcieli ukarać - ciągnął stryj. - Moja żona uważa, że to przeze mnie: bo odmówiłem ścigania Takeo, bo nie wiedziałem o zapiskach Shigeru, bo rozpieszczałem Yuki, kiedy była dzieckiem.

- Nie mów teraz o tym - powiedziała. - Nie jesteś niczemu winien.

Patrzył nieruchomo przed siebie. Zastanawiała się, co widzi.

- Nie musieli jej zabijać - wykrztusił. - Nigdy im tego nie wybaczę.

Głos mu się załamał, twarz przebiegł skurcz i wreszcie zaczął płakać.

Święto Umarłych obchodzono z większą niż zwykle powagą i smutkiem. W

górkich kapliczkach składano ofiary z jedzenia, na szczytach rozpalono ogień, by oświetlić umarłym drogę. A jednak umarli odchodzili niechętnie; pragnęli zostać z żywymi, aby raz po raz przypominać im, jak zginęli, i domagać się odwetu i zadośćuczynienia.

Kenji i jego żona, niezdolni do bliskości, nie umieli dać sobie pociechy i tylko obwiniali się nawzajem o śmierć córki. Shizuka spędziła wiele godzin z obojgiem, próbując im pomóc choćby swoją obecnością, lecz nie na wiele się to zdało. Jej babka parzyła dla Seiko uspokajające herbatki, po których ta spała dużo i długo; jednakże Kenji nie chciał przyjąć niczego, co mogłoby przytępić ból, toteż Shizuka często siadywała z nim wieczorami, słuchając jego opowieści o córce.

- Wychowałem ją jak syna - zwierzył się któregoś wieczoru. - Była taka zdolna! I nieustraszona. Moja żona sądzi, że dawałem jej zbyt wiele swobody. Obwinia mnie za to, że traktowałem ją jak chłopca; Yuki zrobiła się zbyt niezależna i nabrała przekonania, że potrafi zrobić wszystko. Ale, jak na ironię, w końcu umarła dlatego, że była kobietą. -

po chwili dodał: - Pewnie jedyną kobietą, jaką naprawdę kochałem. - Niespodziewanie wyciągnął rękę i serdecznym gestem pogłaskał ją po ramieniu. -Wybacz mi. Oczywiście ciebie też bardzo lubię.

- I ja ciebie lubię - odparła. - Żałuję, że nie potrafię jakoś ukoić twego smutku.

- Cóż, nic go nie ukoi - powiedział. - Nigdy tego nie przeboleję. Albo podążę za nią do krainy śmierci, albo będę żył pogrążony w żałobie jak wszyscy. Tymczasem... -

westchnął głęboko.

Domownicy już udali się na spoczynek. Trochę się ochłodziło i ekrany stały otworem, aby pochwycić lekki wietrzyk, który od czasu do czasu spływał z gór. U boku Kenjiego paliła się pojedyncza lampa. Shizuka przysunęła się nieco, aby widzieć jego twarz.

- Co? - podpowiedziała.

- Poświęciłem Shigeru dla Kikuta w imię jedności Plemienia - rzekł, pozornie zmieniając temat - a teraz oni odebrali mi także córkę. - Znowu zamilkł.

- Co zamierzasz?

-Ten chłopiec jest moim wnukiem, jedynym, jakiego będę miał. Nie mogę się zgodzić na to, że jest na zawsze stracony dla Muto. O ile znam Takeo, przypuszczam, że on również będzie się nim interesował. Powiedziałem, że nie chcę dążyć do śmierci Takeo, dlatego ukrywałem się tu przez całe lato, teraz jednak posunę się dalej: chcę, by rodzina Muto doszła z nim do porozumienia, byśmy zawarli rozejm.

- Chcesz wystąpić przeciwko rodzinie Kikuta?

- Nigdy więcej nie zrobię nic wspólnie z nimi. Jeśli Takeo pragnie ich unicestwić, uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby mu pomóc.

Dostrzegła wyraz jego twarzy i pojęła, że stryj pragnie rękami Takeo dokonać dzieła zemsty.

- Zniszczysz Plemię - szepnęła.

- Sami się niszczymy - odpowiedział posepnie. - Co więcej, wokół nas wszystko się zmienia. Moim zdaniem, zbliżamy się do krańca pewnej epoki. Kiedy ta wojna się skończy, jej zwycięzca zostanie niepodzielnym władcą Trzech Krain. Takeo chce odzyskać swoje dziedzictwo i ukarać stryjów Shigeru, ale bez względu na to, kto stanie na czele Otorich, będzie musiał w końcu podjąć walkę z Araim. Albo Otori zwyciężą, albo zostaną pokonani i znikną z powierzchni ziemi, gdyż wrzenie na granicy nie może trwać wiecznie.

- Podobno Kikuta opowiadają się za panami Otori przeciwko Takeo?

- Tak, słyszałem, że Kotaro osobiście udał się do Hagi. Sądzę, że mimo obecnej przewagi Arai na dłuższą metę nie zdoła podporządkować sobie klanu Otori. Wiesz, że dzięki dawnym związkom krwi z domem cesarskim mają pewien tytuł do władzy nad Trzema Krainami? Miecz Shigeru, Jato, został dla nich wykuty wieśset lat temu w uznaniu tego faktu.

Zamilkł, a jego wargi wygięły się w lekkim uśmiešku.

- I miecz sam odnalazł Takeo, nie poszedł do Shoichiego ani do Masahiro. - Stryj odwrócił się do niej, jego uśmiech stał się szerszy. - Opowiem ci pewną historię. Być może wiesz, że poznałem Shigeru pod Yaegeharą; miałem wówczas dwadzieścia pięć lat, on dziewiętnaście. Pracowałem jako szpieg i tajny wysłannik rodu Noguchi, którzy byli sprzymierzeńcami Otorich, i z wyprzedzeniem wiedziałem, że podczas bitwy Noguchi zamierzają przejść na stronę wroga i zwrócić się przeciwko sojusznikom. W ten sposób zapewniali zwycięstwo lidzie i przy okazji przyczyniali się do śmierci wielu tysięcy ludzi. Zawsze zachowywałem dystans wobec tego, co dobre i złe w naszym fachu, ale otchłanie podłości mnie fascynują; w akcie zdrady jest coś potwornego, czemu się lubię przyglądać. Jednym słowem, chciałem ujrzeć twarz Otori Shigemoriego, kiedy Noguchi go opuszczą.

Z tego to, dosyć niskiego powodu znalazłem się w ogniu walki. Przez większość czasu byłem niewidzialny i muszę powiedzieć, że to niebywale podniecające przeżycie.

Widziałem Shigemoriego; widziałem jego minę, kiedy zrozumiał, że wszystko stracone; widziałem, jak padał. Jego miecz, który wszyscy znali i którego wielu pożałowało, wysunął mu się z rąk w chwili śmierci i upadł u mych stóp. Podniosłem go; przywarł mi do dłoni i stał się niewidzialny jak ja. Powiedział, że muszę go chronić i oddać prawowitemu właścicielowi.

- Przemówił do ciebie?

- Tylko w ten sposób potrafię to opisać. Po śmierci Shigemoriego Otorich ogarnęło szaleństwo rozpacz. Zaciekła walka trwała jeszcze przez dwie godziny, podczas których starałem się odszukać Shigeru. Znałem go; widywałem go przed laty, kiedy szkolił się w górach pod okiem Matsudy. Znalazłem go dopiero po bitwie. Ludzie lidy szukali go wszędzie - wszystkim byłoby na rękę, gdyby mogli ogłosić, że zginął.

Stał przy małym źródelku. Był całkiem sam i właśnie szykował się do odebrania sobie życia: zdążył już zdjąć hełm i rozluźnić szatę oraz zmyć krew z twarzy i dłoni, a teraz perfumował włosy i brodę. Robił wrażenie tak spokojnego, jakby zamierzał wziąć kąpiel w źródle.

Miecz rzekł do mnie: „Oto mój pan”, więc zawołałem do Shigeru: „Panie Otori!”, a gdy się odwrócił, ukazałem się i podałem mu broń.

„Jato” - powitał go, ujął oburącz i złożył głęboki ukłon. Następnie spojrzał na miecz, a potem na mnie i najwyraźniej ochłonął.

Powiedziałem coś w rodzaju: „Nie zabijaj się” i dodałem, w imieniu Jato: „Żyj i dąż do zemsty”. Shigeru uśmiechnął się, pochwycił miecz i zerwał się na nogi. Tej nocy pomogłem mu wymknąć się z obławy i przedostać do domu matki w Hagi, a pod koniec podróży byliśmy już przyjaciółmi.

- Często się zastanawiałam, jak go poznałeś - powiedziała Shizuka. - A więc ocaliłeś mu życie...

- Nie ja, tylko Jato. W ten sposób przechodzi z rąk do rąk. Teraz jest w posiadaniu Takeo, gdyż Yuki dała mu go w Inuyamie. Była nieposłuszna, więc Kikuta przestali jej ufać.

- Dziwne są zrządzania losu - mruknęła Shizuka.

- Tak, łączy nas wszystkich jakaś więź, której nie mogę się opierać. Ponieważ to Yuki przyczyniła się do tego, że Jato wybrał Takeo, czuję, że musimy z nim współpracować. A poza tym pragnę dotrzymać przysiężenia, że nigdy go nie skrzywdzę. Być może uda mi się również okupić swój udział w śmierci Shigeru. -

Umilkł, po czym dodał cicho. - Nie widziałem miny Shigeru, kiedy owej nocy w Inuyamie nie wróciliśmy z Takeo do domu, ale z takim właśnie wyrazem twarzy nawiedza mnie we śnie.

Przez dłuższą chwilę milczeli oboje. Pokój rozświetliła nagła błyskawica i Shizukę dobiegł huk grzmotu, przetaczającego się nad górami. Wreszcie Kenji powiedział:

- Mam nadzieję, że mimo twej krwi Kikuta nie utracimy cię teraz.

- Nie. Przyjmuję twoją decyzję z pewną ulgą. Mogę dochować wierności Kaede.

Wybacz, ale nigdy nie uczynię nic, żeby zaszkodzić któremukolwiek z nich.

Słyszając to wyznanie, Kenji uśmiechnął się:

- Tak mi się zawsze wydawało. Nie tylko z powodu twej sympatii do Kaede; wiem, jak silnym uczuciem darzyłaś Shigeru i panią Maruyama i jaką rolę odegrałaś w ich sojuszu z Araim. - Patrzył na nią bacznie. - Shizuko, kiedy powiedziałem ci o zapiskach Shigeru, nie byłaś specjalnie zaskoczona. Cały czas próbowałem wydedukować, kim był jego informator wewnątrz Plemienia.

Mimo woli zadrżała. Jej nieposłuszeństwo - zdrada, by nazwać rzecz po imieniu -

miało zostać ujawnione. Nie wyobrażała sobie nawet, co Plemię z nią zrobi.

- To ty, prawda? - naciskał Kenji.

- Stryju... - zaczęła.

- Nie obawiaj się - rzekł pośpiesznie. - Nigdy nikomu o tym nie wspomnę. Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- To było po Yaegharze - szepnęła. - Jak wiesz, to ja wtedy przekazałam lidzie wiadomość, że Shigeru dąży do sojuszu z Seishuu. Shigeru zwierzył się Araiemu, a ja to podsłuchałam. To przeze mnie zwyciężył klan Tohan, przeze mnie dziesięć tysięcy ludzi padło na polu walki, a później niezliczone rzesze zginęły od tortur i głodu.

Przyglądałam się Shigeru w późniejszych latach i jego cierpliwość oraz hart ducha napełniły mnie podziwem. To był jedyny dobry człowiek, jakiego w życiu spotkałam, tymczasem ja doprowadziłam go do upadku! Postanowiłam zatem mu pomagać, dać zadośćuczynienie. Pytał mnie o wiele rzeczy związanych z Plemieniem, a ja rzetelnie mu odpowiadałam. Zachowanie tajemnicy przyszło mi bez trudu - w końcu tego mnie uczono. - Urwała i innym tonem dodała: - Obawiam się, że bardzo się gniewasz.

Pokręcił głową.

- Pewnie powinienem się rozżłościć. Gdybym się o tym dowiedział wcześniej, musiałbym wydać rozkaz, by cię ukarano i zgładzono. - Spojrzał na nią z podziwem. -

Zaiste, masz dar odwagi rodziny Kikuta! Prawdę mówiąc, cieszę się, że to zrobiłaś.

Pomogłaś Shigeru, a teraz jego spuścizna chroni Takeo. Może nawet zrównoważy moją własną zdradę?

- Czy teraz pojedziesz do Takeo?

- Miałem nadzieję uzyskać jakieś informacje, niedawno powinien wrócić Kondo.

Ale owszem, zamierzam dotrzeć do Takeo.

- Wyślij posłańca, wyślij mnie. Samotna wędrówka jest dla ciebie zbyt niebezpieczna. Tylko czy Takeo zaufa jakiemukolwiek członkowi Plemienia?

- Może pójdziemy oboje. I zabierzemy twoich synów.

Wpatrywała się weń nieruchomo. We włosach zabrzączał jej moskit, ale go nie odpędziła.

- Będą dla niego zabezpieczeniem - rzekł cicho. Znow błysnęło; grzmot rozległ się bliżej. Nagle lunął deszcz. Z dachów polały się strumienie wody, a z ogrodu uniosła się świeża woń mokrej ziemi.

Burza szalała nad wioską przez trzy dni. Przed powrotem Kondo dotarła do nich inna wiadomość, przyniesiona przez dziewczynę z rodziny Muto, która pracowała w rezydencji pana Fujiwary na południu. Wiadomość ta, krótka i intrygująca, pozbawiona szczegółów, których byli tak ciekawi, napisana pośpiesznie i wyraźnie w poczuciu zagrożenia, donosiła tylko, że Shirakawa Kaede poślubiła pana Fujiwarę i obecnie przebywa w jego domu.

- Co oni jej znów zrobili? - zawołał wstrząśnięty Kenji, tak rozgniewany, że na chwilę zapomniał o smutku.

- Zawsze było wiadomo, że jej ślub z Takeo spotka się ze sprzeciwem - odparła Shizuka. - Jak sądzę, Arai i Fujiwara uknuli to między sobą. Pan Fujiwara chciał się z nią ożenić jeszcze wiosną, zanim wyjechała. Obawiam się, że sama ją zachęcałam, by się doń zbliżyła.

Wyobraziła sobie Kaede uwięzioną w luksusowej rezydencji, wspomniała okrucieństwo arystokraty i pożałowała, że nie zachowała się inaczej.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - zwierzyła się stryjowi. - Przedtem było mi to obojętne, teraz odkrywam, że głęboko mnie to obchodzi; jestem przerażona i oburzona, przepelnia mnie litość dla nich obojga.

- Już w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem panią Shirakawa, poruszyło mnie jej żalosne położenie - odparł. - Teraz trudno nie współczuć jej jeszcze bardziej.

- Co robi Takeo?

- Wyruszy na wojnę - westchnął Kenji. - I niemal na pewno przegra. Być może jest już za późno na zgodę między nami.

Shizuka dostrzegła, że stryjem znów owładnął smutek. Bała się, że naprawdę podąży za swoją córką w krainę śmierci, toteż próbowała dopilnować, by nigdy nie przebywał sam.

Minał kolejny tydzień, nim zjawił się Kondo. Korzystając z poprawy pogody, Shizuka powędrowała do kaplicy, by pomodlić się za Takeo do boga wojny. Pokłoniła się przed obrazem, wstała i klasnąwszy trzy razy, trochę bezradnie poprosiła, aby bóg ocalił również Kaede, lecz kiedy się odwróciła, aby odejść, tuż przed nią z migotliwej niewidzialności! wynurzył się Taku.

- Ha! - zakrzyknął triumfalnie. - Tym razem mnie nie słyszałaś!

Zdumiała się, bo istotnie nie słyszała go i nie widziała.

- Dobra robota!

- Przyjechał Kondo Kiichi - uśmiechnął się szeroko Taku. - Czeka na ciebie; stryj chce, byś posłuchała, co ma do powiedzenia.

- Lepiej się postaraj, żebyś sam tego nie słuchał - rzekła ze śmiechem.

- Lubię słuchać różnych rzeczy - oświadczył. - Lubię znać cudze tajemnice.

Pobiegł przodem zakurzoną uliczką, stając się niewidzialny za każdym razem, gdy przechodził ze słońca w cień. Wszystko jest dla niego zabawą, pomyślała, tak jak kiedyś dla mnie. Ale w pewnym momencie w zeszłym roku to przestała być gra.

Dlaczego? Co się ze mną stało? Czyżbym nauczyła się bać? Bać się, że utracę ludzi, których kocham?

Zastała Kondo i stryja w głównym pokoju domu. Uklękła, by powitać mężczyznę, który dwa miesiące temu chciał się z nią ożenić, i uważnie mu się przyjrzała. Wiedziała już, że go nie chce; postanowiła znaleźć jakiś wykręt, być może zły stan zdrowia.

Choć przywitał ją serdecznie, jego twarz była wychudła i znużona.

- Wybaczcie, że przybywam tak późno - powiedział. - W pewnej chwili myślałem, że już w ogóle nie wrócę. Zaraz po przybyciu do Inuyamy zostałem aresztowany; Arai dowiedział się, że z ataku na ciebie w drodze do Shirakawy nic nie wyszło, a napastnicy natychmiast mnie rozpoznali. Spodziewałem się, że mnie zabiją, ale wtedy wydarzyło się nieszczęście; wybuchła epidemia ospy i zmarł synek Araiego.

Po zakończeniu żałoby Arai mnie wezwał i długo o ciebie wypytywał.

- Aha, teraz zainteresował się synami! - zauważył cierpko Kenji.

- Oświadczył, że jest moim dłużnikiem, bo uratowałem ci życie. Chciał, bym wrócił do niego na służbę, i zaproponował, że z racji pochodzenia matki przywróci mi rangę wojownika i przyzna pensję.

Shizuka zerknęła na stryja, ale ten się nie odzywał.

- Przyjąłem propozycję - ciągnął Kondo. - Mam nadzieję, że postąpiłem słusznie.

Oczywiście, bardzo mi to odpowiada, gdyż w tej chwili nie mam pana, gdyby jednak rodzina Muto miała zastrzeżenia...

- Na tym stanowisku możesz być dla nas użyteczny - rzekł Kenji.

- Pan Arai domyślił się, że wiem, gdzie cię znaleźć, i kazał mi przekazać, że chciałby zobaczyć swoich synów i porozmawiać o oficjalnej adopcji.

- Chce wznowić nasz związek? - zapytała Shizuka.

- Pragnie, abyś zamieszkała w Inuyamie jako matka chłopców.

Nie dodał: „I jako jego kochanka”, ale Shizuka pojęła, o co chodzi. W mowie Kondo nie było śladu zazdrości ani gniewu, lecz dostrzegła na jego twarzy przelotny grymas ironii. Oczywiście, skoro wrócił do klasy wojowników, mógł sobie pozwolić na korzystne małżeństwo wśród równych sobie;

ona, Shizuka, była dlań rozwiązaniem, tylko dopóki nie miał pana.

Nie wiedziała, czy jego pragmatyzm bardziej ją śmieszy czy złości. Nie miała najmniejszego zamiaru wysyłać synów do Araiego ani znowu z nim sypiać, nie zamierzała też wyjść za Kondo. Miała gorącą nadzieję, że Kenji nie będzie jej do niczego zmuszał.

- Wszystko to trzeba starannie rozważyć - powiedział stryj.

- Tak, ma się rozumieć - odparł Kondo. - A poza tym, przez tę kampanię przeciw Takeo wszystko się skomplikowało.

- Bardzo chcielibyśmy coś o nim usłyszeć - mruknął Kenji.

- Na wieść o zaślubinach Takeo z panią Shirakawa Arai wpadł w furję.

Natychmiast ogłosił, że małżeństwo jest nieważne, i wysłał spory oddział do pana Fujiwary, a latem sam przeniósł się do Kumamoto, skąd łatwiej uderzyć na Maruyamę.

Wedle najświeższych doniesień pani Shirakawa mieszka w domu pana Fujiwary jako jego żona. Przebywa w odosobnieniu, w gruncie rzeczy jest więźniem. - Kondo głośno pociągnął nosem i odrzucił głowę do tyłu. - Wiem, że Fujiwara uważał się za jej narzeczonego, ale nie powinien był tak postępować. Porwał ją siłą, zabił kilku jej ludzi, między innymi Amano Tenzo, a to wielka strata. Nie musiał tego robić. Anai i Hana są zakładniczkami w Inuyamie i można było wszystko wynegocjować bez rozlewu krwi.

Shizukę przeszyło ukłucie litości dla dziewczynek. - Widziałeś je tam?

- Nie, to było zakazane.

Wyglądał na szczerze rozgniewanego położeniem Kaede; Shizuka przypomniała sobie jego niezwykle przywiązanie do dziewczyny.

- A Takeo? - ponagliła.

- Podobno Takeo ruszył na Fujiwarę, lecz natrafił na wojska Araiego i musiał się wycofać. Nie bardzo wiadomo, co się potem stało. Na Zachodzie przeszedł wielki wczesny tajfun i obie armie utknęły gdzieś na wybrzeżu. Na razie nikt nie wie, jak to się skończyło.

- Jeśli Arai pokona Takeo, co z nim zrobi?

- Wszyscy zadają sobie to pytanie! Niektórzy mówią, że każe go zgładzić; inni twierdzą, że nie ośmieli się tego zrobić ze względu na sławę Takeo; jeszcze inni sądzą, że się z nim sprzymierzy przeciwko Otorim z Hagi.

- Na wybrzeżu? - zaciekawiał się Kenji. - Gdzie konkretnie?

- Chyba w pobliżu miasta o nazwie Shuho. Nie znam tamtej okolicy.

- Shuho? - powtórzył Kenji. - Nigdy tam nie byłem, ale powiadają, że jest tam przepiękne, naturalne, błękitne jezioro, które zawsze chciałem zobaczyć. Dawno już nigdzie nie podróżowałem, a teraz jest doskonała pogoda. Oboje powinniście pojechać ze mną.

Sprawiał wrażenie rozluźnionego, lecz Shizuka wyczuła w jego głosie niecierpliwość.

- A chłopcy? - zapytała.

- Zabierzemy obu; to dla nich dobre doświadczenie a zdolności Taku mogą się nam nawet przydać. – Wstał. - Wyjeżdżamy natychmiast. Konie znajdziemy w Yamagacie

- Masz jakiś plan? - zagadnął Kondo. - Chcesz się upewnić, że Takeo zostanie wyeliminowany?

- Nie całkiem. Powiem ci po drodze. - Kiedy Kondo z ukłonem wycofał się z pokoju, Kenji mruknął Shizuce do ucha: - Może zdążymy jeszcze uratować mu życie.



Rozdział dziewiąty

Podczas jazdy nikt się nie odzywał, lecz Akita i jego żołnierze odnosili się do mnie uprzejmie i z szacunkiem. Miałem nadzieję, że poddając się, uratowałem życie Hiroshiemu i moim ludziom, nie oczekiwałem jednak, że sam zostanę oszczędzony.

Byłem wdzięczny Araiemu za to, że potraktował mnie jak jednego z panów Otori, człowieka równego mu rangą, że mnie nie upokorzył, sądziłem jednak, że albo każe mnie stracić, albo zmusi, bym odebrał sobie życie. I pomimo nauk z dzieciństwa, słów Jo-Ana i danej Kaede obietnicy, wiedziałem, że nie będę miał innego wyjścia, jak go posłuchać.

Tajfun oczyścił powietrze z wszelkiej wilgoci, ranek był jasny i przejrzysty. Mój umysł był równie jasny: Arai mnie pokonał, a ja się poddałem, musiałem więc zdać się na jego łaskę i niełaskę i zrobić wszystko, co rozkaże. Zacząłem rozumieć, dlaczego wojownicy tak wysoko cenili sobie swój kodeks - bardzo upraszczał życie.

Po głowie krążyły mi słowa wyroczni, lecz zepchnąłem je na bok; nie chciałem, by cokolwiek sprowadziło mnie z właściwej drogi. Zerknąłem na Hiroshiego, który jechał obok mnie, wyprostowany, z wysoko uniesioną głową. Jego stary koń człapał

spokojnie, parszając czasem z radości w ciepłych promieniach słońca. Pomyślałem o wychowaniu, dzięki któremu odwaga przychodziła chłopcu tak naturalnie; instynktownie wiedział, jak postępować z honorem, żałowałem jednak, że w tak młodym wieku musiał poznać smak kapitulacji i klęski.

Wszędzie widzieliśmy ślady zniszczeń, jakie pozostawił szalejący na wybrzeżu sztorm: domy z zerwanymi dachami, ogromne drzewa wyrwane z korzeniami, wyległy ryż, wezbrane rzeki, w których pływały trupy wołów, psów i innych zwierząt, zaplątane w unoszone wodą szczątki. Przez chwilę zaniepokoiłem się o swych rolników w Maruyamie, niepewny, czy zbudowane przez nas zapory okazały się dość mocne, by uchronić pola; co się z nimi teraz stanie, myślałem, skoro zabrakło Kaede i mnie, żeby ich bronić? Komu przypadną włości i kto się nimi zajmie? Należały do mnie tylko przez jedno krótkie lato, a przecież opłakiwałem ich utratę - włożyłem w ich odbudowę całą swoją energię. Nie wątpiłem również, że członkowie Plemienia powrócą, ukarzą ludzi, którzy zajęli ich miejsca, po czym znów podejmą swe krwawe rzemiosło.

W miarę jak zbliżaliśmy się do miasteczka Shuho, dostrzegałem coraz więcej żołnierzy Araiego szukających żywności. Wyobrażałem sobie, jak wielkim obciążeniem musiała być dla tej krainy tak ogromna rzesza ludzi i koni. To, co zebrano z pól, wzięło wojsko; to, co zostało na polach, zniszczył tajfun. Miałem szczerą nadzieję, że wieśniacy posiadają ukryte zapasy i tajemne poletka, w przeciwnym razie z nadejściem zimy czekała ich śmierć głodowa.

Shuho słynęło z licznych zimnych źródeł, których wody wpadały do jeziora o niezwyklej niebieskiej barwie. Miało ponoć lecznicze właściwości i zostało poświęcone bogini szczęśliwego trafu. Być może z tego powodu pomimo zniszczeń i najazdu wojsk panował tu pogodny nastrój. Mieszkańcy wzięli się już do napraw i odbudowy, wszędzie rozbrzmiewały głośnie żarty, a nawet śpiewy. Uderzenia młotków i brzęk pił

układały się w wesołą pieśń, której wtórował plusk i szum płynących wszędzie strumieni.

Jechaliśmy główną ulicą, gdy ku swemu zdumieniu wśród zgiełku usłyszałem swoje imię.

- Takeo! Panie Otori!

Rozpoznałem głos, choć nie zdołałem go od razu umiejscowić. Wtem słodki zapach świeżej tarcicy przywołał mówiącego z głębin pamięci - był to Shiro, mistrz ciesielski z Hagi, który zbudował pawilon herbaciany i słowicza podłogę dla Shigeru.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że stoi na dachu i macha do mnie ręką. Znowu zawołał:

- Panie Otori!

Pieśń miasta z wolna zaciחła, w miarę jak ludzie jeden po drugim odkładali narzędzia i w milczeniu kierowali ku mnie spojrzenia.

Takim samym płonącym wzrokiem wieśniacy odprowadzali ongiś Shigeru w drodze z Terayamy do Yamagaty wzbudzając gniew i przerażenie eskortujących nas Tohańczyków; takie same oczy spoczywały na mnie w wiosce wyrzutków.

Patrzyłem przed siebie, nie okazując uczuć; nie chciałem rozgniewać Akity, w końcu byłem jego więźniem. Ale słyszałem dźwięk swego imienia, które przekazywano z ust do ust szmer niczym brzęczenie owadów na łące.

- Wszyscy znają pana Otori - szepnął Hiroshi.

- Nic nie mów - mruknąłem, mając nadzieję, że nikt nie poniesie za to kary.

Zastanawiałem się, co robi tu Shiro, czy po śmierci Shigeru został wypędzony ze Środkowej Krainy, i jakie miał wiadomości z Hagi.

Sztab Araiego mieścił się w małej świątyni na zboczu wzgórza. Rzecz jasna, nie towarzyszyła mu cała armia - później dowiedziałem się, że część została w Inuyamie, a reszta stała obozem między Hagi i Kumamoto.

Zsiadliśmy z koni; kazałem Hiroshiemu zostać i dopilnować, by zostały nakarmione. Najpierw chciał zaprotestować, potem jednak spuścił głowę, a na jego twarzy odmalował się bezbrzeżny smutek.

Sakai położył mi dłoń na ramieniu i chłopiec ujął wodze Shuna. Z ukłuciem w sercu patrzyłem, jak mały gniadosz potulnie się oddala, pocierając łbem o ramię Hiroshiego - wiele razy ocalił mi życie i nie chciałem się z nim rozstawać. Po raz pierwszy jak obuchem uderzyła mnie myśl, że mógłbym go już nigdy nie zobaczyć, i zdałem sobie sprawę, jak bardzo nie chcę umierać. Przez kilka chwil pozwoliłem sobie na przeżywanie tego uczucia, po czym odwołałem się do swej jaźni Kikuta, znajdując w niej obronę, wdzięczny za mroczną moc Plemienia, która teraz dawała mi wsparcie.

- Tędy - polecił Akita. - Pan Arai chce cię natychmiast widzieć.

Słyszałem już głos Araiego, dobiegający z wnętrza świątyni, gniewny i potężny.

Na krawędzi werandy służący podał mi wodę, abym umył nogi. Niewiele mogłem zrobić z resztą - ubranie i zbroja były brudne, zbrukane błotem i krwią.

Dziwiłem się, że Akita jest taki schludny po bitwie i pościgu w deszczu, lecz gdy wprowadził mnie do sali, gdzie Arai zebrał całą radę starszych, zobaczyłem, że wszyscy są równie czyści i dobrze ubrani.

Wśród tych dużych mężczyzn Arai był największy. Miałem wrażenie, że od naszego ostatniego spotkania w Terayamie jeszcze urósł; zwycięstwa przysporzyły mu masywności, jaką daje władza. Przejmując panowanie po śmierci lidy i Shigeru, wykazał się stanowczością; był odważny, bystry i bezwzględny, potrafił także zaskarbiać sobie ludzką lojalność. Jego wadami były upór i brak rozwagi; nie odznaczał

się cierpliwością ani giętkością umysłu, poza tym czułem, że jest chciwy. O ile Shigeru dążył do władzy, aby rządzić sprawiedliwie, w harmonii z wyrokami niebios, o tyle Arai pragnął władzy dla niej samej.

Wszystko to przeleciało mi przez głowę, gdy patrzyłem na tego człowieka, siedzącego na

podwyższeniu w otoczeniu swej świąty. Miał na sobie kunsztowną zbroję, lśniąca czerwienią i złotem, ale jego głowa była odkryta. Zapukał włosy i brodę; czułem zapach perfum, którymi były natarte. Nasze oczy spotkały się na moment, lecz w jego spojrzeniu wyczytałem wyłącznie gniew.

Pierwotnie pomieszczenie służyło zapewne jako rozmównica świątyni; zza półotwartych drzwi wewnętrznych dobiegały szmery i szepty kapłanów i mnichów, a w powietrzu unosiła się woń kadzidła.

Padłem na kolana, bijąc czołem o posadzkę.

Zapadło długie milczenie, które przerywały jedynie niecierpliwe pacnięcia wachlarza Araiego. Słyszałem przyspieszone oddechy mężczyzn wokół mnie, dudnienie ich serc i pieśń odbudowującego się miasta w oddali. Wydało mi się, że gdzieś w zagrodzie odezwał się Shun, rżąc ochoczo na widok jedzenia.

- Ależ z ciebie głupiec, Otori! - wrzasnął Arai, przerywając w końcu ciszę. -

Rozkazuję ci wziąć ślub, a ty odmawiasz. Porzucasz swoje dziedzictwo, znikasz na wiele miesięcy, a potem pojawiaasz się i bezczelnie, bez mego zezwolenia, poślubiasz kobietę, która jest pod moją opieką. Masz czelność zaatakować arystokratę, pana Fujiwarę. I pomyśleć, że tego wszystkiego można było uniknąć. Mogliśmy zostać sprzymierzeńcami!

Ciągnął w tym duchu przez jakiś czas, podkreślając każde zdanie uderzeniem wachlarza, jakby bardzo chciał dać mi w ucho. Jednak jego złość mnie nie dotykała, po części dlatego, że otuliłem się w ciemność, po części dlatego, iż wyczułem, że jest udawana. Nie miałem mu jej za złe; jego gniew był uzasadniony. Z twarzą przy podłodze czekałem, co zrobi.

W końcu wyczerpał wszystkie wymówki i obelgi. Nastąpiła kolejna długa chwila milczenia. Wreszcie burknął:

- Zostawcie nas. Chcę mówić z Otorim sam na sam.

Ktoś z jego lewej strony szepnął:

- Czy mądrze robisz, panie? Ma reputację...

- Nie boję się Otoriego! - krzyknął Arai, znów przybierając pozór wściekłości.

Usłyszałem, że ludzie jeden po drugim odchodzą, po czym Arai wstał i zszedł z podwyższenia.

- Usiądź prosto - polecił.

Wyprostowałem się, lecz nie podniosłem wzroku. Uklęknął tak blisko, że nasze kolana się dotykały; mogliśmy mówić bez obawy, że ktoś nas podsłucha.

- No, to załatwione - rzekł niemal życzliwie. - Teraz porozmawiamy o strategii.

- Bardzo mi przykro, że obraziłem pana Araiego.

- Dobrze już, dobrze, co było, to było. Moi doradcy sądzą, że powinienem kazać ci się zabić za twoją krnąbrność. - Ku memu zdumieniu zaczął chichotać. - Pani Shirakawa jest piękną kobietą; jej utrata to dla ciebie dostateczna kara. Myślę, że wielu ci zazdrości, że zrobiłeś to, na co oni nie zdołali się odważyć, a teraz żałują. I w dodatku przeżyłeś, co zakrawa na cud, zważywszy na jej opinię. Ale kobiety przychodzą i odchodzą; tylko władza się liczy, władza i zemsta.

Ponownie się skłoniłem, aby nie okazać furii, którą wzbudziły we mnie jego prostackie słowa.

- Lubię śmiałość, Takeo - ciągnął. - Podziwiam to uczyniłeś dla Shigeru.

Obiecałem mu dawno temu, że ci pomogę w razie jego śmierci; drażni mnie, i ciebie zapewne też, że jego stryjowie uniknęli kary. Rozmawiałem z braćmi Miyoshi, kiedy ich tu przysłałeś; zresztą Kahei jest tutaj z moimi ludźmi, młodszy został w Inuyamie.

Opowiadali mi, jak przechytrzyłeś główne siły Otori; podobno wielu członków klanu ci sprzyja. Bitwa pod Asagawą to dobra robota; Nariaki zawracał mi głowę i cieszę się, że został usunięty. Jadąc przez Maruyamę, widziałem, czego tam dokonałeś, a od Kaheiego wiem, jak poradziłeś sobie z Plemieniem. Sporo nauczyłeś się od Shigeru. Byłby z ciebie dumny.

- Nie zasłużyłem na twoje pochwały - powiedziałem. - Odbiorę sobie życie, jeśli takie jest twoje życzenie. Albo usunę się do klasztoru, na przykład do Terayamy.

- Tak, już widzę, co by się wtedy działo - odparł sucho. - Jestem świadomy twojej sławy. Wolę sam zrobić z niej użytek, niż zamknąć cię w jakiejś dziurze, żeby ciągnęli do ciebie wszyscy malkontenci z Trzech Krain. - I od niechcienia dodał: - Możesz się zabić, jeśli chcesz. Jako wojownik masz do tego prawo i nie będę cię powstrzymywał.

Ale nieskończenie bardziej bym wolał, żebyś dla mnie walczył.

- Panie Arai.

- Całe Trzy Krainy są mi posłuszne, z wyjątkiem Otori. Chcę się z nimi rozprawić przed zimą. Ich główne siły wciąż stoją pod Yamagatą. Sądzę, że tylko teraz można ich pokonać, bo na zimę wycofają się do Hagi. Podobno miasta nie da się wziąć oblężeniem, zwłaszcza kiedy zaczną się śniegi.

Wpatrzył się we mnie badawczo. Siedziałem z niewzruszoną miną, wciąż odwracając wzrok.

- Mam do ciebie dwa pytania, Takeo. Jak udało ci się wykryć w Maruyamie członków Plemienia? I czy twoja ucieczka na wybrzeże była celowa? Myśleliśmy, że wpadłeś w pułapkę, ale przemieszczałeś się bardzo szybko, jakbyś wcześniej to zaplanował.

Uniosłem głowę i przelotnie spojrzałem mu w oczy.

- Przyjmuję twoją propozycję sojuszu - rzekłem. - Będę ci lojalnie służył. W

zamian oczekuję, że uznasz mnie prawowitym spadkobiercą klanu Otori i pomożesz mi odzyskać dziedzictwo Hagi.

Klasnął w dłonie, a gdy w drzwiach pojawił się służący, kazał przynieść wino.

Nie powiedziałem mu, że nigdy nie wyrzeknę się Kaede, on też zapewne nie był ze mną całkiem szczerzy, niemniej wypiliśmy uroczyście za nasze przymierze. Wolałbym dostać coś do jedzenia, a nawet herbatę; wino na pusty żołądek zapiekło mnie żywym ogniem.

- A teraz możesz udzielić odpowiedzi na pytania.

Opowiedziałem mu o zapiskach Shigeru na temat Plemienia i o tym, jak przekazano mi je w Terayamie.

- Gdzie są teraz? W Maruyamie?

-Nie.

- A więc gdzie? Nie powiesz mi?

- Nie mam ich w swoim posiadaniu, ale wiem, gdzie są. A większość informacji i tak mam w głowie.

- Więc dlatego tak ci się udało.

- Plemię najwyraźniej dąży do mojej śmierci - powiedziałem. - W Maruyamie nie ma ich wielu, lecz każdy z nich stanowi dla mnie zagrożenie, więc musiałem ich wyeliminować. Przyznaję, że wolałbym ich wykorzystać; wiem co potrafią i jacy mogą być użyteczni.

- Podzielisz się ze mną tymi zapiskami?

- Jeśli to nam obu pomoże osiągnąć cel.

Milczał przez chwilę, rozważając moje słowa.

- Rozwścieczyły mnie zesłoroczne poczynania Plemienia - odrzekł w końcu. -

Nie wiedziałem, że są tacy potężni. Porwali cię i ukryli, podczas gdy moi ludzie przeczesywali całą Yamagatę! Nagle zdałem sobie sprawę, że są jak grzyb pod domem albo korniki, które drążą podstawy wielkiego budynku. Chciałem się ich pozbyć - ale panowanie nad nimi oczywiście ma większy sens. Co przywodzi mi na myśl inną sprawę, o której chcę z tobą pomówić. Pamiętasz Muto Shizukę?

- Oczywiście.

- Wiesz, że miałem z nią dwóch synów?

Skinąłem głową. Znałem ich imiona, Zenko i Taku, wiedziałem też, ile mają lat.

- Wiesz, gdzie są teraz? - zapytał Arai; jego głos brzmiał dziwnie, niemal błagalnie.

Wiedziałem, ale nie zamierzałem mu powiedzieć.

- Nie całkiem - odparłem. - Pewnie odgadłbym, gdzie należy szukać.

- Niedawno zmarł mój syn z prawego łóża - oznajmił nagle Arai.

- Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro.

- Miał ospę, biedak. Zdrowie jego matki też nie jest najlepsze; bardzo przeżyła stratę.

- Głęboko współczuję.

- Wysyłałem do Shizuki wiadomość, że chciałbym mieć synów przy sobie, że chcę ich uznać i legalnie zaadoptować. Ale nie dała znaku życia.

- To twoje ojcowskie prawo - odrzekłem. - Ale Plemię zwykle zabiera dzieci mieszanej krwi, które odziedziczyły ich zdolności.

- Co to za zdolności? - zapytał ciekawie. - Shizuka jako szpieg była niezrównana, a i o tobie krążą najrozmaitsze pogłoski.

- Nic specjalnego. Ludzie przesadzają, to głównie kwestia treningu.

- Ciekawe - powtórzył, wpatrując się we mnie. Z trudem oparłem się pokusie spojrzenia mu w oczy. Nagle uświadomiłem sobie, że ocalenie i wino uderzyły mi do głowy. Siedziałem w milczeniu, usiłując odzyskać równowagę ducha.

- Cóż, pomówimy o tym jeszcze. Moje drugie pytanie dotyczyło twojej ucieczki na wybrzeże. Spodziewaliśmy się, że się wycofasz do Maruyamy.

Powiedziałem mu o układzie z rodziną Terada i o pomyśle, by podpłynąć do Hagi i wdrzeć się do zamku od strony morza, podczas gdy duża armia związałaby siły Otori na lądzie. Jak przewidywałem, natychmiast zapalił się do planu, a jego entuzjazm, by rozprawić się z Otori, zanim zima odetnie Hagi od reszty świata, jeszcze wzrósł.

- Możesz spowodować, by Terada zawarł ze mną sojusz? - zapytał z płonącymi niecierpliwością oczami.

- Zapewne będą chcieli czegoś w zamian.

- Dowiedz się, co to takiego. Kiedy się z nimi porozumiesz?

- Jeśli pogoda się utrzyma, wiadomość dotrze do nich w niecały dzień.

- Bardzo ci zaufałem, Otori. Nie zawieź mnie. - Mówił z pańską arogancją, lecz sądzę, iż obaj

wiedzieliśmy, że w naszym układzie ja również dysponuję sporą siłą.

Znów się skłoniłem. Podnosząc głowę zapytałem:

- Mogę zadać ci pytanie?

- Oczywiście.

- Gdybym na wiosnę zgłosił się do ciebie i poprosił o zgodę na poślubienie pani Shirakawa, byłbyś mi jej udzielił?

Uśmiechnął się, wśród ciemnego zarostu błysnęły białe zęby.

- Zareczyny z panem Fujiwarą były już uzgodnione. Mimo całej sympatii, jaką darzę panią Shirakawa i ciebie, wasze małżeństwo stało się niemożliwe. Nie mógłbym obrazić człowieka o randze i koneksjach Fujiwary. Poza tym - tu pochylił się ku mnie i zniżył głos - Fujiwara wyjawiał mi sekret, dotyczący śmierci lidy, którego prawie nikt nie zna. - Znów zachichotał. - Pani Shirakawa jest zbyt niebezpieczna, by pozwolić jej żyć na swobodzie. Wolę, aby ktoś taki jak Fujiwara trzymał ją w odosobnieniu. Wielu uważa, że należy ją zgładzić; można powiedzieć, że wielkoduszność Fujiwary ocaliła jej życie.

Nie chciałem już słuchać o Kaede, zbyt mnie to rozwścieczało. Wiedziałem, że nadal jestem w niebezpiecznym położeniu i nie powinienem dopuścić, by emocje zmały mi umysł. Pomimo przyjaznych słów Araiego oraz propozycji aliansu, nadal mu nie dowierzałem; czułem, że zbyt łatwo się wywinąłem, że ma w zanadrzu coś, co zamierza wykorzystać.

Kiedy wstaliśmy, rzucił od niechcienia:

- Widzę, że nosisz miecz Shigeru. Mogę obejrzeć?

Wyjąłem miecz zza pasa. Przyjął go z należytą czcią, po czym wyciągnął z pochwy. Szarobłękitna stal zaśniła w świetle słońca, ukazując falisty wzór.

- Wąż - rzekł Arai. - Cudownie leży w dłoni.

Wiedziałem, że pragnie tej broni. Zastanawiałem się, czy się spodziewa, że mu ją podaruję. Nie miałem najmniejszego zamiaru tego uczynić.

- Przysięgłem, że zatrzymam go aż do śmierci i przekażę swemu spadkobiercy -

powiedziałem spokojnie. - To skarb rodu Otori...

- Naturalnie - odparł chłodno Arai, nie oddając mi wszakże miecza. - A mówiąc o spadkobiercach, znajdę ci odpowiedniejszą żonę. Pani Shirakawa ma dwie siostry.

Zastanawiam się, czy nie wydać starszej za siostrzeńca Akity, ale dla młodszej nikogo jeszcze nie znalazłem. To piękna dziewczyna, bardzo podobna do siostry.

- Dziękuję, ale nie mogę myśleć o małżeństwie, dopóki moja przyszłość jest niepewna.

- Cóż, nie ma pośpiechu. Mała ma zaledwie dziesięć lat.

Wykonał mieczem kilka ruchów i Jato zaśpiewał smutno tnąc powietrze. Miałem ochotę wyrwać broń Araiemu i ze świstem odciąć mu głowę - chciałem Kaede, nie jej siostry Pojałem, że Arai drażni się mną, nie wiedziałem jednak, do czego zmierza.

Patrząc, jak zerka na mnie z uśmiechem, pomyślałem że byłoby to bardzo łatwe -

uśpić go wzrokiem, a gdy straci przytomność, odebrać mu miecz... Stałbym się niewidzialny, ominął strażę, uciekł na wieś...

A potem - co? Znow stałbym się uciekinierem, a moi ludzie, Makoto, bracia Miyoshi, zapewne także Hiroshi, zostaliby krwawo zgładzeni.

Wszystkie te myśli po kolei przeleciały mi przez głowę, zanim Arai zdążył

zakreślić Jato nad głową. Zaiste, był to piękny widok - potężny mężczyzna o skupionej, beznamietnej twarzy, poruszający się tak lekko, ostrze, tnące powietrze szybciej, niż nadażał wzrok... Nie miałem wątpliwości, że widzę przed sobą mistrza, którego umiejętności są wynikiem lat ćwiczeń i dyscypliny. Poczulem mimowolny podziw, zapragnąłem zaufać temu człowiekowi; postanowiłem zachować się jak wojownik i wykonać jego rozkazy, bez względu na to, jakie będą.

- Nadzwyczajna broń - rzekł w końcu, kończąc ćwiczenie, nadal jednak trzymał

Jato w dłoni. Oddychał trochę głębiej, na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Takeo, jest jeszcze coś, o czym musimy pomówić.

Milczałem.

- Krąży o tobie wiele pogłosek. Najbardziej uporczywe i obciążające plotki głoszą, że masz jakiś związek z Ukrytymi, a okoliczności śmierci Shigeru i pani Maruyama nie sprzyjają wyjaśnieniu sprawy. Tohańczycy zawsze twierdzili, że Shigeru przyznał się, że jest wyznawcą; podobno nie chciał złożyć przysięgi przeciwko Ukrytym ani zdeptać świętych wizerunków na rozkaz lidy. Niestety, upadku Inuyamy nie przeżył żaden wiarygodny świadek, więc nigdy nie poznamy prawdy.

- Shigeru nigdy o tym ze mną nie rozmawiał - odrzekłem zgodnie z prawdą.

Tętno mi przyspieszyło, czułem, że zostanę zmuszony do odrzucenia wiary mojej matki, i wzdragałem się przed tym. Nie miałem pojęcia, przed jakim stanę wyborem.

- Podobno pani Maruyama darzyła tych ludzi sympatią. Powiadają, że wielu z nich schroniło się w jej włościach. Nie znalazłeś na to dowodów?

- Bardziej zajmowało mnie tropienie członków Plemienia - powiedziałem. -

Ukryci zawsze wydawali mi się nieszkodliwi.

- Nieszkodliwi? - Arai znów wybuchnął gniewem. - To najbardziej zdradziecka i groźna wiara z możliwych! Obraża bogów, zagraża tkance naszego społeczeństwa!

Głosi, że najpodlejsi i najpokorniejsi - chłopci, niedotykalni - są równi szlachcie i wojownikom. Ośmiela się twierdzić, że wielcy panowie po śmierci będą ukarani tak samo jak pospólstwo, neguje i odrzuca nauki Oświeconego!

Piorunował mnie wzrokiem, na jego skroniach na brzmiały fioletowe żyły, oczy niemal wyszły z orbit.

- Nie jestem wyznawcą - oznajmiłem. Mówiłem prawdę lecz mimo to ogarnął

mnie żal za naukami dzieciństwa poczułem też ukłucie skruchy za wyrzeczenie się wiary.

- Chodź ze mną - mruknął Arai i zamaszyście wkroczył na werandę. Wartownicy natychmiast poderwali się na nogi, a jeden z nich podsunął mu sandały. Ruszyłem w ślad za całym orszakiem, idąc szybko brzegiem błękitnego stawu obok zagrody dla koni. Shun na mój widok zarżał głośno; Hiroshi, stojący obok niego z kubłem w ręku, znieruchomiał ze zbielełą twarzą, po czym upuścił kubek i rzucił się za nami. Z lewej strony zauważyłem poruszenie. Usłyszałem głos Makoto i odwróciwszy głowę, ujrzałem, że wjeżdża konno przez niższą bramę na teren świątyni, a na zewnątrz gromadzą się moi ludzie.

Zapadła pełna napięcia cisza; zapewne na widok Araiego, kroczącego na wzgórze z Jato w dłoni, zebrani uznali, że zostaną stracony.

Przy pierwszych skałach dostrzegłem kilkunastu związanych więźniów, zwykłą zbieraninę bandytów, szpiegów, bezpańskich wojowników oraz nieszczęśników, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Większość klęczała w milczeniu, pogodzona z losem, kilku cicho jęczało, jeden zanosił się przenikliwym łkaniem.

Pośród ich lamentów wyraźnie rozróżniałem półgłosne modły Jo-Ana.

Arai krzyknął i wyrzutka wyciągnięto z grupy. Patrzyłem na niego całkowicie zlodowaciały. Powtarzałem sobie, że nie wolno mi odczuwać ani litości, ani przerażenia

- że mam zrobić to, co rozkaże pan Arai.

- Otori, chciałem, żebyś publicznie zdeptał ohydne wizerunki Ukrytych, ale żadnych tu nie mamy. Ta kreatura, ten wyrzutek, został pojmany na drodze, gdy dosiadał konia wojownika. Moi ludzie rozpoznali go z Yamagaty; podejrzewano wówczas, że masz z nim jakiś związek. Mówiono, że zginął, ale teraz znowu się pojawił, bezprawnie oddalając się z miejsca zamieszkania oraz, jak nam wiadomo, towarzysząc ci w wielu bitwach. Nie czyni tajemnicy ze swojej wiary.

Spojrzał na Jo-Ana z miną pełną odrazy, po czym odwrócił się do mnie i podał mi miecz:

- Zobaczmy zatem, jak tnie Jato.

Nie widziałem oczu Jo-Ana; klęczał, był związany i nie mógł ruszyć głową.

Wciąż szeptał modlitwy, odmawiane przez Ukrytych w chwili śmierci, które docierały tylko do mnie. Nie miałem już czasu, mogłem jedynie wziąć Jato i go użyć. Gdybym się zawahał, nie zdołałbym tego zrobić i utraciłbym wszystko, o co walczyłem.

Poczułem w dłoni znajomy, pocieszający ciężar ostrza, pomodliłem się, by mnie nie zawiodło, i skupiłem wzrok na odsłoniętym, kościstym karku Jo-Ana.

Jato ciął czysto jak zawsze.

„W Yamagacie skróciłeś cierpienia mego brata. Jeśli tak się złoży, uczynisz to samo dla mnie?”

Tak się złożyło; spełniłem jego prośbę. Oszczędziłem mu udreki tortur, zsyłając równie szybką i honorową śmierć jak Shigeru. Lecz mimo to uważam ścięcie go za najgorszą rzecz jaką uczyniłem w życiu, a jej wspomnienie przyprawia mnie o szczękanie zębów i mdłości.

Nie mogłem tego okazać - każda oznaka żalu czy słabości oznaczałaby mój koniec. Śmierć niedotykalnego była mniej istotna niż śmierć psa. Nie spojrzałem w dół

na odciętą głowę i tryskającą strumieniem krew. Sprawdziłem klingę; była czysta.

Popatrzyłem na Araiego.

Przez chwilę wytrzymał mój wzrok, potem spuściłem oczy.

- No - rzekł z satysfakcją, rozglądając się po swych doradcach. - Mówiłem, że z Otorim nie będzie kłopotu. - Klepnął mnie po ramieniu, znów w świetnym humorze. -

Teraz coś zjemy i omówimy nasze plany. Niech twoi ludzie zostaną tutaj, dopilnuję, by zostali nakarmieni.

Całkowicie straciłem poczucie czasu. Zapewne minęło już południe. Gdy jedliśmy, zerwał się lodowaty, północno-zachodni wiatr i nagły przyływ zimna pobudził Araiego do działania. Postanowił wyruszyć następnego dnia o brzasku, dołączyć do reszty swej armii i natychmiast pomaszerować na Hagi. Ja miałem zabrać ludzi na wybrzeże, skontaktować się z Teradą i poczynić przygotowania do ataku od strony morza.

Ustaliliśmy, że bitwa odbędzie się podczas najbliższej pełni, w dziesiątym miesiącu. Gdybym nie zdążył przypłynąć na czas, Arai miał odwołać atak, umocnić władzę na dotychczas opanowanych terytoriach i wycofać się do Inuyamy, gdzie obiecałem doń dołączyć, jednak żaden z nas nie brał owego planu poważnie pod uwagę; byliśmy zdecydowani rozstrzygnąć losy wojny przed nastaniem zimy.

Wezwano Kaheiego, którego powitałem z radością, gdyż obaj sądziliśmy, że już nigdy się nie

zobaczymy. Nie mogłem zabrać wszystkich ludzi na morze; zamierzałem zarządzić kilkudniowy odpoczynek, a potem polecić Kaheimu, by poprowadził ich na wschód. Z Makoto jeszcze nie rozmawiałem. Nie byłem pewien, czy wziąć go ze sobą, czy odesłać z Kaheim, pamiętałem tylko, że mówił, iż nie zna się na morzu i okrętach.

Kiedy wreszcie zdołałem się z nim zobaczyć, okazało się, że obaj mamy pełne ręce roboty, organizując zakwaterowanie i wyżywienie w okolicy już i tak obciążonej ponad siły. Wydało mi się, że dostrzegam coś w jego wzroku - współczucie? sympatię? -

ale nie chciałem o tym mówić ani z nim, ani z nikim innym. Zapadł zmierzch, zanim z grubsza uporałem się ze wszystkim i wróciłem nad błękitne jezioro. Szczątki Jo-Ana zniknęły, podobnie jak ciała innych więźniów, straconych i pochowanych bez wielkiej ceremonii. Ciekaw byłem, kto się tym zajął; Jo-An przyszedł do mnie, by grzebać umarłych, kto jednak uczynił to samo dla niego?

Zajrzałem do koni. Sakai i Hiroshi karmili je, zadowoleni z dodatkowego dnia odpoczynku.

- Może powinieneś jutro wyjechać z panem Arai - zwróciłem się do Sakaiego. -

Chyba znów jesteśmy po tej samej stronie co Maruyama; możesz zabrać Hiroshiego do domu.

- Proszę wybaczyć, panie Otori - odparł - ale wolelibyśmy zostać z tobą.

- Konie się do nas przyzwyczały - wtrącił Hiroshi, gładząc krótką, umięśnioną szyję łapczywie jedzącego Shuna. - Nie odsyłaj mnie.

Byłem zbyt zmęczony, by się spierać, a poza tym istotnie wolałem zatrzymać chłopca i konia przy sobie. Zostawiłem ich i poszedłem w stronę kaplicy, czując, że muszę jakoś odkupić śmierć Jo-Ana, świadom roli, jaką w niej odegrałem. Opłukałem w zbiorniku ręce i twarz, po czym poprosiłem boginię o oczyszczenie ze skazy śmierci i o błogosławieństwo. Sam dziwiłem się swoim poczynaniom - najwyraźniej byłem gotów wierzyć we wszystko albo nie wierzyć w nic.

Siedziałem przez jakiś czas nad zdumiewająco błękitnym jeziorem, patrząc, jak słońce zachodzi za cedrami. Na płycznach przemykały małe srebrne rybki; potem, szybując na ogromnych szarych skrzydłach, przyleciała na polowanie czapla. Jak zwykle cierpliwa, stanęła bez ruchu z przekrzywioną głową, nawet nie mrugnawszy czarnym okiem - po czym uderzyła. Ryba szamotała się przez chwilę i została połknięta.

Dym z ognisk wędrował do góry, przenikając wstające znad jeziora opary.

Pierwsze gwiazdy rozbłysły na niebie niczym perłowy jedwab. Dziś nie było księżycy, wiatr niósł posmak zimy. Miasto nuciło wieczorną pieśń wielu ludzi, spożywających posiłek, a w powietrzu unosiła się woń gotowanych potraw.

Nie czułem głodu; prawdę mówiąc, przez prawie cały dzień walczyłem z mdłościami. Z trudem udawałem zapał, jedząc i pijąc z Arait i jego świtą, wiedziałem też, że wkrótce będę musiał do nich wrócić i wznosić dalsze toasty za wspólne zwycięstwo. Odwlekałem to jednak - wolałem obserwować jezioro, z którego powoli uchodziła barwa, jakby wyciekając do szarego wieczornego

nieba.

Czapla, mądrzejsza ode mnie, poderwała się z trzepotem skrzydeł i odleciała na noc do gniazda.

Miałem wrażenie, że w zapadających ciemnościach wreszcie mogę bezpiecznie rozmyślać o Jo-Anie. Czy jego dusza była już z bogiem, wszechwidzącym Tajemnym, który miał osądzić nas wszystkich? Nie wierzyłem, że taki bóg istnieje; gdyby tak było, czemu opuścił swych wyznawców w cierpieniu? Jednak jeśli istniał, to z pewnością już mnie skazał na męki piekielne.

„Wyszedłeś na światło dzienne i twoje życie nie należy już do ciebie”; Jo-An wierzył w tę przepowiednię. „Ceną pokoju jest rozlew krwi”; pomimo nauki Ukrytych, zabraniającej zabijać, znał i akceptował tę prawdę. Bardziej niż kiedykolwiek byłem zdecydowany doprowadzić do pokoju, aby jego krew, którą sam przelałem, nie poszła na marne.

Powtarzając sobie, że nie wolno tak siedzieć i rozpamiętywać, powoli podniosłem się na nogi, gdy wtem rozległo się wezwanie Makoto i czyjaś odpowiedź.

Rozpoznałem głos Shiro. Wskutek jednej z tych sztuczek, jakie czasem płata nam pamięć, zupełnie zapomniałem, że widziałem go wcześniej; spotkanie z Araim i to, co stało się później, całkowicie wyparło owo spotkanie z moich myśli. Teraz wszystk wróciło - jego głos wołający moje imię, i cisza towarzysząc mojemu przejazdowi przez miasto.

- Takeo! - krzyknął Makoto. - Ten człowiek cię szuka. Chce cię zaprosić do siebie.

Shiro zbliżył się do mnie z szerokim uśmiechem.

- Na razie naprawiliśmy tylko połowę dachu, ale za to mamy żywność i drewno na opał. To będzie dla nas zaszczyt.

Poczułem wdzięczność za jego przyziemną, praktyczną troskę - tego właśnie potrzebowałem.

- Dobrze się czujesz? - spytał cicho Makoto. Skinąłem głową, niepewny, czy zapanuję nad głosem.

- Bardzo mi przykro, że Jo-An musiał umrzeć - powiedział; już po raz drugi nazwał wyrzutka po imieniu.

- Nie zasłużył na to.

- Pod wieloma względami otrzymał więcej niż to, na co zasłużył: szybką śmierć z twojej ręki. Mogło być znacznie gorzej.

- Nie mówmy o tym; dokonano się. - Zapytałem Shiro, kiedy opuścił Hagi.

- Ponad rok temu - odparł. - Śmierć pana Shigeru bardzo mnie przygnębiła.

Kiedy zniknąłeś, nie miałem ochoty służyć panom Otori. Shuho to moje rodzinne miasto; w Hagi zamieszkałem jako czeladnik, gdy miałem dziesięć lat, ponad trzydzieści lat temu.

- Dziwię się, że pozwolili ci wyjechać - zauważyłem, gdyż mistrzowie ciesielscy klasy Shiro byli zazwyczaj w dużej cenie i klany zazdrośnie ich pilnowały.

- Opłaciłem im się - zachichotał. - W dobrach brakuje pieniędzy. Otori pozwolą odejść każdemu, kto wyłoży stosowną sumę.

- Nie mają pieniędzy? - zdumiałem się. - Ależ Otori to jeden z najbogatszych klanów w Trzech Krainach! Co się stało?

- Wojna, chciwość, nieudolność. I piraci też się przyczynili; handel morski niemal zamarł.

- To zachęcające wieści - rzekł Makoto. - Stać ich na utrzymanie wojska?

- Z trudem - powiedział Shiro. - Żołnierze są dobrze wyposażeni, gdyż większość dochodów idzie na broń i ekwipunek, ale ciągle brakuje jedzenia, a podatki są niebotyczne. Panuje ogromne niezadowolenie. Jeżeli pan Takeo wróci do Hagi, to na moje oko przyłączy się do niego pół armii.

- Ach tak, powszechnie wiadomo, że zamierzam wrócić?

Byłem ciekaw, ilu szpiegów mają Otori i kiedy ta wiadomość do nich dotrze.

Nawet jeśli ich nie stać na usługi Plemienia, Kikuta niewątpliwie pracują dla nich za darmo.

- Wszyscy mają taką nadzieję - odparł Shiro. - A skoro pan Arai cię nie zgładził, choć sądziliśmy, że to zrobi...

- Też tak sądziłem! - wykrzyknął Makoto. - Byłem przekonany, że zdążyłem przyjechać tylko po to, by ostatni raz na ciebie spojrzeć!

Shiro odwrócił głowę i spojrzał na nieruchome jezioro, ciemnoszare w gasnącym świetle.

- Spłynęłoby krwią - oznajmił spokojnie. - Niejeden łucznik mierzył w pana Araiego.

- Nie mów takich rzeczy - ostrzegłem. - Teraz to mój sojusznik. Uznałem go za suwerena.

- Być może - burknął Shiro. - Ale to nie Arai wszedł do Inuyamy, by pomścić pana Shigeru.

Rodzina Shiro - żona, dwie córki oraz zięciowie - przyjęła nas gościnnie w wyremontowanej części domu. Zjedliśmy razem wieczorny posiłek, po czym Makoto i ja poszliśmy napić się wina z Araim. Panowała tu wesoła, wręcz rubaszna atmosfera; najwyraźniej Arai był przekonany, że ostatnia twierdza opozycji niebawem upadnie.

I co wtedy? Niezbyt chciało mi się myśleć o przyszłości. Arai życzył sobie, bym osiadł w Hagi i zmusił Otorich, by zawarli z nim sojusz, sądziłem też, że szczerze pragnie ujrzeć, jak stryjowie Shigeru ponoszą zasłużoną karę. Ja jednak wciąż miałem nadzieję, że odzyskam żonę, poza tym, skoro moim przeznaczeniem była władza od morza do morza, wiedziałem, że w końcu muszę stoczyć walkę z Araim. A przecież właśnie przysiągłem mu wierność...

Piłem zaciekle, chętnie przyjmując mocną pociechę wina, z nadzieją, że choć na chwilę stępi moje obawy.

To była krótka noc. Już przed świtem pierwsze oddziały Araiego zaczęły się szykować do długiego marszu, a nim minęła godzina Smoka, wszystkie odeszły. W

mieście zapadła cisza, którą w końcu przerwały pierwsze odgłosy prac przy odbudowie. Sakai i Hiroshi spędzili noc z końmi - jak się okazało, na całe szczęście, gdyż ku oburzeniu Hiroshiego, dwóch wojowników niezależnie od siebie chciało uprowadzić Shuna, twierdząc, że jest ich własnością. Najwyraźniej jego sława rosła wraz z moją.

Spędziłem dzień na układaniu planów. Zebrałem ludzi, którzy umieli pływać lub wiedzieli cokolwiek o statkach i morzu, czyli wszystkich Otorich, oraz kilku miejscowych, towarzyszących nam, odkąd przybyliśmy na wybrzeże. Przejrzałem zbroję i wyposażenie, dając najlepsze sztuki przyszłym żeglarzom. Wysłałem włóczników do lasu, aby wycięli kije i lance dla ludzi, którzy mieli iść z Kaheim, pozostałych zaś skierowałem do pomocy przy odbudowie miasta i ratowaniu resztek zbiorów. Makoto wyruszył na wybrzeże, aby odszukać Ryomę i przekazać nasze plany rodzinie Terada. Marsz wojsk Araiego lądem miał potrwać dwukrotnie dłużej niż nasza podróż morską, zostało mi więc dość czasu, by porządnie się przygotować.

Ku mej uldze mieszkańcy miasteczka posiadali ukryte zapasy, które przeoczyli wygłodniali żołnierze Araiego, i chętnie się z nami podzielili. Tyle ponoszono dla mnie ofiar; tyle zależało od tego desperackiego ataku! A nadchodząca zima? Czy te walki o władzę miały skazać tysiące ludzi na śmierć głodową?

Nie chciałem o tym myśleć. Podjąłem decyzję. Musiałem iść naprzód.

Ten wieczór spędziłem z Shiro i jego synami, rozmawiając o sztuce budowania.

Pracowali nie tylko przy domu pana Shigeru - zbudowali większość budynków w Hagi i wykonali całą stolarkę na tamtejszym zamku. Narysowali mi plany wnętrza, uzupełniając to, co zapamiętałem w dniu, gdy klan Otori mnie adoptował. Co więcej, odkryli przede mną wszystkie tajne podłogi, zapadnie i schowki, jakie zainstalowali na polecenie Masahiro.

- Wygląda jak dom Plemienia - zauważyłem. Cieśle chytrze spojrzeli po sobie.

- No, może pewni ludzie maczali palce w projekcie - mruknął Shiro, dolewając wina.

Położyłem się, rozmyślając o związkach rodziny Kikuta i całego Plemienia z panami Otori. Czy teraz również zasadzili się na mnie w Hagi, wiedząc, że już nie muszą mnie ścigać, bo i tak do nich przyjdę? Pamiętałem, że zaledwie kilka tygodni temu ponownie próbowali odebrać mi życie, i to w tej samej okolicy, toteż spałem lekko, raz po raz budząc się do odgłosów jesiennej nocy i pogrążonego we śnie miasteczka.

Byłem sam w małym pomieszczeniu na tyłach domu; Shiro i jego rodzina spali w pokoju obok. Moi strażnicy czuwali na werandzie, każdego domu na tej ulicy strzegły psy. Niepodobna, by ktokolwiek

zdołał się do mnie zbliżyć - a jednak gdy w najciemniejszej porze nocy wynurzyłem się z niespokojnej drzemki, usłyszałem w pokoju czyjś oddech.

Nie miałem wątpliwości, że to ktoś obcy, gdyż oddychał w ów powolny, niemal niedosłyszalny sposób, jakiego i mnie uczono. Ale ten oddech był jakiś inny - lekki i pochodzący z innego miejsca, niż należało się spodziewać w przypadku dorosłego mężczyzny. Mimo że w ciemnościach nic nie było widać, natychmiast stałem się niewidzialny - przybysz mógł mieć lepszy wzrok niż ja - po czym bezszelestnie wyśliznąłem się z pościeli i przyczałem w kącie pokoju.

Z drobnych odgłosów oraz ruchu powietrza domyśliłem się, że intruz podchodzi do postania. Czulem już jego zapach, ale znowu - nie była to woń mężczyzny. Czyżby Kikuta wysłali przeciwko mnie kobietę albo dziecko? Wzdrygnąłem się z odrazy na myśl, że miałbym zabić dziecko, oceniłem, gdzie znajduje się nos przybysza, i jednym krokiem znalazłem się przy nim.

Moje dłonie otoczyły cienką szyję i odnalazły puls. Mogłem je zacisnąć i natychmiast go zabić, lecz kiedy go dotknąłem, pojąłem, że istotnie mam do czynienia z dzieckiem. Lekko zwolniłem uścisk, czując, że napina mięśnie, by sprawić wrażenie, że jest większy niż w rzeczywistości. Skorzystał z chwili ulgi, aby przełknąć ślinę, i wychrypiął pośpiesznie:

- Panie Takeo. Rodzina Muto chce zgody.

Ścisnąłem mu nadgarstki, aby rozwarł dłonie, zabrałem nóż i garotę ukrytą w ubraniu, ścisnąłem go za nos, sprawiając, że otworzył usta, po czym sprawdziłem, czy nie ukrywa tam igieł bądź trucizny. Wszystko to uczyniłem po ciemku i po cichu; chłopiec nie stawiał oporu. Potem zawołałem Shiro, by przyniósł lampę.

Na widok intruza niemal ją upuścił.

- Jak on tu wszedł? To niemożliwe!

Rzucił się, by spuścić małemu lanie, ale go powstrzymałem.

Odwrociłem ręce chłopca do góry; wnętrza dłoni przecinały charakterystyczne, proste linie. Uderzyłem go w twarz.

- Co to za kłamstwa o Muto, skoro masz znak Kikuta?

- Moją matką jest Muto Shizuka - rzekł spokojnie. - Przybyła z mistrzem Muto zaproponować ci rozejm.

-Więc co ty tu robisz? Nie mam zwyczaju negocjować ze smarkaczami!

- Chciałem zobaczyć, czy potrafisz - odparł, po raz pierwszy lekko się zacinając.

- Matka nie wie, że tu jesteś? Mogłem cię zabić! Co by się wtedy stało z rozejmem? - Znów go spoliczkowałem, choć już nie tak mocno. - Ty mały idioto! -

Zdałem sobie sprawę, że mówię dokładnie tak jak Kenji. - Jesteś Zenko czy Taku?

- Taku - szepnął.

A więc był to młodszy syn.

- Gdzie jest teraz Shizuka?

- Niedaleko. Zaprowadzić cię?

- Może o jakiejś przyzwoitszej porze.

- Muszę wracać - bąknął nerwowo. - Kiedy zobaczy, że mnie nie ma, naprawdę się wścieknie.

- Dobrze ci tak. Nie pomyślałeś o tym przed wyjściem?

- Czasem zapominam o myśleniu - przyznał skruszony. - Chcę coś zrobić i po prostu robię.

Stłumiłem śmiech.

- Zwiążę cię i zaczekasz tu do rana. Potem pójdziemy zobaczyć się z twoją matką.

Poleciałem Shiro przynieść sznur i związałem chłopca, każąc jednemu z zawstydzonych strażników, by nie spuszczał zeń oka. Taku sprawiał wrażenie potulnego - prawdę mówiąc, zbyt potulnego. Byłem pewien, że spróbuje ucieczki, ja zaś chciałem porządnie się wyspać. Poleciałem, by spojrzął mi w oczy. Posłuchał niechętnie, lecz prawie natychmiast gałki oczne uciekły mu do tyłu, a powieki opadły. Bez względu na inne zdolności - a te niewątpliwie były spore - na razie nie potrafił się oprzeć mocy snu Kikuta.

Będę mógł go tego nauczyć, pomyślałem ku swemu zaskoczeniu, a potem i ja zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, jeszcze spał. Przez chwilę przyglądałem się jego twarzy.

Nie dostrzegłem żadnego podobieństwa ani do mnie, ani do rodziny Kikuta; przypominał przede wszystkim matkę, zauważyłem też pewne rysy ojca. Jeżeli wpadł

mi w ręce syn Araiego... Jeżeli Muto naprawdę chcieli się ze mną pogodzić... Zalała mnie fala ulgi i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak głęboka była moja obawa przed spotkaniem starego nauczyciela, Kenjiego, jak bardzo bałem się tego spotkania.

Taku spał i spał, nie martwiłem się jednak - wiedziałem, że prędzej czy później Shizuka przyjdzie go szukać. Zjadłem z Shiro skromne śniadanie, po czym zasiadłem na werandzie z planami zamku Hagi, aby przed jej nadejściem utrwalić je w pamięci.

Lecz choć się jej spodziewałem, rozpoznałem ją dopiero, gdy znalazła się tuż pod domem. Zobaczyła mnie, ale poszłaby dalej, gdybym jej nie przywołał.

- Hej, ty!

Nie chciałem publicznie używać jej imienia.

Przystanęła i nie odwracając głowy zapytała:

- Ja, panie?

- Wejdź do środka, jeśli chcesz znaleźć to, czego szukasz.

Zsunęła sandały, wstąpiła na werandę i złożyła niski ukłon. Bez słowa skierowałem się do środka. Ruszyła za mną.

- Dawno cię nie widziałem, Shizuko.

- Witaj, kuzynie. Lepiej, żeby był cały i zdrowy!

- Mały dureń! Omal go nie zabiłem! Powinnaś lepiej go pilnować.

Łypnęliśmy na siebie nieufnie.

- Pewnie powinienem sprawdzić, czy nie masz broni. Nadzwyczajnie się ucieszyłem na jej widok, kusiło mnie nawet, aby ją przytulić, ale nie chciałem zarobić ciosu nożem pod żebra.

- Takeo, nie chcę ci zrobić krzywdy. Przyszliśmy tu z Kenjim zawrzeć z tobą pokój. Odwołał rodzinę Muto z pościgu za tobą; Kuroda zrezygnowali, inni chyba też.

Przyprowadziłam ci Taku na dowód dobrej wiary, nie wiedziałam, że sam się do ciebie wybierze.

- Plemię nie ma u mnie zbyt wysokiego kredytu zaufania - rzekłem cierpko. -

Dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Jeśli stryj przyjdzie, porozmawiasz z nim?

- Oczywiście. I przyprowadź też starszego syna. Moi ludzie się nimi zaopiekują, kiedy będziemy rozmawiać.

- Słyszałam, że stałeś się bezwzględny, Takeo - zauważyła.

- Nauczyłem się tego od naszych krewnych w Yamagacie i Matsue. Kenji zawsze powtarzał, że tylko tego mi brak.

Zawołałem córkę Shiro i poprosiłem o herbatę. – Usiądź - zwróciłem się do Shizuki. - Twój syn śpi. Napij się, a potem przyprowadź tutaj Kenjiego i Zenko.

Przyniesiono herbatę; Shizuka wolno sączyła napój.

- Pewnie słyszałeś, że Yuki nie żyje? - zapytała w końcu.

- Tak. Ta wiadomość głęboko mnie zasmuciła. Jestem oburzony, że tak z nią postąpiono. Wiesz o dziecku?

Shizuka przytaknęła.

- Stryj nie może wybaczyć rodzinie Kikuta. Dlatego zamierza złamać nakaz Kotaro i udzielić ci poparcia.

- Nie ma do mnie żalu?

- Nie, obwinia Kikuta za ich surowość i okrucieństwo. No i siebie, za wiele rzeczy: śmierć Shigeru, zachęcanie ciebie i Kaede, byście się zakochali, kto wie, może nawet za śmierć córki.

-Wszyscy się obwiniamy, ale to los nas wykorzystuje - rzekłem cicho.

- To prawda. Żyjemy w świecie; nie umiemy żyć inaczej.

- Masz jakieś wieści o niej?

Nie chciałem pytać o Kaede, nie chciałem ujawniać słabości i upokorzenia, ale nie mogłem się powstrzymać.

-Wyszła za mąż. Żyje w całkowitym odosobnieniu. Ale żyje.

- Możesz się z nią jakoś porozumieć? Rysy Shizuki złagodniały nieco.

- Przyjaźnię się trochę z medykiem Fujiwary, a dziewczyna Muto jest pokojówką w rezydencji. Więc od czasu do czasu coś do nas dociera. Ale niewiele da się zrobić. Nie śmiem nawiązywać bezpośredniego kontaktu. Sądzę, że nawet Kaede nie pojmuje, co jej grozi; Fujiwara skazywał już na śmierć służących, nawet towarzyszy, tylko dlatego, że upuścili tacę, złamali roślinę lub za podobne drobiazgi.

- Makoto twierdzi, że on z nią nie sypia...

- Też tak uważam. W ogóle nie lubi kobiet, ale w Kaede znalazł coś, co mu się podoba. Zalicza ją do swoich skarbów.

Zgrzytnąłem zębami ze złości. Wyobraziłem sobie, że zakradam się nocą do jego pałacu i powoli kroję go na kawałki.

- Chroni go pokrewieństwo z cesarzem - rzekła Shizuka, jakby czytając w moich myślach.

- Z cesarzem! A cóż może dla nas zrobić cesarz tak daleko w stolicy? Może nawet nie ma żadnego cesarza, może to bajka o duchach, wymyślona, żeby straszyć dzieci!

- Skoro mówimy o winie - powiedziała Shizuka, ignorując mój wybuch - to przyznaję, że też mam coś na sumieniu. Namówiłam Kaede, żeby kokietowała Fujiwarę; gdyby nie jego pomoc, wszyscy w Shirakawie umarlibyśmy z głodu zeszłej zimy.

Dopiła herbatę i ukloniła mi się oficjalnie.

- Jeśli pan Otori pozwoli, pójdę teraz po mego stryja.

- Spotkamy się tutaj za dwie godziny. Najpierw muszę załatwić kilka spraw.

- Panie Otori.

Dziwnie się poczułem, gdy Shizuka tak się do mnie zwróciła, gdyż przedtem nie słyszałem, by tytułowała kogokolwiek z wyjątkiem Shigeru. Zdałem sobie sprawę, że w trakcie naszej rozmowy przeszła od „kuzyna” przez „Takeo” do „pana Otori”. Nie wiadomo dlaczego sprawiło mi to przyjemność. Miałem uczucie, że skoro Shizuka uznaje moją władzę, to jest ona prawdziwa.

Kazałem strażnikom mieć oko na Taku i poszedłem sprawdzić, co zostało z mojego wojska. Dwa dni odpoczynku i przyzwoitego jedzenia działały cuda z ludźmi i i końmi- Niecierpliwiłem się, chciałem wrócić na wybrzeże, by jak lajszybciej porozumieć się z Fumio, pragnąłem też pojechać tam z jak najmniejszą eskortą, nie wiedziałem jednak, co zro-jić z resztą żołnierzy. Chodziło jak zwykle o jedzenie.

Ludność Shuho podjęła nas bardzo gościnnie, ale nie mogłem xzekiwać, że będą nas dalej żywić - byłoby to nadużycie zarówno ich zapasów, jak i dobrej woli. Nawet gdybym wysłał główne siły lądem w ślad za Araim, musiałbym zapewnić im srowiant.

Gdy wracając w południe do domu Shiro wciąż zastanawiałem się, co zrobić, przypominałem sobie nagle rybaka na plaży oraz bandytów, których tak się lękał. A może należało zorganizować wypad przeciwko złoczyńcom? Dałbym moim ludziom zajęcie, przywrócił bojowego ducha po naszej ucieczce, zjednałbym sobie przychylność miejscowej ludności, a może nawet zdobyłbym jakiś prowiant i ekwipunek. Im dłużej rozważałem ten pomysł, tym bardziej mi się podobał.

W cieniu okapu przykucnął mężczyzna - niepozorny, w skromnym, szaroniebieskim stroju, bez widocznej broni. Obok niego czekał chłopiec mniej więcej dwunastoletni. Obaj na mój widok podnieśli się powoli.

Skinąłem na nich:

- Wejdźcie.

Kenji zdjął sandały i zrobił krok na werandę.

- Ty zaczekaj tutaj - powiedziałem. - Niech chłopiec idzie ze mną.

Zaprowadziłem Zenko do pomieszczenia, gdzie leżał pogrążony we śnie Taku, zabrałem jego garotę, po czym rozkazałem strażnikom udusić obu chłopców, jeśli zostaną zaatakowany. Zenko milczał i nie

okazał strachu; jego podobieństwo do Araiego rzuciło się w oczy.

Następnie wróciłem do Kenjiego i usiadłem z nim w głównym pokoju. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa, aż wreszcie mój nauczyciel skłonił się i rzekł ze swą zwykłą ironią:

- Panie Otori.

- Słuchaj, Muto - oznajmiłem. - Taku również jest tutaj. Jeśli podejmiesz próbę zamachu na moje życie, on i jego brat natychmiast zginą.

Kenji wyraźnie się postarzał; na jego twarzy malowało się niespotykane znużenie, włosy na skroniach posiwiały.

- Takeo, nie chcę zrobić ci krzywdy. - Ujrzał mój grymas i niecierpliwie dodał: -

Panie Otori, pewnie mi nie uwierzysz, ale nigdy tego nie chciałem. Tej nocy u Shigeru, kiedy przysiągłem, że będę cię chronił, póki żyję, mówiłem poważnie.

- W dziwny sposób dotrzymujesz obietnic.

- Chyba wszyscy wiemy, co to znaczy być rozdartym między różnymi powinnościami - odparł. - Czy możemy już się tym nie zajmować?

- Cieszyłbym się, gdybyśmy nie byli wrogami.

Okazywałem mu większy chłód, niż naprawdę czułem; powstrzymywało mnie wszystko, co dotąd zaszło między nami. Długo winiłem go o śmierć Shigeru, teraz jednak smutek po śmierci Yuki i współczucie dla jego żałoby nieco złagodziły mój gniew. Sposób, w jaki potraktowałem jego córkę, nie przynosił mi chluby, a poza tym był jeszcze problem dziecka, mego syna, a jego wnuka.

- Sytuacja robi się nieznośna - westchnął Kenji. - W jakim celu mielibyśmy mordować się nawzajem? Przecież z początku Kikuta chcieli cię zatrzymać przede wszystkim dlatego, żeby ocalić twoje zdolności! Sami robią sobie na przekór! Wiem, że masz notatki Shigeru, i nie wątpię, że możesz zadać Plemieniu straszny cios.

- Wolalbym współpracować z Plemieniem, niż je zniszczyć, ale muszę być pewny waszej całkowitej lojalności. Jesteś w stanie to zagwarantować?

- W imieniu wszystkich z wyjątkiem rodziny Kikuta. Ci nigdy się z tobą nie pojednają. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał ponuro: - Ani ja z nimi.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej córki. Ponoszę winę za jej śmierć. Nie ma dla mnie wytłumaczenia. Chcę tylko powiedzieć, że gdybym mógł jeszcze raz przeżyć życie, wiele rzeczy zrobiłbym inaczej.

- Ja ciebie nie obwiniam; Yuki cię wybrała. Ale obwiniam siebie, gdyż wychowałem ją w przekonaniu, że ma więcej swobody niż w rzeczywistości. Kikuta zwątpili w jej lojalność w chwili,

gdy przyniosła ci Jato. Bali się jej wpływu na dziecko; pojmujesz, że chodzi o to, by cię znienawidziło.

A Yuki nigdy nie czuła do ciebie nienawiści, przeciwnie zawsze opowiadała się po twojej stronie. - Uśmiechnął się boleśnie. - Bardzo się rozgniewała, kiedy porwaliśmy cię w Inuyamie. Mówiła, że przetrzymywanie cię wbrew twej woli nic nie da.

Poczułem pieczenie w kącikach oczu.

- Kochała cię - powiedział Kenji. - Może też byś ją pokochał, gdybyś nie spotkał

wcześniej pani Shirakawa. Za to też się obwiniam. Osobiście doprowadziłem do waszego spotkania, i spokojnie patrzyłem, jak zakochujecie się w sobie podczas treningu, sam nie wiem po co! Czasem myślę, że w czasie tamtej podróży na nas wszystkich padł jakiś urok.

Też tak myślałem, wspominając strugi deszczu, siłę swej namiętności do Kaede i szaleńczą wyprawę na zamek Yamagata.

- Takeo, bardzo załuję, że wszystko tak się ułożyło, ale nie mam pretensji i nie chowam do ciebie urazy.

Urwał i tym razem nie miałem mu za złe poufałości. Gdy znów zaczął mówić, w jego głosie usłyszałem dalekie echo tonu dawnego nauczyciela:

- Często rzeczywiście postępujesz jak idiota, lecz los wyraźnie cię wykorzystuje w jakimś celu. Nie wiem dlaczego, ale jesteśmy ze sobą związani, więc jestem gotów powierzyć ci Zenko i Taku na znak swojej dobrej wiary.

- Wypijmy za to - powiedziałem i zawołałem córkę Shiro, by przyniosła wino.

Kiedy napełniła czarki i oddaliła się do kuchni, zapytałem:

- Wiesz, gdzie jest mój syn?

Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić dziecka, niemowlęcia, bez matki.

- Nie zdołałem się dowiedzieć. Ale podejrzewam, że Akio zabrał go na północ, poza granicę Trzech Krain. Pewnie zechcesz go odszukać?

- Kiedy to się skończy. - Kusilo mnie, by powtórzyć Kenjiemu słowa wyroczni, że mój własny syn mnie zabije, ale w końcu zachowałem je dla siebie.

- Podobno Kotaro, mistrz Kikuta, przebywa w Hagi - zauważył Kenji, gdy wypiliśmy.

- A więc tam się spotkamy. Mam nadzieję, że pójdziesz ze mną.

Obiecał, że tak uczyni, po czym uściskał mnie mocno.

- Co zrobisz z chłopcami? - zapytał. - Zatrzymasz ich przy sobie?

- Tak. Taku jest chyba bardzo zdolny. Uważasz, że mogę go wysłać z misją szpiegowską? Miałbym dla niego zadanie.

- Do Hagi? To go trochę przerasta.

- Nie, tu na miejscu. Chcę wytropić bandytów.

- To dla niego nieznane terytorium. Mógłby się zgubić. Co chcesz wiedzieć?

- Ilu ich jest, jak wygląda ich forteca i tak dalej. Taku ma dar niewidzialności, prawda? Inaczej nie zdołałby minąć moich strażników.

Kenji skinął głową.

- Może Shizuka się z nim wybierze. Ale byłoby dobrze, gdyby ktoś z miejscowych pokazał im drogę, w górach oszczędza to mnóstwo czasu.

Poprosiłem o przysługę córki Shiro i młodsza, która często chodziła w góry zbierać grzyby oraz rośliny jadalne i lecznicze, chętnie się zgodziła. Znała okolicę aż do wybrzeża choć starała się omijać tereny opanowane przez bandytów.

Tymczasem Taku zdążył się już obudzić i strażnicy zawołali mnie do niego.

Zenko siedział bez ruchu tam, gdzie go zostawiłem.

Na mój widok Taku uśmiechnął się szeroko i wykrzyknął:

- Widziałem we śnie Hachimana!

- To dobrze - odrzekłem - bo idziesz na wojnę.

Oboje z Shizuką wyruszyli jeszcze twego wieczora i niebawem wrócili, przynosząc potrzebne mi informacje. Razem z Makoto, który akurat przybył z wybrzeża, poprowadziliśmy dwustu ludzi do ataku na skalną kryjówkę bandytów.

Walka trwała krótko. Ponieśliśmy tak niewielkie straty, że właściwie trudno nazwać to starcie bitwą, ale jego wynik spełnił wszystkie moje oczekiwania. Zginęli wszyscy bandyci z wyjątkiem dwóch, których pojмалиśmy żywcem, zdobyliśmy prowiant, zgromadzony przez nich na zimę, uwolniliśmy także wiele uprowadzonych kobiet, wśród nich matkę i siostry dziecka, które karmiłem na plaży. Zenko walczył jak mężczyzna, a zdolności Taku okazały się nieocenione - nawet matka go pochwaliła.

Więc, że wróciłem i dotrzymałem słowa, szybko dotarła do rybackiej wioski i jej mieszkańcy natychmiast zaproponowali nam łodzie do transportu ludzi.

Wmawiałem sobie, że w całej tej aktywności chodzi o to, by dać żołnierzom zajęcie, ale prawdę mówiąc, podjąłem ją również z myślą o sobie. Rozmowa z Shizuką o Kaede i jej nieznosnym położeniu zwiększyła moją tęsknotę tysiącrotnie. W dzień miałem dość zajęć, by nie dopuszczać do siebie owych myśli, ale w nocy wracały, by tym silniej mnie dręczyć. Przez cały tydzień ziemia lekko drżała, ja zaś nieustannie widziałem Kaede, uwięzioną w zapadającym się budynku, ginącą w płomieniach.

Szalałem z niepokoju - że umrze, że pomyśli, iż ją porzuciłem, że zginę i nigdy się nie dowie, jak bardzo ją kochałem i że nigdy nie pokochałbym nikogo innego. Myśl, że Shizuka mogłaby przekazać jej wiadomość, wciąż do mnie wracała, dokuczliwa i natrętna.

Między Taku i Hiroshim ustaliły się dość burzliwe stosunki - choć byli niemal w tym samym wieku, pod względem charakteru i wychowania stanowili całkowite przeciwieństwo. Hiroshi odnosił się do Taku z dezaprobatą i był o niego zazdrosny, Taku płatał mu figle Plemienia, doprowadzając go do furii. Nie miałem czasu łagodzić ich kłótni, ale i tak chodzili za mną wszędzie, warcząc na siebie niczym szczeniaki.

Starszy chłopiec, Zenko, zachowywał wobec nich dystans. Wiedziałem, że jego plemienne umiejętności są nikłe, ale dobrze radził sobie z końmi i z dużą wprawą władał mieczem, poza tym doskonale opanował cnotę posłuszeństwa. Nie bardzo wiedziałem, co z nim pocznę w przyszłości, był jednak dziedzicem Araiego i wiedziałem, że prędzej czy później muszę podjąć w jego sprawie jakąś decyzję.

Na pożegnanie z mieszkańcami Shuho urządziliśmy wielką ucztę, po czym moi żołnierze, zaopatrzeni w prowiant zdobyty na bandytach, wymaszerowali do Hagi pod wodzą Kaheiego i Makoto. Wysłałem z nimi także Hiroshiego, uciszywszy jego protesty zgodą na to, by dosiadł Shuna; miałem nadzieję, że koń otoczy go taką samą troską jak mnie.

Ciężko mi było żegnać się z nimi, zwłaszcza z Makoto. Długo trzymałem przyjaciela w uścisku, żalując, że nie idziemy razem w bój, ale zupełnie nie znał się na statkach, poza tym był mi potrzebny jako dowódca armii lądowej. Przrzekliśmy sobie, że spotkamy się w Hagi.

Po odjeździe żołnierzy uznałem, że muszę być na bieżąco informowany o ich poruszeniach, o działaniach wojsk Araiego i o sytuacji w Maruyamie, ponadto chciałem znać reakcję Fujiwary na mój nowy sojusz z Araim. Przyszła pora, by wykorzystać siatkę szpiegowską rodziny Muto.

Kondo Kiichi, który przyjechał do Shuho z Shizuką i Kenjim, wstąpił na służbę do Araiego i mógł okazać się użyteczny. W końcu Arai i Fujiwara byli sprzymierzeńcami, co dawało Kondo pretekst, by zwrócić się do arystokraty wprost.

Shizuka opisała go jako człowieka pragmatycznego i posłusznego, gotowego służyć każdemu, kogo wskaże mu Kenji. Istotnie, bez wahania złożył mi przysięgę na wierność, po czym za zgodą Kenjiego wyruszył wraz z Shizuką nawiązać kontakt ze szpiegami Muto na południowym zachodzie.

Przed odjazdem Shizuki wziąłem ją na bok i poprosiłem o przekazanie Kaede wiadomości: że ją kocham, że wkrótce po nią przybędę, że ma być cierpliwa i nie umierać, zanim znów ją zobaczę.

- To niebezpieczne, zwłaszcza dla niej samej - rzekła Shizuka. - Zrobię, co będę mogła, niczego jednak nie obiecuję. Ale przed pełnią księżyca prześlemy ci jakieś wieści.

Wróciłem do opuszczonej kaplicy na wybrzeżu i rozłożyłem się tam obozem. Po tygodniu, kiedy księżyc wszedł w pierwszą kwadrę, dostaliśmy meldunek od Kondo: Arai stał się pod Yamagatą z armią Otori, która teraz wycofała się do Hagi. Ryoma wrócił z Oshimy z meldunkiem, że Terada są gotowi. Pogoda utrzymywała się dobra, morze było spokojne, jedynie drgania ziemi, wzbudzające niekiedy duże fale, wzmagaly moje poczucie, że czas nagli.

Dwa dni przed pełnią, w południe, dostrzegliśmy w oddali kilkanaście ciemnych kształtów, nadciągających z Oshimy. Była to flotylla piratów. Składała się z dwunastu okrętów - dostatecznie wielu, by razem z rybackimi łodziami pomieścić moich ludzi, którym kazałem ustawić się na plaży i przygotować do wejścia na pokład.

Z pierwszej łodzi wyskoczył Fumio i brodząc po pas w wodzie, wyszedł na brzeg; za nim podążał najemnik, niosący podłużne zawiniątko oraz dwa mniejsze koszyki. Serdecznie uściskałem przyjaciela.

- Mam ci coś do pokazania - powiedział. - Schowajmy się gdzieś, nie chcę, by wszyscy to widzieli.

Żeglarze zajęli się zaokrętowaniem żołnierzy, ja zaś zaprowadziłem Fumio do kaplicy. Towarzyszący mu pirat złożył pakunki na podłodze i oddalił się na werandę.

Po zapachu domyśliłem się już, co zawiera jeden z koszyków byłem jednak ciekaw, po co Fumio zadał sobie trud przywiezienia mi czyjeś głowy. Odwinął ją pierwszą.

- Obejrzyj to sobie, a potem szybko to zakopieśmy. Kilka tygodni temu zdobyliśmy statek z ludźmi na pokładzie - oto jeden z nich.

- To człowiek czy demon? - zapytałem, patrząc z odrazą na białą, wręcz perłową skórę, włosy żółte niczym żółtko ptasiego jaja, grube rysy, zakrzywiony nos.

- To jeden z barbarzyńców, którzy zrobili rurę do patrzenia.

- To ona? - wskazałem podłużny pakunek.

- Nie, to coś znacznie ciekawszego!

Odwinął przedmiot i podał mi go. Przyjąłem go nieufnie. - Jakaś broń?

Nie miałem pojęcia, jak się tym czymś posługiwać, ale nie miałem wątpliwości, że zostało stworzone do zabijania.

- Tak, i chyba umiemy zrobić coś podobnego. Już kazałem sporządzić kopię. Nie bardzo się udała - zabiła człowieka, który przeprowadzał próby - ale wiem, gdzie popełniliśmy błąd.

Oczy mu błyszczały, wręcz promieniały.

- Co takiego potrafi?

- Pokażę ci. Masz kogoś, kogo chciałbyś się pozbyć?

Pomyślałem o dwóch pojmanych bandytach. Rozpięliśmy ich na piasku, aby odstraszyć wszystkich, którzy chcieliby pójść w ich ślady, i podawaliśmy tylko tyle wody, by nie umarli od razu. Czekaając na Fumia, słyszałem ich jęki i pomyślałem nawet, że trzeba coś z nimi zrobić, zanim odpłyniemy.

Fumio przywołał najemnika, który przyniósł kociołek rozżarzonych węgli. Nie bacząc, że bandyci na przemian przeklinali i prosili nas o litość, kazaliśmy ich przywiązać do dwóch drzew, po czym oddaliliśmy się o jakieś pięćdziesiąt kroków.

Fumio przypalił od węgla koniec sznurka, przyłożył go do rury z tej strony, gdzie znajdował się hak, jakby sprężyna, a następnie uniósł rurę i mrużąc jedno oko, spojrzał

wzdłuż niej na więźniów. Rozległ się zaskakujący, krótki i ostry trzask, a nad rurą pojawił się obłoczek dymu. Jeden z bandytów wrzasnął dziko i z rany w jego krtani trysnęła krew; umarł w ciągu kilku sekund.

- Aha - rzekł Fumio z zadowoleniem. - Zaczynam pojmywać, o co chodzi.

- Kiedy będziesz mógł znów wystrzelić? - zapytałem. Broń była toporna i brzydka; nie miała urody miecza ani majestatu łuku, ale przypuszczalnie była skuteczniejsza od nich obu.

Fumio powtórzył całą procedurę, podczas gdy ja liczyłem oddechy. Gdy doszedłem do stu - w warunkach bitewnych byłoby to niedopuszczalnie długo - strzał

trafił drugiego bandytę w pierś, wrywając pokaźną dziurę. Byłem niemal pewien, że kula przebije większość zbroi; możliwości tej broni intrygowały mnie i odpychały zarazem.

- Wojownicy nazwą to bronią tchórzę - rzekłem. Fumio roześmiał się.

- Nie mam nic przeciwko temu, by walczyć jak tchórz jeśli to oznacza, że przeżyję!

- Weźmiesz to ze sobą?

- Jeżeli obiecasz, że to zniszczysz w razie przegranej. - Uśmiechnął się szeroko. -

Nie wolno dopuścić, by ktoś inny nauczył się to wytwarzać.

- Nie będzie przegranej. Jak to się nazywa?

- Broń ognista - odparł.

Wróciliśmy do środka i Fumio zawinął broń. Ohydna głowa patrzyła na nas niewidzącymi oczyma, wokół niej roiło się od much, a odór przepełniał całe pomieszczenie, przyprawiając mnie o mdłości.

- Zabierz to - zwróciłem się do pirata. Spojrzał na swego pana.

- Pokażę ci jeszcze coś - rzekł Fumio, rozwijając trzeci węzełek. - Miał to na szyi.

- Paciorki modlitewne? - zdziwiłem się, ujmując biały naszyjnik z paciorków, które wyglądały jak zrobione z kości. Jego koniec wymknął mi się z dłoni i nagle ujrzałem przed sobą krzyż, znak używany przez Ukrytych. Poczulem wstrząs, widząc w świetle dziennym coś, co uważałem za najgłębiej strzeżoną tajemnicę; w domu naszego kapłana w Mino słońce tworzyło na ścianie złoty krzyż o pewnych porach dnia, albowiem tak rozmieszczono okna, i ów ulotny wizerunek był jedynym, jaki dotąd widziałem.

Odrzuciłem paciorki, starając się nic po sobie nie pokazać.

- Dziwne. Jakaś barbarzyńska religia?

- Ależ ty jesteś niewinny, Takeo. To znak, który czczą Ukryci.

- Skąd wiesz?

- Wiem wiele rzeczy - odparł zniecierpliwiony. - Nie boję się wiedzy. Byłem na głównym lądzie, wiem, że świat jest znacznie większy od naszego archipelagu.

Barbarzyńcy podzielają wiarę Ukrytych; fascynuje mnie to.

- Ale w bitwie nie ma z tego pożytku!

Nie czułem fascynacji, tylko przerażenie, jakbym otrzymał złowieszczy sygnał od boga, w którego już nie wierzyłem.

- Co ci barbarzyńcy jeszcze mają? Takeo, kiedy już osiędziesz w Hagi, wyślij mnie do ich kraju. Handlujmy z nimi. Uczmy się od nich.

Z trudem sięgałem myślami tak daleko w przyszłość, mogłem się skupić jedynie na czekającej mnie walce.

Wczesnym popołudniem wszyscy moi ludzie znaleźli się na statkach, gdyż Fumio powiedział, że musimy zdążyć na wieczorny przypływ. Wziąłem Taku na barana i wraz z Kenjim oraz Zenko przebrnąłem po płyciźnie do łodzi Fumio, gdzie wciągnięto nas do środka. Flotylla wypływała już w morze, chwytając wiatr w żółte żagle.

Patrzyłem na ląd, który stawał się coraz mniejszy, a potem całkiem zniknął w wieczornej mgle. Shizuka obiecała, że przekaże nam wiadomość, zanim odpłyniemy, ale nie dała znaku życia, i to milczenie zwiększyło jeszcze mój niepokój o Kaede i o nią.



Rozdział dziesiąty

Rieko miała nerwowe usposobienie, toteż tajfun przeraził ją tak samo jak przedtem trzęsienie ziemi. Niemal całkowicie się załamała i mimo niedogodności, związanych ze sztormem, Kaede z ulgą przyjęła tę odrobinę swobody od jej nieustannego nadzoru. Niestety, po dwóch dniach, kiedy wiatr ucichł i nastąpiła przejrzysta, jesienna pogoda, Rieko wróciła do zdrowia, a także do swej nieznośnej, uporczywej troskliwości.

Codziennie wynajdywała nowe zabiegi, jakim należało poddawać Kaede: skubanie brwi, szorowanie otrębami ryżowymi, mycie i czesanie włosów, pudrowanie twarzy do uzyskania nienaturalnej bieli, nacieranie kremem dłoni i stóp, aż zyskały gładkość i przejrzystość perły. Wybierała dla Kaede stroje i z pomocą pokojówek ją ubierała. Czasami, w drodze wyjątku, czytała jej trochę albo grała na lutni - w których to sztukach, jak nie omieszkała Kaede powiadomić, była podobno niezwykle uzdolniona.

Fujiwara

przychodził

raz

dziennie.

Kaede,

pouczona przez

Rieko,

przygotowywała dla niego herbatę, krzątając się w milczeniu, podczas gdy on śledził

każdy jej ruch, z rzadka wtrącając jakąś uwagę. W ładne dni kobiety siadywały w pokoju, wychodzącym na mały, zamknięty ogród, gdzie oprócz dwóch powykręcanych sosen i ogromnie starej śliwy rosły krzewy azalii i piwonii.

- Na wiosnę będziemy mogły podziwiać kwiaty - zapowiedziała Rieko, gdyż na razie krzaki pokrywała przykurzona, jesienna zieleń, a Kaede pomyślała o czekającej ją nieskończenie długiej zimie, a potem następnej i następnej, które miała spędzić w roli martwego skarbu, przeznaczonego wyłącznie dla oczu pana Fujiwary.

Wspomniała inny ogród, w zamku Noguchi, gdzie przez chwilę siedziała z ojcem, gdy powiadomiono go o jej planowanych zaślubinach z panem Otori Shigeru.

Był wówczas taki dumny, z taką ulgą przyjął ów rzekomo świetny związek. Żadne z nich nie wiedziało, iż również tamto małżeństwo było fikcją, pułapką zastawioną na Shigeru. Miała tak niewiele rzeczy, którymi mogła zająć umysł, że raz po raz wracała do przeszłości i drobiazgowo rozpamiętywała wszystkie wydarzenia, lecz jednocześnie wpatrywała się w ogród i uważnie śledziła najmniejsze zmiany, jakie zachodziły podczas mijających wolno dni.

Śliwa zaczęła tracić liście i w ogrodzie zjawił się stary człowiek, który codziennie zbierał je z zielonej murawy. Kaede ukrywano przed jego wzrokiem, podobnie jak przed spojrzeniami wszystkich mężczyzn, ale mogła mu się przyglądać zza parawanu.

Z nieskończoną cierpliwością ujmował każdy liść w dwa palce, aby nie uszkodzić trawnika, i wrzucał do bambusowego kosza. Kiedy skończył, czesał trawę niczym włosy, usuwając każde suche źdźbło, każde ptasie piórko każdą okruszynkę kory i martwego owada. Przez resztę dnia murawa wyglądała nieskazitelnie, po czym świat i życie znów rozpoczynały swoją maleńką inwazję i następnego ranka wszystko powtarzało się od nowa.

Pokręcone gałęzie i pień starej śliwy porastał zielony i biały mech; Kaede przyłapała się na tym, że im również codziennie się przygląda. Odkryła, że małe wydarzenia mogą zaskakiwać: pewnego ranka z murawy wychynął bladoróżowy grzyb niczym kwiat wyrzeźbiony w mięsie, a kiedy czasem na czubku sosny przysiadł ptak i wydawał z siebie melodyjny tryl, jej tętno wyraźnie przyspieszało.

Ongiś zarządzanie majątkiem nie mogło zaspokoić jej czynnego, głodnego umysłu; teraz miała tak mało do roboty, że była przekonana, iż umrze z nudów.

Próbowała nasłuchiwać rytmu domostwa poza ścianami swych pokojów, lecz do jej samotni przenikało niewiele dźwięków. Kiedyś dobiegły ją kadencje fletu, przywodząc jej na myśl Makoto. Obawiała się spotkania z nim; świadomość, że wolno mu swobodnie przychodzić i odchodzić, swobodnie przebywać z Takeo i walczyć u jego boku, wzbudzała w niej straszliwą zazdrość, jednak z drugiej strony, pragnęła go zobaczyć i usłyszeć nowiny - dowolne nowiny. Ale nie miała jak się dowiedzieć, czy grającym był młody mnich.

Albowiem oprócz nudy najbardziej dręczyła ją niewiedza. Gdzieś tam przegrywano i wygrywano bitwy, przywódcy powstawali i upadali - a ona o niczym nie wiedziała. Nie docierały do niej żadne wiadomości; jedyną pociechę czerpała z przekonania, że gdyby Takeo zginął, Fujiwara na pewno by jej o tym powiedział, szydząc z niej, czerpiąc rozkosz z jej cierpienia.

Wiedziała, że Fujiwara nadal wystawia spektakle teatralne i zastanawiała się czasem, czy opisał jej historię, jak to kiedyś powiadał. Często przychodził do niej w towarzystwie Mamoru, który miał obserwować i naśladować jej zachowanie. Nie pozwalano jej oglądać przedstawień, ale dobiegały ją urywki słów i deklamacji, dźwięki muzyki, uderzenia w bębny. Czasem, gdy wiatr przynosił znajome słowa, sztuka, z której pochodziły, oblekała się w kształt w jej głowie i Kaede nagle odkrywała, że uroda słów i siła emocji poruszają ją do łez.

Ale jej własne życie było równie wzruszające i niezwykle. Zmuszona kontemplować najdrobniejsze szczegóły obecnej egzystencji, zaczęła szukać sposobów uchwycenia własnych uczuć. Słowa przychodziły do niej pojedynczo, jedno po drugim; czasem wybranie jednego zajmowało jej cały dzień. Nie znała poezji formalnej, z wyjątkiem nielicznych wierszy, które przeczytała w książkach ojca, ale zbierała słowa niczym złote paciorki i nizała je razem w sposób, który ją zadowalał. Wynik przechowywała w sercu jak największą tajemnicę.

Nade wszystko pokochała ciszę, w której formowały się wiersze, podobne do filarów w Świątyni Jaskiniach Shirakawy, wyrosłych kropla po kropli z wapiennej wody. Nie znosiła trajkotania Rieko, owej mieszaniny złośliwości i napuszenia, wyrażanej w pospolitych, banalnych słowach, nienawidziła wizyt Fujiwary, jego wymyślnej sztuczności będącej przeciwieństwem surowej prawdy, której szukała.

Jedynym mężczyzną, jakiego widywała poza nim, był Ishida. Odwiedziny medyka, który zaglądał do niej co kilka dni sprawiały jej radość, choć prawie ze sobą nie rozmawiali. Kiedy zaczęła szukać słów, przestała pić uspokajające napary, chciała być świadoma własnych uczuć bez względu na ból.

Obok wychodzącego na ogród pokoju znajdowała się domowa kaplica z posągami Oświeconego i wszechmiłosiernej Kannon. Nawet Rieko nie ośmielała się przeszkadzać Kaede w modlitwie, toteż dziewczyna klęczała tam przez wiele godzin, aż osiągnęła stan, w którym poezja i wiara zlały się w jedno, a codzienność wydawała się pełna świętości i znaczenia. Często medytowała na temat myśli, które przepelniały ją po bitwie pod Asagawą i podczas prześladowań, jakim Takeo poddawał Plemię, zastanawiając się, czy ów stan uniesienia, o który się otarła, da jej odpowiedź, jak rządzić bez użycia przemocy. A potem karciała się w duchu, wiedziała bowiem, że prawdopodobnie nigdy już nie będzie rządzić, poza tym zaś przyznawała szczerze, że gdyby miała władzę, szukałaby zemsty na wszystkich, którzy sprawili jej cierpienie.

Przed kaplicą dzień i noc płonęły latarnie; Kaede często zapalała kadzidło, aby jego ciężki aromat wypełnił jej nozdrza i przesycił powietrze. Często również, wiedziona impulsem, mocno uderzała w mały dzwonek wiszący na drewnianej ramie przy wejściu. Czysty ton rozbrzmiewał we wszystkich pokojach, aż pokojówki zerkały po sobie, bacząc, by nie dostrzegła ich Rieko. Znały trochę historię Kaede, współczuły jej i zaczynały coraz bardziej ją podziwiać.

Jedna z dziewcząt wzbudziła ciekawość Kaede. Z notatek, które przepisywała dla Takeo, wiedziała, że w domu Fujiwary są zatrudnieni członkowie Plemienia, z pewnością bez wiedzy właściciela. Dwóch mężczyzn, w tym zarządcę majątku, opłacał

cesarski dwór; zapewne byli to szpiedzy, donoszący stolicy o poczynaniach arystokraty.

Dwie pomoce kuchenne sprzedawały strzępki informacji każdemu, kto za nie zapłacił; była wszakże jakaś piąta osoba i tę właśnie Kaede rozpoznała - tak jej się wydawało - w interesującej ją pokojówce.

Nie miała do tego żadnych konkretnych podstaw, z wyjątkiem czegoś ulotnego, co przypominało jej Shizukę, na przykład podobnego kształtu dłoni. Kaede nie tęskniła za Shizuką tuż po ich rozstaniu, jej życie bez reszty wypełniał Takeo, teraz jednak, otoczona przez kobiety, dotkliwie odczuwała brak

towarzyszki, jej pogodnej twarzy, jej dzielności i odwagi.

Ale przede wszystkim brakowało jej wiadomości, a jeśli ktoś wiedział, co się dzieje na świecie, to z pewnością tym kimś był członek Plemienia - być może owa pokojówka imieniem Yumi. Niestety, Kaede nigdy nie przebywała z nią sam na sam, a nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu nie wchodziło w rachubę. Początkowo podejrzewała, że dziewczyna została przysłana, by ją zabić, z zemsty lub w celu ukarania Takeo, toteż przyglądała się jej dyskretnie, nie z obawy wszakże, lecz z ciekawości - jak ów akt się dokona, co wtedy poczuje, czy jej pierwszą reakcją będzie ulga czy żal. Nie oczekiwała po zabójcach litości; wiedziała o wyroku śmierci, wydanym na Takeo, tym bardziej kategorycznym po sankcjach, jakie podjął wobec Plemienia w Maruyamie. Jednakże w zachowaniu dziewczyny było coś, co sugerowało, że ta raczej nie odnosi się do niej wrogo.

Dni stały się krótsze i chłodniejsze; wypakowano i wywietrzono zimową odzież, letnie ubrania wyprano, poskładano i schowano. Przez dwa tygodnie Kaede nosiła stroje przejściowe, wdzięczna za cieplejsze okrycie. Rieko i pokojówki szyły i haftowały, lecz Kaede zabroniono się do nich przyłączać. Co prawda niezbyt lubiła szycie -

nieustannie musiała przewycięzać leworęczność - lecz dzięki niemu mogłaby jakoś zapełnić puste dni, poza tym podobały się jej barwy nici, urzekał ją sposób, w jaki kwiat albo ptak ożywał na ciężkiej jedwabnej tkaninie. Ze słów Rieko wywnioskowała jednak, że pan Fujiwara zakazał dawać jej do ręki igły, nożyczki i noże, nawet lustra przynosiła jej Rieko. Kaede wspomniała sporządzone z igły narzędzie walki, które dała jej Shizuka, tak maleńkie, że dało się ukryć w mankiecie, oraz użytek, jaki zrobiła z niego w Inuyamie. Czyżby Fujiwara obawiał się, że zostanie potraktowany tak samo?

Rieko nie spuszczała z Kaede oka, z wyjątkiem chwil, gdy odwiedzał ją Fujiwara.

Towarzyszyła dziewczynie do łaźni, a nawet do ustępu, gdzie przytrzymywała jej ciężkie szaty, potem zaś płukała jej ręce w zbiorniku. Kiedy Kaede zaczynała krwawić, Fujiwara na tydzień wstrzymywał wizyty, póki nie dopełniła rytuału oczyszczenia.

Czas mijał. Śliwa stała naga i bezlistna, a pewnego ranka na murawie oraz igłach sosny zamigotał szron. Przyływ zimna wywołał falę zachorowań i Kaede uległa jej jako jedna z pierwszych. Bolała ją głowa, w gardle kłuło, jakby połknęła tysiąc szpilek.

Gorączka przynosiła niepokojące sny, lecz po kilku dniach ustąpiła, pozostał jedynie kaszel, który męczył Kaede po nocach i na który Ishida przyrządzał jej napary z kory wierzbowej i walerianę.

Ale wówczas przeiębiła się Rieko, i to znacznie poważniej niż Kaede, jakby w wypadku starszej kobiety przypadłość okazała swą prawdziwą zjadliwość. Jej gorączka trwała już trzy dni, gdy nastąpił szereg lekkich wstrząsów ziemi, które wprawiły chorą w ostateczną, niepohamowaną panikę. Zaniepokojona Kaede wysłała Yumi po Ishidę.

Zanim przyszedł, zapadła noc; na intensywnie czarnym niebie wisiał srebrzysty księżyc w trzeciej kwadrze, gwiazdy były jak lodowe bryłki światła.

Ishida kazał Yumi przynieść gorącej wody, przyrządził silny napar i dał Rieko do picia. Stopniowo

konwulsje ustały, a łkania ucichły.

- Będzie spała przez jakiś czas - rzekł medyk. - Jeśli znów wpadnie w panikę, Yumi może jej dać jeszcze jedną porcję.

Jego słowa przerwał kolejny wstrząs; widoczny w otwartych drzwiach księżyc zakołysał się, podłoga pod stopami

Kaede uniosła się i opadła. Druga pokojówka pisnęła ze strachu i uciekła na dwór.

- Ziemia drży przez cały dzień - powiedziała Kaede. - Czy to zapowiedź

poważnego wstrząsu?

- Kto wie? - odparł Ishida. - Lepiej pogaś lampy przed zaśnięciem. Ja pójdę do domu i sprawdzę, co robi mój pies.

- Twój pies?

-Jeżeli śpi pod werandą, nic wielkiego się nie stanie. Ale jeśli wyje, zacznę się martwić.

Ishida zachichotał i Kaede zdała sobie sprawę, że dawno nie widziała go w tak dobrym humorze. Był cichym, opanowanym, sumiennym człowiekiem, kierującym się poczuciem obowiązku wobec Fujiwary oraz swym medycznym powołaniem, czuła jednak, że owego wieczoru stało się coś, co zmąciło jego opanowanie.

Odszedł, a Yumi podążyła za Kaede do sypialni, aby pomóc jej się rozebrać.

- Doktor wyglądał dziś na wesołego - zauważyła Kaede. Świadomość, że Rieko nie słucha każdego jej słowa, była tak przyjemna, że miała ochotę mówić dla samego mówienia. Szata ześliznęła się z jej ramion, a gdy Yumi uniosła jej włosy, skórę Kaede owionął oddech dziewczyny, w uchu zaś rozległ się szept:

- To dlatego, że przysłała do niego Muto Shizuka.

Kaede poczuła, że krew odpływa jej z głowy. Pokój, zda się, zawirował, nie wskutek wstrząsu, lecz jej własnej słabości. Yumi podtrzymała ją i powoli posadziła na rozłożonej macie, po czym wyjęła nocną szatę.

- Wasza wysokość nie może zmarznąć i znowu się zaziębić - mruknęła, pomagając Kaede się przebrać.

- Jakie są wieści? - zapytała cicho Kaede.

- Rodzina Muto zawarła rozejm z panem Otori. - Yumi jęła grzebień, by zająć się włosami Kaede. - Mistrz Muto już o niego dołączył.

Sam dźwięk jego imienia sprawił, że serce podeszło Kaede do gardła, po czym zamarło, przyprawiając ją niemal mdłości.

- Gdzie jest teraz?

- Na wybrzeżu, w Shuho. Poddał się panu Araiemu.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, co przeżył.

- Jest bezpieczny?

- Zawarł z Araiem sojusz. Razem zaatakują Hagi.

- Kolejna bitwa - szepnęła Kaede. Szalała w niej burza, oczy piekły ją ze wzruszenia. - A moje siostry?

- Czują się dobrze. Dla pani Ai zaaranżowano małżeństwo z bratankiem pana Akity. Proszę cię, pani, nie płacz. Nikt nie może się domyślić, że o tym wiesz. Od tego zależy moje życie. Shizuka przysięgała, że potrafisz ukryć swe uczucia.

Kaede nadludzkim wysiłkiem powstrzymała łzy.

- A młodsza siostra?

- Arai chciał ją zaręczyć z panem Otori, ale on twierdzi, że nikogo nie poślubi, dopóki nie weźmie Hagi.

Miała wrażenie, że jej serce przeszywa igła. Dotychczas nie przyszło jej to do głowy - ale Takeo, oczywiście, mógł znów się ożenić. Skoro ich ślub został anulowany, spodziewano się, że weźmie sobie kolejną żonę. Hana była naturalna kandydatką: związek z nią przypieczętowałby alians z Fujiwarą i dałby Araiemu kolejny punkt oparcia we włościach Maruyama i Shirakawa.

- Hana to jeszcze dziecko - rzekła głucho, podczas gdy grzebień orał jej czaszkę.

Czy Takeo już o niej zapomniał? Czy z radością powita jej siostrę, tak do niej podobną?

Zazdrość, która nią szarpała na myśl o Makoto, wróciła teraz tysiącokrotnie silniejszym skurczem. Przeniknęło ją nieznośne uczucie poniżenia, odosobnienia, uwięzienia. W

dniu, gdy usłyszę o jego zaślubinach, przysięgnę w duchu, zabiję się, choćbym miała odgryźć sobie język.

- Pan Otori z pewnością ma swoje plany - szepnęła Yumi.

- W końcu zmierzał tutaj, żeby cię ratować, gdy pan Arai pokrzyżował mu szyki i zmusił do ucieczki na wybrzeże. Tylko tajfun mu przeszkodził.

- Jechał mnie ratować? - powtórzyła Kaede. Zazdrość trochę osłabła, ustąpiwszy wdzięczności i nikłemu promykowi nadziei.

- Kiedy tylko dowiedział się o twym uprowadzeniu, wyruszył tu z tysiącem ludzi. - Kaede czuła, że Yumi drży.

- Przysłał Shizukę, by ci powtórzyła, że on cię kocha i nigdy z ciebie nie zrezygnuje. Bądź cierpliwa. On przyjdzie po ciebie.

Z sąsiedniego pokoju rozległ się jakiś dźwięk, jakby rozgorączkowany okrzyk.

Dziewczęta zamarły.

- Chodź ze mną do ustępu - powiedziała Kaede tak spokojnie, jakby przez cały wieczór mówiła wyłącznie: „Potrzyмай mi szatę”, albo: „Rozczesz mi włosy”. Była aż nazbyt świadoma, co ryzykowała Yumi, przynosząc jej wiadomości, i lękała się o jej bezpieczeństwo.

Yumi wzięła ciepłą opończę i otuliła Kaede. Cicho wstąpiły na werandę. Było zimniej niż kiedykolwiek.

- Dziś w nocy będzie mróz - zauważyła pokojówka. - Mam przynieść węgli do kociołka?

Kaede nasłuchiwała. Panowała cisza, nie było wiatru, nawet psy nie szczekały.

- Tak, spróbujmy się ogrzać.

Wchodząc do ustępu, zsunęła z ramion futro i dała Yumi do potrzymania.

Kucając w ciemnej wnęce, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, pozwoliła sobie na uczucie radości. Słowa pulsowały jej w głowie, słowa, które usłyszała niegdyś od samej bogini:

„Bądź cierpliwa. On przyjdzie po ciebie”.

*

Następnego dnia Rieko poczuła się lepiej; wstała i ubrała się o zwykłej porze, choć Kaede prosiła ją, by jeszcze odpoczęła. Od gór ciągnęło coraz większym chłodem, ale Kaede było ciepło jak nigdy, odkąd ją porwano. Próbowwała nie myśleć o Takeo, lecz wiadomość wyszeptana przez Yumi nieustannie zaprzętała jej umysł. Słowa, które przekazał, rozbrzmiewały w jej głowie tak głośno, że była pewna, iż ktoś je usłyszy. Ze zgrozą myślała, że zaraz się zdradzi; nie rozmawiała z Yumi, nawet na nią nie patrzyła, czuła jednak, że powstała między nimi więź, rodzaj spisku. Z pewnością Rieko ze swym wzrokiem kormorana nie mogła tego przeoczyć!

Po chorobie starsza kobieta zrobiła się jeszcze bardziej wybuchowa i złośliwa. Nic jej się nie podobało, narzekała na jedzenie, posyłała po trzy rodzaje herbaty, po czym twierdziła, że wszystkie są stęchłe, uderzyła Yumi, gdyż ta rzekomo nie dostarczyła w porę gorącej wody, a gdy druga pokojówka, Kumiko, wyznała, że boi się trzęsień ziemi, drwinami doprowadziła ją do łez.

Kumiko była dziewczyną pogodną, wręcz lekkomyślną, i zazwyczaj Rieko pozwalała jej na znacznie więcej niż innym pokojówkom, jednak tego ranka naraziła się na niemiłosierne szyderstwo; Rieko zareagowała na jej lęki wzgardliwym śmiechem, jakby zapominając, że sama je podziela.

Uciekając od przykrej atmosfery, Kaede usiadła w swym ulubionym miejscu z widokiem na maleńki ogród. Nieliczne promienie słońca przenikały jeszcze do pokoju; za kilka tygodni zewnętrzne mury miały je całkowicie zasłonić. Zima w pałacu Fujiwary zapowiadała się ponuro - ale przecież on przyjdzie po nią przed zimą?

Nie widziała gór, lecz wyobrażała sobie, jak wznoszą się nad domem na tle jesiennego błękitu. Zapewne miały już śniegowe czapy. Nagle na sośnie przysiadł ptak, ćwierknął donośnie i śmignął nad dachem, błyskając bielą i zielenią skrzydeł. Kaede przypomniała sobie ptaszka, którego niegdyś namalował dla niej Takeo. Czyżby to był

znak - znak, że wkrótce będzie wolna?

Z tyłu dobiegły ją podniesione głosy kobiet. Kumiko płakała:

- Nic na to nie poradzę! Kiedy dom zaczyna się trząść, muszę wybiec na dwór.

Nie mogę tego znieść!

- Wczoraj też tak zrobiłaś? Zostawiłaś jej wysokość samą, kiedy ja spałam?

- Yumi była z nią przez cały czas - chlipnęła Kumiko.

- Pan Fujiwara rozkazał, żeby zawsze były przy niej dwie osoby! - W pokoju rozległ się trzask policzka.

Kaede pomyślała o locie ptaka i łzach kobiety. Zapiękło ją pod powiekami.

Usłyszała kroki; wiedziała, że Rieko stoi tuż za nią, lecz nie odwróciła głowy.

- A więc pani Fujiwara była wczoraj wieczorem sama z Yumi. Słyszałam wasze szepty. O czym gadałyście?

- Szeptaliśmy, żeby ci nie przeszkadzać. Rozmawialiśmy o zwykłych rzeczach; jaki jasny jest księżyc, jaki zimny wiatr. Poprosiłam ją, by mnie uczesała, a potem odprowadziła do ustępu.

Rieko uklękła obok Kaede, próbując spojrzeć jej w twarz. Od mocnej woni perfum Kaede zaczęła kaszleć.

- Nie dręcz mnie - powiedziała, odwracając głowę. - Obie źle się czujemy.

Spróbujmy spędzić ten dzień w spokoju.

- Ależ ty jesteś niewdzięczna - pisnęła Rieko głosem ciekim jak u komara. - I głupia. Pan Fujiwara

zrobił dla ciebie wszystko, a ty nadal wyobrażasz sobie, że go oszukasz.

- Chyba masz gorączkę - odparła Kaede. - Coś sobie ubzdurałaś. Jakże mogłabym oszukać pana Fujiwarę? Jestem pod każdym względem jego więźniem.

- Jego żoną - Rieko poprawiła dobitnie. - Sam fakt, że używasz słowa „więzień”, dowodzi, że wciąż się buntujesz przeciwko mężowi.

Kaede milczała, wpatrując się w rysunek sosnowych igieł na tle nieba. Bała się, że Rieko ją przejrzy. Wiadomość przyniesiona przez Yumi dała jej nadzieję, lecz odwrotną stroną nadziei był strach: o Yumi, o Shizukę, o siebie.

- Jakoś się zmieniałaś - mruknęła Rieko. - Myślisz, że tego nie widzę?

- To prawda, trochę mi gorąco. Mam wrażenie, że gorączka wróciła.

Czy już są w Hagi? - myślała. Czy on w tej chwili walczy? Żeby nic mu się nie stało! Żeby przeżył!

- Idę się pomodlić - oznajmiła.

Uklękła w kaplicy. Kumiko przyniosła węgle i zapaliła kadzidło. Ciężki zapach owionął pomieszczenia, przynosząc siedzącym w nich kobietom chwilowy pokój.

Kilka dni później Yumi poszła do kuchni po południowy posiłek i nie wróciła.

Zamiast niej pojawiła się starsza służąca, która w milczeniu podała tacę. Kumiko miała czerwone oczy i siąkała nosem, lecz gdy Kaede próbowała się dopytać, jak się czuje, Rieko ucięła:

- Zaziębiła się i tyle.

- Gdzie jest Yumi?

- Aa, ona cię interesuje? To dowodzi, że moje podejrzenia były słuszne.

- Jakie podejrzenia? - zapytała Kaede. - O co ci chodzi? Nie żywię do niej żadnych uczuć, po prostu zastanawiam się, gdzie jest.

- Więcej jej nie zobaczysz - rzekła zimno Rieko. Z gardła Kumiko wyrwał się stłumiony dźwięk, jakby powstrzymywany szloch.

Kaede zlodowaciała, lecz jej skóra płonęła. Miała wrażenie, że ściany zaciskają się wokół niej. Wieczorem straszliwie rozboleła ją głowa, poprosiła więc Rieko, by posłała po Ishidę.

Kiedy przyszedł, przeraziła się jego wyglądem. Kilka dni wcześniej promieniał

radością; teraz miał szarą, zapadniętą twarz, oczy jak zgasłe węgle, ściągnięte rysy.

Zachowywał się spokojnie jak zwykle i mówił do niej z wielką dobrocią, ale było jasne, że stało się coś strasznego.

A Rieko o tym wiedziała - patrząc na jej zesznurowane usta i kłujące spojrzenie, Kaede była tego pewna. Niemożność wypytania doktora była jak tortura; świadomość, że nigdy się nie dowie, co się dzieje w domu i w świecie poza nim, doprowadzała ją do obłądu. Ishida dał jej napar z kory wierzbowej, po czym pożegnał się z niezwykłą serdecznością. Podejrzewała, że to ich ostatnie spotkanie, i mimo środka nasennego spędziła niespokojną noc.

Rano znów próbowała wypytać Rieko o zniknięcie Yumi i złe samopoczucie Ishidy, lecz usłyszała w odpowiedzi wyłącznie zawoalowane oskarżenia. Postanowiła rozmówić się z samym Fujiwarą, którego nie widziała prawie od tygodnia, gdyż unikał

ich pokoiów w czasie choroby. Nie mogła dłużej znieść niejasnej atmosfery zagrożenia.

- Powiedz panu Fujiwarze, że chciałabym się z nim zobaczyć - poleciła Rieko, gdy skończyła się ubierać.

Kobieta osobiście spełniła prośbę i przyniosła odpowiedź:

- Jego wysokość jest zachwycony, że żona pragnie jego towarzystwa. Na dzisiejszy wieczór przygotował wyjątkową rozrywkę. Wtedy się z tobą zobaczy.

- Chciałabym rozmawiać z nim w cztery oczy - rzekła Kaede.

- W tej chwili nie ma żadnych szczególnych gości - wzruszyła ramionami Rieko. -

Będzie z nim tylko Mamoru. Lepiej się wykąp, a potem wymyjemy ci włosy, żebyś zdążyła je wysuszyć na słońcu.

Kiedy włosy wreszcie wyschły, Rieko uparła się, by przed upięciem mocno natrzeć je oliwą. Kaede włożyła pikowane szaty, ciesząc się z ich ciepła; dzień, mimo że słoneczny, był przenikliwie chłodny, a z mokrymi włosami bardzo zmarzła. W południe zjadła trochę zupy, lecz gardło i żołądek nie chciały przyjmować pokarmu.

- Jesteś całkiem biała - zauważyła Rieko. - Pan Fujiwara podziwia to u kobiet.

Kaede zadygotała, słysząc ton jej głosu. Musiało się stać coś strasznego - na pewno już się stało - i wszyscy oprócz niej o tym wiedzieli, zamierzali jednak powiedzieć jej o tym dopiero, kiedy im się spodoba. Serce jej łomotało, czuła jego bicie w krtani i brzuchu. Z zewnątrz dobiegły głucho uderzenia młotka, jakby echem powtarzając rytm tętna.

Poszła się pomodlić do kaplicy, lecz i to nie przyniosło jej spokoju. Późnym popołudniem zjawił się Mamoru, który zaprowadził ją do pawilonu, tego samego, gdzie na początku roku oglądała z Fujiwarą pierwszy śnieg. Choć nie zapadł jeszcze zmrok, w nagich gałęziach drzew zapalono latarnie, a w kociołkach na werandzie płonęły węgle.

Zerknęła na młodzieńca, usiłując coś wynioskować z jego zachowania. Był równie blady jak ona, odniosła też wrażenie, że dostrzega w jego oczach błysk litości. Jej obawy jeszcze wzrosły.

Od tak dawna nie widziała wolnej przestrzeni, że roztaczający się przed nią pejzaż, ogrody i wznoszące się za nimi góry, wydał się jej niewymownie piękny.

Ostatnie promienie słońca barwiły ośnieżone szczyty różem i złotem, przejrzyste niebo przybrało srebrzystobłękitny kolor. Kaede chłonęła widok, jakby to była ostatnia rzecz na ziemi, jaką dane jej było oglądać.

Mamoru otulił ją niedźwiedzim futrem i powiedział cicho:

- Pan Fujiwarą zaraz do ciebie przyjdzie.

Na wprost werandy rozpościerał się niewielki plac, wysypany drobnym, białym żwirem, zagrabionym w spiralne wzory. Na jego środku tkwiły dwa świeżo wkopane, drewniane pale. Kaede zmarszczyła czoło; psuły wzór kamyków w sposób brutalny, niemal groźny.

Usłyszała tupot nóg i szelest jedwabnych szat.

- Jego wysokość się zbliża - mruknęła Rieko za jej plecami i obie przypadły do ziemi.

Kaede owionęła specyficzna woń perfum Fujiwary. Usiadł obok niej w milczeniu, a gdy wreszcie przemówił, pozwalając jej się wyprostować, miała wrażenie, że w jego głosie brzmi gniew. Serce jej zadrżało. Próbowwała przywołać na pomoc odwagę - ale nie miała już odwagi. Czowała tylko śmiertelne przerażenie.

- Cieszę się, że wyzdrowiałaś - rzekł z lodowatą uprzejmością.

W ustach wyszło jej tak, że ledwie zdołała wyszeptać:

- To dzięki opiece waszej wysokości.

- Rieko przekazała mi, że chcesz ze mną mówić.

- Zawsze pragnę twego towarzystwa... - zaczęła, lecz urwała, widząc na jego wargach szydery grymas.

Niechaj się nie lękam, modliła się w duchu. Kiedy zobaczy, że się boję, będzie wiedział, że mnie zламаł... W końcu to tylko człowiek; obawiał się dać mi choćby igłę!

Wie, co potrafię. Wie, że zabiłam Iidę.

Zaczerpnęła tchu.

- Czuję, że dzieją się wokół mnie rzeczy, których nie rozumiem. Czy obraziłam waszą wysokość? Proszę, powiedz mi, jaki błąd popełniłam.

- Dzieją się rzeczy, których nawet ja nie rozumiem - odparł. - Rzekłbym, że to prawie spisek. I to w moim własnym domu! Nie mogłem uwierzyć, że moja własna żona zniżyła się do takiej niegodziwości, ale Rieko powiedziała mi o swoich podejrzaniach, a pokojówka przed śmiercią je potwierdziła.

- O jakich podejrzaniach? - zapytała Kaede, nie okazując emocji.

- Że ktoś przyniósł ci wiadomość od Otori.

- Rieko kłamie - rzekła Kaede, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Nie sądzę. W okolicy widziano twoją byłą towarzyszkę, Muto Shizukę.

Zdziwiło mnie to. Jeśli chciała się z tobą widzieć, powinna była zwrócić się do mnie.

Wtedy przypomniałem sobie, że Arai wykorzystywał ją jako szpiega, a pokojówka zeznała, że wysłał ją Otori. Już samo to mną wstrząsnęło, lecz wyobraź sobie moje zdumienie, gdy odkryłem ją w pokojach Ishidy! Byłem zdruzgotany - Ishida, mój najbardziej zaufany sługa, niemal przyjaciel! To bardzo niebezpieczne, kiedy nie można ufać własnemu medykowi. Jakże łatwo mógłby mnie otruć!

- Jest całkowicie godzien zaufania - wtrąciła Kaede. - Jest ci wręcz oddany. Nawet jeśli to prawda, że Shizuka przyniosła mi wiadomość od pana Otori, doktor Ishida nie ma z tym nic wspólnego.

Spojrzał na nią, jakby nie pojmowała, co się do niej mówi.

- Spali ze sobą - oznajmił. - Mój medyk miał romans z kobietą, znaną jako szpieg.

Kaede zamilkła. Nie wiedziała o tym związku; zbyt była owładnięta własną namiętnością, by coś zauważyć. Teraz wydał się jej oczywisty. Przypomniała sobie, jak często Shizuka chodziła do Ishidy po lekarstwa albo herbatki. Takeo wysłał Shizukę, żeby przyniosła jej wiadomość, Shizuka odważyła się spotkać z Ishidą, a teraz oboje mieli ponieść za to karę.

Słońce zaszło za góry, lecz nie było jeszcze całkiem ciemno. Nad ogrodami zapadał zmierzch, rozproszony światłem latarni. Po niebie, kracząc gorzko, przeleciała do gniazda samotna wrona.

- Bardzo lubię Ishidę - rzekł Fujiwara - wiem też, że przywiązałaś się do swojej kobiety. To tragedia, lecz powinniśmy spróbować dać sobie nawzajem pociechę w żałobie. - Zaklaskał w dłonie: - Mamoru, przynieś wina. Pora zacząć spektakl. - I pochylając się do Kaede dodał: - Nie musimy się spieszyć, przed nami cała noc.

Nadal nie pojmowała, o co mu chodzi. Spojrzała na jego twarz, zobaczyła bladość i okrutne wygięcie warg oraz zdradzające wszystko drganie małego mięśnia szczęki.

Czując na sobie jego spojrzenie, odwróciła wzrok i spojrzała na pale. Ogarnęła ją nagła słabość, latarnie i białe kamienie zawirowały jej przed oczami. Odetchnęła głęboko, aby się opanować.

- Nie rób tego - wyszeptała. - To niegodne ciebie.

W oddali wył pies, wył bez przerwy, bez ustanku. To pies Ishidy, pomyślała Kaede i niemal uwierzyła, że to wycie rozlega się w jej sercu, tak doskonale wyrażało jej rozpacz i przerażenie.

- Nieposłuszeństwo i nielojalność muszą zostać ukarane - oświadczył. - Poza tym to zniechęci innych.

- Jeśli muszą umrzeć, niech to nastąpi szybko - poprosiła. - W zamian uczynię wszystko, czego zażadasz.

- Przecież już i tak musisz wszystko robić - odparł, jakby zdumiony. - Cóż jeszcze możesz mi zaproponować ponad powinności żony?

- Bądź miłosierny! - wręcz błagała.

- Miłosierdzie nie leży w mojej naturze. Droga żono, twoje atuty się wyczerpały.

Sądziłaś, że możesz mnie wykorzystać do swoich celów. Teraz ja cię wykorzystam.

Kaede usłyszała chrzęst kroków na żwirze. Spojrzała w tamtą stronę, jakby potęgą wzroku mogła dosięgnąć i ocalić Shizukę. Strażnicy nadchodzili z wolna. Byli uzbrojeni w miecze, nieśli także inne przyrządy, których wygląd nappełnił usta Kaede metalicznym smakiem lęku. Większość żołnierzy miała posępne miny, lecz jeden z nich szczyrzył zęby w nerwowym podnieceniu. Ishida i Shizuka wydawali się między nimi maleńcy - dwie ludzkie istoty o ogromnej zdolności odczuwania bólu.

Gdy przywiązywano ich do pali, żadne nie wydało dźwięku, tylko Shizuka uniosła głowę i spojrzała wprost na Kaede. To się nie może wydarzyć, pomyślała Kaede.

Zażyją truciznę.

Fujiwara powiedział:

- Mam wrażenie, że nie zostawiliśmy twej kobiecie żadnej drogi ocalenia, ale chętnie to sprawdzę.

Kaede nie wiedziała, co zamierza Fujiwara, jakie obmyślił tortury, jaką straszną śmierć, ale w zamku Noguchi słyszała dosyć opowieści, by wyobrazić sobie najgorsze.

Czuła, że zaraz utraci panowanie nad sobą. Niemal wstała - rzecz sama w sobie niesłychana w obecności Fujiwary - próbując go ubłagać, lecz w chwili, gdy słowa nieskładnie wyrwały się z jej ust, przy głównej bramie nastąpiło jakieś zamieszanie.

Strażnicy wydali krótki okrzyk, po czym do ogrodu wkroczyli dwaj mężczyźni.

Jednym z nich był Murita, ten sam, który wyjechał po nią z eskortą, a potem z zaskoczenia zabił jej ludzi. W lewej ręce trzymał miecz; prawa wciąż nosiła świeżą bliznę od jej cięcia.

Drugiego nie rozpoznała, choć było w nim coś znajomego. Uklękli przed Fujiwarą i Murita przemówił:

- Panie Fujiwarą, wybacz, że ci przeszkadzam, ale ten człowiek twierdzi, że przynosi pilną wiadomość od pana Araiego.

Kaede przypadła do podłogi, wdzięczna za zwłokę, choćby tak niewielką.

Zerknęła na drugiego mężczyznę, zauważyła jego długie ramiona oraz duże dłonie i wstrząśnięta pojęła, że ma przed sobą Kondo. Jego twarz się zmieniła, a gdy się odezwał, jego głos również brzmiał inaczej. Ale Murita i Fujiwarą musieli go rozpoznać!

- Panie Fujiwarą, pan Arai przysyła ci pozdrowienia. Wszystko idzie zgodnie z planem.

- Otori zginął? - zapytał arystokrata, zerkając na Kaede z ukosa.

- Jeszcze nie - odpowiedział Kondo. - Lecz tymczasem pan Arai prosi, abys oddał

mu Muto Shizukę. Jest nią osobiście bardzo zainteresowany i życzy sobie, aby pozostała przy życiu.

Kaede zalała fala ulgi; skoro Arai żąda powrotu Shizuki, Fujiwarą nie ośmieli się jej skrzywdzić.

- Cóż to za osobliwa prośba - odparł Fujiwarą - i osobliwy posłaniec. Rozbroić tego człowieka! - rozkazał Muricie. - Nie ufam mu.

Pies zawył ze zdwojoną siłą. Kaede wydało się, że świat przez chwilę stanął w miejscu. Murita ruszył w stronę Kondo, Kondo sięgnął po miecz, rozległ się straszliwy jęk i ziemia zakołysała się gwałtownie, wyrzucając werandę w powietrze. Wyrwane z korzeniami drzewa runęły z chrzęstem, dom za plecami Kaede zatrzęsł się i rozpadł na kawałki. Teraz już wszystkie psy czekały jak szalone, ptaki w klatkach wrzeszczały z przerażenia; ze zwalonych budynków dobiegły przerażone krzyki kobiet, po czym rozległ się głośny syk i trzask ognia.

Weranda opadła z hukiem, wstrząsając Kaede do szpiku kości, a podłoga nachyliła się ukośnie w stronę domu. Dach nad głową Kaede pękał i rozsypywał się w drzazgi, oczy miała pełne pyłu i okruchów słomy. Przez chwilę myślała, że wpadła w potrzask, lecz ujrzała, iż może się wspiąć po osobliwie wykrzywionych deskach werandy. Zerknęła ponad nimi i jak we śnie zobaczyła, że Shizuka uwalnia dłonie z pęt, kopie strażnika między nogi, odbiera mu miecz i tnie go w kark. Kondo zdążył już zadać Muricie cios, którym niemal go rozpołowił.

Fujiwara leżał za plecami Kaede, częściowo przygnieciony zwalonym dachem.

Jego ciało było dziwnie skręcone, najwyraźniej nie mógł się podnieść, zdołał jednak wyciągnąć rękę i mocno chwycił dziewczynę za kostkę. Po raz pierwszy w życiu jej dotykał; jego zimne palce trzymały ją w uścisku, przed którym nie było ucieczki.

Krztusił się kurzem, kaszlał, pod warstwą zwykłych wonności cuchnął potem i moczem, a jednak, kiedy przemówił, jego głos brzmiał spokojnie jak zawsze:

- Skoro mamy umrzeć, umrzyjmy razem.

Słyszała ogień we wnętrzu domu, syczący i szepczący niczym żywe stworzenie.

Dym zgęstniał, piekąc ją w oczy i tłumiąc wszelkie inne zapachy.

Wierzgnęła, usiłując się wyzwolić z zaciśniętych palców.

- Pragnąłem tylko cię mieć - mówił. - Byłaś najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałem. Pragnąłem, byś należała tylko do mnie. Chciałem wzmóc twoją miłość do Takeo, czyniąc ją niemożliwą, wziąć udział w cudownej tragedii twego cierpienia.

- Puszczaj! - krzyknęła. Czowała już żar płomieni. - Shizuka! Kondo! Pomocy!

Shizuka miała pełne ręce roboty, walcząc jak mężczyzna ze strażnikami, Ishida nadal tkwił przywiązany do pala. Kondo zdążył już zabić jednego żołnierza ciosem w plecy. Na dźwięk głosu Kaede obrócił się ku płonącemu domowi i jednym susem znalazł się na werandzie.

- Pani Otori - powiedział szybko. - Kiedy cię uwolnię, biegnij do ogrodu, do stawu. Shizuka się tobą zajmie.

Zsunął się na dół i odciął Fujiwarze rękę w nadgarstku. Arystokrata krzyknął z bólu i oburzenia. Jego dłoń odpadła od kostki Kaede.

- Weź mój miecz. Wiem, że potrafisz się obronić - rzekł Kondo, podsadzając ją na uniesioną krawędź werandy. Wcisnął jej broń do ręki i dodał: - Przysięgałem ci wierność. Traktuję to poważnie; póki żyję, nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić. Ale kiedy ktoś taki jak ja zabija kogoś takiego jak twój ojciec, to jest przestępstwo. A jeszcze większym przestępstwem jest zaatakowanie i zabicie szlachcica.

Spojrzenie, które jej rzucił, było pozbawione wszelkiej ironii.

- No, idź! - uśmiechnął się. - Biegnij! Twój mąż przyjdzie po ciebie.

Cofnęła się. Zobaczyła jeszcze, że Fujiwara usiłuje wstać, brocząc krwią z kikuta, a Kondo oplata go wpół swymi długimi ramionami i mocno trzyma, po czym przez kruche ściany buchnął ogień i przyjął, otulił, pochłoniął ich obu.

Owionął ją żar, zewsząd dobiegały krzyki. Spłonie żywcem, pomyślała dziko, spłoną wszystkie jego skarby! Wydało jej się, że z ognistego piekła słyszy wołanie Kumiko, poderwała się więc, by jej pomóc, lecz Shizuka ją przytrzymała.

- Palisz się!

Kaede rzuciła miecz i bezradnie uniosła rękę do głowy. Jej natłuszczone włosy stanęły w płomieniach.



Rozdział jedenasty

Słońce zaszło i nad nieruchomą powierzchnią morza wzeszedł księżyc, malując przed naszą flotyllą srebrzysty szlak. Świecił tak jasno, że wyraźnie widziałem górski łańcuch, wznoszący się nad opuszczonym przez nas wybrzeżem. Odpływ pluskał pod burta, bryza od lądu łopotała żaglami, miarowym rytmem pracowały wiosła.

Nad ranem, gdy dotarliśmy do Oshimy, nad morzem podniósł się biały opar.

Fumio wyjaśnił, że w miarę jak powietrze będzie się ochładzać, zjawisko powtórzy się jeszcze kilkakrotnie, co znakomicie odpowiadało naszym planom. Dzień na wyspie spędziliśmy na uzupełnianiu prowiantu oraz przyjmowaniu na pokład ludzi Terada, uzbrojonych po zęby w miecze i noże oraz inne narzędzia do zabijania, których nigdy przedtem nie widziałem.

Po południu poszliśmy do kaplicy i złożyliśmy ofiarę Ebisu i Hachimanowi, prosząc o spokojne morze oraz zwycięstwo nad wrogami. Kapłani podarowali nam konchy, po jednej dla każdego okrętu, oraz pomyślne wróżby, podnoszące ludzi na duchu. Te ostatnie Fumio przyjął ze sceptycyzmem, głaszcząc swoją broń ognistą i mruczając pod nosem:

- To moim zdaniem wróży większą pomyślność!

Ja jednak chętnie modliłem się do wszystkich bogów, wiedząc, że to tylko różne maski, stworzone przez ludzi, kryjące jedną niepodzielną prawdę.

Nad górami wschodził niepełny księżyc, gdy podnieśliśmy żagle i wzięliśmy kurs na Hagi. Tym razem popłynąłem z Kenjim i Taku mniejszą, szybszą łódką Ryomy.

Zenko zostawiłem pod opieką Fumiego, którego powiadomiłem o pochodzeniu chłopca, uświadamiając mu dobitnie, że syn Araiego musi być chroniony za wszelką cenę. Tuż przed świtem z wody podniosła się mgła, kryjąc nas całkowicie. Zbliżaliśmy się do śpiącego miasta; znad zatoki dobiegło nas pianie kogutów i pierwsze dzwony świątyni Tokoji i Daishoin.

Zamierzałem pójść prosto na zamek. Nie chciałem, by moje miasto obróciło się w perzynę, a klan Otori wyniszczył się w bratobójczej walce. Sądziłem, że jeśli zdołam szybko zabić lub pochwycić panów Otori, nie dopuszczę do rozłamu i większość członków klanu przejdzie na moją stronę. Taka opinia panowała wśród tych wojowników Otori, którzy już się do mnie przyłączyli. Wielu z nich doświadczyło złego traktowania, obelg i złamanych obietnic i wręcz prosiło, bym zabrał ich ze sobą i pozwolił bezpośrednio przyłożyć rękę do zemsty. Ja jednak chciałem przeniknąć do zamku

potajemnie, toteż zabrałem jedynie Kenjiego i Taku, a resztę ludzi oddałem pod dowództwo Terady.

Stary pirat aż płonął z podniecenia i chęci wyrównania zadawnionych rachunków. Umówiliśmy się, że okręty będą stać na redzie aż do świtu, kiedy to na każdym z nich zabrzmiały konchy, dając sygnał do ataku we mgle. Reszta należała do niego. Miałem nadzieję, że uda mi się skłonić miasto do kapitulacji; w przeciwnym razie mieliśmy się przebijać ulicami do mostu, aby go otworzyć dla wojsk Araiego.

Zamek w Hagi został zbudowany na cyplu. Z odwiedzin w dniu mojej adopcji zapamiętałem, że rezydencja mieści się na jego terenie po stronie morza, osłaniana potężnym, zgoła niezdobyty murem, wyrastającym prosto z wody.

Ja uzbroiłem się w ostrza do rzucania, krótki miecz i Jato, Kenji i Taku mieli haki i inne narzędzia Plemienia.

Księżyc zaszedł, mgła zgęstniała. Łódź bezszelestnie dopłynęła do brzegu i niemal bezdźwięcznie stuknęła o falochron. Jeden za drugim wyskoczyliśmy na kamienie, natychmiast przybierając niewidzialną postać.

Nad naszymi głowami rozległy się kroki, po czym męski głos zawołał:

- Stój! Kto tam?

Ryoma odpowiedział w dialekcie rybaka z Hagi:

- To tylko ja. Trochę się zgubiłem w tej parszywej mgle.

- Chcesz powiedzieć, że się trochę uchlałeś! - zawołał drugi mężczyzna. - Wynoś się stąd natychmiast! Jeśli cię zobaczymy, kiedy mgła się podniesie, wsadzimy ci strzałę w tyłek!

Plusk wiosła oddalił się i zacichł. Syknąłem do pozostałych - w ogóle ich nie widziałem - i rozpocząłem wspinaczkę. Szło nam ciężko; mur, dwa razy dziennie obmywany przyplływem, był pokryty wodorostami i bardzo śliski. Jednakże, drapiąc się cal po calu, w końcu znaleźliśmy się na górze. Usłyszałem, że ostatni jesienny świerszcz nagle zamilkł, a po chwili Kenji odezwał się jego głosem, dobiegła mnie też rozmowa wartowników za rogiem bastionu, gdzie paliła się latarnia i płonęły węgle w kociołku.

Za nimi, pogrążona w mroku, leżała rezydencja, w której spali panowie Otori, ich rodziny i słudzy.

Słyszałem głosy tylko dwóch ludzi, co mnie trochę zdziwiło, gdyż sądziłem, że strażę będą liczniejsze, lecz z rozmowy zorientowałem się, że w oczekiwaniu na atak Araiego dowódcy skierowali kogo się dało na pozycje przy moście i nad rzeką.

- Niechby już z tym skończył - burknął jeden z wartowników. - Nie mogę znieść tego czekania.

- Pewnie wie, że w mieście jest mało żywności - odrzekł drugi. - Może chce nas wziąć głodem?

- Lepiej, że jest tam, na zewnątrz, a nie w środku.

- Ciesz się, póki możesz. Jeśli Arai zdobędzie miasto, urządzi nam krwawą łaźnię. Nawet Takeo uciekł w oko tajfunu, zamiast stawić mu czoło!

Sięgnąłem w bok, wymacałem głowę Taku i przyciągnąłem do siebie.

- Skocz za mur - szepnąłem bezdźwięcznie - i odwróć ich uwagę. Weźmiemy ich z tyłu.

Poczułem skinienie i usłyszałem najcichszy ze szmerów. W bijącej z kociołka poświacie nagle ukazał się mały cień który przemknął przez dziedziniec i rozdzielił się na dwoje bezszelestny i upiorny.

- Co to? - wykrzyknął wartownik.

Poderwali się na nogi, wlepiając wzrok w oba wizerunki Taku, co bardzo ułatwiło nam zadanie. Rozprawiliśmy się z nimi bez hałasu.

Czekając na wschód słońca, wypiliśmy herbatę, świeżo zaparzoną przez strażników. Świtało; między niebem a wodą nie było żadnej granicy, świat stał się jedną migotliwą płaszczyzną. We mgle posępnie zagrały konchy i włosy zjeżyły mi się na karku. Na brzegu rozszczękały się psy.

Usłyszałem w pałacu ruch - szybkie, choć jeszcze nie paniczne kroki, okrzyki zdumienia, lecz nie przerażenia. Gwałtownie otworzyły się okiennice, rozsunęły drzwi.

Na zewnątrz wypadło kilku wartowników; tuż za nimi biegli Shoichi i Masahiro, nadal w nocnych strojach, ale z obnażonymi mieczami.

Na mój widok zatrzymali się jak wryci. Szedłem ku nim w oparach mgły z Jato w dłoni; za moimi plecami wyłaniały się z szarówki pierwsze żagle. Nad wodą znów zaśpiewały konchy, a góry wokół zatoki odbiły echem ich granie.

Masahiro cofnął się o krok i wstrzymał oddech.

- Shigeru?

Jego brat zbladł jak ściana. Ujrzał człowieka, którego śmierci pragnęli, trzymającego w rękach miecz Otori, i śmiertelnie się przerazili.

- Jestem Otori Takeo, wnuk Shigemoriego, bratanek i przybrany syn Shigeru -

powiedziałem donośnie. - Oskarżam was o śmierć prawowitego dziedzica klanu Otori!

Wysłaliście Shintaro, żeby go zgładził, a kiedy to się nie udało, zawiązaliście spisek z Iidą Sadamu, aby go zamordować. Iida zapłacił już za to życiem, teraz kolej na was!

Wiedziałem, że Kenji stoi za mną gotów do walki, miałem też nadzieję, że Taku nadal jest niewidzialny. Nie odrywałem wzroku od stojących przede mną ludzi.

Shoichi usiłował zapanować nad sytuacją.

- Twoja adopcja była nielegalna! Nie masz prawa do dziedzictwa Otori ani do tego miecza! Nie uznajemy cię! - I zawołał do wartowników: - Ściąć go!

Jato zadrżał w moich rękach, jakby nagle ożył. Byłem gotów odeprzeć atak - ale nikt się nie poruszył. Zobaczyłem, jak Shoichi zmienia się na twarzy i stopniowo pojmuję, że będzie musiał sam stawić mi czoło.

- Nie chcę rozłamu w klanie - oznajmiłem. - Pragnę jedynie waszych głów.

Uznałem, że ostrzeżenie było wystarczające. Czułem, że Jato łaknie krwi, miałem wrażenie, że opanował mnie duch Shigeru, który już nie da odebrać sobie zemsty.

Shoichi stał bliżej i lepiej władał mieczem, zamierzałem więc pozbyć się najpierw jego. Obaj bracia świetnie walczyli, lecz dobiegali już pięćdziesiątki, w dodatku nie mieli zbroi. Ja byłem u szczytu siły i szybkości, zahartowany w biedzie i w boju. Zabiłem Shoichiego jednym ukośnym cięciem w kark.

Masahiro zadał mi cios od tyłu, lecz Kenji go sparował, a gdy odwróciłem się przodem do przeciwnika, zobaczyłem, że jego twarz wykrzywia strach. Próbował

uniknąć walki, kluczył, zwodził i uciekał, ale w końcu zepchnąłem go do muru. Tu całkiem stracił wiarę w siebie; jeszcze raz zwrócił się do swych ludzi o pomoc, lecz nikt nawet nie drgnął.

Pierwsze okręty zbliżały się do brzegu. Masahiro się obejrzał, znów spojrział na mnie i zobaczył spadające ostrze Jato. Zrobił jeszcze jeden gorączkowy unik, po czym wypadł za mur.

Wściekły, że mi umknął, już miałem zamiar za nim skoczyć, kiedy z rezydencji wybiegł jego syn Yoshitomi, mój dawny przeciwnik z sali ćwiczeń, a za nim garstka jego braci i krewnych, z których żaden nie przekroczył dwudziestu lat.

- Rozprawię się z tobą, czarowniku! - wrzasnął Yoshitomi. - Zobaczmy, czy umiesz walczyć jak wojownik!

Osiągnąłem stan niemal nadprzyrodzonej sprawności, a Jato wpadł w furję i posmakował krwi. Śmigał tak szybko, że wzrok za nim nie nadążał, a kiedy przeciwników było zbyt wielu, u mego boku pojawiał się Kenji. Było mi żal, że tacy młodzi ludzie są skazani na śmierć, lecz z drugiej strony przepelniało mnie zadowolenie, że oni także zapłacą za zdradę ojców. Gdy wreszcie spojrziałem na morze, Masahiro wynurzał się właśnie na powierzchnię przy małej łódce, płynącej na czele flotyli okrętów. Była to łódź Ryomy. Młody człowiek chwycił ojca za włosy, pociągnął

w górę i poderznął mu gardło nożem, jakich rybacy używają do patroszenia ryb. Bez względu na zbrodnię Masahiro była to śmierć okropniejsza niż wszystko, co mogłem dlań wymyślić - zginął z rąk własnego syna, uciekając jak tchórz.

Odwróciłem się do żołnierzy Otori.

- Na tych okrętach płynie olbrzymia armia, a pan Arai jest moim sojusznikiem.

Nie żywię do was urazy; możecie odebrać sobie życie, możecie przejść do mnie na służbę, możecie także teraz walczyć ze mną jeden na jednego. Spełniłem swój obowiązek wobec pana Shigeru; zrobiłem to, co rozkazał.

Wciąż czułem, że przepelnia mnie jego duch.

Z grupy wystąpił starszy mężczyzna, którego twarz pamiętałem, choć imię mi umknęło.

- Jestem Endo Chikara. Synowie i bratankowie wielu z nas już się do ciebie przyłączyli. Nie chcemy walczyć z własnymi dziećmi. Wypełniłeś swe zobowiązania, do czego miałeś prawo, w sposób uczciwy i honorowy. Panie Otori, dla dobra klanu jestem gotów ci służyć.

Z tymi słowami uklęknął, a pozostali kolejno poszli w jego ślady. Obeszliśmy z Kenjim rezydencję, wystawiając strażę przy kobietach i dzieciach. Miałem nadzieję, że kobiety odbiorą sobie życie, jak nakazywał honor; o tym, co zrobię z dziećmi, wolałem pomyśleć później. Zajrzeliśmy także do wszystkich tajemnych schowków, likwidując ukrytych szpiegów, niektórych z rodziny Kikuta. Jednak ani w pałacu, ani na zamku nie znaleźliśmy śladu Kotaro, który, jak powiadomiono Kenjiego, na pewno przebywał w Hagi.

Endo poszedł ze mną na zamek. Dowódca tamtejszej straży poddał mi się z wyraźną ulgą; był to Miyoshi Satoru, ojciec Kaheiego i Gemby. Wówczas okręty przybiły do brzegu i moi żołnierze, ulica po ulicy, ruszyli w miasto.

Zdobycie zamku, które wydawało mi się najtrudniejszą częścią planu, okazało się najłatwiejsze. Pomimo kapitulacji garnizonu i moich starań w mieście nie udało się uniknąć walki. Na ulicach panował chaos, ludzie próbowali uciec, ale nie mieli dokąd iść; Terada rozstrzygali własne porachunki, napotykaliśmy także placówki oporu, które pokonywaliśmy w zacieklej walce wręcz.

Wreszcie dotarliśmy nad brzeg zachodniej rzeki, w pobliże kamiennego mostu.

Słońce zachodziło, było późne popołudnie. Mgła dawno się podniosła, lecz nad rzeką wisały dymy z płonących zabudowań. Na przeciwnym brzegu jaskrawo czerwieniły się klony, wierzby nad wodą mieniły się żółcią, wartki nurt unosił gałązki i opadłe liście. Z

ogrodów dobiegała cierpka woń późnych chryzantem. W oddali dostrzegłem jaz i ciągnący się wzdłuż brzegu kamienny mur.

Tam jest mój dom, pomyślałem. Dzisiaj spędzę tam noc.

Nadal towarzyszyli mi Kenji i Taku, który zamilkł, poruszony pierwszymi wojennymi doświadczeniami. Mieliśmy przed sobą iście żaloszny widok - resztki pokonanych wojsk Otori. Ogarnęły mnie litość i żal, lecz przede wszystkim poczułem gniew na ich panów, którzy oszukali ich i zdradzili, każąc im walczyć za przegraną sprawę, podczas gdy sami spali wygodnie w zamku Hagi.

Rozdzieliliśmy się z Fumio, teraz jednak ujrzałem go obok mostu z kilkoma ludźmi i Zenko u boku.

Najwyraźniej spierał się o coś z dowódcami Otori. Podeszliśmy do nich; Zenko uśmiechnął się przelotnie do brata i stanął obok niego, ale żaden z chłopców się nie odezwał.

- To jest pan Otori Takeo - powiedział Fumio. - Przed chwilą przyjął kapitulację zamku. Niech sam wam opowie. - Odwrócił się do mnie: - Chcą zniszczyć most i przygotować się do oblężenia. Nie wierzą w sojusz z Arai; od tygodnia toczą z nim boje, wciąż deptają im po piętach. Mówią, że jedyna nadzieja to natychmiastowe rozebranie mostu.

Zdjąłem hełm, aby ujrzeli moją twarz. Natychmiast padli na kolana.

- Arai przysiągł, że mnie poprze - oznajmiłem. - Nasz sojusz to prawda; kiedy Arai się dowie, że miasto się poddało, odstąpi od ataku.

- I tak lepiej byłoby rozwalić most - upierał się przywódca.

Pomyślałem o duchu kamieniarza, uwięzionym w jego dziele, i o inskrypcji, którą ongiś Shigeru przeczytał mi na głos: „Klan Otori wita sprawiedliwych i lojalnych, lecz niegodni i zdradzieccy niech się strzegą”. Nie chciałem niszczyć czegoś tak cennego, a poza tym nie bardzo wiedziałem, jakim sposobem mogliby w porę zdążyć z rozbiórką.

- Niech stoi - postanowiłem. - Ręczę za lojalność pana Araiego. Powiedzcie swoim ludziom, że jeśli się poddadzą i uznają mnie za swego pana, nie mają się czego lękać.

Stopniowo zamieszanie ucichło. Opróżniliśmy most, wysłałem też Endo na drugi brzeg, by zorganizował odwrót. Wielu ludzi do tego stopnia nabrało otuchy, że zostali na miejscach, aby odpocząć; inni uznali, że mogą wracać do domów, i czym prędzej wyruszyli w drogę powrotną.

- Powinieneś mieć konia, panie Otori - rzekł Miyoshi i oddał mi swego wierzchowca, okazałego karego ogiera, nieco podobnego do Aoi. Przejechałem przez most i powiadomiłem ludzi o swej decyzji, wzbudzając głośny entuzjazm, po czym wróciłem z Endo do miasta. Kiedy okrzyki ucichły, z oddali dobiegł mnie tętent kopyt i tupot ludzkich nóg - to zbliżała się armia Araiego.

Schodzili doliną niczym strumień mrówek pod rozwiniętymi proporcami Kumamoto i Seishuu. Gdy się zbliżyli, rozpoznałem na czele Araiego na kasztanowatym koniu, w hełmie zdobnym w jelenie rogi i czerwono sznurowanej zbroi.

Pochyliłem się do Kenjiego.

- Powinienem wyjechać mu na spotkanie.

Kenji zmarszczył brew, nie odrywając wzroku od drugiego brzegu rzeki.

- Coś mi się nie podoba - rzekł cicho.

- Co?

- Nie wiem. Ale bądź czujny i nie przekraczaj mostu.

Obracałem już konia, kiedy Endo zaproponował:

- Jestem najstarszym rangą wojownikiem klanu Otori; może to ja powinienem zameldować panu Araiemu o naszej kapitulacji?

- Doskonale - odparłem. - Powiedz mu, by rozłożył się obozem na tamtym brzegu rzeki, a potem przyprowadź go do miasta. Może uda się zaprowadzić pokój bez dalszego rozlewu krwi.

Endo wjechał na most. Arai zatrzymał się po drugiej stronie. Kiedy Endo był

niemal w połowie drogi, Arai podniósł rękę. Trzymał w niej czarny wojenny wachlarz.

Zapadła cisza. Zenko u mego boku krzyknął:

- Napinają łuki!

Wojenny wachlarz opadł w dół.

Choć widziałem wszystko jak na dłoni, nie wierzyłem własnym oczom i przez chwilę gapiłem się w osłupieniu na deszcz upierzonych grotów. Pierwszy zginął Endo; ludzie na drugim brzegu, nieuzbrojeni i nieprzygotowani, padali niczym jelenie od strzał myśliwego.

- Widzisz? - rzekł Kenji, dobywając miecza. - Oto, co mi się nie podoba.

Już raz doświadczyłem podobnej zdrady - lecz wówczas winowajcami byli Kenji i Plemię, a teraz zdradził mnie wojownik, któremu przysięgałem wierność. Czy po to zabiłem Jo-Ana? Wściekłość zasnuła mi oczy czerwienią. Zająłem zamek, podobno nie do zdobycia, ocaliłem most, uspokoiłem wojsko; złożyłem Hagi, moje miasto, prosto w ręce Araiego niczym dojrzały owoc persymony, a razem z nim całe Trzy Krainy.

W oddali zawyły psy, a mnie się wydało, że wyje moja dusza.

Arai podjechał bliżej i stanął pośrodku mostu. Na mój widok zdjął hełm i ukłonił

się szyderczo; był taki pewny swej siły, swego zwycięstwa.

- Dziękuję, Otori! - zawołał. - Świetnie się spisałeś. Poddasz się od razu, czy będziemy się bić?

- Być może zawładniesz Trzema Krainami - krzyknąłem - ale ludzie długo będą pamiętać, że jesteś kłamcą!

Wiedziałem, że czeka mnie ostatnia bitwa; przypuszczałem, że będzie to bitwa z Araith, nie sądziłem tylko, że nastąpi tak szybko.

- Nikt nie przeżyje, żeby o tym opowiedzieć - odparł drwiąco. - Zamierzam raz na zawsze zetrzeć ród Otori z powierzchni ziemi.

Pochyliłem się i posadziłem Zenko przed sobą na koniu, po czym przyłożyłem chłopcu do szyi krótki miecz.

- Mam tu obu twoich synów. Chcesz ich skazać na śmierć? Przysięgam, że zabiję Zenko, a potem Taku, zanim zdążysz się ruszyć. Odwołaj atak!

Arai pobladł i zmienił się na twarzy. Taku stał bez ruchu obok Kenjiego. Zenko nawet nie drgnął. Obaj wpatrywali się w ojca, którego nie widzieli od lat.

Lecz twarz Araiego zdążyła już stwardnieć.

- Znam cię, Takeo - zaśmiał się. - Znam twoją słabość. Nie zostałeś wychowany jak wojownik. Zobaczymy, czy zdołasz się zmusić, żeby zabić dziecko.

Powinienem był działać szybko i bezwzględnie, lecz zawahałem się. Arai wybuchnął śmiechem.

- Puść go! - krzyknął. - Zenko, chodź tu do mnie!

Fumio zawołał niskim, wyraźnym głosem:

- Takeo, mam go zastrzelić?

Nie pamiętam, co odpowiedziałem. Nie pamiętam, kiedy puściłem Zenko.

Usłyszałem głuchy huk broni ognistej i zobaczyłem, że Arai zachwiał się w siodle trafiony kulą, która przebiła zbroję tuż powyżej serca. Otaczający go ludzie krzyknęli z wściekłości i strachu, jego koń stanął dęba, wzbudzając zamieszanie, lecz dźwięki te były niczym w porównaniu z rykiem, który teraz nastąpił, kiedy świat pod kopytami mego konia pękł na pół.

Klony na przeciwnym brzegu rzeki uniosły się z wdziękiem i ruszyły w dół

zbozmem wzgórza, porywając ze sobą żołnierzy Araiego, okrywając ich ziemią i kamieniami, tocząc ich do rzeki.

Mój koń, przerażony, stanął dęba i skoczył do tyłu, zrzucając mnie na drogę. Bez tchu podniosłem się na nogi, lecz wówczas most jęknął niemal ludzkim głosem, zapłakał z wysiłku, próbując utrzymać się w całości, po czym rozpadł się na drobne kawałki, strącając do rzeki wszystkich, którzy na nim stali. Rzeka oszalała. Z położonej wyżej konfluencji nadciągnęła ogromna żółtobrazowa fala, odsłaniając dno po stronie miasta; woda równo zagarnęła łódki oraz ludzkie istoty, po czym wdarła się na drugi brzeg, gdzie zatopiła resztki obu armii, łamiąc łodzie niczym pałeczki do ryżu, porywając ludzi i konie, ciskając ich trupy do morza.

Nastąpił nowy, straszliwy wstrząs i za moimi plecami rozległ się huk walących się domów. Miałem wrażenie, że ktoś mnie ogłuszył; nie słyszałem już pojedynczych dźwięków, świat był przytłumiony i spowity kłębam kurzu. Widziałem, że obok mnie stoi Kenji, a Taku klęczy przy swoim bracie, którego spłoszony koń również zrzucił na ziemię. Fumio zbliżał się ku mnie w chmurze pyłu, nadal trzymając w ręku ognistą broń.

Drżałem pod wpływem emocji, dziwnie zbliżonych do uniesienia - świadomości, jak wątłe są istoty ludzkie w porównaniu z wielkimi siłami przyrody, oraz wdzięczności wobec Niebios i bogów, którzy raz jeszcze ocalili mi życie mimo że w nich nie wierzyłem.

Moja ostatnia bitwa zaczęła się i skończyła w jednej chwili. Nie myślałem już o walce; moją jedyną troską było uratowanie miasta przed pożarem.

Większa część podzamcza spłonęła doszczętnie; sam zamek legł w gruzach po jednym z kolejnych wstrząsów, który zabił również zatrzymane tam kobiety i dzieci.

Przyjąłem to z ulgą, wiedziałem bowiem, że nie mogę pozostawić ich przy życiu, wzdragałem się jednak przed wydaniem rozkazu ich zgładzenia. Zginął również Ryoma

- utonął wraz z łodzią, zasypany odłamkami pękającego muru. Kiedy kilka dni później morze wyrzuciło na brzeg jego ciało, poleciłem go pochować w Daishoin obok panów Otori i wyryć ich imię na płycie nagrobnej.

Przez następne dni prawie nie jadłem i nie spałem. Z pomocą Miyoshiego i Kenjiego zebrałem ocalałych i wyznaczyłem im zadania: uprzątnięcie gruzów, pochówek zmarłych, opiekę nad rannymi. Długie, smutne dni współpracy i żałoby sprawiły, że rozdzierające klan rany zaczęły się goić. Powszechnie uznano, że trzęsienie ziemi było karą za zdradę Araiego. Niebiosa wyraźnie mi sprzyjały, byłem adoptowanym synem Shigeru oraz jego bratankiem, miałem jego miecz, łączyło nas wyraźne podobieństwo i pomściłem jego śmierć - toteż klan bez dalszych zastrzeżeń zaakceptował mnie jako jego spadkobiercę. Trzęsienie ziemi dotkliwie zniszczyło Trzy Krainy; nie wiedziałem, co się dzieje w pozostałych częściach kraju, nie docierały do nas żadne wieści z innych miast.

Zdawałem sobie sprawę jedynie z ogromu stojącego przede mną zadania - musiałem przywrócić pokój i zapobiec klęsce głodu podczas nadchodzącej zimy.

Nie spędziłem w domu Shigeru ani tej nocy, ani kolejnych - bałem się, że legł w gruzach, i nie mogłem się zmusić, aby tam pójść, wolałem obozować z Miyoshim w ruinach jego domostwa. Ale mniej więcej cztery dni później po wieczornym posiłku przyszedł do mnie Kenji i oznajmił, że ktoś chce się ze mną widzieć. Uśmiechał się szeroko; przez chwilę miałem nawet nadzieję, że to Shizuka przybyła z wiadomością od Kaede.

Ale były to służące z domu Shigeru, Chiyo i Haruka. Wyglądały na całkowicie wyczerpane, na mój widok Chiyo tak się wzruszyła, że bałem się, iż umrze z emocji.

Padła mi do stóp, lecz podniosłem ją i uściskałem serdecznie. Zalewała się łzami, ja też nie byłem w stanie wykrzusić słowa.

Wreszcie wyszeptała:

- Wróć do nas, panie Takeo. Dom na ciebie czeka.

- Nadal stoi?

- Ogród zalała rzeka i całkiem go zrujnowała, ale w budynku nie ma większych zniszczeń. Przygotujemy go dla ciebie na jutro.

- Przyjdę wieczorem - obiecałem.

- A ty, panie? - zwróciła się do Kenjiego.

- Będzie prawie jak za dawnych czasów - odparł z uśmiechem, choć wszyscy wiedzieliśmy, że dawne czasy nigdy nie wrócą.

Następnego wieczora zabraliśmy Taku i ruszyliśmy znajomą ulicą. Zenko nie było z nami; śmierć Araiego głęboko zakłóciła jego równowagę. Bardzo się martwiłem, widząc zagubienie i żalobę chłopca, ale nie miałem czasu się nim zająć. Zapewne sądził, że ojciec nie zginął jak człowiek honoru, i obwinał o to mnie; być może potępiał mnie nawet za oszczędzenie mu życia. Nie bardzo wiedziałem, jak go traktować - jak spadkobiercę potężnego wodza czy jak syna człowieka, który mnie zdradził. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli na razie zejdzie mi z oczu, i wysłałem go na służbę do rodziny Endo Chikary. Wciąż miałem nadzieję, że jego matka Shizuka żyje i że po jej powrocie zdążę omówić z nią przyszłość syna. Co do Taku nie miałem wątpliwości - chciałem zatrzymać go przy sobie jako pierwsze z dzieci szpiegów, o których wyszkoleniu marzyłem.

Dzielnica wokół domu była prawie nietknięta, w ogrodach beztrósco śpiewały ptaki. Przypomniało mi się, jak idąc tędy, zawsze czekałem, kiedy usłyszę pieśń domu, rzeki i świata, wspomniałem też pierwsze spotkanie z czekającym na rogu Kenjim. Pieśń brzmiała dziś inaczej - strumień był zamulony, wodospad wysechł, lecz rzeka wciąż z pluskiem obmywała przystań i mur zewnętrzny.

Haruka zdołała zebrać ostatnie chryzantemy i kwiaty polne, które, jak zwykle, postawiła w wiadrach przed wejściem do kuchni. Ich ostra, jesienna woń mieszała się z odorem rzeczno mułu i zgnilizny. Ogród był zniszczony, ryby śnięte, ale Chiyo wyszorowała i zapastowała słowicza podłogę, która jak niegdyś zaśpiewała nam pod stopami. W pomieszczeniach na dole, zdewastowanych przez wodę i błoto, już posprzątano i zaczęto kłaść nowe maty. Pokój na górze był nienaruszony; wyczyszczony przez Chiyo wyglądał dokładnie tak samo jak za moją pierwszą bytnością, gdy pokochałem Shigeru i jego dom.

Chiyo przeprosiła, że nie ma ciepłej wody na kąpiel - obmyliśmy się jakoś w zimnej - zdobyła także kilka flaszek wina i produkty na przyzwoity posiłek. Jak wiele razy przedtem, jedliśmy w pokoju na piętrze. Kenji bawił Taku do łez opowieściami o moich marnych wynikach w nauce i o tym, jaki byłem nieznośny i nieposłuszny, mnie przepełniała mieszanina radości i dojmującego smutku. Uśmiechałem się przez łzy, jednak mimo żalu czułem, że duch Shigeru zaznał spokoju, niemal widziałem, jak jego milczące widmo stoi w kącie i śmieje się wraz z nami. Mordercy nie żyli, Jato wrócił do domu.

Taku w końcu zasnął. Noc była zimna, zanosilo się na przymrozek. Dopiliśmy z Kenjim wino, wpatrzeni w niepełny księżyc wędrujący nad ogrodem, i przed pójściem spać zamknęliśmy okiennice. Zapadłem w niespokojną drzemkę, być może z powodu wina, a przed świtem ocknąłem się całkowicie z wrażeniem, że obudził mnie jakiś obcy dźwięk.

W domu panowała cisza. Obok mnie cicho oddychali Taku i Kenji, słyszałem sapanie Chiyo i Haruki w pokoju poniżej. Przy bramie wystawiliśmy strażę, było tam również kilka psów, wydało mi się nawet, że słyszę cichą rozmowę strażników - może to ona mnie obudziła?

Przez jakiś czas nasłuchiwałem bez ruchu. Pokój zaczął się rozjaśniać, wstawał

dzień. W końcu uznałem, że nie słyszę nic niezwykłego, postanowiłem zatem pójść do ustępu, a potem pospać jeszcze parę godzin. Wstałem bezszelestnie, przemknąłem po schodach, odsunąłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz.

Nie zadałem sobie trudu, aby tłumić kroki, więc gdy rozległ się śpiew podłogi, od razu pojąłem, co mnie obudziło: lekki nacisk stopy na deski. Ktoś chciał wejść do domu, ale podłoga go spłoszyła. A więc, gdzie był teraz?

Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że powinienem obudzić Kenjiego, a przynajmniej zdobyć jakąś broń, kiedy z mglistego ogrodu wynurzył się Kotaro, mistrz Kikuta.

Dotąd widywałem go tylko w wyblakłych niebieskich szatach, w przebraniu, które nosił w podróży. Teraz miał na sobie ciemny strój bojowy Plemienia, a z jego postawy i twarzy emanowała cała siła, którą zazwyczaj ukrywał; był niczym uosobienie wrogości Plemienia wobec mnie, nieprzejednany, wytrawny, bezwzględny.

- Jak mniemam, jesteś mi winien życie - oznajmił.

- To ty nie dochowałeś wiary, każąc Akio mnie zabić - odparłem. - Wszelkie umowy zostały wówczas unieważnione. Nie powiedziałaś mi, że to ty zabiłeś mego ojca, zatem nie masz prawa niczego ode mnie wymagać.

Uśmiechnął się wzgardliwie.

- Masz rację, zabiłem Isamu. I wiem już, dlaczego i on był nieposłuszny: powodem jest krew Otori płynąca w żyłach was obu. - Sięgnął za pazuchę, ja zaś zrobiłem krok w tył, by uniknąć spodziewanego ciosu nożem, lecz w jego ręce ujrzałem tylko krótki patyczek. - Wylosowałem ten patyczek - ciągnął - więc posłuchałem rozkazu Plemienia, mimo że Isamu był moim krewnym i przyjacielem, a w dodatku nie chciał się bronić. Na tym właśnie polega posłuszeństwo.

Kotaro wpatrywał się w moją twarz; pojąłem, że chce mnie wprawić w sen Kikuta, byłem jednak pewien, że potrafię mu się oprzeć, choć wątpiłem, czy on dałby mi się uspić jak kiedyś w Matsue. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, ale żaden nie zyskał przewagi nad drugim.

- Zamordowałeś go - rzekłem. - Przyczyniłeś się także do śmierci Shigeru. A czemu miała służyć śmierć Yuki?

Syknął niecierpliwie w sposób, który dobrze pamiętałem, po czym błyskawicznie cisnął na ziemię patyk i wyciągnął nóż. Rzuciłem się w bok z głośnym krzykiem; nie miałem złudzeń, że zdołam stawić mu czoło w pojedynkę i bez broni. Musiałem z nim walczyć gołymi rękami, tak jak niegdyś z Akio, i mieć nadzieję, że ktoś wkrótce przybędzie mi z pomocą.

Skoczył za mną, markując cios, szybciej niż wzrok przemieścił się w przeciwną stronę, po czym spróbował od tyłu chwycić mnie za gardło; przewidziałem jednak ten manewr, wyśliznąłem się z uścisku i kopnąłem go w plecy. Stęknął, trafiony powyżej nerek. Wyskoczyłem w górę i ze wszystkich sił zdzieliłem go dłonią w kark.

Nóż śmignął w górę; poczułem, że zabiera mi dwa palce i głęboko rozcina prawą dłoń. Była to pierwsza prawdziwa rana, jaką odniosłem - ból był straszliwy, gorszy niż wszystko, czego dotąd doświadczyłem. Stałem się niewidzialny, lecz zdradziła mnie krew, która trysnęła strumieniem na słowiczą podłogę. Znów głośno wezwałem Kenjiego i strażników, po czym się rozdwoiłem. Mój wizerunek przekoziółkował po podłodze, ja zaś wymierzyłem lewą dłoń w oczy Kotaro.

Błyskawicznie uchylił głowę i uniknął ciosu, zdążyłem jednak kopnąć dłoń, w której trzymał nóż. Odskoczył z niewiarygodną szybkością, po czym, zda się, nadleciał

ku mnie, celując w czoło. Szarpnąłem się do tyłu, a gdy jego stopy dotknęły podłogi, sam wzbiłem się w powietrze, z trudem pokonując ból i szok. Wiedziałem, że zginę, jeśli choć na moment poddam się tym uczuciom; ostatkiem sił złożyłem się do kopnięcia, kiedy nad głową usłyszałem skrzypnięcie otwieranego okna, przez które wypadł mały, niewidzialny obiekt.

Zaskoczony Kotaro dostrzegł go sekundę później, lecz ja już wiedziałem, że to Taku. Skoczyłem, by złagodzić upadek chłopca, lecz spadł prosto na Kotaro, na moment odwracając jego uwagę. Mój skok zamienił się w kopnięcie, stopa trafiła przeciwnika w kark, a lądując usłyszałem z góry głos Kenjiego, który zawołał:

- Takeo! Trzymaj! - i rzucił mi Jato.

Złapałem miecz lewą ręką. Kotaro chwycił Taku, zakręcił nim nad głową i cisnął

w głąb ogrodu, aż jęknęło. Uniosłem Jato nad głowę, lecz rana prawej dłoni wciąż krwawiła i ostrze opadło ukośnie. Cios chybił, a Kotaro stał się niewidzialny, lecz widząc, że mam broń, zaczął bardziej uważać, co dało mi czas na ochłonięcie. Zerwałem pas i owinałem nim zranioną rękę.

Kenji skoczył z okna, wylądował niczym kot i natychmiast stał się niewidzialny.

Ledwie dostrzegałem obu mistrzów. Walczyłem już u boku Kenjiego i lepiej niż inni wiedziałem, jaki jest niebezpieczny, ale teraz zdałem sobie sprawę, że nigdy nie oglądałem go w akcji przeciwko komuś, kto posiadał choć część jego zdolności. Jego miecz był nieco dłuższy od noża Kotaro, co dawało mu lekką przewagę, z drugiej strony mistrz Kikuta był genialny i zdesperowany. Tam i z powrotem, atakowali i spychali się nawzajem po podłodze, która śpiewała pod ich stopami. Raz Kotaro się potknął, lecz gdy Kenji doń doskoczył odzyskał równowagę i kopnął go w zebra. W końcu obaj się rozdwoili, zająłem się więc drugim „ja” Kotaro, a Kenji wycofał się saltem w tył. Gdy Kotaro na chwilę odwrócił ku mnie wzrok, rozległ się świst ostrzy Kenjiego.

Pierwsze ostrze trafiło Kotaro w szyję. Jego źrenice zaszły mgłą; ale wciąż wpatrując się w moją twarz, bezsilnie machnął nożem i Jato, który najwyraźniej to przewidział, sam znalazł drogę do jego

gardła. Jeszcze w chwili śmierci Kikuta próbował mnie przeklinać, lecz z jego przeciętej krtani wydobył się tylko bulgot krwi.

Tymczasem wzeszło słońce; patrząc w jego bladych promieniach na połamane, krwawiące ciało Kotaro, nie mogliśmy uwierzyć, że taka krucha istota ludzka posiadała taką moc. Obaj z Kenjim z trudem daliśmy sobie z nim radę, za co ja zapłaciłem okaleczoną ręką, Kenji zaś potężnymi sińcami oraz, jak odkryliśmy później, kilkoma złamanymi żebrami. Taku, wstrząśnięty i bez tchu, miał szczęście, że uszedł z życiem.

Wartownicy, którzy przybiegli na moje wezwanie, przerazili się, jakby zaatakował nas demon, nawet psy obwąchujące ciało zjeżyły sierść, obnażając zęby, a z ich gardel

wyrwał się głuchy warkot.

Utraciłem palce, miałem rozdartą dłoń; dopiero kiedy minął lęk i dreszcz walki, ból naprawdę pokazał, co potrafi, niemal przyprawiając mnie o omdlenie.

- Zapewne ostrze noża było zatrute - powiedział Kenji. - Trzeba odjąć rękę w łokciu, żeby ocalić ci życie. - Od szoku trochę kręciło mi się w głowie, więc początkowo uznałem, że to żart, ale Kenji miał poważną minę, a ton jego głosu wręcz mnie przeraził.

Kazałem mu obiecać, że nigdy tego nie zrobi; wolałbym umrzeć, niż stracić to, co zostało mi z prawej ręki. Podejrzewałem, że i tak nigdy już nie ujmę w nią miecza ani pędzla.

Kenji natychmiast obmył mi dłoń, po czym posłał Chiyo po węgle. Na jego polecenie wartownicy uklękli mi na piersi, całkowicie mnie unieruchamiając, a Kenji przypalił mi kikuty palców i brzegi rany, którą następnie posmarował odtrutką - miał

nadzieję, że skuteczną.

Ostrze istotnie było zatrute; pogrążyłem się w piekle, chaosie rozpacz, gorączki i bólu. Nastąpiły długie dni udręki, kiedy wyczuwałem, że wszyscy myślą, iż umieram.

Ja sam w to nie wierzyłem, ale nie miałem siły przemówić, by pocieszyć żyjących; leżałem bez sił w pokoju na górze, pociłem się, wiłem w konwulsjach i bełkotałem do umarłych.

Defilowali przede mną wszyscy, których zabiłem, którzy przeze mnie zginęli i których pomściłem - moja rodzina z Mino, Ukryci z Yamagaty, Shigeru, Ichiro, ludzie zabici z rozkazu Plemienia, Yuki, Amano, Jiro i Jo-An.

Pragnąłem, by ożyli - pragnąłem ujrzeć ich żywe ciała, usłyszeć ich żywe głosy, lecz oni jeden po drugim żegnali się ze mną, porzucając mnie samotnego i pogrążonego w żałobie. Chciałem iść za nimi, nie znałem jednak drogi.

W godzinie najgorszej gorączki otworzyłem oczy i ujrzałem w pokoju mężczyznę. Nigdy przedtem go nie widziałem, ale pojąłem, że to mój ojciec. Był ubrany po chłopsku jak ludzie z mojej wioski i nie miał broni. Ściany zniknęły - znów znalazłem się w Mino, całym i niestrawionym pożarem,

otoczonym jasną zielenią pól ryżowych.

Przyglądałem się, jak ojciec pracuje w polu, spokojny i skupiony, a potem poszedłem za nim górską ścieżką do lasu i zrozumiałem, jak bardzo kochał błądzić wśród roślin, drzew i zwierząt, gdyż ja także to kochałem.

Wtem zobaczyłem, że na modłę Kikuta odwraca głowę w znajomy sposób i nasłuchuje, jakby dobiegł go daleki dźwięk. Rozpoznał kroki - to Kotaro, krewny i przyjaciel, przybywał wykonać na nim wyrok.

Po chwili Kotaro pojawił się na ścieżce, odziany w ciemny strój bojowy, w jakim przyszedł i do mnie. Znieruchomieli w typowych dla siebie pozach, jakby obrócili się w kamień: mój ojciec, który ślubował nigdy więcej nikogo nie zabić, i przyszły mistrz rodziny Kikuta, który żył ze śmierci i terroru.

Kotaro wyjął nóż. Krzyknąłem i próbowałem wstać, ale coś mnie trzymało; wizja zbladła, zostałem sam w męczarniach. Wiedziałem, że nie zdołam odmienić przeszłości, lecz z wyrazistością właściwą gorączce uświadomiłem sobie, że konflikt nie został

zażegnany. Bez względu na to, jak bardzo ludzie chcieli położyć kres przemocy, najwyraźniej nie mogli jej uniknąć. Miała trwać bez końca - chyba że znalazłbym drogę środka, sposób, by zaprowadzić pokój. Jedyłą rzeczą, jaka przychodziła mi do głowy, było ograniczenie wszelkiej przemocy do własnej osoby dla dobra mego kraju i mego ludu. Musiałem pozostać na zbrodniczej ścieżce, aby inni mogli uwolnić się od zbrodni; musiałem przestać w cokolwiek wierzyć, aby inni mogli uwierzyć, w co zechcą. Nie chciałem tego - chciałem pójść w ślady ojca, odżegnać się od zabijania, żyć tak, jak nauczyła mnie matka. Wokół mnie wzbierała ciemność; gdybym się jej poddał, mógłbym podążyć za ojcem i dla mnie wszelkie konflikty by się skończyły. Najcieńsza z zasłon dzieliła mnie od tamtego świata, kiedy w ciemności rozległ się głos:

„Twoje życie nie należy już do ciebie. Ceną pokoju jest rozlew krwi”.

Słowa świętej zagłuszyło wołanie Makoto, powtarzającego moje imię, nie wiedziałem, żywego czy umarłego. Chciałem mu wytłumaczyć, co właśnie zrozumiałem, powiedzieć, że nie jestem w stanie postępować tak, jakbym musiał, i dlatego odchodzę z ojcem, lecz gdy próbowałem przemówić, mój spuchnięty język nie mógł sformułować zdania. Wyrwał się ze mnie niezrozumiały bełkot, aż skręciłem się z bezsilnej wściekłości, że nie zdążę porozmawiać z Makoto przed rozstaniem.

Mocno chwycił mnie za ręce i pochylając się nade mną powiedział wyraźnie:

- Takeo! Wiem i rozumiem. Wszystko będzie dobrze. Nastanie pokój. Ale tylko ty możesz go zapewnić. Nie wolno ci umrzeć. Zostań z nami! Musisz zostać w imię pokoju!

Mówił do mnie w ten sposób przez całą noc, odpędzając swoim głosem upiory i wiążąc mego ducha z tym światem. O świcie gorączka ustąpiła. Zasnąłem głęboko, a kiedy się obudziłem, wróciła mi jasność umysłu. Makoto wciąż był przy mnie; rozplakałem się z radości, że żyje. Ręka nadal pulsowała boleśnie, lecz był to normalny ból gojącej się rany, nie mordercza tortura trucizny. Później

Kenji powiedział, że po ojcu, mistrzu władania trucizną, musiałem odziedziczyć pewną odporność, która pozwoliła mi się uratować. Wtedy powtórzyłem mu słowa wyroczni, jakoby przeznaczone mi było zginąć z ręki własnego syna, i że raczej nie umrę wcześniej. Kenji długo milczał.

- Cóż - rzekł w końcu. - To z pewnością daleka przyszłość. Uporamy się z nią, gdy nadejdzie.

Mój syn był wnukiem Kenjiego, toteż przepowiednia wydała mi się jeszcze okrutniejsza. Wciąż byłem słaby i płakałem z byle powodu. Fizyczna niemoc doprowadzała mnie do szału. Minęło siedem dni, zanim zdołałem samodzielnie pójść do ustępu, piętnaście, nim znów dosiadłem konia. Pełny księżyc jedenastego miesiąca przyszedł i odszedł, zbliżało się przesilenie, po którym zaczynał się nowy rok i pora śniegów. Dłoń goiła się powoli - szeroka, paskudna blizna niemal zatarła srebrzysty ślad po oparzeniu z dnia, gdy Shigeru ocalił mi życie, oraz prostą linię Kikuta.

Makoto dniem i nocą dotrzymywał mi towarzystwa, ale niewiele mówił. Czułem, że coś przede mną skrywa i że Kenji wie, co to takiego. Raz przyprowadzono do mnie Hiro-shiego. Ucieszyłem się, że chłopiec przeżył; sprawiał wrażenie pogodnego, chętnie opowiadał o podróży, o tym, jak uniknęli najgorszych skutków trzęsienia ziemi i natknęli się na żalosne resztki ongiś potężnej armii Araiego, i o tym, jakim wspaniałym koniem jest Shun, ale miałem wrażenie, że trochę nadrabia miną. Czasem siadywał ze mną Taku, który przez ten miesiąc wydorósł o całe lata, lecz mimo pozornej wesołości on również był blady i napięty jak Hiroshi. W miarę powrotu do zdrowia zacząłem zdawać sobie sprawę, że już dawno powinniśmy otrzymać jakieś wieści od Shizuki i że wszyscy obawiają się najgorszego. Ja jednak nie wierzyłem, że umarła; nie wierzyłem też w śmierć Kaede, albowiem ani jedna, ani druga nie odwiedziła mnie w delirium.

W końcu pewnego wieczora Makoto powiedział do mnie:

- Są wiadomości z południa. Trzęsienie ziemi spowodowało tam jeszcze większe zniszczenia niż u nas. W rezydencji pana Fujiwary wybuchł straszliwy pożar... - Ujął

mnie za rękę. - Przykro mi, Takeo. Podobno nikt nie przeżył.

- Fujiwara nie żyje?

- Tak, jego śmierć została potwierdzona. - Urwał, po czym dodał cicho: - Kondo Kiichi też zginął.

Kondo, którego wysłałem z Shizuką...

- A twój przyjaciel?

- On również. Biedny Mamoru. Myślę, że przyjął śmierć jak wyzwolenie.

Przez kilka chwil się nie odzywałem.

- Nie znaleziono jej ciała, ale... - rzekł Makoto łagodnie.

- Muszę się upewnić - oznajmiłem. - Pojedziesz tam w moim imieniu?

Zgodził się wyjechać następnego ranka. Noc spędziłem, dręcząc się myślami, co zrobię, jeśli okaże się, że Kaede umarła. Pragnąłem jedynie pójść w jej ślady, jakże jednak mogłem porzucić tych, którzy tak lojalnie mnie wspierali? O świcie uznałem słuszność słów Jo-Ana i Makoto - moje życie nie należało już do mnie. Tylko ja mogłem zaprowadzić pokój; byłem na życie skazany.

W nocy przyszło mi na myśl coś jeszcze i przed wyjazdem poprosiłem Makoto o rozmowę. Niepokoiłem się zapiskami, które Kaede zabrała do Shirakawy. Jeśli miałem przeżyć, chciałem je mieć w swoim posiadaniu przed nastaniem zimy. Musiałem poświęcić długie miesiące na obmyślenie letniej strategii, gdyż wiedziałem, że wrogowie, kimkolwiek byli, nie zawahają się użyć Plemienia przeciwko mnie. Czułem, że na wiosnę będę musiał opuścić Hagi i ustanowić rządy nad Trzema Krainami, być może nawet uczynić Inuyamę swoją siedzibą. Ta myśl sprawiła, że uśmiechnąłem się gorzko - Inuyama znaczy Psia Góra, zupełnie jakby miasto czekało właśnie na mnie.

Poprosiłem Makoto, by wziął ze sobą Hiroshiego, który pokaże mi, gdzie znajdują się zapiski. Ponadto, wbrew wszystkiemu, tlił się we mnie płomyk nieśmiałej nadziei, że być może w Shirakawie jednak odnajdą Kaede - że Makoto cudownym sposobem zdoła mi ją przywrócić.

Wrócili w przenikliwie zimny dzień dwa tygodnie później. Wracali sami i na ten widok ogarnęło mnie obezwładniające poczucie zawodu. Ich ręce były puste.

- Stara kobieta pilnująca kaplicy nie chciała oddać zapisków nikomu oprócz ciebie - powiedział Makoto. - Wybacz, ale nie umiałem jej przekonać, by zmieniła zdanie.

- Musimy tam wrócić! - zawołał Hiroshi z zapalem. - Pojadę z panem Otori!

- Tak, pan Otori powinien tam pojechać - przytaknął Makoto. Wydawało mi się, że chce coś dodać, jednak zamilkł.

- Co? - ponagliłem.

Patrzył na mnie z dziwną mieszaniną współczucia i czystej serdeczności:

-Wszyscy pojedziemy - oświadczył. - Raz na zawsze dowiemy się, czy coś wiadomo o pani Otori.

Pragnąłem wyruszyć od razu, z drugiej strony dręczyła mnie obawa, że wyprawa będzie daremna, poza tym pora była późna.

- Ryzykujemy, że utkniemy w śniegach - powiedziałem. - Zamierzałem przezimować w Hagi.

- W najgorszym razie zatrzymasz się w Terayamie. I tak zamierzam tam zostać w powrotnej drodze; chyba mój czas przy tobie dobiega końca.

- Chcesz mnie opuścić? Dlaczego?

- Czuję, że mam co innego do roboty. Osiągnąłeś wszystko, w czym postanowiłem ci pomóc. Teraz wzywa mnie świątynia.

Byłem zdruzgotany. Czyżbym miał utracić wszystkich, których kochałem?

Odwrociłem się, aby ukryć targające mną uczucia.

- Kiedy myślałem, że umierasz, złożyłem przysięgę - ciągnął Makoto. - Obiecałem Oświeconemu, że jeśli przeżyjesz, poświęcę życie twojej sprawie, ale inaczej niż dotąd.

Walczyłem i zabijałem u twego boku i gdyby było trzeba, zrobiłbym to jeszcze raz, ale w ostatecznym rachunku walka niczego nie rozwiązuje. Niczym taniec łasicy cykl przemocy wciąż się kręci.

Jego słowa zahuczały mi w uszach. Dokładnie te same myśli rozsadzały mi czaszkę w malignie.

-W gorączce mówiłeś o swoim ojcu i o przykazaniu Ukrytych, by nie odbierać życia. Trudno mi to pojąć jako wojownikowi, ale jako mnich czuję, że powinienem przynajmniej spróbować zastosować się do tego zakazu. Tamtej nocy ślubowałem, że nigdy nikogo nie zabiję, a pokoju będę poszukiwał przez modlitwę i medytację.

Zostawiłem w Terayamie flety, aby chwycić za broń. Teraz zostawiam broń tutaj i wracam do instrumentów. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Wiem, że to, co mówię, zakrawa na szaleństwo. Ale to tylko pierwszy krok na długiej i trudnej drodze, na którą jednak muszę wejść.

Nie odpowiedziałem. Wyobraziłem sobie świątynię w Terayamie, gdzie zostali pochowani Shigeru i Takeshi, gdzie udzielano mi schronienia i nauk, gdzie odbył się mój ślub z Kaede. Leżała w samym środku Trzech Krain niczym duchowe i fizyczne serce mojego kraju i mojego życia. Od tej chwili miała być domem Makoto, który zamierzał się modlić o wytęskniony przeze mnie pokój, niezmiennie stać na straży mojej sprawy. Na razie był sam jeden niczym maleńka kropla farby w olbrzymim kotle, lecz ujrzałem, jak przez lata kropla się rozlewa, nadając coraz większemu obszarowi niebieskozieloną barwę, z którą zawsze kojarzyło mi się słowo „pokój”. Pod wpływem Makoto świątynia mogła stać się miejscem pokoju, tak jak przed laty pragnął jej założyciel.

- Nie opuszczam cię - powtórzył łagodnie Makoto. - Będę z tobą, tylko inaczej.

Brakło mi słów, by wyrazić wdzięczność; przyjaciel doskonale zrozumiał moje rozdarcie i podjął pierwsze kroki, aby je uleczyć. Mogłem jedynie serdecznie mu podziękować i pozwolić odejść.

Kenji, przy niemych poparciu Chiyo, stanowczo sprzeciwiał się mojej podróży, twierdząc, że bardzo się narażam, ruszając w drogę, nim całkowicie dojdę do zdrowia.

Jednak codziennie czułem się lepiej, a ręka goiła się szybko, mimo że wciąż czułem ból w nieistniejących palcach. Żałowałem utraconej sprawności, bezskutecznie usiłowałem nauczyć się władać pędzlem i mieczem lewą ręką, ale przynajmniej mogłem trzymać wodze i sądziłem, że podołam trudom podróży. Moim głównym zmartwieniem była odbudowa Hagi, ale Miyoshi Kahei i jego ojciec zapewnili mnie, że świetnie sami dadzą sobie radę. Moje główne siły pod wodzą Kaheiego i Makoto, unieruchomione przez trzęsienie ziemi, wyszły z katastrofy prawie bez szwanku i ich przybycie walnie przyczyniło się do podniesienia miasta z ruin. Doradziłem Kaheiemu, by bezzwłocznie posłał do Shuho i zaprosił mistrza ciesielskiego Shiro z rodziną z powrotem do klanu.

W końcu Kenji się ugiął i oznajmił, że mimo silnego bólu, jaki sprawiają mu złamane żebra, oczywiście będzie mi towarzyszył, tym bardziej że nie zdołałem samodzielnie uporać się z Kotaro. Wybaczyłem mu ten sarkazm, uradowany, że będzie przy mnie, zabrałem również Taku, nie chcąc go zostawiać samego w nastroju przygnębienia. Jak zwykle od razu posprzeczał się z Hiroshim, ale czy to Hiroshi nabrał

cierpliwości, czy Taku stał się mniej arogancki, w każdym razie dostrzegłem w nich zadatki na prawdziwych przyjaciół. Ponadto zabrałem tylu ludzi, ilu miasto mogło poświęcić, i w drodze zostawiałem po kilku do pomocy przy odbudowie zniszczonych gospodarstw i wiosek.

Trzęsienie ziemi, które przecięło kraj z północy na południe, zostawiło szeroki pas zniszczeń, wzdłuż którego jechaliśmy teraz. Był środek zimy; mimo poniesionych strat i przeżytych nieszczęść ludność szykowała się do obchodów Nowego Roku. Życie zaczynało się od nowa.

Dni były mroźne, lecz jasne. W nagim, zimowym krajobrazie barwy były brunatne i wyblakłe, z bagien dobiegało wołanie bekasów. Posuwaliśmy się prosto na południe; co wieczór czerwone słońce osuwało się za horyzont - jedyna plama koloru w zmatowiałym świecie. Przenikliwie zimne noce rozjaśniały ogromne gwiazdy, a każdego poranka ziemia bieliła się od szronu.

Wiedziałem, że Makoto coś przede mną ukrywa, nie umiałem jednak odgadnąć, czy tajemnica jest radosna; promieniał wewnętrznym oczekiwaniem, co dzień coraz silniejszym. Mój nastrój był nierówny - cieszyłem się, że znów dosiadam Shuna, ale chłód i trudy podróży w połączeniu z bólem okaleczonej ręki wyczerpywały mnie bardziej, niż sądziłem. Zadanie, które sobie postawiłem, przytłaczało mnie swym ogromem, i zwłaszcza nocami myślałem, że nigdy go nie dokończę, szczególnie jeśli spróbuję to zrobić bez Kaede.

Siódmego dnia dotarliśmy do Shirakawy. Niebo zaciągnęło się chmurami, cały świat poszarzał. Dom Kaede był zrujnowany i opuszczony, ze strawionego ogniem budynku został jedynie popiół i kilka osmalonych belek. Panował tu nieopisany smutek; wyobraziłem sobie, że podobnie wygląda rezydencja Fujiwary, i ogarnęło mnie przemożne przeczucie, że Kaede nie żyje, a Makoto prowadzi mnie na jej grób. Z

wypalonego pnia przy bramie karcąco zaskrzeczała dzierzba, na polach ryżowych żerowały dwa ibisy, świecąc różowym upierzeniem w wymarłym pejzażu. Jednak kiedy mijaliśmy nadrzeczne łąki, Hiroshi zawołał:

- Panie Otori, patrz!

Dwie klacze zbliżały się truchtem, rzeniem witając nasze konie. Za nimi szły źrebięta, na oko trzymiesięczne, których brązowa, dziecięca sierść właśnie zaczęła ustępować siwej. Ich grzywy i ogony były czarne jak laka.

- To źrebaki po Raku! - krzyknął Hiroshi. - Amano mówił mi, że klacze w Shirakawie są z nim źrebne!

Nie mogłem oderwać oczu od zwierząt. Wyglądały jak nieopisanie cenny dar niebios, dar życia,

obietnica odrodzenia i odnowy.

- Jeden z nich będzie twój - rzekłem, zwracając się do Hiroshiego. - Zasłużyłeś na niego swoją lojalnością.

- A Taku może dostać drugiego? - poprosił Hiroshi.

- Oczywiście!

Chłopcy zapiszczeni z uciechy. Poleciałem giermkom wziąć kłaczę na powróż; rozbrykane źrebaki ruszyły za nami brzegiem rzeki, ogromnie podnosząc mnie na duchu w drodze do Świętych Jaskiń.

Nigdy przedtem tu nie byłem i nic nie przygotowało mnie na ogrom pieczary, z której wypływała rzeka. Nad nami wznosiła się góra, okryta już białą czapą, która odbijała się wyraźnie w nieruchomych, czarnych wodach zimowej rzeki. Obraz ten, nakreślony ręką przyrody, wyraźnie jak nigdy dotąd uzmysłowił mi prawdziwość twierdzenia, że wszystko jest jednym. Ziemia, woda, niebo - wszystko rozpościerało się przede mną w niezmaconej harmonii. Wspomniałem ową chwilę w Terayamie, kiedy dane mi było wejrzeć w istotę prawdy - teraz ujrzałem naturę niebios, objawioną na ziemi.

Nad rzeką, tuż przed wejściem do kaplicy, stał niewielki domek. Wywabiony tętentem kopyt wyszedł z niego stary człowiek. Na widok znajomych twarzy Makoto i Hiroshiego uśmiechnął się, po czym nisko skłonił się przede mną.

- Witajcie, usiądźcie. Zrobię herbaty, a potem zawołam żonę.

- Pan Otori przybył po szkatułki, które tu zostawiliśmy - rzekł z powagą Hiroshi i natychmiast wyszczerzył zęby do Makoto.

- Tak, tak, zaraz im powiem. Mężczyznom nie wolno tam wchodzić, ale kobiety do nas wyjdą.

Kiedy nalewał herbatę, w drzwiach domku pojawił się mężczyzna w średnim wieku o inteligentnym i miłym wyglądzie. Powitał nas uprzejmie i przedstawił się jako Ishida; zrozumiałem też, że jest medykiem. Rozpoczął opowieść o historii jaskiń i o leczniczych właściwościach wody, tymczasem starszy pan, zręcznie skacząc z kamienia na kamień, zbliżył się do wejścia do pieczary. Na drewnianym słupku wisiał tam gong z brązu; uderzony pałką, zahuczał głucho nad wodą, wzbudzając we wnętrzu góry cichnące echa.

Patrzyłem na staruszkę, sącząc parującą herbatę. Wyraźnie czegoś wypatrywał i nasłuchiwał, aż w końcu odwrócił się ku mnie.

- Niech pan Otori podejdzie tutaj! - zawołał.

Odstawiłem czarkę i wstałem. Słońce zapadło za zachodni stok, na wodę padł

cień góry. Skacząc po kamieniach śladem starszego pana, miałem wrażenie, że coś - ktoś

- nadciąga ku mnie z jej środka.

Stałem obok gongu przy staruszkę, który spojrzał na mnie z uśmiechem tak ufnym i ciepłym, że łzy stanęły mi w oczach.

- Idzie moja żona - powiedział. - Niesie szkatułki. - Zachichotał i dodał: - Czekają na ciebie.

Spojrzałem w głąb jaskini. W półmroku zbliżała się ku mnie stara strażniczka kaplicy, cała w bieli. Słyszałem jej kroki na mokrej skale i stąpanie idących za nią kobiet.

Krew dudniła mi w uszach.

Kiedy wyszły na światło dzienne, kobieta skłoniła się do ziemi i postawiła szkatułkę u mych stóp. Stojąca za jej plecami Shizuka trzymała drugą szkatułkę.

- Panie Otori - powiedziała cicho.

Prawie jej nie słyszałem. W ogóle na nią nie patrzyłem - całą uwagę skupiłem na Kaede.

Poznałem ją od razu po sylwetce, ale zaszła w niej jakaś zmiana. Wyglądała nieznajomo, a jej głowę spowijał zawój z białego płótna. Zbliżając się do mnie, zsunęła go na ramiona.

Miała ogoloną głowę. Jej włosy zniknęły.

Patrzyła mi prosto w oczy. Jej twarz była nietknięta i piękna jak zawsze, lecz zaledwie musnąłem ją wzrokiem. Zatopiłem spojrzenie w jej źrenicach i zobaczyłem, ile wycierpiała, ile dzięki temu nabrała szlachetności i siły. Sen Kikuta nie mógł już jej dotknąć.

Nadal bez słowa odwróciła się i ściągnęła płótno z ramion. Na jej karku, ongiś tak gładkim i białym, widniały czerwono-fioletowe pręgi i bruzdy, powstałe w miejscach, gdzie palące się włosy oparzyły skórę.

Przyłożyłem do nich okaleczoną dłoń, nakrywając jej blizny swoimi.

Długo staliśmy nieruchomo. Słyszałem chrapliwy krzyk czapli, lecącej na noc do gniazda, niekończącą się pieśń wody, szybkie bicie serca Kaede. Osłonięci skalnym nawisem nie zauważyliśmy, kiedy zaczęło padać.

Gdy podniosłem wzrok, krajobraz już pobieliał; z ciemniejącego nieba powoli sypały się płatki pierwszego tej zimy śniegu.

Żrebięta nad rzeką parskają zdumione na widok śnieżynek, których nigdy przedtem nie widziały. Pomyślałem, że gdy śniegi stopnieją i znów nadejdzie wiosna, ich sierść, jak u Raku, będzie już całkiem siwa.

Modliłem się, aby czas przyniósł uzdrowienie naszym pokrytym bliznami ciałom, naszemu małżeństwu, naszej ziemi. I aby tej wiosny *houou*, święty ptak z legendy, znowu zawitał do Trzech

Krain.

Od blisko piętnastu lat w Trzech Krainach panuje pokój i dobrobyt.

Wzbogaciliśmy się na handlu z głównym łądem; w Inuyamie, Yamagacie i Hagi stoją pałace i zamki, które nie mają sobie równych na całych Ośmiu Wyspach. Dwór Otori, powiadają, może konkurować świetnością z cesarskim.

Zawsze są jakieś zagrożenia - potężni dowódcy, jak Arai Zenko, w obrębie naszych granic, watażkowie na zewnątrz Trzech Krain, barbarzyńcy, pragnący większego udziału w naszym bogactwie, nawet cesarz i jego dwór, obawiający się rywala - lecz jak dotąd, a mija trzydziesty drugi rok mego życia i czternasty rok rządów, dzięki połączeniu dyplomacji i siły udało mi się nad nimi zapanować.

Rodzina Kikuta pod wodzą Akio nie zaniechała ze mną walki; ślady kolejnych zamachów na moje życie mam zapisane na własnym ciele. Jest to nieustająca wojna i wątpię, czy zdołam kiedykolwiek ją zakończyć, lecz dzięki utrzymywanej przeze mnie siatce szpiegów pod opieką Kenjiego i Taku panuję nad poczynaniami Plemienia. Zenko ożeniłem ze swoją szwagierką Haną, licząc na to, że będzie silniej ze mną związany, co udało się tylko częściowo. Między nami stoi śmierć jego ojca i wiem, że obaliłby mnie, gdyby mógł.

Hiroshi mieszkał w moim domu do dwudziestego roku życia, po czym wrócił do Maruyamy, którą włada jako namiestnik mej najstarszej córki, prawowitej spadkobierczynie mojej żony.

Mamy z Kaede trzy córki - najstarsza liczy sobie lat trzynaście, młodsze, bliźniaczki, po jedenaście. Nasza pierworodna wygląda dokładnie tak samo jak jej matka i nie przejawia żadnych zdolności Plemienia. Bliźniaczki są identyczne, łącznie z liniami Kikuta na dłoniach. Ludzie się ich boją, nie bez powodu.

Dziesięć lat temu Kenji odszukał mojego syna, wówczas pięcioletniego. Od tamtej pory mam go na oku, nie pozwolę jednak, by ktokolwiek go skrzywdził. Długo i często rozważałem słowa wyroczni i doszedłem do wniosku, że jeśli takie jest moje przeznaczenie, to nie mogę go uniknąć, jeśli zaś nie - przepowiednie bowiem, podobnie jak sny, spełniają się w nieoczekiwany sposób - to im mniej działań podejmę w tej sprawie, tym lepiej. Nie mogę zaprzeczyć, że w miarę jak zwiększa się fizyczny ból, który znoszę, w miarę jak przypominam sobie, że obdarzyłem swego przybranego ojca, Shigeru, szybką i honorową śmiercią wojownika, która zatarła obrazę i upokorzenie zadane przez Iidę Sadamu, coraz

częściej nachodzi mnie myśl, że być może syn przyniesie mi wyzwolenie i że chętnie powitam śmierć z jego ręki.

Moja śmierć wszakże to zupełnie inna opowieść rodu Otori i nie ja będę ją opowiadał.

Podziękowania

Chciałabym podziękować Fundacji Asialink, która w 1999 roku przyznała mi stypendium na

trzymiesięczny pobyt w Japonii, jak również Australia Council, Departamentowi Spraw Zagranicznych i Handlu Ambasady Australii w Tokio, oraz Arts SA - Departamentowi ds. Sztuki Rządu Południowej Australii. W Japonii uzyskałam wsparcie Akiyoshidai Arts Village w prefekturze Yamaguchi, której personel udzielił mi nieocenionej pomocy przy poznawaniu krajobrazów i historii zachodniej Honsiu. Na podziękowania zasługują zwłaszcza pan Kori Yoshinori, pani Matsuna-ga Yayoi oraz pani Matsubara Manami. Wyrazy szczególnej wdzięczności należą się pani Tokorigi Masako za pokazanie mi obrazów i ogrodów Sesshu, a także jej mężowi, profesorowi Tokorigi Mikiemu, za informacje o wykorzystaniu koni w wiekach średnich.

Wielu materiałów dostarczył mi pobyt u dwóch japońskich zespołów teatralnych

- serdecznie dziękuję Kazenoko z Tokio i Gekidan Urinko w Nagoi, oraz pani Kimura Miyo, cudownej towarzyszce podróży, która zabrała mnie do Kanazawy i Nakasendo, a także odpowiedziała na moje liczne pytania z zakresu języka i literatury japońskiej.

Dziękuję panu Mogi Masaru i pani Mogi Akiko za pomoc w poszukiwaniach, za sugestie w kwestii nazw oraz, nade wszystko, za ich nieustającą przyjaźń.

Chciałabym podziękować moim australijskim nauczycielkom języka japońskiego, paniom Thuy Coombs i Etsuko Wilson, Simonowi Higginsowi za jego bezcenne wskazówki, oraz mojej agentce Jenny Darling. Dziękuję mojemu synowi Mattowi, pierwszemu czytelnikowi wszystkich trzech książek, oraz pozostałym członkom mojej rodziny, którzy nie tylko dzielnie tolerowali moją obsesję, lecz wręcz ją dzielali.

W 2002 roku spędziłam w Japonii kolejne trzy miesiące dzięki uprzejmości Shuho-ho Cultural Exchange House. Moje badania w tym okresie wydatnie przyczyniły się do powstania ostatecznej wersji W blasku księżycy. Dziękuję serdecznie pracownikom Shuho-ho, a zwłaszcza pani Sanko Yuko, panu Markowi Brachmannowi oraz pani Maxine McArthur, natomiast Arts SA ogromnie dziękuję za kolejne stypendium.

Znaki kaligraficzne kreśliły dla mnie panie Sugiyama Kazuko i Etsuko Wilson.

Im także jestem ogromnie wdzięczna.

Lian Hearn